298
E

KRUCYFIKS.

POWIEŚĆ Z ANGIELSKIEGO.

Wydanie drugie.

NAGRODA OD ... BRA SZ...

POZNAŃ.
NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.
1905.

ROZDZIAŁ I.

— Cała to nowoczesna fabryka istnienia jest kłamstwem! — zawołał Marek Pandolfi, uderzając młoteczkiem o ciężki stół z widoczną niecierpliwością. Następnie opuścił go i obracając się na krześle, oparł się łokciem na jego poręczy i założył palce, patrząc bystro na swego ucznia. Jan Baptysta Bordogni spojrzał od swej roboty, nie wypuszczając narzędzi z ręki, skinął poważnie, popatrzył na wysokie okno, a potem uderzał dalej lekko w małe dłutko, kierując starannie jego ostrze wśród delikatnych arabesek, oznaczonych na srebrze.

— Tak jest — rzekł spokojnie po kilku sekundach — to jest kłamstwo. Ale czegóż się spodziewać Maestro Marku? Moglibyście równie dobrze prawić do kamieni, jak głosić wolność tym tchórzom.

— Jednakże jest kilku — z pół tuzina — odmruknął Marek, popadając w posępne niezadowolenie i odwracając zwolna kielich pod rzemieniem, wyciągniętym na pedale, który uciskał nogą. Wykonawszy w ręku okrągłe wypuklenie, które pod jego dłutem miało się zamienić w głowę cherubinka, potarł mechanicznie palcami gładkie srebro, wpatrzywszy się w stojący przed sobą model z czerwonego wosku. Nastąpiło przez chwilę milczenie, przerywane tylko szybkiemi uderzeniami dwóch małych młoteczków o trzonki dłuta.

Mistrz Marek Pandolfi był zręcznym pracownikiem i artystą. Był on jednym z ostatnich snyce-

rzy metalu, którzy ongi swe arcydzieła wysyłali z Rzymu do wielkich katedr w świecie, jednym z ostatnich artystycznych potomków Caradossa, Benwenuta Cellini, Klaudyusza Ballin i wszystkich ich następców; jednym z tych ludzi z rzadkim talentem, którzy łączą wyobraźnię artysty z zręcznością wykonania biegłego robotnika. Trudno takich znaleźć w dzisiejszych czasach. Z dwudziestu snycerzy różnego wieku, którzy pracowali od rana do nocy w przyległych lokalach jedyny Jan Baptysta Bordogni został uznany za godnego, by dzielić samotność pracowni mistrza. Młodzieniec ma talent, mówił Maestro Marek, a co więcej miał idee — idee o życiu, o przyszłości Włoch, o przyszłości społeczeństwa ludzkiego. Marek znalazł w nim ucznia, artystę i zwolennika swego własnego politycznego Credo.

Mała to była izdebka, w której pracowali wspólnie. Proste drewniane półki pokrywały dwie ściany od sufitu do podłogi. Trzecią zajmował stół i drzwi a w czwartej umieszczone były wysokie zakratowane okna, z których jasne światło padało na długą ławę, przed którą obydwaj mężczyźni siedzieli na wysokich stołkach. Na półkach stały liczne modele z czerwonego wosku, kielichy, monstrancye, cudowne dzbany i pękate czary do mycia rąk dla kapłanów, krucyfiksy, korony, gałęzie palmowe lub oliwne — słowem modele wszystkich rzeczy, które należą do służby i ozdoby kościoła i na które mieli od niepamiętnych czasów po dziś dzień snycerze przywilej zlewania całego swego artyzmu i pracy. Było tam także kilka odlewów, ale wszystkie prawie były tego głęboko ciemnego koloru czerwonego, woniejącego silnie woskiem, który jest najlepszym środkiem do uwydatnienia na czas dłuższy i wyrabiania bardzo delikatnych i zawiłych deseni. Już sama ta barwa ma dla obznajmionych z sztuką coś, co podsuwa piękne pomysły. Jest to czerwona barwa pompejańskich murów a bogaty odcień zdaje się

przypominać nieskazitelne utwory starożytnych. Starzy snycerze twierdzą, że nikt nie zdoła utworzyć czegoś całkiem brzydkiego z czerwonego wosku a w tem twierdzeniu mieści się prawda. — Materyał jest stary — im starszy, tem lepszy; przechodził on wiele razy przez ręce artysty; oblekał kształty, służył za model długotrwałemu dziełu, został zgnieciony na masę i wyrabiany na nowo narzędziami. Robotnik czuje, że on pochłonął niejedną zaletę geniuszu mistrza i dotyka go z tą pewnością, że sztywna jego substancya ustąpi nowym kształtom piękności pod jego palcami, udzielając nieco ukrytej swej zdolności kształtowania za każdem naciśnięciem i poruszeniem narzędzia.

Na końcach długiej ławy umieszczone były ogromne śruby żelazne, które za pomocą haków zapuszczono w podłogę. Przy jednej z nich przymocowano długie zakrzywione narzędzie, które służy do wyżłabiania wypukłości i naczyń o cienkich szyjkach. Każdy z pracowników miał rodzaj pedała, od którego biegł ku górze wielki sznur, przeprowadzony przez stół i przytrzymywał okrągły przedmiot, nad którym pracował, na grubej poduszce skórzanej, pozwalając utrzymać go mocno na swojem miejscu, albo przez poruszenie nogą zmienić jego położenie. W naczyniach z piaskiem tkwiły setki delikatnych dłutek, tak że pracujący mógł jednem spojrzeniem wybrać potrzebne mu w tej chwili. Dwie albo trzy półkule z ciężkiego kamienia leżały w skórzanych futerkach, płaską powierzchnią ku górze, pokrytą brunatną kompozycyą ze smoły i wosku na cal grubości, a na niej umieszczone mocno były kawałki srebra do rzeźbienia.

Pracownią zalegała woń wosku i smoły, pomieszana z dziwnym, nieokreślonym zapachem, wydzielającym się z stalowych narzędzi w ciągłem użyciu i uzupełniona dymem fajeczki Marka. Czerwone cegły tej części podłogi na której siedzieli obydwaj mężczyźni, były wyżłobione wskutek tarcia, w resz-

cie izby pozostawiono pył i kurzawę w zupełnym spokoju, a ciemne kąty były pełne pajęczyny, która wyglądała, jakby ją zamieszkiwały pająki olbrzymich rozmiarów.

Marek Pandolfi, schylony nad robotą i pilnie zajęty naprawianiem małego młoteczka w czasie milczenia, jakie nastąpiło po ostatniej uwadze ucznia, był jedynym właścicielem i panem tego warsztatu. Miał on 40 lat, był chudy i ciemny. Czarne jego włosy siwiały na skroniach, a chociaż nie były długie, spuszczały się w lokach nad ściągniętemi brwiami. Dziwna to była twarz. Głowa dosyć szeroka na wysokości oczu, podnosiła się wysoka ku tyłowi, podczas gdy czoło jego, wysunięte przy gęstych brwiach, cofało się ku wierzchołkowi. Wielkie czarne oczy były głębokie i otoczone szerokim, ciemnym pierścieniem, tak iż odbijały dziwnie od zapadłych, bladych policzków. Nos Marka był długi i śpiczasty, bardzo prosty i tak nagle wyrastający pod czołem, że tworzył kąt z tem ostatniem, przeciwnie, niż zwykle napotykamy na twarzach ludzkich. Widziane z boku, stanowiły brwi punkt najbardziej sterczący, linia głowy zaś biegła w tył ku górze, a linia nosa spuszczała się od prostopadłej ku środkowi aż do małych, zagiętych nozdrzy. Czarny, krótki wąsik dosyć był gęsty, by przykryć usta, które otaczały głębokie zmarszczki i kończyły się w wystającej i spiczastej brodzie. Cała fizyognomia zdradzała niezwykle zalety i wady; zdolności artysty, wytrwałość robotnika i mała przebiegłość plebejusza mieszały się z jakimś wyrazem nie idealności właśnie, lecz raczej fanatyzmu.

Marek był wysoki i bardzo cienki. Członki jego zdawały się poruszać raczej za pomocą jakiegoś prądu nerwowego, aniżeli wskutek rozwoju normalnej siły muskułów, a długie i smukłe palce, z natury żółte a bezbarwne wskutek używania narzędzi, mogły były równie dobrze stanowić część machiny, gdyż nie miały tej powierzchowności, jaką widzi się

u ręki i z której instynktowo wnosi się o charakterze. Był ubrany w wełnianą bluzę, która spadała w dziwnych fałdach na wychudłej postaci, lecz uwydatniała zaokrąglenie ramion i niezwykłą długość rąk.

Uczeń jego, Jan Baptysta, nosił taki sam ubiór, ale oprócz ubrania nie było w nim ani jednego rysu podobieństwa z mistrzem. Był on nie brzydkim wcale typem młodego Rzymianina swej sfery w 25 roku życia. Czarne, gęste włosy wiły się w pierścieniach w koło głowy, począwszy od nizkiego czoła aż do szyi, głowa była kształtna, okrągła i szeroka nad czołem, a wysoka po bokach. Oczy miał piwne i niezanadto wielkie, lecz w ładnej oprawie, nos jego był nieco zakrzywiony, a drobny, czarny wąsik uwydatniał zgrabny kształt ust. Na policzkach były rumieńce, owa żywa barwa cery, jaką niekiedy mają ludzie z ciemnemi włosami. Był on wzrostu średniego, silny i dobrze zbudowany z kształtnemi rękami, które zdawały się mieć więcej siły, niż subtelnej zręczności mistrza Marka.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem o drugim ząbku liścia, odezwał się starszy robotnik, nie podnosząc oczu, lekka, lekka ręka - tylko żadnych dziur w robocie!

Jan Baptysta mruknął rodzaj odpowiedzi przytakującej, która zdradzała, że przestroga była zbyteczną. Był zatopiony cały w delikatnej robocie, którą wykonywał. Znowu młoteczki zaczęły uderzać nieregularnie.

— Im więcej myślę nad tem, rzekł Marek po chwili milczenia, tem bardziej mię to wzburza. Pomyśleć, że ty i ja musimy być tutaj przykuci do naszych stołków w dnie powszednie i święta, aby wykończyć tę sztukę dla księdza...

— Kardynała, szepnął Jan Baptysta.

— I cóż! jakaż w tem różnica? Jest on księdzem, zdaje mi się — istotą, która się stroi przed ołtarzem, aby...

— Wolno, wolno, wtrącił młodzieniec, oglądając się, czy drzwi zamknięte.

— Dla czego? zapytał drugi z gniewem, chociaż gniew ten nie zdawał się udzielać dłutku, które trzymał w ręku i które pracowało dalej równie delikatnie, jak gdyby mistrz nucił sobie piosenkę. Dobryś z swoją ostrożnością! Gazety piszą tak głośno, jak im się podoba, dla czegóżbym ja miał trzymać język za zębami? Szkaradny ksiądz!

— Dobrze, odpowiedział Jan Baptysta powolnym tonem, wyszukując innego dłuta, on ma pieniądze, by zapłacić to, co zamówił. Gdyby ich nie miał, to nie pracowalibyśmy dla niego, zdaje mi się.

To jest gdybyśmy mieli sami pieniądze, odparł Marek. Dla czegóż on ma mieć pieniądze a nie my? Czemu nie odpowiadasz? Dla czego on nosi jedwabne pończochy, czerwone jedwabne pończochy? Dla czego potrzebuje srebnego naczynia do umycia rąk? Czemu nie wystarcza mu gliniane, jakiego ja używam? Czemu nie odpowiadasz? co?

— Dla czego książę Borghese mieszka w pałacu i trzyma stado koni?

— Aj, dla czego? czy jest jaka znana ku temu przyczyna? Czy nie jestem tak samo człowiekiem jak on? Czy ty nie jesteś człowiekiem, młody dudku? Nie cierpię myśleć o tem, że my, będąc artystami, którzy umiemy pracować, skoro zechcemy, musimy wysługiwać się takim osobistościom, jak ci mrukliwi głupcy, napuszeni, niezdolni do żadnej idei! Idei! Co ja mówię? Którzy nie mają zdrowego rozsądku roznosiciela kapusty na ulicy! A patrz na prace, którą im dajemy, twór naszego umysłu, dzieło rąk naszych...

Oni dają nam w zamian pieniądze, zauważył Jan Baptysta. Starożytni, o których tak lubisz opowiadać, mieli robotę wykonywaną przez niewolników, przykutych do ławy...

— Tak, to prawda! Kosztowało nas dwa tysiące lat, aby dojść do punktu, z którego wyszliśmy!

Dwa tysiące lat — a co to znaczy? Czy jesteśmy lepszymi od niewolników, z wyjątkiem, że może lepiej pracujemy?

— Wątpię, abyśmy lepiej pracowali.

— Co ci się stało dzisiaj? — zawołał Marek. Czy może wchodziłeś gdzie do kościoła w drodze tu dotąd? Pachniesz zakrystyą! Czy Paweł był tutaj? O! pomyśleć, że brat mój musi być księdzem! To doprawdy nie do uwierzenia!

To ironia losu, a co więcej, przynosi on wam mnóstwo zamówień.

— Tak, i z pewnością bierze procent od ceny. Miał nowe rzeczy na sobie w zeszłym miesiącu i prosił mię, abym mu zrobił srebrne spinki do trzewików, Ładna rzecz — brat artysty z srebrnemi spinkami! Powiedziałem mu, żeby poszedł do djabła, swego kumotra, po te ozdoby. Czemu nie porwie ich kardynałowi, swemu władzcy! Nie dość mu dobre pewnie!

Marek odłożył na bok dłutko i młotek i zapalił glinianą fajkę z drewnianym cybuszkiem, która leżała obok niego. Następnie przypatrywał się pięknej głowie aniołka, którą rzeźbił na powierzchni dzbana. Dotknął ją z pieszczotą, spuścił sznur i zdjął robotę z poduszki, szukając krytycznem okiem błędu lub skazy w małej twarzyczce. Położył ją napowrót na stole i wybrawszy bardzo delikatne narzędzie, odłożył fajeczkę na chwilę i zaczął robić pupile oczu. Dwa dotknięcia wystarczyły. Zaczął palić fajkę na nowo i przypatrywał się temu, co w tej chwili zrobił. Była to podstawa wielkiego srebrnego dzbana, którego szyję zdobił Jan Baptysta. Wśród powikłanych arabesek widniały główki małych aniołów, a z jednej strony gromadka cherubinów dźwigała monstrancyą z Przenajświętszą Hostyą, otoczoną srebrnemi obłokami. Zwykły to był przedmiot na naczyniach kościelnych, lecz dziwną jaśniał pięknością pod zręcznemi palcami artysty, który siedział złorzecząc kapła-

nowi, mającemu używać naczynia, gdy tymczasem on wysilał cały swój talent nad doskonałem wykonaniem go.

— To nie brzydkie odezwał się trochę powątpiewająco. Chodź, Janie, i zobacz - dodał.

Młodzieniec opuścił swoje miejsce, zbliżył się i pochylił przez ramię mistrza, przypatrując się robocie z zachwytem. Charakterystycznym rysem Marka było to, że pytał się swego ucznia o zdanie. Był artystą i miał główne właściwości artystów — mianowicie brak zaufania do swej pracy i niecierpliwość w usłyszeniu zdania innych wraz z gorącą chęcią pokazania swego dzieła, skoro tylko było do pewnego stopnia wykończone.

— To arcydzieło! - zawołał Jan Baptysta. Co za szczegóły! Nie zdołam nigdy w życiu zrobić czegoś podobnego, jak ta twarz cherubinka!

Czy myślisz, że jest równie dobra, jak ostatnia, którą zrobiłem zeszłego roku?

Lepsza odparł młodzieniec poufale najlepsza, jaką kiedykolwiek zrobiliście. Jestem tego pewny. Powinniście mistrzu, pracować zawsze kiedy jesteście w złym humorze.

— W złym humorze! Ja zawsze jestem w złym humorze - mruknął Marek, wstając i chodząc po ceglanej podłodze, spowity w obłoki cierpkiego dymu, który wydobywał z swej fajki. — Dosyć powodów na tym świecie, aby utrzymać człowieka przez całe życie w złym humorze.

— Ja mógłbym to powiedzieć — odparł Jan Baptysta, odwracając się na stołku i przypatrując się ostrym ruchom swego mistrza, który szybko chodził po izbie. Ja mógłbym złorzeczyć losowi — ale wy! Jesteście bogaci, macie żonę, jesteście ojcem i wielkim artystą!

— Głupstwo! — przerwał Marek, stanąwszy z szeroko rozwartemi nogami i założył ręce na krzyż, mówiąc przez zęby, w których trzymał ciągle fajeczkę. Bogaty? Tak — mogę mieć porządne

ubranie na święto, mięso, kiedy zechcę i towarzystwo mego brata, kiedy go nie potrzebuję — aż do zbytku. Mogę wziąć żonę do Frascati w ostatni czwartek października, jako w wielką uroczystość. I ta moja żona także! Istota modląca się na paciorkach! Dobra żonka, naprawdę! klejnocik, a niech licho bierze takie klejnoty! Ładna żonka, której twarz wygląda, jak głowy z nagrobka w Campo Varano i która wychowała córkę w przekonaniu, że jej ojciec jest skazany na wieczne płomienie, ponieważ nie cierpi solonej ryby gotowanej we wodzie! Żona, która wsuwa obrazki pod podszewkę mego kapelusza, aby mię nawrócić i kropi mię święconą wodą, kiedy sądzi, że usnąłem, ale schwyciłem ją na gorącym uczynku ostatniego wieczoru...

— To prawda, powiadają, że dyabeł boi się święconej wody — zauważył Jan Baptysta, śmiejąc się.

— A ty chcesz się żenić z moją córką, ty młody szaleńcze — mówił dalej Marek nie zważając na przerwę. — Powiem ci jaka ona jest. Moja córka to prawda, ma ładne oczy ale ma też język...

— Swego ojca, — uzupełnił Jan Baptysta, ściągając brwi nagle.

— Tak, swego ojca, nie mając rozumu ojca, zawołał Marek gniewnie. Z jej oczami, temi pięknemi oczami chcesz ją wziąć za żonę. Jeżeli chcesz ją wziąść, to bierz ją sobie i szczęśliwej drogi! Nie potrzebuję córki, już i tak za wiele kobiet na świecie. Życzę ci szczęścia w małżeństwie i winszuję żony! Gdybyś był moim synem, nie pomyślałbyś nigdy o małżeństwie. Sama myśl o tem wysunęła ci z ręki dłuto, które przebiło w zeszłym tygodniu oko cherubinka i kosztowało cię godzinę czasu na naprawę. Czy to jest sposób zapatrywania się na wielką kwestyą ludzkości? A! gdybym tylko został deputowanym w Izbie, nauczyłbym cię filozofii tych wszystkich głupstw.

– Zdaje mi się, że w zeszłym tygodniu słyszałem, iż nie chciecie mieć w ogóle deputowanych, zauważył uczeń, bawiąc się młoteczkiem.

– Takich jak ci – z pewnością nie! Kilku z nich włożyłbym w kąpiel z kwasów, jak to czynią z materyałem przed rzeźbieniem go, aby oczyścić. Możeby się wtenczas przydali na coś jeszcze. Musisz chłopcze rozpocząć od burzenia, zanim chcesz coś budować. Musisz zburzyć wprzód wszystko, zrównać istniejący system z ziemią i na miejscu, na którem stał, wznieść potężną świątynię nieśmiertelnej wolności.

A kto będzie kupował wasze kielichy i monstrancye w tym nowym porządku rzeczy? – zagadnął Jan Baptysta niby obojętnie.

– Za granicą – odparł Marek. – Włochy będą znowu sobą, jak za czasów Michała Anioła, Leonarda, który skonał w objęciach króla, Celliniego, który strzelił do księcia z murów Świętego Anioła. Włochy będą wielkie, zmonopolizują cały handel, sztukę, wielkość całego stworzenia!

Donośny Monopol! – zauważył młodzieniec!

– Monopole! Nie będzie żadnych monopolów. Wolny robotnik sprzedawać będzie to, co będzie umiał zrobić i co mu się będzie podobało. Księża zostaną wypędzeni w związanych gromadach i będą budować drogi dla naszej wygody a zbyteczne kobiety będą wszystkie wywiezione do wspaniałej kolonii, do Massowy! Gdybym mógł tylko być absolutnym panem tego kraju przez tydzień, zrobiłbym wiele!

– Nie wątpię o tem wcale, odpowiedział Jan Baptysta z spokojnym uśmiechem.

— Myślę też tak samo, — potwierdził Marek dumnie, potem ujrzawszy wyraz twarzy młodzieńca, odwrócił się szorstko ku niemu. Śmiejesz się ze mnie, ty nic dobrego! — zawołał z gniewem. Wyśmiewasz się ze mnie, twego mistrza, ty nieponiu.

niegodziwcze, ty nędzne plemię, przymilające się księżom. To nie do zniesienia! Pierwszy to raz ośmieliłeś się. Czy myślisz, że pozwolę ci myśleć samemu po wszystkich trudach, jakie sobie zadałem, by cię wychować, nauczyć cię swojej sztuki, ty niewdzięczny gadzie?

— Gdybyście nie byli tak wielkim artystą, byłbym was oddawna porzucił — odpowiedział uczeń. — Zresztą wierzę w wasze zasady, tylko sposób wyrażania ich pobudza mię do śmiechu niekiedy, zdaje mi się, że czasami posuwacie się za daleko.

— Jak gdyby ktoś mógł iść za daleko! — zawołał Marek nieco ułagodzony, gdyż humor jego był łatwo zmienny. Skoro są jeszcze ludzie bogatsi od innych, jest to znakiem, że nie doszliśmy do końca — do wielkiego celu, w który wierzymy. Zdaje mi się, że także w niego wierzysz, Janku, nieprawdaż?

— O tak — ostatecznie — bez wątpienia. Nie sprzeczajmy się o środki, mistrzu Marku. Muszę zrobić jeszcze jeden listek przed południem.

— A ja nos cherubinka, — rzekł mistrz — zapalając fajkę przed rozpoczęciem roboty. A to niegodziwcy, ci księża! mruknął, przykładając dłuto do następnego anioła na dzbanie z niezrównaną zręcznością i pewnością. Długie milczenie nastąpiło po ożywionej dyskusyi snycerza. Obydwaj byli zatopieni w pracy, zatrzymując kolejno oddech przy delikatnych uderzeniach i oddychając swobodniej, skoro dłuto dochodziło do końca każdego misternego zagięcia.

— Zdaje mi się, że powiedzieliście przed chwilą, iż mogę pojąć Łucyą za żonę, — zauważył Jan Baptysta, nie podnosząc oczu, — to jest, że mogę ją zabrać ztąd.

— A jeżeli ją weźmiesz — odparł drugi — gdzie zarobisz na chleb?

— Tam, gdzie go zarabiam teraz. Mógłbym mieszkać gdzieindziej i przychodzić tutaj do pracy, to mi się wydaje dość prostem.

— Wydaje się prostem, ale niem nie jest — odrzekł Marek. Możebyś spróbował odjąć mi zamówienia Pawła i założyć własny warsztat, ale wątpię, aby ci się powodziło. Nie jestem jeszcze stary, ani niewidomy, ani słaby, chwała Bogu!

— Nie rozumiałem ostatnich słów — rzekł Jan Baptysta, kryjąc uśmiech, pochylony nad robotą.

— Powiedziałem, że nie jestem stary, ani jeszcze nie złamany, dzięki moim siłom — mruknął rzeźbiarz — nie odbierzesz mi jeszcze zamówień. Co się z tobą stało dzisiaj? Ganisz połowę tego, co mówię, a drugiej połowy nie słuchasz wcale. Straciłeś głowę, jak się zdaje. Uważaj na te listki akantusa, wszyscy myślą, że te liście są najłatwiejszą rzeczą w świecie, gdy tymczasem są one najtrudniejsze, zanim rozpoczniesz figury. Większą część rzeźbiarzy zdaje się modelować je podług liści kapuścianych w zupie. Pracują oni, jak gdyby nigdy nie widzieli tej rośliny rosnącej. Kiedy Grecy zaczęli rzeźbić koryntskie kapitele, musieli pracować podług żywych liści, jak ja uczyłem ciebie modelować, kiedy byłeś chłopcem. Mało jest rzeczy trudniejszych od liścia akantusa.

— Zdaje mi się, że kobiety mogłyby bardzo dobrze wykonywać delikatną część roboty — rzekł uczeń, powracając do przedmiotu, od którego Marek widocznie chciał go odwieść. Łucya ma tyle zręczności!

— Głupiec! — mruknął Marek przez zęby, nie racząc udzielać dalszej odpowiedzi.

Dałeki wystrzał przerwał milczenie, które nastąpiło i natychmiast odezwały się dzwony pobliskich kościołów. Było to południe.

— Nie spodziewałem się ukończyć tego nosa — odezwał się Marek, wstając ze stołka. Był on punktualnym człowiekiem, wymagającym punktualności od innych, a pomimo szczupłej figury i nerwowego usposobienia lubił on swój obiadek. W pięć

minut wszyscy opuścili pracownią i Marek z swym uczniem stał na ulicy, zamykając ciężkie drzwi na kłódkę, podczas gdy młodzieniec napawał się świeżym wiosennym wietrzykiem, który powiewał z zachodu, od skweru San Carlo a Catenari ku Via dei Falegnami, na której się znajdował zakład rzeźbiarza.

Kiedy Marek zajęty był zamykaniem drzwi, nadeszły dwie kobiety i stanęły. Marek stał odwrócony a Jan Baptysta uchylił kapelusz w milczeniu. Młodsza z nich była otyłą kobietą o czarnych włosach, mającą około 38 lat, ubraną w ciemno-zieloną suknią, bardzo obcisłą, nieco zanadto wyszytą imitacyą dżetu i ubraną czarnemi wstążkami. Wysoki kapelusz, przybrany winogronami szklanemi i zielonemi liśćmi, sterczał na wielkiej głowie i jakkolwiek włożony i zawiązany starannie, wydawał się za mały na głowę swej właścicielki. Uszy jej zdobiły długie złote kolczyki, z których każdy dźwigał trzy granatki a te klejnoty poruszały się ciągle na wstążce od kapelusza, która się spuszczała pod brodą. W szerokich rękach, skrępowanych ciasną rękawiczką czarną, trzymała ciemno-czerwoną parasolkę i nieco wytarty skórzany woreczek z stalowem okuciem. Twarz grubej tej pani była pospolitą wśród rzymskich kobiet z niższych warstw — bardzo szeroką, o żółtawej cerze, górną wargę pokrywał drobny czarny puszek, a głębokie, senne oczy okalały gęste i proste brwi. Włosy, wysunięte z pod kapelusza, tworzyły gładkie pasma na nizkiem czole i ukazywały się w grubym pierścieniu powyżej szyi. Nos jej był stosunkowo mały, ale zbyt gruby i szeroki przy nozdrzach. Razem wziąwszy, była Signora Pandolfi, imieniem Marya Ludwika, żona Marka snycerza, pompatycznie wyglądającą osobą, która znała swoje stanowisko i była pewną utrzymania go. Mimo to twarz jej miała uprzejmy wyraz, a jeżeli oczy jej wyglądały senne, niemniej jednakże patrzały na świat uczciwie.

Towarzyszką Signory Pandolfi była jej stara służebna Assunta, zwana zwykle Suntarellą, bez której rzadko wychodziła, — stara, mała kobieciną, w czystej lecz spłowiałej sukni, w szarej wełnianej chustce na głowie zamiast kapelusza.

Marek zamknął drzwi i odwrócił się. Ujrzawszy żonę, stanął na chwilę i spojrzał na nią z wyrazem niezadowolenia badawczego. Nie spodziewał się ujrzeć jej.

— I cóż? — zapytał wreszcie.

Czas na obiad, — zauważyła otyła pani.

— Tak jest, słyszałem wystrzał, — odpowiedział Marek sucho. — To to samo, jakbyś ty mi była powiedziała, — dodał ironicznie, kierując swe kroki na drugą stronę ulicy.

— Ładna odpowiedź! — zawołała Marya Ludwika, wstrząsając głową i podążając za swym panem i władzcą ku domowi. Tymczasem stara sługa spojrzała na Jana Baptystę, popatrzała w górę z rezygnacyą i rozłożyła na chwilę pomarszczone ręce z wyrazem rozpaczy, chowając je natychmiast we fałdach szarego wełnianego szala.

— Włóczęgi! — mruknął Marek wchodząc w wązkie drzwi, od których prowadziły ciemne, spadziste wschody na górę. Włóczyć się, — zawsze się włóczyć! A kto pilnuje garnków podczas, kiedy wy się włóczycie! Chciałbym to wiedzieć! Kot z pewnością. O te kobiety i ci księża! Ci księża i te kobiety!

— Łucya pilnuje garnków — odrzekła Marya Ludwika, dysząc po wschodach za swym ruchliwym małżonkiem.

— Łucya! — zawołał Marek z gniewem o kilka stopni wyżej. Zdaje mi się, że chcesz ją wychować na kobietę do każdej roboty? Dobrze, umiałaby zarobić na życie, co jest więcej, aniżeli ty umiesz! Zresztą lepiej stać przy kuchni, niż bębnić na fortepianie i piszczeć tak, że mogą ją słyszeć w pracowni naprzeciwko i lepiej, aniżeli biegać po

wszystkich kościołach całe przedpołudnie, albo słuchać suchej gadaniny Pawła. Na wszelki sposób trzymaj ją w kuchni.

Trudno było domyśleć się, czy Signora Pandolfi dyszała, czy wzdychała, zatrzymując się, by zaczerpnąć oddechu, oparta na poręczy, lecz prawdopodobnie łączyło się jedno i drugie w pracy jej płuc. Znała ona nawyknienia Marka. Żyła z nim od lat dwudziestu, dobrze znała jego humory i zdala rozpoznawała nadchodzącą burzę. Na nieszczęście, lub może na szczęście dla niej, mało było rozmaitości w następstwie jego myśli. Była przyzwyczajoną do początkowego stadyum pomrukiwania przed obiadem i do wybuchu złości, który następował rzadko przed końcem obiadu, po którym zwykle chwytał kapelusz i zabierał Jana Baptystę ze sobą, oświadczając głośno, że kobiety nie są godne towarzystwa męzkiego. Codzienne powtarzanie się tej komedyi oddawna straciło władzę wywoływania czegoś więcej nad westchnienie w łonie Maryi Ludwiki, która zwykle znosiła nierozsądny gniew Marka z znakomitą równowagą, czekając na jego odejście, aby spożyć spokojnie swój kawałek wołowiny i sałatę razem z Łucyą, gdy tymczasem Assunta siedziała przy stole, z kotem na kolanach, rzucając słówko politowania albo gawędząc o lokatorach z drugiej strony domu. Była to młoda i szczęśliwa para: mąż był śpiewakiem chórowym w teatrze Apollo, który we dnie prał rękawiczki, żona zaś była szwaczką, która sporządzała ubiory teatralne. Mieszkanie ich składało się z dwóch pokoików i kuchni, Marek i jego rodzina zajmowali resztę piętra, i wchodzili do mieszkania drzwiami naprzeciwko.

Marya Ludwika zazdrościła tej parze na swój śpiący sposób. Mąż jej był w porównaniu bogaty i jakkolwiek oszczędny w domowem pożyciu, miał w banku dosyć pieniędzy, aby wygodnie spędzić resztę dni życia. Gwałtowność jego nie sięgała po nad słowa i czarne spojrzenia i nie gniewał się o

parę franków na suknią albo na obiad w Falcone dwa lub trzy razy do roku. Pod względem pokoju domowego jednakże zachowanie się jego pozostawiało wiele do życzenia. Był człowiekiem trzeźwym, lecz nie wracał regularnie, gdyż uczęszczał na zebrania pewnego klubu, którego Marya Ludwika nienawidziła i przynosił ze sobą zasady, które starała się oddalić znakiem krzyża świętego i drżała słuchając rzeczy, które opowiadał. Co do Jana Baptysty, mieszkał on z nimi i dla tego większą część swego zarobku otrzymał w postaci mieszkania i pożywienia, kochał Łucyą Pandolfi, córkę swego mistrza, i jakkolwiek dzielił przekonania Marka, trzymał w domu język za zębami. Rozumiał on, jak mu była potrzebną życzliwość matki i przy pomocy subtelnej swej inteligencyi umiał stworzyć kontrast między sobą a mistrzem, milcząc w odpowiedniej chwili.

Łucya otworzyła drzwi w odpowiedzi na dzwonienie ojca i stanęła we wązkim korytarzu, aby przepuścić po jednemu członków rodziny. Łucya miała siedmnaście lat i prawdopodobnie była podobną do matki z czasów, gdy ta ostatnia była w jej wieku. Była wysmukła i wysoka, z mnóstwem lśniących czarnych włosów, upiętych w tyle głowy. Czarne jej oczy nie nabrały jeszcze tego sennego wyrazu, której nadała otyłość i wiek oczom jej matki, jako znak trudności w szybkiem poruszaniu się. Jej figura była wysmukła, jakkolwiek nie była ona zbyt ruchliwem dziewczęciem i można jej było przepowiedzieć, że w czterdziestym roku także zapłaci haracz czasowi we funtach ciała. Bywają chudzi ludzie, którzy wyglądają, jak gdyby nie byli nigdy zdolni utyć, gdy tymczasem u innych, powolne ruchy i chód ociężały zapowiadają przyrost wagi. Ale Jan Baptysta nie studyował tych kwestyi fizyologicznego horoskopu. Wystarczyło mu, że Łucya Pandolfi obecnie była bardzo ładną dziewczyną, piękną nawet, wedle niektórych reguł. Gęste jej włosy, niz-

kie czoło, proste rysy klasyczne i drobne usta zachwycały pięknego ucznia a zażyłość, jaka się wytworzyła między nimi w czasie kilkoletniego pobytu pod dachem Marka, od czasu jak Łucya była małą dziewczynką do dnia dzisiejszego, uczyniła przejście z przyjaźni do miłości prawie niespostrzegalnem. Jan Baptysta był ostatnim z towarzystwa, który wchodził do mieszkania i gdy zamykał drzwi, Łucya stała jeszcze na progu.

— Daj pokój! zobaczą! zaprotestowała z cicha.

— Co mię to obchodzi! szepnął młodzieniec, całując jej rękę w ciemnym korytarzu, potem wszedł do pokoju za innymi.

ROZDZIAŁ II.

Marek skończył tego wieczoru główkę ostatniego cherubina na dzbanie, zanim opuścił pracownię. Odesłał Jana Baptystę do domu i zwolnił ludzi, pracujących nad wielkiemi pozłacanemi kratami, zamówionemi przez pewnego rzymskiego księcia do kościoła, który odnawiał. Marek pracował dalej przy świetle jasnej lampy, dopóki nie wykończył wszystkich rysów i nie oznaczył oczu ostro zakończonem narzędziem. Następnie siedział przez pewien czas na ławie z piękną swoją robotą w ręku, przypatrując się pilnie i wytężając oczy, aby znaleźć niedokładności, które wcale nie istniały. Wreszcie odłożył ją delikatnie na skorzanej poduszce i pogrążył się w myślach, zapatrzony w zielone światło lampy.

Natura tego człowieka w bezustannym była zatargu z sobą samą i zdawało mu się, jakoby był polem walki sił których nie mógł ani zrozumieć, ani kontrolować. Prawdziwy artysta w uczuciu, w uprawianiu swych gustów, w nadzwyczajnej cierpliwości, z jaką przeprowadzał swoje zamiary, w charakterze i umyśle swoim miał żywioł, który znajdował się wprost w sprzeczności z istotą tego, czem

jest sztuka. Jeżeli sztuka może zależeć od czego innego, niż od siebie samej, to tem czemś jest religia. Sztuka poczęła się w religijnem otoczeniu, w oddawaniu religijnych przedmiotów a dzieje świata od czasu dawnych Egipcyan wykazały, że gdzie geniusz utracił wiarę w rzeczy nadprzyrodzone, usiłowanie jego, by stworzyć wielkie dzieła z trwałą pięknością wśród zmysłowej i materyalnej atmosfery innego stulecia, wydały stosunkowo bardzo małe owoce. Sztuka rzeźbienia srebra, o ile chodzi o ten wiek, rozpoczęła się w kościele. Upodobania Franciszka I skierowały uwagę mistrzów sztuki na wyrabianie ozdób dla jego ulubienic i przez pewien czas ludzie, którzy robili kielichy dla Watykanu, zdobywali powodzenie w wyrabianiu klejnotów dla pani Chateaubriand, pani d'Etamps i Diany z Poitiers. Sztuka sama atoli pozostała w kościele a cuda złotego i srebrnego repoussé, widywane w kościele Panny Maryi Zwycięzkiej, arcydzieła Ossaniego z Rzymu, nie mogły wyjść z pod ręki złotnika, który wyrabiał klejnoty dla żyjących.

Marek Pandolfi wiedział to wszystko lepiej od kogokolwiek innego i nie byłby musiał pozbyć się swego upodobania w wyrabianiu kielichów i krucyfiksów tak samo, jak nie mógł zmienić wysokości swej postaci, albo barwy oczu. Ale równocześnie nienawidził on Kościół, księży i każdego, kto używał tych pięknych rzeczy, którym on poświęcał tyle czasu i pracy. Gwałtowność nienawiści jego dodawała nawet ducha i siły jego oczom i rękom. Pracował on nad figurą, doskonaląc każdy szczegół wyrazu tak długo, dopóki mu się nie zdawało, że może czuć i widzieć srebrne członki martwego Chrystusa, cierpiącego na krzyżu pod szatańską zręcznością długich swoich palcy. Potworna okropność tej myśli tworzyła w nim cuda a urzeczywistnienie idei, którąby przeraziła nawet zatwardziałego niedowiarka, dodawała gorączkowego impulsu geniuszowi tego dziwnego człowieka.

Co do aniołków na kielichach, to nie nienawidził on ich, przeciwnie, widział w nich odblask tych niejasnych pojęć o niewinności i piękności, które pokutują w duszy każdego artysty, a sama zręczność, potrzebna do nadania wyrazu tak drobnym rzeczom, przykuwała umysł, przywykły do walczenia z trudnościami i tak z niemi zrosły, że je prawie ukochał.

Jeżeli jednakże ktoś jest ciągle wystawiony na silne wzruszenia, to natura jego nie może długo pozostać niezmienną. W umyśle Marka zrodziło się przekonanie, że obowiązkiem jego, ze względu na logikę, było porzucić zajęcie. Myśl ta martwiła go, ale następstwo zdawało się nieuniknionem. Powtarzał on sam sobie, że nonsensem było, aby ktoś, co nienawidzi księży, miał pracować dla nich. Marek był fanatykiem w swych teoryach, lecz miał nieco artystycznej prostoty w sposobie przeprowadzania swych idei. Nie byłby sobie uważał za grzech zabić księdza, lecz wydawało mu się czemś pogardy godnem odbierać pieniądze od księdza za dostarczanie kościołom naczyń, mających służyć do spełniania przepisów religii, której nienawidził.

Co więcej, nie był on biedny. W samej rzeczy był on bogatszym, aniżeli wiedziano, a wielkie sumy, otrzymywane za dzieła bez zarzutu, szły prosto z warsztatu do banku. Marek zaś żył dalej w skromnem mieszkaniu, do którego wprowadził swoją żonę przed ośmnastu laty, kiedy był tylko młodym wspólnikiem zakładu, który obecnie należał do niego.

Siedząc na ławie i spoglądając z srebrnego dzbana na zieloną zasłonę na lampie, zapytywał sam siebie, czy nie ma porzucić życia roboczego dla ludzi, których nienawidził i zabrać się do większej pracy, agitacyi politycznej, którą uznawał tak stósowną dla siebie. Spoglądał w wymarzoną przyszłość i widział siebie przemawiającego w Izbie przeciwko wszystkiemu, co istnieje, wzbudzającego namiętność tłumu do czynów zniszczenia — i prowa-

dzącego wielki zastęp niezadowolonych ludzi na stopnie Kapitolu, by się ogłosić obrońcą praw ludu przeciw prawom królów. Jego powieki przymknęły się a skoncentrowany blask oczu skupił się w dwóch maleńkich punktach w pośrodku źrenicy; wyciągnął muskularną rękę, której palce ścisnęły rękojeść żelaznej śruby obok siebie, jak gdyby pragnął zgnieść okropny ucisk, jaki w jego myślach trapił biedny świat, w którym żył.

W jego twarzy brakło czegoś, nawet w tej chwili utajonej wściekłości, kiedy siedział sam w pracowni przed lampą. Był tam szał fanatyka, uniesienie marzyciela, jasno malujące się w rysach, lecz nie dostawało czegoś. Było tam wszystko, krom siły spełnienia, inicyatywy, która pokonywa słowa, groźby i myśli i zanurza się śmiało w nurtach, gotowa poświęcić się dla prowadzenia innych. Na twarzy rzeźbiarza nie było siły spojrzenia, ponurej rezygnacyi, które nie ustępują nigdy z twarzy ludzi, idących z postępem czasu. Marek nie był przeznaczony do wzniesienia się ponad tłumy, które pragnął prowadzić.

Fakt ten potwierdził się zewnętrznie, kiedy tam siedział samotnie. Po kilku chwilach rysy jego złagodniały, uśmiech, który dowodzi, że człowiekowi braknie zupełnej ufności, przebiegł szybko po twarzy, blask oczu zgasł, on zaś powstał z siedzenia z krótkiem, niechętnem westchnieniem, które się powtórzyła kilka razy, kiedy odkładał robotę i chował narzędzia. Obszedł warsztat, obejrzał okna, zapalił stoczek i zagasił lampę. Zarzucił płaszcz na ramiona, nie kładąc rąk w rękawy i wyszedł na ulicę. Spoglądając w okna domu przeciwległego, widział, że światła paliły się jasno i domyślił się, że żona i córka czekają z kolacyą na niego.

— Niech czekają! — mruknął, gasząc stoczek i oddalając się w przeciwnym kierunku ulicy.

Skręcił na rogu, przy ciemnym pałacu Antici Mattei i zdążał wązkiemi uliczkami ku Panteonowi i Piazza Sant' Eustachio.

Powietrze zmieniło się a wilgotny południowo-wschodni wiatr dął za jego plecami. Bruk był mokry i ślizki w skutek dziwnego i tłustego błota, które niekiedy ukazuje się w Rzymie nagle, nawet wtenczas, kiedy nie padało. Nieliczne lampy gazowe migotały na wietrze, jak gdyby miały zagasnąć i niewielu pieszych uciekało tuż pod murami domów, jak gdyby one były zdolne uchronić przed wilgotnem sirocco. Wielkie bramy pałaców były po większej części pozamykane, lecz tu i owdzie małe czerwone światełko oznaczało winiarnią, a Marek przechodząc, mógł widzieć przez brudne szyby czarne postacie, siedzące w dusznej atmosferze przy butelkach lichego wina. Ulice przepełniał odór gnijących jarzyn i mokrych murów, jaki przynosi wiatr południowo-wschodni z starych części Rzymu, mało głosów było słychać na ulicach, tylko uderzanie kopyt o bruk rozlegało się głośno na drogach, wiodących do teatrów. Był to ponury wieczór, lecz Marek Pandolfi czuł, że jego humor odpowiadał pogodzie, kiedy tak podążał ku Panteonowi.

Ulice rozszerzyły się, kiedy się zbliżał do miejsca przeznaczenia i podniósł wyżej kołnierz paletota w koło szyi. Obecnie doszedł do małych drzwi domu tuż przy św. Eustachym, oberży, która istniała od wieków na tem samem miejscu, w tym samym domu i która przedstawia dziwną różnorodność w urządzeniu. Na dole jest nowożytna restauracya z wielkiemi oknami, marmurową posadzką, wiedeńskiemi krzesłami i z powierzchownością zbytkowną. Kilkanaście stopni prowadzi na wyższe piętro, gdzie znajdują się liczne pokoje, umeblowane z staroświecką włoską prostotą, lecz nadzwyczaj czyste. Tam schodzą się stali goście, którzy tam jadali obiady przez większą część życia. Więcej tam atoli miejsca jest w tym domu, aniżeli się wydaje. Wielka

kuchnia na dole kończy się szeroką halą, mocno sklepioną i oświeconą olejnemi lampami, proste stoły i krzesła stoją porozstawiane i tam możesz zobaczyć furmana, zajadającego kolacyą po podróży przez Kampanią, w towarzystwie znajomego z miasta z tej samej sfery. W ciemnych kątach wielkie beczki wina zwracają swą okrągłą, zapyloną postać ku wątpliwemu światłu, zapachy kuchenne górują nad wszystkiem, przytłumiane wonią wina z sąsiednich sklepów; podłoga jest z surowego kamienia, schodzona przez całe pokolenie kucharzy, posługaczy i gości. Dalej znowu kilka stopni prowadzi do wązkich drzwi, które minąwszy, wchodzi się do ostatniej i najodleglejszej izby ogromnej tej oberży. Tutaj jest zaledwie miejsce dla dwunastu osób, a kiedy wszystkie miejsca są zajęte, goście sami podają nad głowami sąsiadów talerze i butelki. Ściany są białe, a stoły równie proste jak krzesła, lecz napoje i potrawy są tam najlepsze, jakie dom daje a towarzystwo, ze stanowiska Marka i jego przyjaciół sądząc, najprzyjemniejsze.

Rzeźbiarz zajął ulubione swe miejsce w kącie, najdalej od okna. Dwie lub trzy osoby o zupełnie odrębnej powierzchowności siedziały już przy stole i Marek zamienił przyjacielskie z niemi pozdrowienie. Jedną z tych osób był kwitnący mężczyzna, szerokich rozmiarów, ubrany podług najświeższej mody i z skrupulatną starannością. Był on złotnikiem. Drugi, prawnik o śmiałej, niespokojnej fizyonomii, miał na sobie zapięty pod szyją surdut i czarną krawatkę. Szerokie, mocno ukrochmalone mankiety pokrywały kościste ręce i część palcy. Jadł sałatę, do której od czasu do czasu dolewał octu. Trzeci mężczyzna w okrągłym kapeluszu, nasuniętym na jednę stronę głowy, i w jasnym paletocie, w purpurowym krawacie ozdobionym podpadającą szpilką, trzymał w jednym ręku gazetę, w drugim widelec, którym wolno nabierał potrawkę z dzika.

Był on dziennikarzem w sztabie pewnego postępowego pisma radykalnego.

— Hola! panie Marku! zawołał ten ostatni gość, odwracając nagle oczy od gazety, którą czytał, tu jest wiadomość o twoim bracie.

— Co? zapytał Marek krótko, ale tonem takim, jak gdyby ta sprawa go wcale nie obchodziła. Czy zabił kogo ten rozbójnik?

Dziennikarz zaśmiał się na ten żart.

— Nie tak źle, odpowiedział. Otrzymał awans. Mają go zrobić kanonikiem przy Santa Maria Maggiore. Donosi o tem „Osserwatore Romano" z dzisiejszego wieczoru.

— Na nic lepszego on się nie przyda — mruknął Marek. — To do niego podobne, że mi o tem dotąd nic nie powiedział.

— Dziwię się temu, znając sympatyą, jaka panuje między wami — rzekł dziennikarz. — Zresztą możecie go nawrócić, może się stać jeszcze pożytecznym. Może zostanie Biskupem, a potem Kardynałem — któż to wie?

— Możesz tak samo mówić o nawróceniu koni na Monte Cavallo, jak o tem, by Paolo miał zmienić zdanie — odrzekł Pandolfi, zaczynając popijać białe wino, które kazał podać. — Nie znasz go, to anioł, ten mój braciszek! Chciałbym, aby go kto posłał do nieba, do którego tak pragnie się dostać!

— Bądź cierpliwy, Marku! — zawołał prawnik, spoglądając ku drzwiom, a potem na swego przyjaciela.

— Nic z tego — odparł rzeźbiarz. — Nic się złego nie dzieje nigdy tym czarnym ptakom. Jeżeli dojdziemy tak daleko, że zaczniemy ich wieszać, to jestem pewny, że mój ukochany braciszek będzie w Paryżu, zamiast w Rzymie. Mógłbyś równie dobrze starać się pochwycić księdza. Możesz równie dobrze spodziewać się, że zabijesz muła przez kopnięcie nogą, jak jednę z tych bestyi. Spal Watykan nad ich głowami i bądź przekonany, że zniszczyłeś

ich jak gniazdo ós, napiszą do ciebie nazajutrz list z Berlina, donosząc, że żyją i są zdrowi i że ks. Bismarck protestuje przeciw twemu postępowaniu.

— Brawo, panie Marku! — zawołał dziennikarz. Umieszczę to jutro w gazecie — jestto znakomite orzeczenie. Ty zawsze odświeżasz moje idee — czemu nie napiszesz dla nas artykułu w tym kierunku? Zamieszczę go, jako pochodzący od księdza, który wystąpił z swego stanu, ożenił się i otworzył winiarnię w Neapolu. Co za efekt! Proszę cię, mów dalej!

Marek nie potrzebował powtórnego wezwania, aby rozwodzić się nad ulubionym tematem. Niebawem puścił wodze swej wymowie, a w miarę jak mała izba zapełniała się, blade jego i zapadłe policzki zarumieniły się wskutek wzburzenia, język się rozwiązał i wyrzucał potoki całe bluźnierczych żartów, któreby były raziły ucho rewolucyonisty z roku 1789, albo petroleży dziewiętnastego wieku. Zdawało się, że źródło raz się otworzyszy, nie wyschnie nigdy. Oczy jego błyszczały, palce zaciskały się konwulsyjnie, a głos brzmiał ironicznie i ostro, z dziwnemi intonacyami, które różnorodne w słuchaczach budziły uczucia. Był to stary przedmiot, lecz on umiał powiedzieć coś nowego o nim na każdem zebraniu z przyjaciołmi a oni dziwili się, zkąd brał fantazyą do tych frazesów i złośliwych argumentów.

My wszyscy podziwiamy tego rodzaju ludzi. Są oni dziećmi tego wieku a nie dawniejszych czasów i spodziewać się należy, że i w przyszłości ich nie będzie. Znaleźć ich można wszędzie tych agitatorów z wzburzonemi fizyonomiami, gwałtowną mową i wściekłą nienawiścią przeciw wszystkiemu, co istnieje. Znajdują oni drogę do parlamentów świata, do salonów bogacza, do traktyerni ludzi roboczych, nawet do prasy, a niektóre ich dzieła wydają wielkie firmy i czytają wielkie panie, jeżeli nie wielcy mężowie. Nagle, kiedy się najmniej spodzie-

wamy, ognisty artykuł ukazuje się z wielką tyradą przeciw wszystkiemu, co ogół społeczeństwa szanuje, jeżeli nie czci nawet. Ciekawość pobudza tysiące do czytania tego, co jest obelgą dla ludzkości chociaż wielu uczuwa wstręt, niewielu zaś podziwia retorykę, która podnosi ich niewiadomość do prawa sądzącego Boga. A jednak tych niewielu mnoży się, staje się korzeniem i wydaje latorośle i gałązki jak chwast, tak że poważni ludzie mówią między sobą, że gdyby miała nastąpić powszechna wojna w naszych czasach lub później, walczylibyśmy chrześcianie wszelkich odcieni, broniąc się przeciwko tym, co nie są chrześcianami.

Marek siedział długo przy stole, a skromna karafka wina wystarczała do odwilżenia gardła przez cały czas jego rozmowy.

Kiedy płyn się skończył, on wstał, zdjął palto z kołka, na którym wisiało, nacisnął miękki kapelusz na głowę i z pewnem tryumfującem skinieniem ręki pożegnał przyjaciół i opuścił izbę. Był on wstrzemięźliwym człowiekiem i żadna moc nie byłaby go skłoniła do przekroczenia skromnej granicy, jaką nałożył swemu upodobaniu. Rzeczywiście, nie dbał on o wino a tem mniej o podniecenie, jakie ono wywoływało w jego mózgu. Kazał przynosić swoje pół litra z szacunku dla lokalu, jak mówił, i służyło mu ono do odwilżania gardła, kiedy rozprawiał. Woda byłaby mu wyświadczyła tę samą przysługę. Trawiony intenzywnością nienawiści dla rzeczy, które zaczepiał, nie potrzebował on podniety żadnej.

Kiedy odszedł, nastąpiła przez kilka minut chwila milczenia. Potem dziennikarz wybuchnął głośnym śmiechem.

— Gdybyśmy tylko mieli z pół tuzina podobnych facetów w Izbie i wszystkich przemawiających razem! — zawołał.

— Wyrzuconoby ich w kwadrans na środek Montecitorio — odpowiedział cienki głosik prawnika.

Nasz przyjaciel Marek jest nieco szalony, ale jest dobrym chłopcem w teoryi. W praktyce tego rodzaju rzeczy trzeba wpuszczać w życie publiczne po trochu, jak się wpuszcza ocet do sałaty na każdy listek. Jeżeli się tak nie robi, cały ocet zbierze się na spodzie i bardzo smakuje kwaśno.

Podczas kiedy Marek prawił mowy swym przyjaciołom, kółko rodzinne na Via dei Falegnami spędzało bardzo miły wieczór w czasie jego nieobecności. Signora Pandolfi prezydowała przy kolacyi w kostyumie, któremu brakło elegancyi, lecz który był wygodny — miała tradycyjną spódnicę i biały bawełniany kaftan włoskiej gospodyni domu. Łucya miała na sobie ten sam rodzaj ubrania, lecz z mniejszemi śladami brudu na jego powierzchni. Jan Baptysta, jak zwykle po godzinach pracy, był przybrany w suknie modnie przykrojone, dążące z daleka do naśladowania urojonego lecz tradycyjnego Anglika. Morderczy kołnierzyk okalał jego okrągłą, młodą szyję wysoko, a sztywny krawat zdobiła piękna szpilka srebrna własnego jego wyrobu — jedyny przedmiot artystyczny na nim.

Oprócz tych członków rodziny znajdowała się jeszcze czwarta osoba na kolacyi, osoba, której Marek nienawidził najbardziej, Paweł Pandolfi, brat jego, ksiądz, zwany zwykle Don Paolo. Zasługuje on na opis, w jego twarzy bowiem było przelotne podobieństwo do Marka, które obcego mogło pobudzić do mniemania, że istniało między nimi także podobieństwo charakterów. Wysoki jak brat jego, ksiądz był mniej szczupłym i jak się zdawało znacznie mniej nerwowym. Wyraz twarzy jego był zamyślony, a głębokie oczy z ciemną obwódką podobne były do oczu Marka, lecz czoło było szersze i szerokość ta sięgała wyżej ku czaszce, pokrytej krótko przystrzyżonemi włosami z tonzurą w tyle głowy. Nos miał większy i szlachetnego kształtu i cera Pawła mniej była żółtą, aniżeli jego brata; rysy nie były poprzerzynane liniami i zmarsz-

czkami, a ogolona twarz kapłana uwydatniała je bardziej. Uprzejme i spokojne usta uśmiechały się łatwo i zdradzały usposobienie wesołe. Don Paolo dbał o swoją powierzchowność i suknie jego oraz płaszcz były starannie wyczyszczone, kołnierzyk jego zaś śnieżnej białości.

Marek w złym humorze pochlebiał sobie niezawodnie, że rodzina czekać będzie na niego z kolacyą. Ale rodzina znała jego zwyczaje. Jeżeli nie przyszedł na czas, rzadko przychodził wtenczas w ogóle a kwadrans uważano za wystarczający do powzięcia decyzyi w tej sprawie.

— Dla czegoż mamy czekać? — zawołała Marya Ludwika. — Marek jest w złym humorze, z pewnością poszedł do swych przyjaciół! A! ci przyjaciele! — westchnęła. — Siadajmy do stołu, dodała a myśl o kolacyi zdawała się pocieszać ją za nieobecność męża.

— Może zobaczył, że ja nadchodzę — zauważył ksiądz Paweł z uśmiechem. — W takim razie będzie trochę rozdrażniony, gdy powróci. Za pozwoleniem, Maryo Ludwiko — dodał, zaznaczając w ten sposób, iż chce odmówić modlitwę. Skończył krótkie łacińskie błogosławieństwo, podczas którego Jan Baptysta nie odrywał oczu od twarzy Łucyi. Chłopiec myślał sobie, że nie była nigdy tak piękną, jak wtenczas, kiedy stała z rękami złożonemi i spuszczonemi ku ziemi oczami.

— Marek nie wie, dla czego przyszedłem — zaczął znowu Don Paolo, kiedy zasiedli przy stole. Gdyby wiedział, możeby tu przyszedł — chociaż może nie dba o to wiele. Chcecie wszyscy wiedzieć, o co chodzi? Owszem, powiem wam. Jego Eminencya uzyskał dla mnie wakującą kanonią u Najświętszej Panny Maggiore...

Na tę wiadomość wszyscy powstali i uściskali księdza Pawła, zarzucając go powinszowaniami i zarazem robiąc mu wyrzuty, że wiadomość tak długo trzymał w tajemnicy.

— Naturalnie nie przestanę pracować nadal z kardynałem, rzekł kapłan, kiedy rodzina dopuściła go znowu do słowa. Ale to jest wielki zaszczyt. Nie mam innej wiadomości dla Marka...

— Sądzę, że nie czekałeś na kanonię jako na środek przypodobania mu się, zauważyła Signora Pandolfi z uśmiechem.

Z pewnością nie! zaśmiała się Łucya. Biedny ojciec! wolałby stryja widzieć proboszczem w Civita Lavinia!

— Zdaje mi się, że masz słuszność, odpowiedział Don Paolo z odcieniem smutku. Ale mam zamówienie dla niego. Kardynał chce mieć drugi krucyfiks, który ma być arcydziełem Marka — srebrny naturalnie i bardzo duży. Musi to być najpiękniejszą rzeczą, jaką stworzył kiedykolwiek.

— Sądzę, że będzie zadowolony, odparła Marya Ludwika z uśmiechem.

— Chciałbym, aby krzyż był trwały, kuty i rzeźbiony zamiast r e p o u s s é, zauważył Jan Baptysta, którego potężne ręce instynktownie domagały się ciężkiej roboty.

— Szkoda byłoby zużywać tyle srebra a przytem efekt nigdy nie jest tak wielki, odezwała się Łucya, która, jako córka artysty, znała się cokolwiek na robocie ojca.

— Cóż znaczy trochę więcej lub mniej srebra dla kardynała? zapytał Jan Baptysta nieco pogardliwie; ale spotkawszy się z wzrokiem księdza, spoważniał natychmiast.

Uczeń był bardzo młody; nie przebył jeszcze wieku, w którym pewne natury uważają sobie za zaszczyt zaliczać się do ludzi tego rodzaju, co przyjaciele Marka. Równocześnie atoli nie był dość niezależnym, by objawiać na zewnątrz uczucia swoje przy każdej sposobności. Don Paolo wywierał wielki wpływ na domowników Pandolfich. Był on spokojny, poważny, nie dający się łatwo pobudzić do gniewu i nie obraźliwy za lada drobnostkę. Pomimo

usposobienia wrażliwego znosił on małe zaczepki z równowagą człowieka, który uważa swoją sprawę za wyższą po nad wszelką potrzebę obrony wobec drobnych nieprzyjaciół. Następstwem tego było, że panował nad rodziną swego brata, a nawet sam Marek nie był wolnym od pewnego poddania się, i to stanowiło jeden z najprzykrzejszych żywiołów jego życia. Don Paolo budził szacunek swoją spokojną powagą, gdy tymczasem Marek bronił się, mówiąc głośno i wprawiając się dobrowolnie w stan na pół pozornego gniewu. We walce między spokojną siłą a hałaśliwą obroną samego siebie nie ma nigdy wątpliwości co do jej rezultatu. Markowi brakowało rzeczywistej siły i czuł to dobrze. Umiał on więzić uwagę w kółku swych zwolenników, którzy już dzielili jego poglądy, lecz w obecności księdza Pawła czuł on, że walczy przeciw wyższej i niezrozumiałej przeszkodzie, przeciw chłodnej, nie pochodzącej z zawziętości naganie człowieka silniejszego od siebie. Wiele lat upłynęło od czasu, jak się odważył mówić wobec swego brata tak, jak mówił, kiedy był sam z Janem Baptystą i ten ostatni zauważył zmianę, jaka zaszła w postępowaniu mistrza wobec księdza i domyślił się, że Marek moralną odczuwał obawę. Nieco pogardliwa wzmianka o kardynała przypuszczalnej zamożności nie była zaczepką księdza Pawła, lecz Jan Baptysta mimo to czuł, że powiedział coś niestósownego i pospieszył zatrzeć wrażenie tych słów.

Marek odczuwał tę subtelną siłę, ponieważ widział, że działała bezustannie, tak na niego, jak i na członków jego rodziny. Rzeźbiarz przyznawał sam sobie, że w razie jakiegoś wielkiego wypadku żona jego, córka a nawet Jan Baptysta Bordogni najprawdopodobniej posłuchaliby rady księdza Pawła, wbrew jego własnym protestom i przeciwnym argumentom. Wystawiał sobie, że on jedyny działał swobodnie. Powątpiewał o Janie Baptyście i zaczął przychodzić do przekonania, że charakter chłopca

zgotuje mu zawód. To było przyczyną, dla której nie podtrzymywał już dłużej myśli o małżeństwie między córką a uczniem, co dawniej stanowiło przedmiot częstej rozmowy. Zdawało się, że wszystko składa się wybornie. Młodzieniec zapowiadał wolnodumcę wedle myśli Marka i w swoim zawodzie okazywał zdolność, która nie pozostawiała nic do życzenia. Kogoś należało przygotować do objęcia po Marku kierownictwa w zakładzie, a nikt nie byłby lepiej spełnił zadania nad Jana Baptystę. Łucya miała odziedziczyć majątek ojca jako kapitał potrzebny w interesie, a mąż jej miał przejąć cały warsztat. W ostatnim czasie jednakże Marek zmienił zdanie i myśl ta nie wydawała mu się tak ponętną, jak dawniej. Jan Baptysta widocznie zaczął ulegać wpływowi księdza Pawła, a to było dostatecznym powodem, aby zerwać małżeństwo. Marek nie spostrzegał, że co do zewnętrzego postępowania w obecności księdza, uczeń szedł tylko śladem swego mistrza.

Marek oglądał się teraz za innym mężem dla swej córki i obecnie wybrał go sobie wśród swych zażyłych przyjaciół. Wybór jego padł na chudego prawnika, nazwiskiem Kacper Carnesecchi, który wedle zapatrywań rzeźbiarza był ze wszech miar wyborną partyą. Prawdziwy wolnodumca, praktykujący prawnik z znacznemi znajomościami w świecie politycznym, przezorny człowiek blizki lat czterdziestu — wszystko to pozwalało wnosić, iż stanowić będzie wzór mężów. Marek wiedział bardzo dobrze, że sam posag Łucyi wystarczyłby, by prawnika skłonić do ożenienia się z nią, a rozmowa z Carnesecchim już prawie zadecydowała o jej losie. Nie mógł on naturalnie potrącić o tę sprawę owego wieczoru w restauracyi, gdzie było obecnych tylu innych, ale przedwstępne układy już były na wpół ukończone i Marek postanowił oznajmić swój zamiar rodzinie od razu. Wiedział on dobrze, że wywoła burzę i jak wielu ludzi, którzy zwykle starają

się okazać silniejszymi, aniżeli są w rzeczywistości, wybrał na to oświadczenie chwilę, w której będzie w najzupełniej złym humorze. Wracając z restauracyi do domu, czuł, że ta chwila nadeszła. Ślizki bruk, wilgotny wiatr, dmący na ulicach i przy każdym zakręcie, przeszywając do szpiku kości, przyczyniał się niemało do podniecenia jego niezadowolenia, rozprawa wśród przyjaciół rozwiązała jego język, tak, iż czuł się zdolnym stawić czoło opozycyi w domu.

Małe kółko powstało od kolacyi i wszyscy zasiedli w pokoju, który służył za miejsce zebrań. Jan Baptysta palił cygareto, które uważał za odpowiedniejsze dla siebie od fajeczki, kiedy miał na sobie odświętny ubiór i rysował pracowitą ozdobę arabeskową na szerokiej karcie papieru, rozpiętego na desce. Łucya siedziała przy stole i śledziła jego robotę. Don Paolo zaś zajął miejsce na krześle o prostej poręczy i złożywszy białe swe ręce na kolanach, od czasu do czasu odzywał się z jakąś uwagą do Maryi Ludwiki. Ta ostatnia zbyt korpulentna, by utonąć w głębi fotelu przy próżnym kominku, siedziała wyprostowana, z nogami na niskim stołeczku, na który spuszczała się kanwowa robota z niemożliwym bukietem na tle jasno-zielonem.

Mówili o kanonii księdza i o zamówionym krucyfiksie, rozmawiali o powietrzu, zrobili kilka uwag, dotyczących prawdopodobnego usposobienia Marka, kiedy powróci do domu i rozmowa między dwoma starszymi członkami rodziny wyczerpała się. Jan i Łucya rozmawiali szeptem, w zagadkowych frazesach.

— Czy wiesz? — zagadnął uczeń.

— Co takiego? — zapytała Łucya nawzajem.

— Mówiłem dzisiaj o tem.

Oboje spojrzeli na Signorę Pandolfi. Siedziała ciągle wyprostowana, lecz ciężka jej głowa pochylała się naprzód.

— I cóż? — zapytało dziewczę.

- Był w okropnym humorze. Powiedział, że mogę cię zabrać sobie. Mówiąc to, Jan Baptysta uśmiechnął się i spojrzał Łucyi w oczy.

Odpowiedziała na to spojrzenie z smutnym wyrazem w oczach, wstrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

- A gdybyśmy go tak trzymali za słowo? — podsunął Jan Baptysta.

- Ładna byłaby historya! — zawołała Łucya ironicznie.

- W każdym razie on to powiedział, dowodził młodzieniec. - Co nas obchodzi, czy tak myślał?

- Źle się dzieje dla nas, — westchnęła jego towarzyszka. - Było inaczej przed rokiem. Musiałeś zrobić coś takiego, Janku, co mu się nie podobało. Chciałabym wiedzieć, co to było! Jej ciemne oczy nagle przybrały groźny wyraz, a czerwone usta wydęły się.

- Chcesz wiedzieć, co to takiego? — dopytywał uczeń chłodniejszym tonem.

- Dla czego nie myśli o tem, jak dawniej. Nie stawiał żadnych trudności, dopiero w ostatnim czasie. Już prawie wszystko było ułożone.

Jan Baptysta spojrzał znacząco w stronę księdza Pawła, wzruszył ramionami i rysował dalej.

- Co to ma z tem do czynienia? — spytała Łucya niecierpliwie.

— Wystarcza dla ojca twego to, aby się podobało jego bratu. Znienawidziłby psa, któryby lubił Don Paolo.

— Niedorzeczność! — zawołało dziewczę. — To coś innego. Ojciec widzi coś, czego ja nie widzę. Zna swoje własne sprawy, a może i twoje także. Nie zapomniałam jeszcze owego wieczoru.

— Ja! — odparł młodzieniec z gniewnem spojrzeniem. Wiesz dobrze, gdzie byłem — w Circolo Artistico. Jak śmiesz posądzać mię...

— Dla czego tak się gniewasz, jeżeli w grę nie wchodzi nikt inny? — zapytała Łucya z nagłą łagodnością, która znajdowała się w sprzeczności z zazdrosnym połyskiem oczu.

Zdaje mi się, że mam prawo się gniewać. Posądzać mię po tak długich latach! Ileż razy przysięgałem, że nigdzie nie chodzę?

— Na co się przyda przysięganie? Nie wierzysz w nic — dla czegoż miałbyś przysięgać? Dla czego miałabym ci wierzyć?

— O! jeżeli się odzywasz w ten sposób, to skończyłem! — odpowiedział Jan Baptysta. — Ale — ty mię tylko drażnisz. Ty mi wierzysz tak, jak i ja tobie wierzę. Co do przysięgania i wierzenia w coś innego oprócz ciebie — kto wie? Kocham cię, czy to nie wystarcza?

Oczy Łucyi łagodniały w miarę, jak patrzała w twarz młodzieńca. Wiedziała, że ją kocha, chciała tylko usłyszeć to jeszcze.

— Oto Marek — odezwał się ksiądz Paweł, kiedy klucz zgrzytnął w bramie domu.

— O tej godzinie! — zawołała Signora Pandolfi, budząc się nagle i przecierając oczy tłustemi palcami.

ROZDZIAŁ III.

Pozbywszy się ciężkiego płaszcza i kapelusza, Marek ukazał się w progu pokoju.

Wszyscy spojrzeli na niego, jak gdyby każdy chciał dopatrzyć się objawów humoru i nikogo nie uspokoił widok bladej twarzy i zmarszczonego czoła.

— Przewielebny księże kanoniku — zaczął — zwracając się do księdza Pawła, — przychodzę w sam czas, jak się zdaje, by ci powinszować. Naturalnie, ja musiałem być ostatnim z tych, co się dowiedzieli o twoim awansie, i to z gazet.

— Dziękuję ci — odparł ksiądz Paweł spokojnie. — Przyszedłem właśnie oznajmić ci tę nowinę.

— Jesteś bardzo łaskawy — odparł Marek. - Mam także nowinę dla was wszystkich. — Zamilkł na chwilę, jak gdyby chciał nadać większe znaczenie swemu oświadczeniu. Mam na myśli — mówił dalej wolno - kwestyę małżeństwa Łucyi.

— Doprawdy — zawołał ksiądz. — Cieszę się, że to wreszcie ukończone.

Inne osoby w pokoju zatrzymały oddech. Dziewczę zarumieniło się mocno pod same włosy, Jan Baptysta zbladł, odłożył ołówek i zasłonił oczy ręką. Signora Pandolfi drżała widocznie, spoglądając na męża. Czarna jego postać rysowała się ostro na tle zniszczonych tapet błękitnych a naftowa lampa rzucała głębokie cienie na jego policzki.

— Tak - mówił dalej - rozmawiałem wczoraj z Kacprem Carnesecchi, wiecie, tym prawnikiem, którego się radzę. Jestto mądry człowiek i rozumie te sprawy. Mówiliśmy o kontrakcie ślubnym; uważałem za lepsze poradzić go się i on sądzi, że tę sprawę można załatwić za parę tygodni. On jest bardzo inteligentny, dziwnie bystry. Omówiliśmy całą tę sprawę i ukończy się ją jak można najprędzej. A zatem, moje dzieci...

Jan Baptysta i Łucya spoglądali na siebie nawzajem i kiedy Marek zwrócił ku nim swe spojrzenie, ręce ich połączyły się i wyraz radosnego zdumienia zabłysł na ich twarzy. Marek również uśmiechnął się, zatrzymawszy się przed końcem zdania.

— Teraz więc, moje dzieci - - mówił dalej bardzo wolno — możecie puścić ręce i zaprzestać tych wszystkich niedorzeczności.

Młodzi spojrzeli na siebie z zdumieniem, przypuszczając, że Marek żartuje.

— Mówię na seryo — ciągnął dalej. Widzisz Janie, to nie uchodzi, abyś siedział i trzymał rękę Łucyi w swej dłoni, skoro ona ma się nazywać Signorą Carnesecchi, musisz do tego przywyknąć.

Na chwilę zapanowało w pokoju grobowe milczenie. Potem Łucya i Jan zerwali się z miejsca nagle.

— Co! — zawołało dziewczę z przerażeniem — Carnesecchi! Co to ma znaczyć, ojcze?

— Nędznik! — krzyknął Jan Baptysta w napadzie wściekłości i pobiegł do Marka, aby go schwycić w swe ręce.

Ale ksiądz wstał także i stanął między młodzieńcem a Markiem, by przeszkodzić walce.

— Bez gwałtu — zawołał głosem, który zapanował nad krzykiem i histerycznym płaczem Maryi Ludwiki, wciskającej się w głąb krzesła. Jan Baptysta cofnął się i oparł się o ścianę, dysząc ze złości. Łucya osunęła się na krzesło i zakryła twarz rękami.

— Gwałt? Któż chce gwałtu? — zapytał Marek pogardliwym tonem. Czy myślisz, że się boję Jana? Daj mu pokój, Pawle, zobaczymy, czy się ośmieli rzucić się na mnie.

Ksiądz odwrócił się od ucznia i stanął naprzeciwko Marka. Nie był bladym, jak inni, gdyż nie lękał się rzeźbiarza i rumieniec słusznego oburzenia wystąpił mu na policzki.

— Jesteś szalony — odezwał się, patrząc w oczy bratu bez trwogi.

— Bynajmniej — odparł Marek. — Łucya wyjdzie za Kacpra Carnesecchi natychmiast, albo nie wyjdzie za mąż za nikogo; co mówię? Nie będzie miała żadnego wyboru. Musi wyjść za człowieka, którego wybrałem. Co ciebie to obchodzi? Czy przyszedłeś tutaj stawać między mną a moją rodziną? Radzę ci strzedz się. Prawo zasłania mię przed takiem mieszaniem się a ludzie twego pokroju nie są zbyt popularnymi dzisiaj.

— Prawo — odpowiedział kapłan, powściągając gniew swój — opiekuje się dziećmi przeciw rodzicom. Prawo, którego wzywasz na pomoc, nie dopuszcza, aby ojciec zmuszał córkę do wyjścia za

mąż wbrew jej woli i zdaje mi się, że nakłada ono znaczne kary w takim przypadku.

Co ty znasz z prawa? tyle chyba, w jaki sposób je obejść? — pytał Marek wyzywająco.

Nie minęło ani pół godziny, jak prawił do swych przyjaciół i słowa płynęły mu gładko. Co więcej, od dawnego czasu nie przezwyciężył przymusu, jaki czuł w obecności Don Paola i należało korzystać ze sposobności, jaka się nadarzała.

Kim jesteś, abyś mi chciał dawać nauki? powtórzył, podnosząc głos i gestykulując z żywością. Ty, twoje życie samo, jest kłamstwem i jesteś sługą kłamstwa a ty oraz twoi towarzysze kłamcy bylibyście je stworzyli, gdyby nie istniało, tak ukochaliście kłamstwo. Żyjecie tylko przemycanym sposobem i chcecie wciągnąć wszystkich w tę komedyą, jaką odgrywacie codziennie w waszych kościołach. Jakie prawo macie przemawiać do ludzi? Czy wy pracujecie? czy kupujecie? sprzedajecie? Jesteście gorsi od tych delikatnych panów, którzy nic nie robią, ponieważ ich ojcowie zagarnęli nasze pieniądze, gdyż wy żyjecie, kradnąc je sami! I wy chcecie być sędziami nad uczciwym człowiekiem i chcecie prawić mu, co ma zrobić z własną córką? Idźcie śpiewać godzinki przed ołtarzem a ciężko pracującym ludziom, jak ja, zostawcie swobodę kierowania rodziną i wydawania za mąż córek, za kogo chcą!

Marek wyrzucał potok wyzwisk takim tonem i tak szybko, że niepodobna mu było przerwać. Obiedwie kobiety płakały głośno. Jan Baptysta blady i oddychający ciężko spoglądał, jak gdyby był chciał zadusić Marka, gdyby go mógł dosięgnąć, ks. Paweł zaś patrzał na rozwścieklonego artystę z zarumienioną twarzą, założywszy ręce. Kiedy Marek odetchnął na chwilę, ksiądz odpowiedział mu z wysiłkiem.

— Możesz mię znieważać, jak ci się podoba — rzekł — to mi nic nie szkodzi. Nie mogę ci prze-

szkodzić w miotaniu tych bezrozumnych bluźnierstw. Powiem ci tylko po prostu, że traktując to dwoje, którzy się kochają nawzajem, w sposób, jak to czynisz, dopuszczasz się rzeczy, niegodnej człowieka. Co więcej, prawo opiekuje się twoją córką, a ja dopilnuję już tego, aby spełniło swój obowiązek.

— Mieć takiego potwora za męża! — jęknęła Signora Pandolfi z głębi fotelu i zaledwie mogąc mówić wśród łkania.

— Źle wyjdziecie na tem, jeżeli zechcecie próbować rozłączyć nas — mruknął Jan Baptysta między zębami.

Marek zaśmiał się chrypliwie i odwrócił się plecami, zaczynając nakładać łajeczkę przy kominku. Ks. Paweł słyszał słowa ucznia i zrozumiał ich znaczenie. Podszedł ku niemu i położył mu rękę na ramieniu.

— Tylko bez gróźb żadnych, Janie — odezwał się spokojnie. — Marek nigdy tego nie uczyni, wierz mi, nie może, choćby chciał.

— Mów dalej — zawołał Marek — zapalając zapałkę. — Mów dalej, rzucaj ziarno niezgody, ucz ich wszystkich niesłuchać mię. Ja słucham cię dalej, kochany Pawełku.

— Tem lepiej — odparł ksiądz — gdyż zapewniam cię, iż mówię na seryo. Będziesz miał czas rozważyć to poważnie. Mam do ciebie interes, Marku, dla tego tu przyszedłem dzisiaj. Kiedy skończysz, pomówimy o tem.

— Interes? — zawołał Marek z głośną ironią. — Dobra chwila do omawiania interesów — równie dobra, jak każda inna! I cóż to takiego?

— Kardynał żąda nowego wyrobu, bardzo pięknego.

— Kardynał? Nie myślę już robić kielichów dla waszych kardynałów. Znudziły mi się kielichy, monstrancye i tym podobne rzeczy.

— Nic z tego wszystkiego, odpowiedział ks. Paweł z spokojem. Kardynał pragnie mieć srebrny

krucyfiks. Czy zrobisz go? Musi to być twoje największe dzieło, jeśli go się podejmiesz.

— Krucyfiks? powtórzył Marek odmiennym tonem. Gniew zniknął z jego oczu i marzycielski wyraz ukazał się w nich, kiedy spuścił nieco ciężkie powieki i stał przez chwilę milczący, pogrążony, jak się zdawało, w myślach. Kobiety przestały płakać i patrzały na zmienioną fizyognomię jego. Jan Baptysta zaś usiadł na krześle i machinalnie obracał ołówek w ręku.

Czy zrobisz go? zapytał nareszcie ksiądz Paweł.

— Krucyfiks, powtórzył artysta. Tak, zrobię krucyfiks. Zrobiłem ich wiele, ale żaden nie był po mojej myśli. Tak, powiedz kardynałowi, że zrobię go, jeżeli zechce mi zostawić dosyć czasu.

— Myślę, że nie będzie go potrzebował prędzej, jak za trzy lub cztery miesiące, odpowiedział ks. Paweł.

— Cztery miesiące — to nie wiele czasu na taką robotę. Ale spróbuję.

Następnie Marek, którego humor zmienił się zupełnie, pociągnął fajeczkę, zbliżył się do stołu, spoglądając na Lucyę i na Jana Baptystę, jak gdyby nic nie było zaszło.

Przysunął deskę, na której uczeń rysował, i biorąc ołówek z ręki młodzieńca, zaczął rysować głowy na jednym rogu papieru.

Ksiądz Paweł patrzał na niego poważnie. Po słowach, które usłyszał z ust Marka, przeciwnem mu było zawiadomić go o zamówieniu świętego przedmiotu. Wahał się przez chwilę, pytając sam siebie, czy słuszne powierzać tę robotę takiemu człowiekowi. Nagłość położenia i znajomość charakteru brata wzbudziły w nim przekonanie, że to zboczenie usunie gorszą jaka katastrofę i zdecydował się szybko. Nawet teraz pytał sam siebie, czy postąpił dobrze, lecz ponieważ miał o czem innem do myślenia, przeto usunął to pytanie z myśli. Mu-

siał odchodzić i pozostał tylko kilka minut, aby się przekonać, czy usposobienie Marka zmieni się znowu. Znał swego brata dobrze i był pewny, że nie potrzeba było obawiać się z jego strony gwałtu, chyba w słowach. Tego rodzaju sceny nie były rzadkiemi w domu Pandolfich i ks. Paweł wiedział, że nie pociągają następstw, gdy on opuści towarzystwo.

Czuł tylko, że Marek był bardziej nierozsądnym, niż zwykle i że artysta nie mógł na serjo myśleć tego, co proponował tego wieczoru.

Ksiądz istotnie nie myślał, żeby Jan Baptysta był dość odpowiednim dla Łucyi. Chłopak był nieraz gwałtownym w mowie a jakkolwiek zanadto miał szacunku dla ks. Pawła, by powtarzać w jego obecności zdania, które słyszał u swego mistrza, to jednakże postępowanie jego niejednokrotnie zdradzało, że był skłonnym do bronienia go w niejednej kwestyi. Ale zwyczaj panowania nad uczuciami, aby nie obrazić sługi Bożego, a mianowicie nie dotknąć wrażliwej Łucyi, zmieniał zwolna i łagodził charakter młodzieńca. Będąc najprzód zapalonym wielbicielem politycznych przekonań Marka i jego nadzwyczajnie wolnych poglądów, Jan Baptysta następnie obrał drogę stawiania pytań rzeźbiarzowi, aby się przekonać, jak mu tenże odpowie a odpowiedzi te nie zawsze go zadowalały. Wraz z wzrastającą zręcznością w sztuce wyrobił się w uczniu zwyczaj porównywania siebie z Markiem tak ze stanowiska intelektualnego, jak i artystycznego.

Porównanie nie zawsze wypadło na korzyść starszego, kiedy w jego sposobie myślenia odkrył brak logiki z jednej i zamiłowanie do przesady z drugiej strony, co wywoływało wątpliwość co do całego systemu myśli, który rodził owe wady. Następstwem tego było, że młodzieńca umysłowe stanowisko zostało niewzruszonem i że skłaniał się do powrotu do normalnych warunków myślenia. Ks. Paweł nie widział tego wszystkiego, widział tylko, że Jan Ba-

ptysta w ostatnim roku stał się spokojniejszy i miał nadzieję, że małżeństwo jego z Łucyą dopełni tej zmiany. Widzieć ją popchniętą w objęcia takiego człowieka jak Carnesecchi było czemś więcej, aniżeli mogło znieść szczere przywiązanie księdza dla siostrzenicy. Nie wierzył, aby Marek mógł na seryo myśleć znowu o tych zamiarach i żywił nadzieję, że przez pewien czas nie dotknie nawet tego przedmiotu.

Marek nie przestawał rysować w milczeniu i po kilku minutach ks. Paweł powstał, aby się pożegnać. Rzeźbiarz nie podniósł oczu od rysunku.

— Dobranoc ci, Marku — a niech to będzie pięknem dziełem — rzekł Paweł.

— Dobranoc — mruknął artysta z oczami wlepionemi w papier. Brat pożegnał resztę towarzystwa i opuścił pokój, aby iść do swego pustego mieszkania w skrzydle starego pałacu, na pierwszem piętrze którego mieszkał Kardynał, u którego był sekretarzem. Kiedy odszedł, Łucya wstała cicho i poszła do swego pokoju, pozostawiając ojca i matkę z Janem Baptystą. Signora Pandolfi wahała się, czy ma iść za córką, czy też zostać z obydwoma mężczyznami. Jej kobieca natura obawiała się dalszego niepokoju i widmo wydobytych noży majaczyło przed jej nabrzmiałemi oczami, tak, że podniosłszy się dwa razy, pozostała jednakże ostatecznie na miejscu z rękami złożonemi na kolanach i spoglądała to na męża, to na Jana Baptystę. Ten ostatni siedział, ponuro patrząc na papier, na którym mistrz jego rysował.

— Marku, ty nie mówiłeś na seryo? — odważyła się wreszcie zapytać Marya Ludwika. Poczciwa kobieta nie posiadała taktu.

— Czy nie widzisz, że przyszła mi myśl szczęśliwa? — zapytał z kolei mąż jej z gniewem jako odpowiedź i schylił głowę nad rysunkiem.

— Przepraszam cię — rzekła Signora Pandolfi pokornym tonem, spoglądając żałośnie na Jana.

Uczeń potrząsnął głową, jak gdyby chciał wyrazić, że chwilowo nic nie można zrobić. Następnie wstała wolno i powiedziawszy dobranoc, wyszła z pokoju. Dwaj mężczyźni zostali sami.

— Teraz, kiedy nas nikt nie słyszy, panie Marku, co myślicie uczynić? — zapytał Jan Baptysta cichym głosem. Marek wzruszył ramionami

— To, com powiedział — odrzekł po kilku sekundach. — Czy myślicie, że ten niegodziwy ksiądz zmienił moje postanowienie?

— Nie, tego się nie spodziewałem, ale ja nie jestem księdzem; nie jestem także dzieciakiem, aby pozwolić wam się obwinąć w koło palca i odrzucić jak brudną bieliznę. Musicie odpowiedzieć mi za to, coście powiedzieli tego wieczoru.

— O, odpowiem ci, ile ci się tylko podoba — odparł artysta z brzydkim uśmiechem.

— Bardzo dobrze. Dla czego chcecie mię wydalić, przyrzekłszy mi oddawna, że się ożenię z Łucyą z waszem pozwoleniem, skoro będę w odpowiednim wieku?

— Dla czego? boś sam temu winien. Potem dla tego, ponieważ Carnesecchi jest lepszą partyą dla Łucyi od biednego snycerza. Po trzecie, ponieważ tak mi się podoba, i po czwarte, ponieważ nie dbam o to, czy się to tobie podoba. Czy te przyczyny są wystarczające, lub nie?

— Mogą one zadowolić pana, odpowiedział Jan Baptysta. Pozostawiając nieco do życzenia pod względem logiki w mojem skromnem mniemaniu.

— Skoro ci powiedziałem, że nie dbam o twoje mniemanie...

— Znajdę prawdopodobnie sposób, abyście dbali o nie, odrzekł młodzieniec. Ks. Paweł ma słuszność, gdy mówi, że ta rzecz jest po prostu niemożliwa. Ojcowie nie zmuszają córek do wyjścia za mąż w tych czasach. Czy zechcecie mi wytłomaczyć pierwszą waszą uwagę nieco jaśniej? Jakim sposobem jestem sam sobie winien?

— Zmieniłeś się Janie, rzekł Marek, odpierając się o poręcz krzesła, aby zaostrzyć ołówek i patrząc na ścianę. Zmieniasz się z dniem każdym. Nie jesteś już takim, jak byłeś dawniej i wiesz o tem. Chodzisz do księży, obskakujesz w koło mego brata jak pies.

— Żartujecie, mistrzu, odparł uczeń. Naturalnie nie chcę robić awantur w waszym domu, umawiając się z ks. Pawłem, nawet choćbym go nie lubił; nie lubię go, dzisiaj dowiódł on, że jest lepszym od was.

— Kochany Janie, odrzucił Marek kwaśnym tonem, każde słowo twoje przekonywa mię, że postąpiłem dobrze. Oprócz tego, jestem zajęty, jak widzisz, przeszkadzasz mi. Jeżeli ci się mój dom nie podoba, możesz go opuścić. Ja cię nie zatrzymuję. Zdaje mi się, że będę umiał wykształcić sobie innego artystę, zanim umrę. Jesteś jedynie zdolny do noszenia kadzielnicy za Pawłem lub innym tego rodzaju potworem.

— Możeby to było lepiej, aniżeli służyć do nabożeństwa, jakie odprawiacie co dnia w warsztacie. Posuwacie się za daleko, panie Marku. Można sobie żartować z kobietami i igrać z ich uczuciami, lecz nie próbujcie tego z mężczyznami.

Takich jak ty i Paweł? Był razu pewnego muł w Pescherie Vecchie; kiedy doszedł do połowy drogi, nie podobało mu się wąchać zapachu ryb i odezwał się do swego poprzednika: „Ja wrócę". Właściciel podciął go biczem. Wtenczas muł powiedział: „Nie żartuj ze mną. Obrócę się i kopnę". Ale tam nie ma miejsca dla muła do obrócenia się w Pescheria Vecchia. Muł to uznał i poszedł za przewodnikiem dalej. Sądzę, że to dość jasne. To znaczy, że jesteś szalony.

— Na cóż się przyda tracić słowa na próżno? zawołał uczeń z gniewem. Ofiaruję wam wybór, panie Marku. Albo ja opuszczę wasz dom i w takim razie zabiorę Łucyą i ożenię się z nią wbrew wa-

szej woli, albo też pozostanę tutaj — lecz jeżeliby Łucya miała wyjść za kogoś innego, natenczas przerżnę wam gardło. Czy to nie jasny handel?

— Bardzo jasny, jakkolwiek nie wiem, na czem on polega, odparł Marek z szorstkim uśmiechem. Wolałbym, abyś pozostał tutaj. Narażę się na zamordowanie przez ciebie a ty się możesz narazić na wysłanie na galery do końca życia, jeśli ci się podoba. Będziesz tam miał dobrą opiekę i możesz próbować rzeźbienia na bruku zamiast na srebrnych kielichach, dla odmiany.

— Wszystko jedno, co się ze mną zrobi w takim razie, odrzekł młodzieniec. Jeżeli Łucya wyjdzie za kogo innego, to mi obojętnie, co się ze mną stanie. Ostrzegłem was tylko.

— Dziękuję. Gdybyś był pozostał takim, jak dawniej, byłbyś się z nią ożenił bez trudności. Ale mieć ciebie i Łucyą, Maryę Ludwikę i Pawła od rana do nocy, to jest więcej, aniżeli znieść zdołam. Dobranoc, i niech szatan będzie z tobą, szaleńcze.

— Et cum spiritu tuo, odpowiedział Jan Baptysta, wychodząc z pokoju.

Kiedy Marek pozostał sam, powrócił do głowy, którą rysował, głowy cudownej piękności, pochylonej ku dołowi i zwieszającej się na jedną stronę noszącej na skroniach cierniowy wieniec, z powiekami spuszczonemi i powleczonemi cieniem śmierci. Spojrzał na nią z gorzkim uśmiechem i odrzucił ołówek, nie robiąc już ani jednej kreski na papierze.

Oparł się w krześle, zapalił fajeczkę i zaczął rozmyślać nad wypadkami wieczoru. Był zadowolony, że już przeszedł, gdyż dziwna słabość w jego gwałtownej naturze wielką sprawiała mu trudność w stawianiu czoła takim zajściom, jeżeli nie był całkiem wzburzony. Teraz atoli był zadowolony. Od dawnego czasu patrzał z wzrastającą nieufnością na zmianę w postępowaniu Jana Baptysty, a w ostatnich słowach, które powiedział do swego ucznia, mieściło się to, co istotnie miał w sercu.

Obawiał się on rzeczywiście, aby nie wzięła nad nim większość w jego domu. Nienawidził Pawła całą duszą i nienawidził go przez całe życie. Ten spokojny, uprzejmy brat stanął między nim a spokojem jego duszy. Nie było to najmniejszem jego zmartwieniem, że odbierał najwięcej zamówień od księdza, który był w ciągłych stosunkach z kardynałem i bogatymi prałatami, popierającymi jego sztukę. Uczucie zobowiązania, jakiego doznawał, było nieznośnem i pragnął otrząsnąć się z niego. Człowiek którego nienawidził dla niego samego i gardził nim dla jego stosunków kościelnych, bywał codziennie w jego domu; na każdym kroku spotkał się z milczącą naganą Pawła, lub wypowiedzianym oporem. Przez długi czas Paweł powątpiewał, czy małżeństwo między młodymi ludźmi będzie szczęśliwem, a kiedy wyrażał te wątpliwości, Marek okazywał się niezachwianym w swem postanowieniu. W ostatnim czasie, prawdopodobnie w skutek zmiany w charakterze Jana, ks. Paweł odzywał się o tem małżeństwie przychylnie. To wystarczyło, by wzbudzić podejrzenie Marka i ostatecznie doprowadziło do sprzeciwiania się temu, czego bronił tak długo i tak uporczywie; postanowił zakończyć z tem, co uważał za rodzaj niewolnictwa, uwolnić się jednym zamachem od wpływu brata i zapewnić Łucyi przyszłość. Przez kilka tygodni układał on sobie tę scenę, która się odbyła owego wieczoru, czekając na sposobność, starając się być dość silnym, aby ją uczynić efektowną i rozważając przypuszczalne odpowiedzi, jakich mógł się spodziewać ze strony różnych osób interesowanych. Nadeszła i był zadowolony z rezultatu.

Marka inteligencyi brakło logiki, za to posiadał ognisty zapał, przesadzone mniemanie o wartości swych zasad socyalnych i cały słownik wyrażeń, któremi określał idealne państwo, do którego wzdychał. Jakkolwiek atoli nie posiadał własnej logiki, życie jego było samo logicznym wynikiem okolicz-

ności, które stworzył. W życiu Marka wiele różnych dążności pracowało ku jednemu ognisku w jego naprężonym umyśle i popychało go dalej w kierunku, którego nie myślał obrać i którego ostatecznego końca nie przewidywał nawet jeszcze teraz.

Brata swego nie kochał on nigdy, ale kochał żonę całem sercem, córkę zaczął kochać, gdy była dzieckiem. Dla Jana Baptysty uczuwał on rodzaj przywiązania pełnego podziwu i dumę z postępów i talentu ucznia. Stopniowo, kiedy główny czynnik nienawiść jego dla brata, nabierała siły, pochłonęła ona przywiązanie dla Maryi Ludwiki, która po ośmnastu latach małżeństwa bez zarzutu wydawała się Markowi spólnikiem i szpiegiem brata jego w domowej wojnie. Następnie miłość dla dziecka zaczęła niknąć tą samą drogą i Marek wmówił w siebie, że dziewczę przyłączyło się z nieprzyjacielem i nie było już godnem jego zaufania. Wreszcie zmiana w usposobieniu Jana Baptysty i jego ideach zdawała się zrywać ostatnie ogniwo, które łączyło rzeźbiarza z rodziną. Odtąd był on przeciwnikiem każdego z swych domowników i wystawiał sobie, że oni wszyscy spiskują przeciw niemu.

Każdy krok następował jako nieunikniony wynik tego, co poprzedzało. Podejrzliwa natura artysty nie przestała upatrywać w każdej zmianie w nim samym najczarniejszej zdrady ze strony tych, co go otaczali! Żona była nieubłaganym nieprzyjacielem, córka szpiegiem, uczeń zdrajcą, a co do Pawła, to Marek uważał go za najgorszego z nikczemników. Cały ten sznur nienawiści prowadził wstecz i łączył się z dziesięcioraką siłą w wielkiej nienawiści dla brata. Paweł w jego mniemaniu był sprawcą złego, jedyną przyczyną domowej rozterki, głównym wrogiem przyszłości, reprezentantem nietylko Kościoła i religii, ale całej fabryki istniejącego społeczeństwa, które rzeźbiarz pragnął obalić.

Socyalizm Marka, tak to bowiem nazywał, miał jeden rys dobry, był on szczery i bezinteresowny;

nie należał on do pospolitego tłumu, nie był leniwym włóczęgą, niezdolnym do ciągłej pracy lub wytrwałości w produktywnem zajęciu, pragnącym jedynie wzbogacić się za pomocą zubożenia innych, jednym z nieskończonego szeregu republikanów włoskich, dla których wyraz „rzeczpospolita" nie oznacza niczego innego jak chleb bez pracy i wolności, która polega na głośnych bluźnierstwach, wykrzykiwanych dniem i nocą na publicznych miejscach.

Jego stanowisko było odmiennem od stanowiska prywatnego człowieka w ulicznej gwardyi, ponieważ jego zdolności artystyczne i jego przemysł były wyższe od zdolności tłumu. Posiadał pieniądze, miał talent i powodziło mu się w jego zajęciu. Nie zyskiwał on nic przez rewolucyą, o jakiej marzył a tracił wiele przez naruszanie istniejącego prawa własności. To też był on zupełnie szczerym, w znacznym stopniu. Podobne warunki znachodzi się często w socyalnem położeniu prawdziwego fanatyka, który tem bardziej jest gotowy do posunięcia się najdalej, ponieważ nie myśli polepszyć własnego stanowiska. Rzeczywista słabość Marka polegała na ograniczonym widnokręgu jego poglądów i na pewnym rodzaju nieśmiałości, która osłabiała siłę inicyatywy. Był on człowiekiem oszczędnym, który nie ufał przyszłości i jakkolwiek takie usposobienie wywiera dobry wpływ na człowieka, zbierającego pieniądze na czarną godzinę, nie zgadza się ono z karyerą prawdziwego zapaleńca, który musi być gotów ryzykować wszystko każdej chwili. Człowiek, który chce poruszać innych ludzi i rozpoczynać wielkie zmiany, musi posiadać wielką wiarę w siebie samego, niezachwianą ufność we własną sprawę i wiarę w przyszłość, dochodzącą do wzgardy zupełnej dla następstw.

Tych właściwości Marek nie posiadał i w skutek tego zdumiewające rezultaty, o jakich lubił mówić, ograniczyły się na sprzeczkach domowych, z których nie zawsze wychodził zwycięzko. Jego

nienawiść do Kościoła w praktyce objawiała się do nienawidzenia wpływu brata w domu. Jego wstręt do społecznych odznaczeń, który zmierzał głównie do zniszczenia monarchizmu, w rzeczywistości nie był czem innem jak nieco wystudyowaną szorstkością w obec kilku cudzoziemców z wysokiem stanowiskiem, którzy od czasu do czasu zwiedzali pracownią na Via dei Falegnami. W tylnej izbie oberży Marek musiał znaleźć głośne i ostre słowa na potępienie rządu, monarchy, Kościoła i przewagi arystokracyi. W rzeczywistości zdejmował kapelusz, gdy spotkał króla na ulicy, płacił podatki z chwalebną punktualnością i pomnażał majątek zebrany przez wyrabianie świętych naczyń dla kapłanów, przeciwko którym powstawał tak groźnie. Zamiast podpalić Watykan i powywieszać Kardynałów, Marek Pandolfi odczuwał pewien przymus niemiły w obec jedynego księdza, z jakim kiedykolwiek rozmawiał, w obec swego brata Pawła.

Kiedy przy rzadkich sposobnościach wybuchnął w gniewnych inwektywach i ośmielił się miotać zniewagi na spokojną osobę, która wznieciła jego wściekłość, doznawał niebawem odmiennego uczucia w postaci silnego przekonania, że raczej pogorszył, niż poprawił swoje położenie i opanował go smutek z tego powodu, że uderzając na Pawła, tracił sam wpływ we własnym domu i nierzadko wywoływał lekceważenie u tych, w których chciał wzbudzić obawę.

Położenie to było przykre dla niego nad miarę, ponieważ jak wielu artystów prawdziwie znakomitych w swym zawodzie, Marek był bardzo dumny z swej intelektualnej wyższości w innych gałęziach. Można tu stawić pytanie, czy próżność nie jest konieczna dla kogoś, który jest zniewolony współubiegać się w doskonałości z innymi ludźmi. Próżność oznacza próżnię, a u artystów tę próżnię, która pragnie być wypełnioną pochwałą. Artysta może sam

wątpić o swem własnem dziele, ale jest on wielce oczarowany, jeżeli inni powątpiewają także. Marek posiadał w wysokim stopniu ową próżność, która po większej części wychodziła poza sferę jego sztuki. Jak często słyszy się dwóch albo trzech malarzy lub rzeźbiarzy, którzy zebrawszy się w pracowni, rozprawiają nad rządem, społeczeństwem i rozdzieleniem dóbr. A jednak, jakkolwiek wyrabiają znakomite posągi i malują piękne obrazy, mało jest przykładów, aby artyści odgrywali znaczną rolę w dziejach swego czasu. Nie z braku chęci się to dzieje w wielu razach, ale z istotnego braku siły; mimo to wielu z nich uważa się za zdolniejszych do rozstrzygnięcia w kwestyach politycznych i społecznych, aniżeli ludzie, którzy ich reprezentują w parlamencie ich kraju, lub osoby, które z powodu wrodzonej wyższości taktu stały się arbitrami społeczeństwa.

Próżność Marka cierpiała bardzo, ponieważ widział wielką różnicę, jaka istniała między celami a istniejącemi rezultatami jego. Z tego powodu postanowił doprowadzić rzeczy do sporu w domu, aby uwydatnić raz na zawsze despotyczną władzę, do której sądził, iż ma prawo. Wiedział on dobrze, że proponując małżeństwo Lucyi z Carnesecchim, wywoła opór ze strony Pawła. Zamiar ten przedstawił śmiało i nie wahał się wystąpić z ostrą przeciw bratu zaczepką, skoro tenże dawał znaki opozycyi. A jednak, kiedy siedział nad rysunkiem, patrząc w kłęby dymu z swej fajeczki, niemiłego doznawał on przeświadczenia, że jednakże nie odniósł zwycięstwa, że nie odegrał do końca roli despoty, jak zamierzał, że nagle uczuł niższość swoją wobec spokoju Pawła i że słysząc propozycyą, odnoszącą się do wykonania krzyża, postąpił, jak gdyby był pozwolił się przekupić, by być cicho. Zaciął usta, rozmyślając, iż cała rodzina mogła przypuścić, że jego milczenie od owej chwili było wynikiem ważnego zamówienia, o którem mu Paweł powiedział;

zdawało się bowiem rzeczą nieprawdopodobną, aby rozumieli bieg jego myśli.

Spoglądając na głowę, którą wyrysował, zrozumiał sam siebie lepiej, niż inni go zrozumieli, gdyż widział mistrzowski rysunek idealnego Chrystusa, nad którym myślał lata całe, nie mogąc go nigdy osięgnąć. Wiedział, że ten ideał stanął mu przed oczami w chwili, kiedy Paweł zaproponował mu pracę nad tem dziełem — może wskutek wzburzenia, pod wpływem którego pracował w tej chwili. Odtąd nie był zdolnym myśleć o czem innem. Był pobudzony do rysowania a wyraz myśli usunął wszystko inne z pamięci. Paweł odniósł zwycięstwo za pomocą urojonego przekupstwa. Marek postanowił zemścić się za tę korzyść, jaką brat odniósł, okazując się niezłomnym w postanowieniu co do zapowiedzianego małżeństwa. Było to tylko drobną satysfakcyą dla niego, że stawił czoło dziecinnym groźbom Jana Baptysty, skoro dał się uwieść mniemanemu przekupstwu.

ROZDZIAŁ IV.

Następnego poranku Marek opuścił dom wcześniej, niż zwykle. Jan Baptysta nie skończył jeszcze swej czarnej kawy i nie był w humorze, by swemu mistrzowi robić jakieś grzeczności po zajściu ostatniego wieczora. To też nie ruszył się od stołu kiedy rzeźbiarz opuszczał pokój, ani nie zrobił żadnej uwagi co do godziny. Zaledwie zamknęły się za Markiem drzwi, prowadzące do sieni, wsunęła Łucya głowę do pokoju, w którym siedział Jan.

— Odszedł, odezwał się młodzieniec, wejdź, możemy pomówić chwileczkę.

Janku, zaczęła Łucya, kładąc rękę na jego kędzierzawej głowie, co to wszystko miało znaczyć wczoraj wieczorem? Czy ty zrozumiałeś?

— Kto rozumie tego szaleńca! wybuchnął Jan Baptysta, całując rękę Łucyi i przytulając ją do siebie. Ja rozumiem tylko jedno, że musimy pobrać

się jak można najprędzej i raz tę sprawę ubić, czy nie prawda, Łucyo?

- Tak sądzę, odpowiedziała jego towarzyszka z rumieńcem i westchnieniem, ale ja się bardzo lękam.

Nie obawiaj się niczego, pozostaw mnie wszystko, ja cię obronię, najdroższa, odparł młodzieniec, uderzając się w piersi ruchem prawdziwego Włocha, by okazać odwagę.

- O! jestem tego pewna! Ale jak to można zrobić? Naturalnie ojciec mię nie może zmusić, abym wyszła za Carnesecchiego, jak to stryj Paweł mu wytłomaczył. Będzie jednakże próbował, jest taki rozgniewany!

— Niech próbuje, niech próbuje — powtarzał Jan. Zaproponowałem mu handel wczoraj wieczorem, kiedy posziaś spać. Czy wiesz, co mu powiedziałem? Oto powiedziałem mu, że zostanę u niego, ale jeżelibyś miała wyjść za kogo innego, nie za mnie, przerżnę mu gardło, czy rozumiesz?

O! Janku! - - zawołała Łucya. Jak mogłeś mu powiedzieć coś podobnego? Zresztą wiesz, że tego nie zrobiłbyś, nieprawdaż? - -

- Nie lękaj się, wiedział, że mówiłem na seryo i pomyśli nad tem dwa razy. Zresztą powiedział mi wczoraj, że mogę cię mieć, jeśli cię sobie zabiorę.

Ładnie to ze strony ojca! - zawołało dziewczę z gniewem. I cóż odpowiedziałeś na to, Janku?

O! powiedziałem mu, że nie mam nic przeciwko temu, a wtenczas on zaczął mi przedkładać, że umarłbym z głodu bez niego, a potem klął na mnie jak Turek. Co to szkodziło? Powiedział, że się zmieniłem. Każdyby się zmienił, choćby dla tego, aby nie być do niego podobnym!

Jak to rozumiesz, że się zmieniłeś - - zagadnęła Łucya trwożliwie.

Kto to wie? Powiedział, że przymilam się księdzu Pawłowi jak pies, zamiast nienawidzieć

księży, jak to bywało dawniej. Co myślisz o tem, ukochana?

— Sądzę, że stryj Paweł śmiałby się z tego — odpowiedziała, uśmiechając się sama, ale nieco smętnie. Co do mnie, sądzę, że pod tym względem jesteś zawsze równym łotrzykiem, jak dawniej.

— Nie jestem zły, Łucyo. Zaczynam myśleć na sposób księdza Pawła. Był on wspaniały wczorajszego wieczoru. Czy widziałaś, jak zmieszał twego ojca a następnie uczynił łagodnym jak baranek swem zamówieniem krucyfiksa? Don Paolo ma o wiele silniejszą wolę od pana Marka i wiele więcej rozsądku. On zmieni zapatrywania twego ojca.

— Naturalnie byłoby lepiej, gdybyśmy się pobrali bez przeszkody i cieszę się, że zaczynasz lubić stryja Pawła, zauważyłam to od pewnego czasu. On taki dobry!

— Tak jest, to prawda — odpowiedział Jan Baptysta zamyślony. — On jest zanadto dobry, to nie jest naturalne. A potem on ma sposób przekonywania mię o tem. Byłbym mógł udusić pana Marka wczoraj, gdyby twego stryja tam nie było, lecz on mi przeszkodził. To pewna, że miał słuszność; ci ludzie zawsze mają słuszność; ale to nieprzyjemnie być napomnianym przez księdza, to poniżające!

— To lepiej, aniżeli nie być wprowadzanym wcale na dobrą drogę — zauważyła Łucya. — Widzisz, gdybyś był udusił biednego ojca, byłoby to okropne! Przyrzecz mi, Janku, że nie będziesz już gwałtownym. Wiem, że on nie jest wcale uprzejmym, ale to byłoby straszliwe, gdybyś miał w złości zrobić mu coś złego. Nie zrobisz mu nic Janku? Powiedz mi, że nie zrobisz.

— Zobaczymy, ukochana moja!

— Nie kochasz mię, jeżeli nie chcesz przyrzec.

— O, jeśli to jest wszystko, mój skarbie, to obiecuję ci, iż nigdy nie podniosę jednego palca na twego ojca, jeżeli cię nie wyda za kogo innego. Ale

wtenczas... — Jan zrobił ruch, oznajmiający wydobywanie noża na nieprzyjaciela.

— To rób, co zechcesz — odparła Łucya ze śmiechem. — Nie zmusi mię on nigdy do wyjścia za kogo innego, jak za ciebie, wiesz o tem dobrze, moje serce!

— W takim razie powinniśmy pobrać się niezadługo — dowodził młodzieniec. — Nie potrzebujemy mieszkać tutaj, wynajmiemy jeden z tych małych domków w nowej dzielnicy...

— Ale tak daleko byłbyś odemnie przez cały dzień, nie mogłabym wbiegać do pracowni co chwilę i nie przychodziłbyś do domu na obiad. O, nie zniosłabym tego!

— Bardzo dobrze, postaramy się wynaleźć coś bliżej — odpowiedział Jan, ulegając na tym punkcie. — Najmiemy małe mieszkanko na ulicy Minerwy, gdzie jest dużo słońca.

— I będziemy mieli balkon z kwiatami.

— I pąsowe firanki na kółkach do zaciągania, to daje takie piękne światło, kiedy słońce przez nie się przedziera.

— I zielone tapety i niebieskie pokrycie na meble — podsunęła Łucya. — To tak wesołe barwy.

— Albo może meble tego samego koloru, co obicie pokoju — tak bywa we wszystkich modnych domach.

— Jeżeli to istotnie jest modne, to trzeba tak zrobić — przywtórzyło dziewczę z żalem.

— Taka jest moda, moja droga, a ty musisz mieć wszystko elegancko. Ale czas iść — dodał młodzieniec, powstając z miejsca.

— Już? Jeszcze jest wcześnie, Janku... — zawahała się. — Drogi Janku — zaczęła znowu — patrząc na niego lękliwie, co powiesz mu w pracowni? Powiedz, że wolałabym raczej umrzeć, aniżeli wyjść za Carnesecchiego, że uroczyście przyrzekliśmy sobie, iż nas nic nie rozłączy! Ja nie mogę iść do niego, inaczej bowiem uczyniłabym to, a mama, biedna

mama, tak się go obawia, kiedy jest w złym humorze! Tylko ty i stryi Paweł możecie z nim się porozumieć, a po wczorajszem znieważeniu stryja Pawła nie będzie to tak łatwą rzeczą. Pomyśl nad tem, Janku, kiedy będziesz przy pracy i powiedz mi, skoro przyjdziesz na obiad.

— Nie obawiaj się, droga — odrzekł Jan Baptysta z ufnością — o czem innem myślałbym, podczas kiedy kuję młoteczkiem przez dzień cały?

Odszedł, a szybkie kroki jego wydawały odgłos, gdy zbiegał na dół, pozostawiając Łucyą stojącą we drzwiach, by podchwycić ostatnie słówko pożegnania, które rzucił, znalazłszy się na dole. Świeży głos jego rozbrzmiewał, mieszając się z turkotem wózków na ulicy. Odpowiedziała na wołanie i wróciła do pokoju.

Właśnie w tej chwili Signora Pandolfi wyłoniła się z swego pokoju, ubrana w nieuniknioną spódnicę i biały bawełniany kaftanek, z masą czarną włosów, zwiniętych na czubku głowy i podtrzymanych szpilkami, które się zdawały wypadać.

A, Łusiu, kochane dziecko, jaką noc spędziłam! — jęczała, upadając na krzesło przy stole, na którym stał jeszcze imbryk z kawą i próżne filiżanki. Co za noc, moja droga! nie zmrużyłam oka. Jestem pewna, że to sąd ostateczny! A w dodatku ten sirocco! to wszystko wystarcza, by zabić człowieka!

— Odwagi, mamo — odparła Łucya wesoło. Nie jest tak źle, jak się wydaje.

— O ten potwór, ten potwór! — jęczała tłusta pani. Oby doprowadził anioła do utraty cierpliwości! Wystaw sobie moja droga, chce on koniecznie wydać cię za mąż za dwa tygodnie i zostawił mi pieniądze, abym ci kupiła wyprawę! Co my zrobimy? Oszaleję, i będziesz musiała mię oddać do św. Ducha. O Boże, Boże! A ten sirocco!

— Sądzę, że ojciec wpierw oszaleje — rzekła Łucya. — W życiu swojem nie słyszałam o tak nie-

rozsadnej propozycyi. W jednej chwili - sądzę, że mam wyjść za Janka ojciec wpada w wściekłość i oto nowy mąż, jak u czarodzieja: taka komedya! Ale stryj Paweł postąpił dobrze.

O moja głowa! -- skarżyła się Signora Pandolfi, nie spałam ani minuty.

A potem wstyd było patrzeć, jak ojciec uspokoił się i stał się uległym, kiedy stryj Paweł powiedział mu o zamówieniu krucyfiksa! Gdyby to był kto inny, a nie ojciec, byłabym powiedziała, że się stał cud. Ale biedny ojciec! nie - cud, dokonany przez pieniądz oto cała prawda. Chciałabym widzieć tego świętego, któryby zdołał uczynić cud z ojcem.

- Ojciec święty musiałby umyślnie kanonizować jakiego świętego, by nawrócić tego potwora! Ten święty nie miałby już nic innego do roboty. O, jak to gorąco! głowa mi pęka. Co my zrobimy, moje drogie dziecko? Powiedz mi, co zrobimy dwie słabe kobiety same!

Przedewszystkiem potrzeba odwagi odpowiedziała Łucya i filiżanki kawy. Jest jeszcze gorąca a mama jeszcze nie piła...

Kawy! kto myśli o kawie? - zawołała Signora Pandolfi, odbierając filiżankę z rąk córki i zapijając płyn z większym spokojem, aniżeli można się było spodziewać.

- Tak, dobrze - mówiło dziewczę dalej — wypij, mamo, to ci posłuży. A potem, potem zobaczymy. Musisz, mamo, rozmówić się z Suntarellą o obiedzie, ta stara kobieta nie umie sobie radzić...

-- Obiad! -- zawołała matka -- któżby myślał o obiedzie w tych okolicznościach! Zostawił mi pieniądze na wyprawę! Łusiu, moje serce, mam gorączkę -- pójdę do łóżka.

Czy mama myśli, że przez to usunie wszelkie trudności? - odpowiedziała Łucya filozoficznie.

— Ale nie możesz wyjść sama...

- - Pozostanę w domu w takim razie.

— On przyjdzie na obiad i zażąda widzieć kupione rzeczy...

— Nie będzie nic do pokazania, — odparło dziewczę.

— I cóżby się stało? — dopytywała Signora Pandolfi. — Widzę już, jak mój małżonek powraca i znajduje, że nic nie kupione! Wyrywałby sobie włosy, zabiłby nas! Sprowadziłby tę miotłę, prawnika, aby go ożenić z tobą zaraz po południu i cóż zyskałybyśmy na tem? Tu potrzeba rozsądku, Łusiu, serce moje, rozsądku! — Powtarzała tłusta pani, uderzając się w czoło.

— E, jeżeli go mamo nie masz za dwie, to nie wiem, co zrobimy.

Coś trzeba zrobić, — namyślała się Marya Ludwika. — Głowa mi pęka na pewno! Możemy wyjść i kupić pół tuzina chustek do nosa, aby mu pokazać, że zaczęłyśmy kupować. Czy myślisz, że to go uspokoi? Możesz je zawsze spotrzebować — tuzin byłoby za wiele.

— Mam tylko jeden nos — zawołała Łucya.

— Szkoda — odpowiedziała matka bezmyślnie. — Zresztą chustki są najtańsze, a jeżeli rozłożymy wszystkie sześć na zielonej kanapie, wywołają one pewien efekt. O! ci mężczyźni, tak ich trzeba oszukiwać!

— Wiesz mamo co — odezwała się Łucya, patrząc przez okno. Możemy kupić kilka dobrych rzeczy, będą one zawsze potrzebne do ślubu z Jankiem. Tymczasem naturalnie ojciec będzie musiał zmienić zdanie — i wszystko będzie dobrze.

— Genialna myśl! — wykrzyknęła Signora Pandolfi. — Dobrze omyśliłaś, moje serce. Możemy po drodze wstąpić do pracowni, to uspokoi ojca.

— A może byłoby lepiej iść do niego i powiedzieć całą prawdę — rzekła Łucya, chodząc wolno po pokoju. — Musi się przecież dowiedzieć prędzej czy później.

— Czy oszalałaś dziecko? — wybuchnęła matka, podnosząc rękę w górę z przerażenia. Pomyśl tylko, coby zrobił, gdybyś poszła do niego i wszystko powiedziała!

– Dla czegożby w takim razie nie udać się do stryja Pawła – szepnęło dziewczę. – On będzie wiedział, jak najlepiej zrobić i pomoże nam, bądź pewna, mamo! Naturalnie spodziewa się nas widzieć, zanim coś postanowimy w tym względzie, ale ja się nie lękam rozmówić z ojcem sama. Zresztą Janek mówi z nim w tej chwili. Powiedziałam mu wszystko, co ma mu powiedzieć a on taki odważny!

– Chciałabym być nią także — jęczała Signora Pandolfi, popadając w powątpiewanie.

– Chodź, mamo, ja zadecyduję za ciebie — rzekła Łucya. – Pójdziemy do stryja Pawła i zrobimy, co on poradzi.

— Ze wszystkiego, to najlepsze – potwierdziła matka, podnosząc się zwolna z krzesełka.

W pół godziny później opuściły dom, ale nie weszły do pracowni. Gdyby to były uczyniły, byłyby się zdziwiły, iż Marka tam nie ma i że tem samem Jan Baptysta z nim nie mówił, jak Łucya przypuszczała.

Kiedy Jan przyszedł do pracowni, powiedziano mu, że Marek był tam tylko przez kilka minut i odszedł zaraz, kiedy wszyscy byli przy pracy. Zawahał się, namyślając się, czy nie wrócić do domu i nie spędzić jednej jeszcze godzinki w towarzystwie Łucyi, ale niepodobna było przewidzieć, czy Marek będzie nieobecnym przez całe przedpołudnie i Jan postanowił zostać.

Co więcej, właściwy pracowni zapach pobudzał do pracy a wraz z chęcią obudziła się miłość dla sztuki, nie tak silna może jak miłość dla kobiety, ale bardziej mu znana z siły przyzwyczajenia.

Wszyscy ludzie odczuwają podobne wrażenia a najwięcej ci, którzy idą za pewnem powołaniem i przywykli wykonywać pracę swoją na jednem

miejscu codziennie. Teofil Gautier przyznał w ostatnich swych dniach, że „nie umiał pracować gdzieindziej jak w oficynie „Moniteura“ twierdził on, że gdzieindziej braknie zapachu smarowidła drukarskiego, który mu nasuwał myśli. Artyści znają dobrze wpływ atmosfery pracowni. Pięć minut tego powietrza wystarczają, by świat zewnętrzny stał się dla niego snem i aby zapanowała rzeczywistość pracy. Thackaray był przywiązany do starego szlafroka jak do przyjaciela i uważał go za niezbędny do tworzenia. Balzac miał swój pokój owalny kiedy się wzbogacił, a kolor creme obicia odgrywał wielką rolę w jego myślach. Kowal lubi zapach i dym rozpalonego żelaza na kowadle a palce snycerza spieszą pochwycić narzędzia, rozrzucone na drewnianej ławie.

Jan Baptysta stał przy drzwiach warsztatu i choćby on był mistrzem zamiast uczniem, nie byłby mógł oprzeć się pragnieniu pójścia na swoje miejsce i podjęcia roboty, którą zostawił wczorajszego wieczoru. Za parę minut już był zajęty tak gorliwie, jak gdyby nie było na świecie wcale takich rzeczy jak małżeństwo i w ogóle nic warte życia prócz rzeźbienia pięknych arabesek na srebrnym dzbanie. Głowę miał spuszczoną, oczy śledziły pilnie najdrobniejsze poruszenie narzędzia, które trzymał, — zapomniał o wszystkiem innem i był całkiem pochłonięty przez pracę.

Wielka jednakże część roboty rzeźbiarza jest mechaniczną i kiedy gładkie żelazo biegło w delikatnych zakrętach pod uderzeniem delikatnem młoteczka, myśli młodzieńca powróciły do dziewczęcia, które zostawił nad wschodami na górze przed kwadransem; myślał o niej, jak to czynił codziennie, jako o przyszłej żonie i zapytywał siebie, kiedy i jak to będzie. Mówili często o miejscu, gdzie będą mieszkali, jak to uczynili tegoż poranka, a ponieważ żadne z nich nie było zbyt pomysłowym, przeto panowała znaczna zgodność między marzeniami, na jakie

sobie pozwalali od czasu do czasu. Miał to być zawsze zaciszny domek, wysoko położony, z balkonem, doniczkami gwoździków i pąsowemi firankami. Ich jedyna różnica zdania dotyczyła barwy ścian i mebli. Jak większa część Włochów, mieli oni bardzo mało poczucia kolorów i myśleli tylko o tem, aby wszystko było wesołe, jak mówili, czyli, że obicia należało wybrać jak najjaskrawsze. Włosi z natury, a mianowicie ci, którzy należą do sfery rodziny Pandolfich, mają silny wstręt do ciemnych barw. Wszystko, co nie jaskrawe, jest dla nich ponurem, żałobnem i pogrążającem zmysły. Jan widział w myśli ognisko domowe wedle swego życzenia i był szczęśliwy w sercu. Ale kiedy szedł z biegiem myśli, doprowadziło go to do porównania domu, do którego zamierzał wprowadzić żonę, z domem, w którym żyli pod dachem jej ojca i nagle scena ostatniego wieczora stanęła w pamięci młodzieńca. Upuścił młoteczek i wpatrzył się w zakratowane okna.

Przeszedł w myśli całe to zajście i może po raz pierwszy stwierdził jego rzeczywistą doniosłość i całe niebezpieczeństwo, jakie mogło wyniknąć, jeżeliby Marek upierał się przy przeprowadzeniu swych zamiarów. Jan raz tylko widział prawnika, którego tak nagle podsunięto w jego miejsce. Przypomniał on sobie chudego, trupio wyglądającego człowieka w długim czarnym surducie, ale to było wszystko. Nie pamiętał jego głosu, ani wyrazu twarzy; widział go tylko raz jeden i nie myślał już więcej o tem spotkaniu. Wydało mu się niepodobnem i przechodzącem wszelkie granice rozumu, aby ten obcy człowiek mógł zostać mężem Łucyi.

Przez chwilę to wszystko przedstawiało mu się jako przykry sen i Jan Baptysta uśmiechnął się, spoglądając znowu na robotę. Ale świadomość rzeczywistości powróciła niebawem i prześladowała go uporczywie. Nie mylił się, że Marek istotnie wypowiedział owe słowa i że ks. Paweł wysunął się, by

mu przeszkodzić w uderzeniu mistrza. Młodzieniec pochylił się nad robotą, biorąc narzędzia do ręki, lecz wahając się przyłożyć ostrze dłutka do srebra, jak się wahał uwierzyć w wierność swej pamięci.

ROZDZIAŁ V.

Marek wstał wcześnie tego poranku, jak już powiedziano wyżej, i opuścił dom, zanim Jan Baptysta był na nogach. Nie miał on ochoty pić kawy w towarzystwie swego ucznia i byłby chciał chętnie uniknąć tego. Nie chodziło mu też wcale o spotkanie się Łucyą, dopóki nie znajdzie czasu i sposobności do odświeżenia swego gniewu. Żona była zanadto senna, aby się sprzeczać i zdawała się nie wiele rozumieć, kiedy jej dawał pieniądze na zakupienie wyprawy dla Łucyi, dodając, że ślub odbędzie się zaraz.

— Nie pozwolisz mi nawet spać spokojnie — uskarżała się ona.

— Życzyłbym ci, abyś zasnęła na zawsze! — mruknął Marek, wychodząc z pokoju.

Wypił kawę w milczeniu i wyszedł z domu. Zajrzawszy do pracowni, odszedł wolno w stronę Kapitolu. Wilgotne powietrze poranne było mu przyjemnem a ponure ulice, przez które przechodził, odpowiadały jego usposobieniu. Byłby chciał, aby Rzym zawsze nosił taką ponurą oponę wilgoci, sirocco i chmur.

Człowiek w złym humorze wychodzi chętnie na deszcz i na niepogodę. Wszyscy chcielibyśmy, aby otoczenie stosowało się do naszego usposobienia, aby świat promieniał światłem, gdy jesteśmy szczęśliwi i pokrywał się chmurami, gdy się potykamy w labiryncie życia. Zakochani pragną, aby cała ziemia zamieniła się w ogród z ścieżkami oświeconemi blaskami księżyca, a jeżeli miłość opanowała jedno a opuściła drugie, ten ostatni chciałby zamienić ogród w burzliwe morze i miękką murawę na ska-

ły, chciałby pogrążyć się w głębinach, lub być rozerwanym w kawały przez fale, zanim zdąży przekonać się, co stracił.

Kiedy posuwamy się w lata, życie staje się wyrazem usposobienia, odpowiednio do sposobu, w jakim żyliśmy. Kto szuka pokoju, przekona się, że z wiekiem spokojna chwila, która dawniej tak się wydawała rzadką, powraca łatwiej i że wreszcie chwile łączą się, tworząc godziny a godziny budują dni i lata. Kto się zatrzymuje nad drobnemi swarami, znajdzie, że powtarzająca się często sprzeczka posiada władzę pomnożenia słabości, z której wynika i że może zamienić życie na piekło. Kto jest czynnym, nauczy się, że czynność staje się zwyczajem i wreszcie wyklucza możliwość odpoczynku i pragnienia go, a cząstka jego jest najlepszą, gdyż chwilowe zadowolenie z wielkiej pracy, dobrze wykonanej, jest warte tysiąca lat cichej i biernej spokojności. Pozytywne dobre jest lepszem od negatywnego „nie złego", jak lepiej jest ocalić życie, aniżeli nie zniszczyć życia. Jakiekolwiek atoli usposobienie wybierzemy, stanie się ono chronicznem z czasem i znane będzie przez tych, z którymi żyjemy, jako nasz temperament, właściwość, różniąca nas do temperamentu innych osób.

Marek rozpoczął życie w złym humorze. Rozkoszował się on urojonemi troskami i wywierał gniew swój na wszystkich, co się zbliżali do niego, zmieniając tylko objawy wedle położenia, w jakiem się sam znajdował. Wobec żony był wyniosły, wobec brata zuchwały, wobec swego ucznia cierpki, a wobec swych zwolenników pod Starym Sokołem odgrywał rolę demagoga. Przyczyna tych odmian była bardzo prosta. Żona nie mogła mu oponować, ksiądz Paweł nie sprzeczałby się z nim, Jan Baptysta imponował mu spokojem i mocą charakteru, a wreszcie jego socyalistyczni przyjaciele przyklaskiwali mu i schlebiali jego próżności. Dla słabego człowieka trudną jest rzeczą, ukazywać się zawsze

równym, a słabość jego uwydatnia się tem bardziej, im więcej udaje on siłę. Potęgą dobroci jest odwaga moralna i fizyczna, prawda, która wszystkich rzeczywiście dobrych mężczyzn i kobiety nie pozwala okrywać śmiesznością i nie dopuszcza wzgardy świata.

Markowi brakło odwagi, a jego złośliwość wrzała najwięcej, kiedy najmniej potrzebował się obawiać o swoje osobiste bezpieczeństwo. Z powodu tej wrodzonej słabości możliwem było takie połączenie wrażliwości artystycznej i spazmatycznej zuchwałości. Wrażliwa wyobraźnia tego człowieka obawiała się oporu tam, gdzie go nie było, a śmiałość jego kazała mu się lękać walki i budziła w nim nienawiść dla siebie samego z powodu tej obawy. Skoro atoli znalazł się sam, myśli jego zwykle powracały do sztuki i wyrażały się w delikatnem odtwarzaniu najwytworniejszych pomysłów. Wśród innych okoliczności charakter jego byłby się może rozwinął w całkiem inny sposób; talent byłby pozostał ten sam. Istnieje pewna nerwowa drażliwość, która działa jako bodziec na zdolności i pobudza do prędszego ich rozwijania się. U Marka ten stan niemoralny stał się chronicznym, a stał się dla tego, ponieważ on mu się poddawał. Jestto ogólnem niedomaganiem w miastach, gdzie człowiek jest zmuszony żyć z ludźmi i obcować z nimi, czy do tego ma ochotę lub nie. Gdyby Marek był mógł oddać się swej sztuce, żyjąc jak pustelnik na szczycie samotnej góry, byłby się stał o wiele lepszym człowiekiem.

Zrozumiał to prawie sam, idąc wczesnym porankiem wolno przez Via della Botteghe Oscure, „ulicą ciemnych sklepów". Myślał o krucyfiksie, który miał wykonać a zajęcie, jakie ta praca budziła w nim, spowodowało, iż obawiał się następstw domowej sprzeczki ostatniego wieczoru. Pragnął być sam a równocześnie pragnął zobaczyć miejsca i rzeczy, któreby budziły go do myślenia. Obo-

jętnem mu było, iż szedł tak daleko, że stracił z oczu nowy Rzym. Kiedy doszedł do małego ogródka koło św. Marka, zatrzymał się, spojrzał na bramę kościoła, przypomniał sobie barbarzyńskie mozaiki i zawrócił niecierpliwie we wązką uliczkę na prawo, rozpoczynającą Via di Marforio.

Sieć pobocznych dróg w tem miejscu pełną jest dawnych pamiątek. Tutaj jest Via Giulio Romano, gdzie malarz ten ongi mieszkał; tam znajduje się Macel dei Corvi, gdzie Michał Anioł przebywał niegdyś; tuż stoi posąg Marfiora, sławnego jako przeciwnik Pasquina. Miejsce to było ogniskiem artystów i uczonych w owych czasach. Niejedno pytanie tworzono tam, aby wywołać obosieczną odpowiedź, powtarzaną z ust do ust i starannie zapisywaną między epigramy Pasquina. Rzymianin niskiego pochodzenia nienawidzi przedewszystkiem tego, co istnieje, a najbliższa myślą jego jest wyrazić tę nienawiść w zgryźliwej satyrze, nie będąc odkrytym.

Jako pracowity Rzymianin, Marek myślał o starym Marforio, zdążając przez wązką uliczkę w stronę Kapitolu i żałował tych bezprawnych czasów spisków i czynów pełnych zdrady, kiedy każdy sam podnosił rękę przeciw bliźniemu. Szedł dalej z pochyloną głową i spuszczonemi oczami. Ktoś potrącił o niego, idąc spiesznie z przeciwnej strony. Podniósł głowę i poznał Kacpra Carnesecchiego żółtą twarz z długim nosem.

— O! Sor Marzio — to wy? — zagadnął prawnik.

— Zdaje mi się — odpowiedział artysta. — Przepraszam, byłem zamyślony.

— Nic nie szkodzi. O czem pan myślałeś, o Pasquinie?

— Czemużby nie? Ale nie, myślałem o czemś innem. Panu spieszno zapewne, w innym razie bylibyśmy pomówili o tej sprawie.

— Nigdy mi nie spieszno, kiedy chodzi o interesa — odparł Carnesecchi, spoglądając w głąb ulicy i przygotowując się do słuchania.

— Wiesz, co mam na myśli — zaczął Marek. — Mówiliśmy o tem przed dwoma dniami — o zamiarach co do mojej córki.

Prawnik spojrzał żywo na swego przyjaciela i przybrał minę obojętną. Wiedział on, że jego stanowisko społeczne było wyższe, aniżeli rzeźbiarza mimo wielkiego talentu Marka, wiedział atoli także, że Łucya miała dostać posag i że ostatecznie odziedziczy po ojcu wszystko. Posag pokrywa mnóstwo niedomagań w oczach człowieka, dla którego pieniądz jest głównym celem w życiu. Carnesecchi zatem zamierzał wydobyć z Marka tyle tysięcy franków, ile to było możliwem i przygotowywał się do handlowania się z nim. Sprawa nie była bynajmniej ułożona, pomimo wskazówek udzielonych żonie ze strony artysty co do wyprawy.

— Musimy pomówić o tem — rzekł Carnesecchi, nie dla tego, abym nie miał ochoty porozumieć się szybko, lecz należy tu uwzględnić wiele rzeczy. Zobaczmy tylko.

— Tak jest, zobaczmy, przywtórzył drugi. Moja córka posiada dobre wychowanie, jest także dostatecznie wykształconą. Powinna zrobić świetną partyą. Ale widzisz, pragnę człowieka poważnego na zięcia. Cóżbyś pan chciał? Należy być ostrożnym.

Nie łatwo to określić dokładnie, co Rzymianin rozumie przez wyraz „poważny“; do pewnego stopnia oznacza to przeciwieństwo wesołego a mianowicie młodego i nieustalonego. Niemieckie użycie wyrazu filister wyraża mniej więcej to samo. Pewien trzeźwy, prosty sposób zapatrywania się na życie, który uważano za wyraz moralności w Rzymie przed pięćdziesięciu laty, rodzaj smętnej wyższości ponad wszelkie zabawy w połączeniu ze znaczną dozą ascetyzmu i najsurowszą oszczędnością

w gospodarstwie — oto, co rozumiano przez wyraz „poważny". Dzisiaj znaczenie jego złagodziło się nieznacznie, ale poważny człowiek — un uomo serio — zawsze przedstawia w klasie średniej ojcu rodziny ideał zięcia.

— Eh, bez roztropności! zawołał Carnesecchi wymijająco, jak gdyby chciał pytać, gdzie byłby sam, gdyby nie posiadał roztropności poddostatkiem.

— Właśnie, odparł Marek, odgryzając koniec cygara i zwracając oczy ku chudej, przebiegłej twarzy prawnika, — myślę naturalnie, nie wiem — ale myślę, że pan jesteś poważnym człowiekiem. Może się też mylę.

— Mylić się jest rzeczą ludzką. Nie jestem jednakże już w tym wieku — co mam powiedzieć? Wszyscy wiedzą, że jestem poważny. Czy wiodę życie w kawiarniach? czy zdzieram buty na Piazza Colonna? doprawdy! jestem poważnym człowiekiem.

— Tak, odpowiedział Marek, jakkolwiek z pewnem wahaniem, jak gdyby nawet o ten punkt gotów był umawiać się z prawnikiem o bladej twarzy. Zapalił zapałkę o świecące małe pudełeczko i zaczął palić cygaro zamyślony. — Przejdźmy się trochę rzekł w końcu.

Obydwaj szli wolno przez chwil kilka a potem znowu się zatrzymali.

— Zobaczmy, rzekł Carnesecchi, spojrzyjmy na rzeczy, jak wyglądają. W tych czasach wiele jest sposobności do umieszczania pieniędzy.

— Hm! mruknął Marek, przedłużając twarz i spoglądając z ukosa. Wiem, że to jest wasze zdanie, Sor Gasparo, przykro mi, że pan taką dajesz wiarę stałości rzeczy. I pan także popadłeś w chorobę spekulacyi. Zdaje mi się, że myślisz o wybudowaniu pałacu Carnesecchich o ośmiu piętrach i trzydziestu dwóch apartamentach.

— Tak, jestem szalony, odpowiedział prawnik ironicznie.

— Kto wie? rzekł drugi. Powiadam panu, że budują drugie Pompei w tych nowych dzielnicach. Kiedy pan i ja będziemy starymi ludźmi, postrzeleni Anglicy płacić będą po dwa franki, aby im pozwolono chodzić wśród ruin.

— Być może: nie myślę o budowaniu. Przedewszystkiem nie mam soldi.

— A gdybyś pan je miał? dopytywał Marek.

— Co za głupstwo! Nikt ich nie ma. Wszystko robią na kredyt — ale gdybym tak miał milion, wiedziałbym, co z nim zrobić.

— I cóż takiego? Ja także wiedziałbym, co zrobić. Co za korzyść z budowania zamków powietrznych?

— W powietrzu lub nie, gdybym miał milion, wiedziałbym, jak go użyć.

— Ja chciałbym mieć pismo, rzekł Marek. Ho! ho! jakby ono siekło!

— Siekłoby pana i w dodatku krwi upuszczało, odparł prawnik z pewną pogardą. Nikt nie robi majątku na gazecie w tych czasach. Gdybym miał pieniądze, chciałbym zostać deputowanym. Przy roztropności można wiele zarobić w Izbie, a potem muszą się opłacać.

— Niezawodnie, to dobra karyera, przywtarzał artysta, ale, jak pan powiadasz, potrzeba pieniędzy na pierwsze wyposażenie.

— Nie miliona jednakże. Z dobremi wiadomościami i pewną znajomością prawa mała suma wystarczyłaby na to.

— To jest karyera, jak powiedziałem, powtórzył Marek, — ale pięć tysięcy franków nie byłyby dostateczne.

— Pięć tysięcy franków! — zaśmiał się Carnesecchi pogardliwie. Z pięciu tysiącami lepiej grać w loteryą; jeżeli pan stracisz, toć to drobnostka.

— To wiele pieniędzy, panie Kacprze, — odparł rzeźbiarz. — Jeżeli je zdobywałeś zwolna, to wiesz, co to znaczy.

— Być może. Ale stoimy tu przeszło od kwadransa, a ja mam klienta, czekającego na mnie z wielką sprawą, w której chodzi o miliony.

— Ba! — wykrzyknął Marek, — ta sprawa nasza nie tak nagła. Możemy jeszcze pomówić o niej a teraz nie będę pana zatrzymywał.

— Możemy iść razem i powiedzieć sobie nawzajem, co mamy do powiedzenia.

— Ja idę do Kapitolu, — rzekł Marek, — gdyż szedł w tę stronę, kiedy się spotkali.

— To i moja droga, — odpowiedział prawnik, zapominając, że biegł naprzeciwko Marka w dół ulicy.

— A! to szczęśliwie, — zauważył artysta z niedostrzegalnym niemal uśmiechem. Jak powiedziałem, — mówił dalej, — pięć tysięcy franków, to nie bank narodowy, ale to także ładna sumka, zwłaszcza, jeżeli można spodziewać się czegoś więcej w przyszłości.

— To zależy od przyszłości, ale ja tego nie nazywam sumą. Niżej dwudziestu tysięcy nie można nazwać sumą w całem znaczeniu słowa.

— Któż posiada dwadzieścia tysięcy franków? zaśmiał się Marek, wzruszając ramionami z niedowierzającem spojrzeniem.

— Mówisz pan tak, jak gdyby Rzym był schroniskiem biedaków, odparł Carnesecchi. Kto ma dwadzieścia tysięcy franków? Każdy je ma. Pan je masz i ja również. Trzeba być żebrakiem, by nie posiadać tyle. Z tem wszystkiem mówimy o interesie, panie Marku. Czemu nie mam tego wypowiedzieć? Zawsze mówiłem, że się nie ożenię niżej tej sumy posagu. Czemu odrzucać sposobność? czy dla tego, aby się przypodobać komu innemu? To nie moja rzecz starać się o podobanie komuś. Trzeba być sprawiedliwym.

— Naturalnie. Jakto? czy nie jestem sprawiedliwy? Ale gdyby się miała stać sprawiedliwość, gdzieżby się znajdowali pewni ludzie? Ja także powiadam, że jeżeli się pan ożenisz z moją córką, możesz się spodziewać posagu. Czy zaprzeczałem temu? Dostanie także wyprawę, ja ją zapłacę.

— To nie moja rzecz, mówił prawnik, to sprawa kobiet. Ale pięć tysięcy franków to także nie moja rzecz. Pomyśl pan, jaką odpowiedzialność bierze na siebie mężczyzna, kiedy się żeni! Pięć tysięcy! To nawet nie filiżanka kawy! Mówisz pan z szlachcicem, uczciwym człowiekiem, panie Marku. Namyśl się trochę.

— Namyślam się i widzę, że pan żądasz wiele pieniędzy, Signor Carnesecchi, odparł Marek rozgniewany po trochę.

— Nie słyszałem jeszcze, aby ktoś dawał pieniądze, nie będąc proszonym.

— Nie dla braku żądania nie otrzymasz ich, odrzekł artysta.

— Co pan chcesz powiedzieć, Signor Pandolfi? dopytywał Carnesecchi, prostując się i uderzając chude piersi lewą ręką. Czy pan sądzisz, iż go proszę o pieniądze? Czy pan chcesz znieważać uczciwego człowieka, galantuomo? Musisz wiedzieć, panie Pandolfi, że Kacper Carnesecchi nigdy nie prosił nikogo o żadną łaskę! Czy to rozumiesz? Mówmy otwarcie!

— Kto o tem mówi? pytał Marek. Dla czego się pan unosisz w ten sposób? A zresztą ułożymy tę sprawę. Pan tego sobie życzysz i ja również. Dla czegożby nie można się ułożyć? Jeżeli pięć tysięcy panu nie wystarczają, wymień pan sumę. Ile pan myślisz, panie Kacprze?

— Powiedziałem już i jak powiedziałem co dopiero i mówiłem zawsze, nie ożenię się niżej ośmnastu tysięcy franków posagu. Po co powtarzać? Słowa to nie pieczone kasztany.

— Ani ośmnaście tysięcy także nie, odpowiedział drugi. Chciałbym, aby były, miałbyś je pan w tej chwili. Ale frank jest frankiem.

— Ja też nie mówiłem, że to kapusta — zauważył Carnesecchi. — Zresztą dla czego miałbym się żenić?

— Może też się pan nie ożenisz — podsunął Marek, który ośmielił się w prowadzeniu dalszych pertraktacyi w skutek ograniczenia żądań ze strony prawnika,

— Dla czego nie? — zapytał ten ostatni szorstko. — Czy pan myślisz, że nikt inny nie ma córki?

— Jeżeli tak, to czemu się nie ożeniłeś dawniej?

— Bo nie miałem ochoty — odpowiedział Carnesecchi, przyspieszając kroku, jak gdyby chciał sprawę prędzej doprowadzić do końca.

Marek nic nie odpowiedział. Widział, że przyjaciel nagli go i zrozumiał, że prawnikowi chodzi o to, by się ożenić z Łucyą. Rzeźbiarz tedy udawać zaczął obojętność i milczał przez parę minut. U stóp Kapitolu zatrzymał się raz jeszcze.

— Wiesz, Sor Gasparo — odezwał się — że powodem, dla czego nie zadecydowałem nic co do małżeństwa Łucyi już dawniej, było to, iż nie spieszno mi było wydawać ją w ogóle za mąż. I teraz także nie dążę do tego tak bardzo. Będziemy mieli dość sposobności do pomówienia o tej sprawie później. Do widzenia, Sor Gasparo. Mam tam interes u góry, a może pański klient niepokoi się też o swoje miliony.

— Do widzenia — odpowiedział Carnesecchi. — Dosyć będzie czasu, jak pan powiadasz. Może się spotkamy dziś wieczorem pod Sokołem.

— Być może — rzekł Marek sucho i odwrócił się.

Znał on dobrze charakter swego przyjaciela i jakkolwiek w obecnem usposobieniu byłby chętnie chciał oznaczyć dzień ślubu i podpisać kontrakt ślu-

bny od razu, nie miał zamiaru ulegać zwygórowanym żądaniom Carnesecchiego. Prawnik potrzebował pieniędzy, jak myślał Marek, a ponieważ on sam był właścicielem tego, czego drugi pożądał, przeto nie miał wątpliwości co do tego, po której stronie ostatecznie będzie korzyść. Marek odszedł do połowy stopni Kapitolu, a potem stanął i spojrzał na dwa wilki, których utrzymanie municypalność rzymska uważa za konieczne dla potomków Romulusa. Pomyślał, że jeden z nich bardzo jest podobny do Carnesecchiego. Przypatrywał się biednym zwierzętom przez chwilę, jak biegały i ocierały chude boki o pręty ciasnej swej klatki.

— Co to za sympatyczne zwierzę! — zawołał głośno. Przechodzień jakiś popatrzył na niego i odszedł spiesznie, sądząc, że to obłąkany. W istocie, było pewne podobieństwo między prawnikiem, rzeźbiarzem a wilkami.

Inne myśli atoli ściągnęły uwagę Marka; a skoro tylko był pewnym, że przyjaciel jego już poszedł swoją drogą, zbiegł ze schodów. Obojętnem mu było, dokąd idzie, ale nie miał osobnego powodu do wdrapywania się na Kapitol. Krucyfiks, który brat jego zamówił ostatniego wieczora, zajmował całą jego uwagę i tak dla tego, aby być samotnym i myśleć o tem dziele, jak i dla tego, iż miał nadzieję znaleźć natchnienie w jednym z kościołów, wyszedł tak wcześnie z domu. Wiedział on aż nadto dobrze, co można znaleźć w rzymskich kościołach; ukrzyżowanie w kościele św. Trójcy i u świętego Wawrzyńca — obydwa obrazy pędzla Guido Reniego i obydwa nieodpowiadające jego pojmowaniu przedmiotu — widział dość często i nie miał ochoty patrzeć na nie więcej. Wreszcie wszedł do kościoła Pana Jezusa i usiadł w kącie ławki.

Nie spojrzał w górę. Wnętrze kościoła było mu równie dobrze znane, co zewnętrzna jego strona. Siedział zamyślony głęboko, zwijając od czasu do czasu miękki kapelusz w ręku i pozostając potem

nieruchomy. Nie wiedział, jak długo tam siedział. Grobowa cisza była mu przyjemną a kiedy wstał, czuł, że znalazł myśl, której szukał, i że zdoła ją wyrazić łatwo. Z westchnieniem pewnej ulgi wyszedł znowu na powietrze i szedł spiesznie do pracowni.

— Powiedziano mu, że Jan Baptysta pracuje tam i spojrzawszy na robotę, która postępowała, Marek otworzył drzwi wewnętrzne i wszedł do pracowni. Podszedł do stołu i podniósł w górę dzban, który leżał, gdzie go był zostawił ostatniego wieczoru. Trzymał go w ręku przez chwilę a następnie posuwając skórzaną poduszkę w stronę Jana, położył go na niej.

— Dokończ tego, — rzekł krótko — mam co innego do roboty.

Uczeń spojrzał zdziwiony, podejrzywając, że Marek żartuje z niego.

— Lękam się... odpowiedział z wahaniem.

— To nic nie szkodzi; dokończ go jak umiesz najlepiej, zrobisz go dość dobrze. Jeżeli nie będzie dobry, wezmę odpowiedzialność na siebie.

— Czy na seryo mam to wykończyć?

— Tak jest; powiedziałem ci, że mam wielkie dzieło przed sobą. Nie mogę tracić czasu nad takiemi drobiazgami jak liście akantusa i oczy cherubina!

Pochylił się i obejrzał pracę starannie.

— Mógłbyś odłożyć szyjkę i robić podstawę dalej, tam, gdzie ja przestałem — mówił dalej. — Sirocco jest u ciebie w łasce. Jeżeli jutro będzie zimno, kit skurczy się i będziesz musiał go znowu topić.

Marek mówił do niego, jak gdyby nic nie było zaszło między nimi, jak gdyby Jan Baptysta nie był zapowiedział, że przerżnie mu gardło, jak gdyby on sam nie zamierzał ożenić Carnesecchiego z Łucyą.

— Usiądź na mojem miejscu — powiedział. — Sznur jest dostatecznie długi dla ciebie, dla mnie jest on za krótki. Ja teraz będę modelować.

Nie mówiąc nic więcej, Marek wstał i wziął z kąta ciężki kamień, obmył go starannie i wysuszył chustką do nosa. Następnie postawił przed sobą czarę napełnioną czerwonym woskiem i zabrawszy kilka narzędzi, zasiadł do roboty. Jan, zmieniwszy miejsce, patrzał na narzędzia, których mistrz jego używał, z bystrem spojrzeniem pracownika i biorąc do ręki własny młotek, uderzył nim w robotę sobie powierzoną. Przez pewien czas panowało milczenie.

— Byłem w kościele — zauważył Marek wreszcie, ugniatając wosk w palcach, zanim go położył na kamieniu. Wiadomość ta była tak zadziwiająca, że Jan Baptysta wydał okrzyk zdumienia.

— Nie potrzebujesz się lękać — odpowiedział artysta. — Poszedłem tylko przypatrzeć się obrazowi, a z tem wszystkiem wcale na niego nie patrzałem. Pójdę do więcej jeszcze kościołów zanim skończę tę robotę. Powinienbyś także chodzić do kościołów i studyować, Janie. Wszystko jest pożyteczne w naszej sztuce — obrazy, posągi, mozajka, wyroby metalowe. Zdaje mi się, że nie ma ani jednego istotnie dobrego krucyfiksu ani ukrzyżowania w Rzymie. To jest dziwne, a ja marzyłem o jednym przez całe życie.

Jan nie znalazł odpowiedzi na to twierdzenie. Słowa te brzmiały tak dziwnie w ustach Marka tego poranku, że uczeń czuł się onieśmielony. A jednak tak często rozprawiali oni obydwaj o tym przedmiocie.

— Nie zdajesz się wierzyć mi — mówił Marek spokojnie dalej. — Zaręczam ci, że to jest faktem. Inne rzeczy w tym rodzaju nie są także lepsze; są może dziełami sztuki, ale mnie nie zadowalają. Nawet Pietà Michała Anioła u św. Piotra nie

podoba mi się. Mówią, że się także nie podobała jego współczesnym — był on za młody, aby robić rzeczy tego rodzaju — był młodszym od ciebie, Janie, miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, kiedy wykonał ten posąg.

— Tak — odpowiedział Jan Baptysta — słyszałem o tem od was, panie.

Pochylił się nad robotą, dziwiąc się, co mistrz chciał powiedzieć przez to zaznaczenie swego gustu. Zdawało się, jakoby Marek czuł niezręczność położenia i silił się na podtrzymanie rozmowy. Myśl ta była tak dziwna, że uczeń mógł był się śmiać głośno. Marek gniótł dalej wosk w palcach i kładł go na kamień, wyciskając w kształcie figury.

— Czy Paweł był tutaj? — zapytał mistrz po długiem milczeniu.

Jan potrząsnął głową, wyrażając przeczenie.

— To przyjdzie jeszcze — mówił Marek dalej. Nie da mi spokoju przez cały dzień, możesz być pewny.

— Pocóżby miał przychodzić? On nigdy nie przychodzi — rzekł młodzieniec.

— Będzie się obawiał, że wydam Łucyą za mąż do wieczora. Znam go i on mnie.

— Jeżeli tak myśli, to pana nie zna — odpowiedział Jan spokojnie.

— Doprawdy? — zawołał Marek, podnosząc głos w ironicznym tonie, który zwykle przybierał, kiedy mu się ktoś sprzeciwiał. — Dzisiaj, jutro czy pojutrze, cóż to szkodzi? Powiedziałem ci wczoraj, że powziąłem postanowienie.

— A ja powiedziałem panu, że także powziąłem postanowienie.

— O tak — chłopięce groźby! Nie mnie ustraszysz takiemi rzeczami. Widzisz, mówię na seryo. Myślałem nad tem długo; powiedziałem sobie, że nie

zniosę dłużej, aby mną pomiatały dwie kobiety i ksiądz — a tem więcej i ty także. Jeżeli tak pójdzie dalej jak dotąd, nie będę niedługo panem we własnym domu.

— Pan jedynie na tem stracisz — odparł Jan.

— Skończ już raz, Janie! — zawołał Marek z gniewem. — Znudziły mi się już twoje liche koncepty. Przeszedłeś do nieprzyjaciela, jesteś narzędziem Pawła, a jeżeli cię tu znoszę jeszcze, to jedynie dla tego, że cię czegoś nauczyłem i zasługujesz twoje myto. Co do sposobu, w jaki traktowałem cię przez te lata, to nie mogę pojąć, jak mogłem być takim głupcem. Zdaje mi się, że wszyscy mogli się przekonać o twej obłudzie w postępowaniu.

— Mówcie dalej — rzekł Jan Baptysta spokojnie. — Wiecie o naszej umowie z wczorajszego wieczoru.

— Ryzykuję chętnie. Jeżeli zobaczę jakieś objawy twego miłego usposobienia, każę cię aresztować za czyhanie na moje życie. Nie obawiam się ciebie, mój chłopcze, ale nie myślę umierać teraz. Dość już długo mieliście swoją wolę, teraz ja chcę mieć swoją.

— Pomówmy rozsądnie, panie Marku. Powiadacie, że mieliśmy swoją wolę. Mówicie tak, jak gdybyście byli, panie, w niewoli we własnym domu. Nie zdaje mi się, aby żona była tego zdania, albo też córka wasza. Co do mnie, nie robiłem nic innego, tylko spełniałem waszą wolę przez całe lata, a jeżeli się czegoś nauczyłem, to nie dla tego, aby pana opanować, lub gardzić jego wskazówką. Przed dwoma laty sami prawie podsunęliście mi, panie, że mam się ożenić z Łucyą. Naturalnie nie pragnąłem niczego więcej nad to i ułożyliśmy się, że będziemy czekali do mej pełnoletności. Omówiliśmy tę rzecz z tysiąc razy, ułożyliśmy szczegóły. Przystałem na dalszą pracę u was za małe myto, jakie pobieram, zamiast was porzucić, jakbym był uczynił, aby szukać szczęścia gdzieindziej. Widzicie, że

jestem spokojny, przyznaję, że byłem panu wdzięczny, iż mię nauczyłeś tak wiele, i wdzięcznym pozostanę zawsze. Daliście mi, panie, inny dowód zaufania, powierzając to dzieło rękom moim. Jestem za to obowiązany. Mówiliście o małżeństwie często; żyłem we waszym domu; widywałem Łucyą codziennie, ponieważ pozwalaliście nam przebywać razem, ile zechcieliśmy, następstwem tego jest, że nie tylko chętniej ożeniłbym się z nią teraz, aniżeli przedtem, ale ją kocham, nie wstydzę się wam tego wyznać. Wiem, że się śmiejecie, panie, z kobiet i mówicie, że nie są one niczem innem, jak małpami z głowami papuziemi. Jestem innego zdania. Łucya jest aniołem i kocham ją i tak samo ona mię kocha. Cóż się dzieje? Pewnego pięknego poranku przestajecie mię lubić, nie ostrzegłszy mię nawet o tem zdarzeniu i potem nagle wczoraj wieczorem wracacie do domu i mówicie, że ma wyjść za adwokata Kacpra Carnesecchiego. No, jak na człowieka, który mię zawsze uczył, że nie ma Boga, tylko rozum, to wszystko nie zdaje mi się wcale rozumem. Szczerze mówiąc, panie Marku, czy sami nie uważacie tego?

Marek patrzał na ucznia, marszcząc brwi, jak gdyby się wahał, czy ma się gniewać, czy też odpowiedzieć spokojnie. Widocznie zdecydował się na odpowiedź bardziej pokojową.

— Niegodnem jest człowieka, który idzie za głosem rozumu, aby tracił panowanie nad sobą i miotał daremne groźby, odpowiedział, przybierając minę mentora. Usiłujesz dowodzić mi argumentami. Pokażę ci zaraz, co znaczy argument i dokąd prowadzi. Odpowiedz mi teraz, Tisto, (Baptysta skrócone) na kilka pytań, a dowiodę ci, że nie masz słuszności. Kiedy człowiek poświęcił się wielkiej i chwalebnej sprawie, czy nie powinien on czynić wszystkiego, co w jego mocy, aby uzyskać powodzenie w obec tych, co się temu sprzeciwiają?

— Bez wątpienia, przyznał Jan Baptysta.

— A czy człowiek nie powinien chętnie poświęcać swych osobistych sympatyi, aby popierać wielki cel swego życia?

— Rozumie się!

— O ileż więcej zatem powinien człowiek starać się o swą sprawę, kiedy mu nie stają na przeszkodzie indywidualne sympatye, rzekł Marek tryumfująco. To jest prawdziwy powód, mój chłopcze. Oto nieunikniona logika wielkiego systemu.

— Nie rozumiem alegoryi, odpowiedział Jan Baptysta.

— To jest tak proste jak pieczone kasztany, mówił Marek. Nawet gdybym cię lubił, moim obowiązkiem byłoby nie dopuścić małżeństwa twego z Łucyą. Ponieważ zaś cię nie lubię — rozumiesz?

— O rozumiem, odparł młodzieniec. Dla tej lub owej przyczyny nienawidzicie mię. Ale pominąwszy osobiste sympatye, które, jak powiadacie, macie obowiązek zwalczać, nie widzę powodu, dla jakiegobyście panie musieli przeszkadzać naszemu małżeństwu, czując się poprzednio obowiązani popierać je.

— Ponieważ zdradzasz sprawę, zawołał Marek z nagłą dumą, ponieważ jesteś stronnikiem Pawła. Czy to nie dosyć?

— Biedny Don Paolo tkwi wam w gardle, jak się zdaje — zauważył Jan. Nie wiem, co on zrobił, chyba to, że nie dopuścił do tego, abym was zabił wczoraj wieczorem.

— Paweł! Paweł jest wężem, jadowitym gadem! To jego zajęcie, jego jedyny cel w życiu, aby niszczyć mój spokój, usuwać córkę od zdrowych poglądów, jakie starałem się w nią wpoić, aby ciebie sprowadzić z wązkiej drogi surowej cnoty Włocha, aby cię odmówić od wstępowania w ślady Brutusa, Kasyusza, wielkich Rzymian, mnie, twego mistrza i nauczyciela! To jest wszystko, o co dba Paweł a to dosyć — więcej, niż dosyć! Zapłaci mi on za swoje pełne zarozumiałości wtrącanie się!

Głos Marka zmienił się w szept syczący, kiedy się pochylił nad woskiem, który przerabiał w palcach. Jan spoglądał na jego bladą twarz i dziwił się w duchu nad tą dziwną mięszaniną artystycznego geniuszu, bombastycznej retoryki i bezgranicznej nienawiści, skombinowanych w dziwnym człowieku, którego losy dały mu za mistrza. Dziwił się także, jak mógł kiedykolwiek podziwiać przeciwieństwa siły i słabości, drobnostkowej nienawiści i niemożliwych dążności, które w ostatnim czasie w innem przedstawiły mu się w świetle. Czy wielu z nas nie towarzyszyło rozbiciu posągu Baala, zniszczeniu urojonego przedstawiciela nielogicznego ideału?

— Dobrze, panie Marku, — odezwał się Jan po chwili, — jeżelibym wrócił do uwielbiania was i waszych zasad — cóżbyście panie zrobili? Czy przywrócilibyście mi dawną przyjaźń i dalibyście mi córkę?

Marek spojrzał na niego nagle zdziwiony. Ale świeża twarz chłopca nie wyrażała nic. Jan mówił spokojnie i zagłębiał się na nowo w pracy.

— Jeżeli mi dasz dowód szczerości, — odpowiedział Marek ciszej — uczyniłbym wiele dla ciebie. Tak jest, dałbym ci Łucyą i zarazem cały interes, kiedy będę za stary do pracy. Ale to musi być dowód poważny — nie dziecinna igraszka.

— Co pan nazywasz poważnym dowodem? Wyznania wiary?

— Tak — przypieczętowane czerwonym woskiem, który jest nieco gęściejszy od wody — odpowiedział Marek ponuro, nie odwracając oczu od twarzy Jana.

— Krwią — rzekł młodzieniec spokojnie. — I czyjej to krwi chcielibyście, panie Marku?

Rzeźbiarz wyszeptał to imię ledwie dosłyszalnie i pochylił się nizko nad kamieniem, pracując zawzięcie nad figurą, którą miał pod ręką.

— Myślałem tak — mruknął Jan przez zęby. Potem podniósł głos nieco i mówił dalej: I macie odwagę, panie, siedzieć tam i umawiać się ze mną o zabójstwo brata, przekupując mię widokiem małżeństwa z córką? Dla czego nie zabijecie go sami, skoro mówicie o takich rzeczach?

— Głupstwo, chłopcze, ja tylko żartowałem — odrzekł nerwowo. — Szalony jesteś, biorąc to na seryo. — Gniew zniknął z głosu Marka i mówił prawie przekonywająco.

— Nie wiem odpowiedział młodzieniec. Sądziłem przez chwilę, że mówiliście na seryo. Radziłbym nie odzywać się w ten sposób przed kim innym. Ludzie mogliby tłomaczyć to sobie na seryo.

— Z tem wszystkiem ty sam groziłeś mi, że mi przerżniesz gardło wczoraj wieczorem — rzekł Marek z przymuszonym śmiechem. To jest to samo. Życie moje jest tak drogocenne jak Pawła. Ja tylko podsuwałem ci, abyś odwrócił czułe swe sentymenta odemnie ku memu bratu.

— Co innego jest grozić komuś w oczy, co innego proponować popełnienie zabójstwa. Ponieważ byliście tak otwarci w obec mnie, panie Marku, to przyznam wam się, że jeżelibym miał do wyboru zabić was, albo też ks. Pawła, w obecnych warunkach nie wahałbym się ani chwili.

— I którego chciałbyś...

— Żadnego — odpowiedział młodzieniec z sztywnym śmiechem. Ksiądz Paweł jest za dobrym, aby go zabić, a wy, panie, nie jesteście dość dobrzy. Spojrzyjcie teraz na głowę cherubinka, którą skończyłem.

ROZDZIAŁ VI.

Łucyi swoboda nie była szczerą i każdy, posiadający większą bystrość, niż jej matka, byłby domyślił się, że w rzeczywistości była więcej wylękniona, aniżeli to okazywała. Dziewczę miało wie-

le zdrowego rozsądku w połączeniu z większą bystrością, aniżeli jej posiadała otyła Signora Pandolfi. Nie myślała o tem, czy wie coś o logice i okazywała zawsze trochę sprzeczności w swych uczuciach dla Jana Baptysty, ale mimo to miała bardzo jasne pojęcie o tem, co rozsądne, przymiot, który ma wielkie znaczenie w trudnościach, jakkolwiek go często w życiu codziennem lekceważą ludzie, którzy się uważają za obdarzonych natchnieniem geniuszu.

Trudną zdaje się rzeczą dla cudzoziemca zrozumieć, że dzisiejsi Włosi nie są ludem marzycielskim. Jestto jednakże prawdą i potrzeba tylko zauważyć, że produkują mało albo nie mają wcale żadnych utworów wyobraźni. Nie mają oni fantastycznych pisarzy, poetów, mało kompozytorów zasłużonych, niewielu artystów, którzyby stali na równi z artystami innych krajów. Posiadali oni ongi twórczą zdolność, stracili ją atoli w naszych czasach i nie zdaje się, aby ją znowu odzyskali. Z drugiej strony Włosi są znakomitymi inżynierami, pierwszorzędnymi matematykami, zręcznymi choć mało skrupulatnymi dyplomatami. Jakkolwiek przeceniają oni swą siłę i wpływy, okazali zdolność do organizacyi, która wogóle jest praktyczna. Jeżeli im się nie udaje zdobyć stanowiska, jakieby pragnęli zająć w Europie, to należy to przypisać raczej ich wygórowanej próżności, aniżeli wrodzonemu brakowi inteligencyi.

Przymioty i wady ludu włoskiego istniały wszystkie w rodzinie Pandolfich. Marek posiadał więcej wyobraźni od niejednego ze swych ziomków, a nadto nadzwyczajną zręczność w wykonywaniu ręcznej pracy, jaką Włosi nieraz objawiają w wysokim stopniu. Z drugiej strony był nadzwyczaj dumny na zasady, które nazywał wielkiemi. Jego zapatrywania, dotyczące społeczeństwa, rządu i przyszłości kraju nie miały żadnej równowagi i zdradzały zadziwiającą nieznajomość praw, które kierują losami ludzkości. Cierpiał on w wysokim stopniu na to nie-

maganie umysłowe, które dotyka Włochów, na uwielbianie słów, które znaczą mało, a mają niby mieć wielkie znaczenie nazwisk historycznych, które retoryka demagogów wydobyła z ukrycia, w jakiem je słusznie umieścił sąd uczonych. Był on słaby, albo despotyczny i owładnięty ideami, które nazywał politycznemi.

Natura Łucyi przedstawiała inną stronę charakteru włoskiego, jeżeli mniej wydatną, to w każdym razie przyjemniejszą. Posiadała ona usposobienie, które na wszystko spogląda ze stanowiska życia codziennego. Pozbawiona wyobraźni, widziała tylko praktyczną stronę istnienia. Próżność jej ograniczała się na skromnem życzeniu, aby jak najlepiej przedstawić swoją osobę zewnętrzną, ambicya jej zaś nie sięgała po za najsurowszą możliwość w postaci małżeństwa z Janem Baptystą Bordognim i skromne, małe mieszkanko z balkonem i doniczkami gwoździków.

Gdyby była wiedziała, o ile jej ojciec był bogatszym, aniżeli przypuszczała, marzenia jej byłyby się powiększyły o tyle, że byłaby z czwartego na trzecie zstąpiła piętro w swym wyrojonym domu. Nie mogłoby się nigdy było pomieścić w jej głowie, aby Jan Baptysta mógł zaniechać pracy, zanim stanie się do niej niezdatnym wskutek starości. W jej pojęciu samo posiadanie pieniędzy nie mogło usprawiedliwić zmiany stanowiska. Od dzieciństwa była przyzwyczajona słyszeć ojca wykładającego swe teorye o świecie wogóle, ale jego kazania małe wywołały u niej wrażenie. Kiedy sądził, że ona słuchała z największą uwagą jego mowy, wtenczas zwykle życzyła sobie, aby sam się przekonał o niedorzeczności swych teoryi. Pragnęła także, aby trochę swego zapału poświęcił na korzyść spokoju domowego, gdyż widziała, że jego mowy doprowadzają matkę do rozpaczy. Po nad to nie dbała o to, co mówił, a tem mniej o to, co myślał. Jej umysł

był wogóle zajęty jednym przedmiotem, który pochłaniał jej uwagę, miłością dla Jana Baptysty.

Na tym punkcie była nieugiętą. Jej wuj Paweł byłby mógł zmienić jej zdanie co do wielu rzeczy, gdyż była skłonną do przyjmowania rady, gdzie chodziło o zdrowy rozsądek, ale w miłości dla Jana była stałą i niewzruszoną. Łatwiej było zmienić bieg myśli u ojca, aniżeli skłonić Łucyą do wyrzeczenia się człowieka, którego kochała. Kiedy Marek nagle oświadczył, że ma wyjść za prawnika, pierwszem jej uczuciem był niepohamowany gniew, który niebawem znalazł ujście we łzach. W nocy myślała nad tą sprawą i przyszła do przekonania, że to był tylko przykry żart, wymyślony przez Marka, by jej wyrządzić przykrość. Rano jednakże wydało jej się, że horyzont powlekła czarna chmura możliwego smutku, przyznawała sama przed sobą, że ojciec mógł mówić na seryo i doznawała jakiegoś przeczucia walki w życiu. Czuła ona, że wolałaby raczej umrzeć, aniżeli się poddać.

Miała ona teatralne życzenie zamienić z Jankiem przysięgę, że raczej utopią się razem na Ponte Quattro Capi, aniżeli się rozłączą. Natura jej nie była dramatyczną, tak samo jak jego.

Dziewczę ubrało się szybko, zdecydowawszy się, że jeżeliby wywierano jakiś nacisk, nie ustąpi, lecz nie widziała potrzeby wypowiadania frazesów i uznała, że lepiej być wesołą, o ile można, w danych okolicznościach. Gdyby nie stanowczość Łucyi, Signora Pandolfi byłaby z pewnością poszła za popędem uczuć i położyła się w łóżko. Łucya jednakże nie miała zamiaru dopuścić do tego i pocieszała ją, podając środki uniknięcia złego, jak gdyby sama była matką, a Marya Ludwika jej dzieckiem.

Znalazły księdza Pawła w małem jego mieszkanku; prosił, aby weszły i pomówiły z nim o całej sprawie.

Przedewszystkiem — rzekł kapłan — to jest niesprawiedliwe, powtóre niemożliwe, a po trzecie Marek nie odważy się spełnić swej groźby.

Jak ci się to wydaje prostem, księże — zawołała Signora Pandolfi, odetchnąwszy przy pierwszych słowach, jak zmęczony koń, który widzi wierzchołek góry.

— A gdyby ojciec odważył się i zmusił mię do tego — co wtenczas? — zapytała Łucya, która nie zadowoliła się tak prędko.

Nie może cię zmusić, moje dziecko — prawo nie pozwala na to. Powiedziałem to już wczoraj.

— Ale prawo tak daleko, a on taki gwałtowny — odpowiedziało dziewczę.

Nie obawiaj się — zapewniał ksiądz Paweł, pocieszając ją. Ja to poprowadzę. Będzie walka może, ale ja mu wyperswaduję to. Był z swymi przyjaciołmi wczoraj wieczorem i umysł jego był wzburzony. Pewnie myśli inaczej dziś rano.

— Przeciwnie, — wtrąciła Signora Pandolfi, — zbudził mię wraz ze świtem i dał mi wiele pieniędzy na zakupienie wyprawy Łucyi. Przyjdzie do domu na południe i będzie żądał zobaczyć rzeczy, które przyniosłam, więc myślałam sobie, że może lepiej kupić cośkolwiek, aby mu pokazać, tak z pół tuzina chustek, coś, co sprawi jakiś efekt.

Ksiądz Paweł uśmiechnął się a Łucya spoglądała z serdecznością od niego ku matce.

— Zdaje mi się, że pół tuzina chustek nie zrobiłyby dobrego wrażenia, rzekł kapłan. Albo widziałby, że nie myślisz na seryo i gniewałby się bardzo, albo też oszukałby się, myśląc, że istotnie kupujesz wyprawę. W tym razie zaś postąpiłabyś źle, tak nie powinno iść dalej; trzeba mu wybić myśl tę z głowy jak można najprędzej.

— Ale jeżeli nic nie zrobię przed obiadem, to będzie wściekły — będzie wołał, że spiskujemy wszyscy przeciwko niemu...

— Tak też jest, — rzekł Don Paolo z prostotą.

— O Boże, Boże — jęczała pani Pandolfi, szukając chustki do nosa w oczekiwaniu nowego strumienia łez.

— Nie płacz, mamo. To nic nie pomoże, — odezwała się Łucya.

— To prawda, na nic to się nie zda — przyznawał ksiądz Paweł. Nie można nic innego zrobić, jak iść i wystąpić śmiało wobec Marka i nie opuścić go, dopóki nie zmieni myśli. Lękacie się spotkania się z nim na południe. Pójdę teraz do pracowni do niego.

— O! jesteś aniołem, księże Pawle! — zawołała Marya Ludwika, odzyskując równowagę i chowając chustkę do kieszeni. Więc nie potrzebujemy nic kupować? Co za ulga!

— Powiedziałam ci mamo, że wuj Paweł będzie wiedział, co zrobić, — zauważyła Łucya. — On taki dobry i taki odważny. Ja nie chciałabym widzieć ojca dziś rano. Czy rzeczywiście pójdziesz do niego, wujciu?

Młode dziewczę zdjęło płaszcz i kapelusz z powieszadła na ścianie i przyniosła mu je.

— Naturalnie, że pójdę i to zaraz, — odpowiedział. Ale muszę wam udzielić rady.

— Zrobimy wszystko, co nam powiesz — zawołały obie kobiety razem.

— Nie stawiajcie mu żadnych pytań, ani nie dotykajcie wcale tej sprawy, gdy wróci do domu.

— Wolałabym prędzej mówić o śmierci, — wykrzyknęła Signora Pandolfi.

— A jeżeli zacznie mówić o tem, nie odpowiadajcie mu, ani go nie drażnijcie.

— Bądź o to spokojny, księże, — odpowiedziała otyła pani. — Nie trzeba budzić śpiącego psa — wiem o tem.

— Jeżeli się będzie bardzo gniewał, odeślijcie go do mnie.

— O! to znowu co innego. Wolałabym dać pieprzu kotu, aniżeli mówić do niego o tobie. Przeko-

nałbyś się, jakby przeklinał i dawał szkaradne przezwiska.

— Nie możecie dopuścić go do klątw i przezwisk, gdyż to grzech, ale jeżeli tylko przeciwko mnie się zwraca, ja mu przebaczam. Zresztą może lepiej będzie, jeżeli wspomni o tej sprawie, że zachowacie milczenie.

— To przyjdzie łatwo. On mówi tak wiele i tak prędko, nie czeka nigdy na odpowiedź. Ale czy się nie lękasz sam o siebie, kochany księże Pawle?

— O! nic mi nie zrobi — nie boję go się — odpowiedział kapłan. — Będzie trochę mruczał, użyje parę słów grubiańskich a potem skończy. Nabierz odwagi, Maryo Ludwiko, to będzie interes nie trwający nad pół godziny.

— Dałby Bóg, aby tak było! — westchnęła żona Marka, podnosząc oczy w górę i wstając z krzesła.

Łucya, która, jak powiedzieliśmy, bystro oceniała fakta, nie wierzyła w to, aby rzeczy poszły tak gładko.

— Przyjdź lepiej, wuju, z nim razem do domu do nas, kiedy się wszystko skończy, — rzekła, — aby nam dać przez to znak, że wszystko się ułożyło.

Ksiądz Paweł sam miał wątpliwości co do zakończenia sprawy, jakkolwiek tak dodawał odwagi kobietom, zwłaszcza pani Pandolfi. Poczciwa kobieta była z natury bardzo szczera, ale zdawała się zawsze wprowadzać jakiś żywioł komiczny do wszystkiego.

Wynikiem rozmowy było, że w pół godziny później Don Paolo pukał do drzwi pracowni na Via dei Falegnami, gdzie pracował Marek z Janem. Na głos rzeźbiarza wszedł.

Ksiądz Paweł nie miał tyle czasu, by zebrać myśli, zanim stanął na miejscu walki, ale jego zdanie o tej sprawie było zadecydowane. Kochał swoją siostrzenicę i zaczynał lubić Jana Baptystę. Znał prawnika Carnesecchiego z renomy, a to, co słyszał

o nim, nie uprzedziło go na korzyść tego człowieka. Byłoby to samo, gdyby Marek był wybrał kogoś innego. W mniemaniu kapłana Jan Baptysta miał prawo żądania spełnienia licznych przyrzeczeń, jakie mu zrobiono. Aby łamać słowo dla żadnej nie podpadającej przyczyny właśnie w chwili, kiedy Jan zaczynał stawać się rozsądnym człowiekiem, było wielką niesprawiedliwością, na którą ksiądz Paweł nie mógł pozwolić, jeżeli mógł jej przeszkodzić. Jan Baptysta nie był może wzorowym człowiekiem, ale w przeciwieństwie do Marka wydawał się świętym prawie. Miał dobre usposobienie i żadnych wielkich przywar; gdyby się ożenił z Łucyą i poświęcił swej sztuce, możnaby się po nim spodziewać wielkich rzeczy.

Z drugiej strony, Kacper Carnesecchi reprezentował szatana w swej osobie. Był on znany jako skrajny wolno-dumca, radykał a może gorzej jeszcze, jako socyalista. Nie był on z pewnością bogaty i wiano Łucyi miałoby dla niego znaczenie; byłby niezawodnie wydał ostatni grosz, aby zostać wybranym do Izby. Gdyby mu się to powiodło, reprezentowałby znowu inny unikat w tej źle kierowanej mniejszości, której jedynym celem jest obalenie istniejącego stanu rzeczy. Prawdopodobnie udałoby mu się odzyskać wyłożone pieniądze a do tego nie zbyt godziwemi środkami. Gdyby on upadł, pieniądze byłyby stracone i zaszedłby w złem daleko, intrygując razem z nikczemną prasą radykalną, w nadziei, iż uzyska posłuch i urząd.

Istnieje pewnego rodzaju stopniowanie w pojmowaniu słowa socyalista. We Francyi znaczy ono mniej więcej to samo, co komunista, jeżeli się używa prostej mowy.

W mowie pana Drumonta oznacza ono żyda. W Anglii socyalista równa się francuzkiemu republikanowi konserwatywnemu. W Ameryce oznacza ono złodzieja. W Niemczech wyraz ten oznacza przemyślną jednostkę z ograniczonemi środkami fi-

nansowemi, której zwykle nie udaje się zdmuchnąć jakiejś ważnej osobistości mokrym dynamitem. We Włoszech socyalista jest czystej wody anarchistą, który pragnie zburzyć wszystko, co istnieje, aby podzielić dobra, które nie istnieją wcale. Oznacza ono także młodego człowieka, który w kawiarni każe sobie podać szklankę wody i wykłuwacza do zębów i jest zdolny rozprawiać o polityce przez dłuższy czas przy tak skromnem pokrzepieniu się. Panowie głodomorcy, Succi i Merlatti, nie odkryli nic nowego. Ich cuda w poszczeniu może ciekawy oglądać o każdej porze w rzymskich kawiarniach.

ROZDZIAŁ VII.

Ksiądz Paweł uważał myśl samą o małżeństwie z Carnesecchim za zniewagę, wyrządzoną zdrowemu rozsądkowi i kiedy wchodził do pracowni Marka, był zdecydowany mu to powiedzieć. Marek spojrzał na niego badawczo a Jan Baptysta przewidywał, co nadchodziło. Skinął głową księdzu i wysunął stare krzesło trzcinowe z kąta, następnie powrócił do pracy w milczeniu.

— Domyślasz się, dla czego przychodzę — odezwał się ksiądz Paweł, rozpoczynając rozmowę.

— Nie — odpowiedział Marek cierpko. — Pewnie chodzi o krucyfiks, jak się domyślam.

— Bynajmniej — odparł ksiądz, składając parasol. — Daleko delikatniejsza sprawa. Mówiłeś wczoraj wieczorem o nieprawdopodobnym zamiarze wydania Łucyi za mąż.

— Powiedz lepiej, że powiedziałem ci jasno, co chcę zrobić. Jeżeli przyszedłeś mówić o tem, to mogłeś lepiej mówić tam do robotników. Niech oni ci odpowiadają, bo ja nie mam do tego ochoty.

Ksiądz Paweł nie łatwo się odstręczał. Zaczekał chwilę, jak gdyby chciał Markowi dać czas do zmienienia zamiaru, a potem mówił dalej.

— Trzy są przyczyny, dla których to małżeństwo nie może przyjść do skutku — rzekł. — Najprzód to jest niesłuszne — takie jest moje zapatrywanie. Powtóre to jest niemożliwe — a to jest zapatrywanie ustaw. Po trzecie, to nie nastąpi, ponieważ nie będziesz próbował popierać tego. Co mówisz, Marku, na moje powody?

— Są one godne ciebie — odpowiedział artysta. Nasamprzód nie dbam ani trochę o to, co ty uważasz za niesłuszne lub słuszne. Powtóre wezmę prawo we własne ręce. Po trzecie chcę to skończyć w przeciągu dwóch tygodni, a po czwarte możesz sobie iść do szatana! Co myślisz o moich powodach, Pawle? Są lepsze od twoich i łatwiej przeważą.

— Mój drogi Marku, rzekł ksiądz spokojnie, możesz myśleć, co ci się podoba w tych dniach wolności. Ale prawo nie dopuści cię do działania według słów twoich. Jeżeli zdołasz przekonać córkę, by wyszła za Carnesecchiego z własnej woli, to dobrze. Jeżeli nie możesz, to istnieje statut, jestem tego pewny, który nie pozwala zaciągać jej gwałtem na Kapitol i zmuszać do podpisania przemocą nazwiska w obliczu władz. Daję ci na to słowo; lepiej więc, że wybijesz sobie ten zamiar z głowy od razu i nie będziesz już o nim myślał.

— Przypominam sobie, że powiedziałeś to samo wczoraj wieczorem — mruknął Marek blednąc ze złości.

— Tak jest.

— Ty — ty — ksiądz! zawołał rzeźbiarz, niezdolny w gniewie znaleść epitetu bardziej ubliżającego. Ksiądz Paweł uśmiechnął się.

— Tak, jestem księdzem — odpowiedział spokojnie.

— Tak, jesteś księdzem — syczał Marek; — i cóż się stanie z powagą ojcowską w domu, gdzie stworzenia takie jak ty podsłuchują pod drzwiami? Czy mąż już nie ma posiadać żadnych praw? Czy nami mają rządzić kobiety i istoty w spódnicach?

Gadzina! Zatruwa mój dom, uczy córkę nieposłuszeństwa, żonę pogardzania mną, płatnych robotników....

— Milczcie! — zakrzyknął Janek podniesionym głosem, zrywając się z miejsca i zamykając Markowi usta ręką.

Wrażenie było nagłe i niespodziane. Marek był zaskoczony. Wydało mu się rzeczą niesłychaną, aby ktoś miał mu gwałtem przeszkodzić w używaniu mowy, jakiej sobie pozwalał bezkarnie przez tyle lat. Cofnął się blady i zdumiony i na razie ogłuszony ze zdziwienia. Jan stał nad nim z zarumienioną twarzą i zaciśniętą pięścią.

— Jeżeli się ośmielicie odezwać się jeszcze w ten sposób o księdzu Pawle, zabiję was własnemi rękami! — zawołał zniżając głos z koncentrowanem postanowieniem. Mam dosyć waszego nierozsądnego gadania. On jest lepszy od was, jak to powiedziałem wczoraj i powtarzam to dzisiaj, strzeżcie się.

Marek zrobił poruszenie, jak gdyby chciał wstać, i w tej samej chwili Jan schwycił za ostro zakończone narzędzie, które służyło do wykłuwania oczu cherubinka, niebezpieczną broń w silnem ręku.

Ksiądz Paweł powstał z krzesła i usiłował stanąć między nimi. Ale Jan nie dopuścił tego.

— Na miłość boską! — zawołał kapłan z wielkim niepokojem — tylko żadnych gwałtów! Janie, bo zawołam ludzi...

— Nie lękajcie się księże — odparł uczeń — ten człowiek jest tchórzem.

— Śmiesz to powiedzieć o mnie! — krzyknął Marek, cofając się równocześnie.

— Tak — to prawda. Ale nie sądźcie, że dla tego myślę o was gorzej, Sor Marzio!

Z temi słowami, wypowiedzianemi jak najbardziej pogardliwym tonem. Janek wrócił na swoje miejsce i wziął do ręki młotek, jak gdyby nic nie zaszło. Ksiądz Paweł odetchnął swobodniej. Co do Marka, zęby mu dzwoniły z wściekłości. Słabość

jego wreszcie została odkrytą i to przez Jana. Całe życie udawało mu się ukrywać fizyczną obawę, której przeczyły słowa. Uprawiał on zwyczaj stawiania czoła niebezpieczeństwu, mówiąc o niem spokojnie, jak to zauważył, że czynili odważni ludzie. Uznał za dobry sposób mówić ludziom, że ich się nie lęka, a jego występowanie chroniło go od fizycznych gwałtów. Teraz zdawało mu się, jakoby mu wyrwano wszystkie nerwy z ciała. Był przerażony i czuł, że to pokazał. Słowa Jana kłuły go w uszy jak żądło osy.

Nie przestąpisz już więcej tego progu — zasyczał między zębami. Młodzieniec wzruszył ramionami, jak gdyby mu to było obojętnem. Ksiądz Paweł usiadł znowu i wziął parasol do ręki.

— Janku — odezwał się — jestem ci wdzięczny, chłopcze, za życzliwość. Ale to nie dobrze, że jesteś taki gwałtowny . . .

To jeden z siedmiu grzechów głównych! — wołał Marek, odzyskawszy wreszcie głos i dziwnym sposobem objawił swe uczucia w zdaniu, które mógł powiedzieć spowiednik do penitenta.

Jan nie mógł powstrzymać się od śmiechu, ale wstrząsnął głową, jak gdyby chciał wytłomaczyć, że to nie była jego wina, jeżeli był gwałtownym wobec takiego człowieka.

— To bardzo źle grozić komu, Janie, — powtórzył ksiądz Paweł — a przytem to, co Marek mówi, nie obraża mię. Uspokójmy się. Marku, pomówmy rozsądniej. Janku, nie zapalaj się przy każdem słowie, nie można nic innego zrobić, jak spoglądać na rzeczy spokojnie.

— Bardzo to ładnie z twej strony, że tak mówisz — mruczał Marek, udając zajęcie się modelem, aby zamaskować niepokój.

— Na nic się nie przyda mówić inaczej — odrzekł ksiądz. — Powracam do przedmiotu. Chcę cię tylko przekonać, że uznasz za rzecz niemożliwą przeprowadzić zamiar swój gwałtem. Spytaj się

tylko człowieka, którego sobie upatrzyłeś, adwokata Carnesecchiego, a on ci powie to samo. Zna on prawo lepiej odemnie i od ciebie i nie będzie chciał brać udziału w takim zamachu na prawo. Zapytaj go, jeśli mi nie wierzysz.

— Tak, w ładne położenie chcesz mię wprowadzić. Żądać, aby ktoś żenił się z moją córką gwałtem! Ładne wyobrażenie miałby on o mej powadze w domu! Może sam podejmiesz się tego, aby pójść i powiedzieć mu to, kochany Pawełku? Oszczędziłbyś mi trudu.

Sądzę, że to twoja rzecz — odparł ksiądz Paweł, udając, że bierze słowa jego na servo. Ale jeżeli sobie życzysz . . .

— O! tego już zanadto! krzyknął Marek z nowym wybuchem gniewu. — Nie dosyć, że mi wchodzisz w drogę, ale jeszcze przychodzisz natrząsać się ze mnie! Strzeż się, Pawle, strzeż się! Możesz się posunąć za daleko!

— A ja nie radziłbym wam, panie Marku, posuwać się za daleko wtrącił Jan, odwracając się.

— Czy nie mogę mówić tak, aby mi nie przerywano? Pracuj dalej i pozwól nam się rozmówić. Mówię ci, Pawle, że nie potrzebuję twojej rady i że mi się już sprzykrzyło twoje wtrącanie się. Zbadam te rzecz, o ile ona dotyczy prawa, i pokażę ci, że mam słuszność, pomimo twych wszystkich zapewnień i przepowiedni. Mężczyzna jest panem we własnym swoim domu i musi tak pozostać, cokolwiek mówią prawa. Nie ma prawa, któreby mogło zmusić kogoś do poddania się woli brata — choćby tenże był księdzem.

Marek mówił spokojniej, niż zwykle, pomimo szyderstwa w ostatniem zdaniu. Przestał mówić i czuł, że Paweł i Jan, dwóch ich było za wiele na raz. Nie pragnął on powtórzenia sceny, która przeszła i uznał za najlepsze pohamować się na chwilę.

Cieszy mię to, że się chcesz rozpatrzyć w tej sprawie, — odpowiedział ksiądz Paweł. Jestem pewny, że niebawem zostaniesz przekonany.

Marek milczał i widocznem było, że uważał rozmowę za skończoną. Ksiądz Paweł był dość zadowolony, ponieważ zdobył przynajmniej jeden punkt, skłaniając brata do zbadania kwestyi. Pozostał przez chwilę na miejscu, rozmyślając nad położeniem rzeczy, i zapytując sam siebie, czy ma jeszcze coś powiedzieć. Pragnął on głębsze wywołać u artysty wrażenie. Nie dość było, zapatrując się z moralnego punktu widzenia, przekonać Marka o niewykonalności jego zamiaru, jakkolwiek to było tak wiele, ile tylko było można spodziewać się. Poczciwy człowiek pragnął z całego serca złagodzić nieco usposobienie Marka, spowodować go do uwzględnienia uczuć córki, do okazania odrobiny przywiązania, które, jak się zdawało, zamarło całkiem, do objawienia ludzkiej nieco strony charakteru. Ale obecne położenie wzbraniało księdzu Pawłowi robić dalszych usiłowań w tym kierunku. Obecność Jana, który nagle przedzierżgnął się na obrońcę kapłana, nakłada przymus. Sam na sam z bratem, Marek byłby może dał jakiś znak czułości, ale dopóki siedział tam młodzieniec, który przed chwilą zmusił go do milczenia, rzeźbiarz nie przestawałby się unosić gniewem i nie zapomniałby upokorzenia, jakiego doznał. Nie było już nic więcej do zrobienia i ksiądz Paweł przygotowywał się do odejścia, zapinając płaszcz i gładząc miękki kapelusz.

— Już odchodzicie, księże Pawle? — zapytał Jan Baptysta, powstając, by mu drzwi otworzyć.

— Tak, muszę iść. Do widzenia, Marku. Nie miej do mnie żalu, że cię naglę, abyś był ostrożny. Do widzenia, Janku.

Uścisnął rękę młodzieńca serdecznie, jak gdyby dziękując za dzielną obronę i opuścił warsztat. Marek nie zwracał wcale uwagi na niego. Kiedy drzwi się zamknęły, i Jan powrócił do swej pracy, artysta

odłożył narzędzia do modelowania i spojrzał na ucznia.

— Możesz także iść sobie — rzekł przyciszonym głosem, jak gdyby się dławił. — Możesz odejść raz na zawsze, nie potrzebuję cię już dłużej.

Wyjął z kieszeni sakiewkę, otworzył i wydobył z niej kilka papierków.

— Daję ci godzinę czasu do zabrania twoich rzeczy z mego domu — mówił dalej. — Oto twoje myto — nie będziesz potrzebował skarżyć księdzu, że cię oszukałem.

Jan stał spokojnie na środku izby, gdy Marek podawał mu pieniądze. Gorący rumieniec oblał młodzieńcze czoło i zdawało się, że chciał coś przemówić, lecz słowa nie wydobyły się na usta. Szybkim ruchem postąpił naprzód, odebrał pieniądze z rąk Marka i zwinąwszy papierki, rzucił mu je w twarz z całej siły. Odwróciwszy się, splunął na podłogę i wyszedł, zanim Marek zdołał znaleźć słowa do wyrażenia swego oburzenia na tę nową zniewagę.

Drzwi zatrzasnęły się i Marek pozostał sam. Był bardzo blady i przez chwilę rysy jego wyrażały wściekłość. Następnie okrutny uśmiech pojawił się na ustach. Schylił się, podniósł skręcone papierki, przeliczył je i włożył napowrót do sakiewki. Zmysł oszczędności nie opuszczał go nigdy i zrobił to mechanicznie. Kiedy spojrzał na ławę, wzrok jego padł na ostre narzędzie, które Jan Baptysta pochwycił przeciw niemu w złości. Obejrzał je starannie, wziął do ręki, uśmiechnął się i schował do kieszeni.

— To wcale nie złe — mruknął. — Ileż to oczu cherubinów zrobiłem tem narzędziem.

Powrócił do kamienia i przypatrywał się modelowi z wosku, oznaczonemu kilku silnemi zagłębieniami w czerwonym materyale, rozciągniętym palcami na czarnej płycie. W tej figurze tkwiła siła, nawet w tym pierwotnym stanie i dziwna biła po-

waga ze schylonej głowy, jedynej części, która się już uwydatniała.

Marek jednakże patrzał na nią ze złością. Obrócił ją do światła, przymknął oczy na chwilę, patrzał znowu a potem z klątwą spuścił chudą swoją, pożółkłą rękę na model i ciężkiem naciśnieciem spłaszczył to, co zrobił, zmieniając postać wykonaną w jednę niekształtną masę na ciemnym kamieniu.

- Nie zrobię go nigdy - rzekł cichym głosem. Zniszczyli mój pomysł.

Przez kilka chwil pozostał zatopiony w myślach z głową ukrytą w dłoniach. Wreszcie powstał i poszedł w kąt izby, gdzie stała ciężka skrzynia żelazna. Marek wyjął z kieszeni klucz, lśniący z powodu ciągłego noszenia i odbijający dziwnie od zardzewiałego zamka, w który go włożył. Z trudnością obrócił go chudemi palcami i podniósł ciężkie wieko. Kufer był pełen zawiniątek, pokrytych brunatnym papierem. Wyjmował jedno po drugiem, aż wreszcie doszedł do drewnianego pudła, które zajmowało cała długość i szerokość skrzyni. Wyjął je starannie i położył na brzegu ławy. Pokrywa przymocowana była śrubkami, które wyjmował jedne po drugiej, dopóki się nie otworzyła. Zawartość jej było owinięta starannie w cienkie płótno, które ongi było białe, lecz pożółkło z latami. Marek odwinął połtrycie delikatnem dotknięciem, jak gdyby obawiał się uszkodzić to, co się przed niem znajdowało. Wyjął wielki krucyfiks srebrny, starając się nie dotykać wcale postaci na nim. Postawił go na ławie przed sobą i usiadł, by mu się przypatrzyć.

Było to dzieło rzadkiej piękności, które zrobił przed dziesięciu laty. Z dziwnem uczuciem, jakiego niekiedy doznają artyści wobec swych utworów, dokończył go w tajemnicy, pracując samotnie w nocy, a kiedy go dokonał, schował go. Było to jego największe dzieło, jak przyznał sam przed sobą, a ponieważ od czasu do czasu wyjmował je i oglądał, stopniowo coraz mniej był skłonnym do pokazywa-

nia go innym, postanawiając pozostawić krzyż w puzdrze, aż go nie znajdą po śmierci. Wydawał mu się ponad wszelką cenę i nie chciał go sprzedać. Z fantastyczną ekscentrycznością rozumowania uważał go za rzecz świętą, z którą rozstawać byłoby świętokradztwem. Dla tego zatrzymał go. Kiedy go znowu wyjął, wydał mu się mniej dobrym i wystawiał sobie, że teraz zrobiłby coś lepszego. Wreszcie ukrył go w drewnianym puzdrze i schował na dno ciężkiej skrzyni, postanawiając nie spojrzeć nań więcej. Wiele czasu upłynęło od chwili, jak go widział ostatni raz.

Myśl, która mu przyszła do głowy, kiedy Paweł powiedział mu o zamówieniu poprzedniego wieczora, wydawała mu się całkiem nową. Przedstawiła mu się ona jakby gloryfikacya dzieła, które wykonał przed tak dawnym czasem. Czas i przyzwyczajenie do niezadowolenia zmazały z pamięci wspomnienie dzieła z minionych lat a wzruszenie obecnej chwili wydawało mu się czemś nowem. Rysował i modelował przez długie godziny, a jednak był niezadowolony z rezultatów. Miał on wewnętrzne przeświadczenie, że robił to dawniej i to lepiej.

A oto teraz arcydzieło z dawniejszych czasów stało przed jego oczami — wielki i masywny krzyż hebanowy, dźwigający prześliczną postać zmarłego Zbawiciela. Promień słońca wcisnął się przez zakratowane okno, obławiając swym blaskiem martwą głowę i oświecając ostrza cierniowej korony, spadające pierścienie włosów, umęczone ręce i rzucając cienie śmierci pod przymkniętemi oczami.

Przez kilka chwil Marek siedział nieruchomy na stołku, ogarniając całą siłę i piękność tego, co zrobił przed dziesięciu laty. Zapragnął potem obejrzeć go lepiej. Nie stał dość wysoko dla niego, ponieważ był przeznaczony na ołtarz. Nie mógł widzieć dobrze twarzy. Obejrzał się za czemś innem, na czemby mógł go umieścić, lecz nie znalazł nic pod ręką. Odsunął krzesło i odwracając trochę

krzyż, aby słońce mogło lepiej go oświecić, uklęknął na podłodze; z rękami złożonemi na brzegu ławy i wpatrywał się w zmarłego Chrystusa.

ROZDZIAŁ VIII.

Opuściwszy warsztat, ksiądz Paweł przeszedł przez ulicę i wszedł do domu Marka, zamierzając opowiedzieć Maryi Ludwice i Łucyi o rezultacie rozmowy. Nie doszedł jeszcze do najwyższego stopnia schodów, kiedy usłyszał za sobą kroki Jana Baptysty i odwróciwszy się, ujrzał zagniewaną twarz młodzieńca.

— Co się stało? zapytał kapłan, — zatrzymując się na schodach i kładąc rękę na żelaznej poręczy.

— Zostałem zwolniony z obowiązków, wypędzony, znieważony przez tego człowieka — odpowiedział uczeń gwałtownie. To kawał drzewa nie człowiek! Można do niego mówić jak do muru! Zaledwie ksiądz zamknął drzwi, a w tejże chwili wyjął sakiewkę, wyliczył mój zarobek i kazał mi się wynosić z domu w przeciągu godziny. Rzuciłem mu pieniądze w twarz — temu potworowi!

— Cicho, Janku, łagodził go ksiądz Paweł. Nie unoś się, urządzimy rzecz całą do wieczora. On się nie obejdzie bez ciebie a zresztą to moja wina w tem wszystkiem. Uspokój się, chłopcze, wszystko się znowu naprawi.

— Tak — a za godzinę mię tu już nie będzie! O! chciałbym go zadławić! Drogi księże Pawle, wy tylko sami możecie załatwić tę sprawę...

Cicho, cicho! Nie mogę słuchać, jak mówisz w ten sposób. Chodź, wrócimy do Marka, on posłucha...

— Czy wiecie, księże, co mi powiedział na kwadrans przed waszem przybyciem? zapytał Jan nagle, kładąc rękę na ramieniu księdza. Powiedział mi, że mogę dostać Łucyę i uzyskać dobrobyt,

jeżeli was zabiję, ojcze. Czy to rozumiecie? Chciałbym, abyście, księże dobrodzieju, byli widzieli wyraz jego oczu!

— Nie, nie, mój chłopcze, on był zły, ale tak nie myślał.

— Nie myślał! Zabiłby was, ojcze, sam, gdyby nie był takim podłym tchórzem!

Ksiądz Paweł wstrząsnął głową z uśmiechem niedowierzania i spojrzał w oczy chłopca łagodnie.

— Wszyscy potraciliście głowy w tej nieszczęsnej sprawie, Janku. Mówicie o wzajemnem zabijaniu się, jak gdyby to było tak prostą rzeczą jak „dzień dobry". To bardzo niedobrze mówić o takich rzeczach a zresztą wiesz, że nie warto, gdyż...

— To mi się wydaje dość prostem, odpowiedział młodzieniec, marszcząc brwi i zaciskając pięści.

— Chodź ze mną, nalegał ksiądz Paweł, chcąc schodzić na dół. Wróć do pracowni i rozmówimy się.

— Poczekajcie chwilę, księże Pawle. Proszę was o jednę rzecz, jednę łaskę. Jan zniżył głos. Możecie to, dobrodzieju, zrobić dla nas, jestem tego pewny. Zawołam Łucyę i pójdziemy...

— Dokąd? zapytał kapłan, nie rozumiejąc spojrzenia młodzieńca.

— Do kościoła, naturalnie. Możecie nam dać ślub w dziesięciu minutach i skończy się wszystko. Potem możemy się śmiać z pana Märka.

Ksiądz Paweł uśmiechnął się.

— Mój kochany chłopcze — odpowiedział — tych rzeczy nie robi się w jednej chwili, jakby się piekło kasztany. Najprzód muszą wyjść zapowiedzie. Potem nastąpi ślub cywilny na Kapitolu...

— Ja poprzestanę chętnie na waszem błogosławieństwie. Jedno Ojcze nasz, jedno Oremus nabożnie zmówione — czy to nie dosyć?

— Doprawdy Tisto, — zawołał kapłan, podnosząc ręce z oburzeniem. — Nie miałem pojęcia,

że twoje religijne wychowanie zaniedbano tak dalece. Moje dziecko, małżeństwo, to rzecz bardzo uroczysta!

— I ja tak myślę — ale nie potrzeba przecież tak długich ceremonii! Człowiek umiera w jednej chwili — paff! — światło zgasło! — jesteś trupem. To jest wielce uroczyste. Tak samo z małżeństwem. Ksiądz spojrzy na ciebie — Oremus — paff! Jesteś ożeniony i nie można już tego zmienić! Wiem, że to bardzo poważne, ale sprawa jednej chwili.

Ksiądz Paweł nie wiedział, czy się śmiać, czy patrzeć poważnie na to wyłuszczanie poglądów Jana na śmierć i małżeństwo. Złożył on to na karb wzburzenia chłopca.

— Inna jest przyczyna, Janie. Prawo nie pozwala dziewczynie siedmnastoletniej wyjść za mąż bez pozwolenia ojca.

— Znowu prawo! — zawołał Jan z niechęcią. Myślałem, że prawo broni Łucyi w obec ojca. Powiedzieliście to, księże dobrodzieju, zeszłego wieczoru i powtórzyliście to dzisiaj rano.

— Bez wątpienia, mój chłopcze. Ale prawo także broni rodziców w obec nierozwagi dzieci. Nie byłoby małżeństwa, gdyby Łucya nie miała pozwolenia ojca.

— Chciałbym, aby nie było praw wcale, — mruknął młodzieniec. — Zkąd wiecie, ojcze, tak wiele o małżeństwie?

— To mój obowiązek. Chodź ze mną, pomówimy z Markiem.

— Cóż możemy mu powiedzieć? Nie będę go przecież prosił, aby mię wziął napowrót.

— Musisz umieć przebaczać...

— Wierzę w przebaczenie, jeżeli druga strona rozpocznie, — odparł Jan.

— Może i Marek także przebaczy — dowodził kapłan.

— On nie ma nic do przebaczenia, — odrzekł młodzieniec. Rozumowanie wydało się mu niezbitem.

— Ale jeśli powie, iż nie stawia przeszkód, że cię prosi, abyś powrócił, to zdaje mi się, że możesz uczynić coś ze swej strony. Zresztą byłeś dla niego dzisiaj bardzo szorstki.

— Wyrzucił mię jak psa — po tylu latach — rzekł Jan. — Powrócę i będę dla niego pracował pod jednym warunkiem. Musi mi oddać Łucyą zaraz.

— Jako podstawa do układów, żądanie to pozostawia wiele do życzenia — odparł Don Paolo. — Naturalnie my wszyscy chcemy, abyś się z nią ożenił, ale dopóki Opatrzność nie raczy zmienić usposobienia Marka, będziesz musiał czekać na jej pełnoletność. Teraz nie pozwoli on pod żadnym warunkiem.

— W takim razie lepiej zaraz wyniosę rzeczy swoje z tego domu — odrzekł uczeń — i powiem do widzenia Łucyi — na dzień lub dwa — dodał cichym głosem.

— To pewna, że jeżeli nie chcesz być pojednawczym, to na nic się nie przyda iść ze mną — rzekł ksiądz Paweł nieco smutnie. Ale oto idzie Marya Ludwika z Suntarellą!

— A! kochany Pawle! — wołała tłusta pani, dysząc na schodach. — Jaki jesteś dobry! I cóż powiedział? Pytałyśmy się, czy byłeś w pracowni, powiedziano nam, że byłeś, więc Łucya poszła zapytać się ojca, czy kurczęta mają być gotowane, czy pieczone. Powiedz mi wszystko, jak było, księżyczku. A! te schody! Suntarello, pobiegnij i otwórz drzwi, zanim ja tchu zaczerpnę. Drogi księże Pawle, jesteś aniołem dobroci!

— Spokojnie, Maryo Ludwiko — odpowiedział ksiądz. Jest dobrze i niedobrze. Zgodził się na to, że rozważy sprawę, ponieważ nie może wydać Łucyi za mąż bez jej przyzwolenia. Ale z drugiej

strony — biedny Janek... spojrzał na młodzieńca i zawahał się.

— Wyrzucił mię, rzekł Jan Baptysta. Dał mi godzinę czasu do opuszczenia domu. Zdaje mi się, że już dobra część godziny upłynęła.....

— A Janek powiada, że na żaden sposób nie odejdzie — wtrącił ksiądz Paweł.

Signora Pandolfi zaczerpnęła tchu.

— O! o! zemdleję! jęczała, przyciskając rękojeść parasolki do piersi obydwoma rękami. O! co my poczniemy? Jesteśmy straceni! Księże Pawle, ja umrę!

— Odwagi, Maryo Ludwiko, rzekł kapłan łagodnie. Znajdziemy lekarstwo. Tymczasem Janek może przyjść do mnie. Tam jest mały pokoik, w którym sypia służący, który odjechał do chorej żony na wieś. Kardynał nie weźmie tego za złe.

— Ale nie odejdziesz w ten sposób! zawołała otyła pani, chwytając Jana za rękę i patrząc w twarz jego z wyrazem rozpaczy. Nie możesz odejść dzisiaj... to niepodobna Janku... twoje koszule nawet nie są jeszcze uprasowane! O Boże! Boże! A ja spodziewałam się, że Marek zrozsądnieje do południa, zamierzałam uczcić ten dzień i przygotowałam na obiad kurczęta z ryżem, jakie lubisz, Janku — o ty nie możesz odejść, ja nie pozwolę.

— Odwagi, Maryo Ludwiko — upominał ksiądz Paweł. Tu nie chodzi o kurczęta.

— Droga pani, jesteś zbyt dobrą — rzekł Jan Baptysta. Chodźmy najprzód na górę, gdyż się pani zaziębisz tu na schodach. Chodźmy, odwagi pani Ludwiko!

Wziął poczciwą kobietę pod rękę i poprowadził pod górę. Ksiądz Paweł pozostał na dole. Uznał za swój obowiązek powrócić do warsztatu i starać się naprawić złe, które zrobił Jan Baptysta przez rolę, jaką odegrał w wypadkach tego poranku. Signora Pandolfi pozwoliła zaprowadzić się na górę,

wzdychając, sapiąc i protestując przeciw odejściu Janka z ich domu.

Kiedy ksiądz Paweł pożegnał się z obydwoma kobietami godzinę wcześniej, nie poszły one do domu, jak sądził, lecz spotkawszy starą Assuntę blizko domu, poszły z nią porobić różne potrzebne zakupna. Wróciwszy, dowiadywały się o księdza Pawła w pracowni i Łucya weszła tam, spodziewając się, iż rzeczy zmieniły się na korzyść od rana. Od zeszłego wieczora nie widziała ona jeszcze swego ojca sam na sam. Pragnęła pomówić z nim, aby zbadać stopień jego decyzyi. Nie lękała go się. Fakt, że oddawna patrzał przychylnie na projekt jej małżeństwa z Janem, dodawał jej ufności, której nie mogło zburzyć w jednej chwili nawet dziwne postępowanie Marka. Przeszła pierwsze izby, skinąwszy głową robotnikom, którzy zdjęli czapki przed córką swego pana. Mały korytarzyk dzielił wielki warsztat od wewnętrznej pracowni. Drzwi od niej były całkiem zamknięte. Łucya zajrzała przez szparę, aby zobaczyć, czy Jan był z ojcem. Widok, jaki jej się przedstawił, był tak zadziwiający, że oparła się o ramę drzwi, zapierając oddech. Nie chciała wierzyć własnym oczom.

Ojciec jej w wełnianej swej bluzie, klęczał na ceglanej podłodze izby przed krucyfiksem, odwrócony od niej, z rękami wzniesionemi i jak się zdawało, złożonemi do modlitwy. Słońce oświecało srebrną figurę, oraz czarne rozrzucone włosy artysty, który pozostawał nieruchomy, jak gdyby zatopiony w modlitwie, podczas kiedy córka wpatrywała się w niego przez przymknięte drzwi. Scena należała do tych, któreby uderzyły każdego; wrażenie, jakie sprawiła na Łucyi, było nadzwyczajne. Wystawiała sobie, że Marek po rozmowie z księdzem Pawłem uczuł nagłą zmianę uczuć. Wiedziała, że ksiądz opuścił pracownią przed niewielu minutami i widziała ojca, modlącego się rzekomo przed krucy-

fiksem. Cudowne nawrócone musiało się dokonać, a rezultat jego objawił się oczom dziewczęcia.

Powstrzymała oddech i pozostała we drzwiach, zdecydowana nie ruszyć się, dopóki Marek nie powstanie z kolan. Przerywać mu w takiej chwili, byłoby niemal świętokradztwem; mogłoby to wywołać najzgubniejsze skutki; byłoby to wkraczaniem w wewnętrzne sprawy skruszonego człowieka. Stała, patrząc i czekając, co się stanie.

Wtem Marek poruszył się. Łucya myślała, że wstanie z ziemi, lecz zdziwiła się, widząc, iż tylko zmieniał pozycyą krucyfiksu jedną ręką. Przysunął głowę tak blizko niższej części jego, że Łucyi się zdawało, iż przyciska usta do zranionych stóp srebrnego Chrystusa. Potem cofnął się nieco w tył, odwrócił głowę ku jednej stronie i dotknął figury prawą ręką. Widocznem było teraz, że się już nie modlił, lecz że coś zwróciło jego uwagę.

Jak to naturalne, pomyślało dziewczę, że ten człowiek, nawet w tak uroczystej chwili, nie zapomina o sztuce, że, nawet modląc się, oczy zwraca na jakieś uchybienie dłutka, skazę w kruszcu, lub inny jakiś szczegół. Nie myślała w skutek tego o nim gorzej. Był artystą! Zwyczaje całego życia nie przestawały działać na niego, mógł on prędzej przestać oddychać. Łucya przypatrywała mu się i czuła coś nakształt miłości dla swego ojca. Pytała sama siebie, z delikatnem uczuciem uszanowania dla tajnych uczuć ojca, czy ma prawo mówić komuśkolwiek o tem, co widziała przypadkiem przez przymknięte drzwi pracowni.

Marek poruszył się znowu i tym razem powstał i został w tej postawie, tak, że krucyfiks był całkiem zakryty przed jej oczami.

Zapukała do drzwi. Ojciec jej odwrócił się nagle i spojrzał na wchodzącą, zakrywając ciągle krucyfiks sobą.

— Kto tam? — zapytał głosem, który wyrażał zdziwienie.

— Łucya, — odpowiedziało dziewczę nieśmiało. Czy mi wolno wejść?

— Poczekaj trochę, — odrzekł.

Cofnęła się i ciągle śledząc go, widziała, jak kładł krzyż na stół i przykrywał go płótnem — tem samem, w którem był owinięty poprzednio.

— Wejdź — zawołał. — Czego chcesz?

Przyszłam tylko na chwilkę, ojcze, — odpowiedziała Łucya, wchodząc do pokoju i oglądając się. — Mama zapytuje, czy kurczęta, które kupiła na obiad, mają być gotowane, czy pieczone.

— Pieczone —odpowiedział Marek, biorąc do ręki dłutko i udając zajęcie. — To Jan lubi je gotowane.

— Dziękuję, pójdę jej powiedzieć. Ojcze... zawahało się dziewczę,

— Cóż takiego?

— Nie gniewasz się już ojczulku tak jak wczoraj wieczorem?

— Gniewać się? Nie. Dla czego się o to pytasz? Ja nie byłem zły wczoraj wieczorem, tak samo jak nim nie jestem dzisiaj. Kto ci to wbił w głowę?

— Jaka ja szczęśliwa! — zawołała Łucya. — Ani na mnie, ani na Janka się nie gniewasz? Jak to dobrze! Gdzie Janek, ojcze?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Prawdopodobnie nie zobaczysz już Janka, ani Tysty, ani Jego Ekscelencyi Signorina Bordogni.

Łucya nagle zbladła i oparła się o poręcz krzesła, na którem siedział ksiądz Paweł w czasie swej wizyty.

— Co to znaczy? Co mówisz ojcze? Nie zobaczę już Janka? — pytała szybko.

— Jan Baptysta popełnił to głupstwo, że rzucił się na mnie dziś rano — tutaj, w mojej własnej pracowni — rzekł Marek, odwracając się i patrząc córce w oczy. Przyłożył rękę do mojej twarzy, rozumiesz? Byłby mię przebił dłutem, gdyby Paweł

nie był go powstrzymał. Czy ty rozumiesz to? Tylko z szacunku dla twych uczuć nie zabiłem go, jakbym był mógł zrobić. Oddaliłem go ze służby i dałem mu godzinę czasu do zabrania manatków z mego domu. Czy ci to jasne? Dawałem mu jego zarobek. Rzucił mi go w twarz i splunął, odchodząc. Czy to nie dosyć? Jeżeli go znajdę w domu, gdy przyjdę na obiad, każę go wyrzucić przez policyą. Widzisz więc, że go prawdopodobnie nie zobaczysz przez dzień lub dwa. Możesz iść do domu i powiedzieć matce tę nowinę, jeżeli jej już nie słyszała. To będzie zaprawa do jej kurcząt.

Łucya oparła się w czasie tego przemówienia o krzesło, jej czarne oczy otwierały się coraz szerzej, a twarz bladła coraz bardziej przy każdem słowie. Zdawało jej się w pierwszej chwili, że to oznacza beznadziejny rozdział z człowiekiem, którego ukochała. Nagłym ruchem poskoczyła naprzód i upadła na kolana przed Markiem.

— O! mój ojcze, błagam cię w imię Boga — zawołała z rozpaczą.

— To nic nie pomoże — odpowiedział Marek, cofając się. Łucya klęczała przed nim przez chwilę z podniesioną w górę głową, z wyrazem błagalnej rozpaczy na twarzy. Potem nagle upadła na podłogę na trójnogi stołek, który chwiał się przez chwilę, stracił równowagę pod jej ciężarem, a następnie przewrócił się z łoskotem na cegły. Biedne dziewczę zemdlało.

Marek przestraszył się widokiem i hałasem a widząc, co się stało, był bardzo przerażony. Ukląkł obok córki i pochylił się nad nią. Podniósł ją i na krzesło posadził, podtrzymując głowę i ciało w ramionach i klękając przy niej. Ostry ból przeszył mu serce, słaba oznaka miłości jeszcze całkiem niewygasłej.

— Łusiu moja, droga Łusiu — odezwał się tak czułym głosem, że dziwnie zabrzmiał w jego własnych uszach. Ale dziewczę nie dawało znaku

życia. Jej główka byłaby opadła naprzód, gdyby jej nie był podtrzymał rękoma.

— Moja córko! Mała moja Łusiu! Nie umieraj! powiedź mi, że żyjesz! wołał. W swej trwodze i nagłej czułości przycisnął usta do jej twarzy, całując ją kilkakrotnie. — Nie chciałem ci zrobić nic złego, ukochane dziecko, powtarzał, jak gdyby mogła go słyszeć.

Wreszcie otworzyła oczy. Dreszcz przebiegł jej ciało i podniosła głowę. Była bardzo blada i oparła się o poręcz krzesła. Marek ujął jej ręce i rozcierał w swych szorstkich dłoniach, ciągle patrząc jej w oczy.

— A! szepnęła. Myślałam, że nie żyję. Potem, kiedy Marek zdawał się chcieć mówić, dodała słabym głosem: — Nie powtarzaj już tego, ojcze!

— Łusiu — droga Łusiu! Wiedziałem, żeś nie umarła. Wiedziałem, że powrócisz do mnie, mówił ciągle jeszcze serdecznym tonem. Przebacz mi, dziecko, nie chciałem ci zrobić nic złego.

— Nie? O ojcze! czemuż więc to powiedziałeś? zawołała, wybuchając nagle płaczem, oparta na jego ramieniu. Powiedz mi, że to nieprawda, powiedz mi to!

Marek był prawie równie zmięszany jej powrotem do przytomności, ile nim był jej omdleniem. Jego natura na chwilę zmiękła pod wpływem wielkiej obawy o życie córki. Teraz, kiedy przyszła do siebie tak szybko, przypomniał sobie gwałtowność Jana i jego pogardliwe słowa i zdawało mu się, że czuje jeszcze silną dłoń jego na swych ustach, tamującą mu mowę. Zawahał się, powstał i zaczął chodzić po izbie. Łucya śledziła go z największą obawą. Toczyła się w nim walka między świeżą jeszcze niechęcią a miłością dla dziecka, która pojawiła się nagle w ostatnich pięciu minutach.

— Dobrze, Łusiu kochana, nie wiem... przerwał swoją przechadzkę i spojrzał na nią. Ona oparła się

w krześle w tył, jak gdyby chciała pochwycić każde jego słowo.

— Czy sądzisz, że nie mogłabyś... że byłabyś bardzo nieszczęśliwa... to jest, gdyby go nie było w domu... chciałem powiedzieć, gdyby mieszkał gdzieindziej i przychodził do roboty?

— O drogi ojcze! zemdlałabym znowu — i umarłabym, jestem pewna.

Marek spojrzał na nią z obawą, jak gdyby się spodziewał, że znowu upadnie na ziemię. Było to całkiem przeciwne jego naturze, aby brać Jana z powrotem do siebie, jakkolwiek oddalił go nagle w chwilowym gniewie. Odwrócił się i spojrzał na ławę. Tam leżały narzędzia młodzieńca, młotek, tak jak go zostawił, robota jego na skórzanym płatku. Dawny impuls przewidywania przyszłości pracował w umyśle Marka. Nie znajdzie on nigdzie takiego pracownika. W niepewności chwili, jak to się często zdarza, stanęły mu w pamięci żywo szczegóły i wywarły wrażenie. Przypomniał sobie odrębny sposób, w jaki Janek trzymał dłutko przy robieniu zarysów na srebrnej płycie. Nie widział tego u nikogo innego.

— Nie mdlej już, Łusiu moja. Jeżeli zdołasz go zatrzymać, to ja go przyjmę znowu. Ale zdaje mi się, że będziesz miała trudne zadanie. Będzie robił trudności. Rzucił mi w twarz pieniądze — w twarz twojemu ojcu, dziecko! Pomyśl tylko! Dobrze, dobrze, zrób, jak chcesz. Jest dobrym robotnikiem. Idź, dziecko, i zostaw mię samego. Co mu powiesz?

Łucya zarzuciła ojcu ręce na szyję i uściskała go w nagłej radości. Potem stanęła na chwilę zadumana.

— Daj mi jego pieniądze — rzekła. — Jeśli je weźmie, to powróci.

Marek wahająco wyjął sakiewkę i zaczął wydobywać papierki.

— Jeżeli tak chcesz — mruczał. Zresztą, jeżeli je odrzucił, nie widzę, aby miał prawo do nich.

Oto są. Jeżeli ci wspomni o tem, że dziesięciofrankowy bilet jest zgnieciony, to mu powiedz, że sam to zrobił. Idź dziecko do domu i poprowadź rzeczy jak umiesz najlepiej.

Łucya wsunęła pieniądze za rękawiczkę i przez chwilę strząsała pył ze swej sukni. Ojciec mechanicznie dopomagał jej w tem.

— Czy jesteś pewna, że nie zrobiłaś sobie nic złego? — zapytał.

Całe to zajście było mu niejasnem, jak gdyby mu ktoś powiedział coś niezrozumiałego — jak niekiedy słuchamy osoby czytającej głośno, ale z nieuwagi nie dosłyszawszy słowa w zdaniu, zapytujemy sami siebie, co znaczą wszystkie wyrazy.

— Nie, wcale nie. To nic — odrzekła Łucya i za chwilę była przy drzwiach.

Otwierając je, by wyjść, ujrzała wysoką postać księdza Pawła w końcu korytarza, podążającą spiesznie naprzeciw niej. Podniosła palec do ust i skinęła, jak gdyby tłomacząc, że wszystko załatwione, i że kapłan nie ma nic mówić Markowi. Nie wiedziała naturalnie, że mówił z Jankiem i z matką, ani że wiedział o odprawieniu ucznia. Obawiała się nowego kłopotu w razie, jeżeliby ksiądz Paweł teraz, kiedy widoki były pomyślniejsze, chciał rozprawiać znowu o małżeństwie. Ale wuj postąpił naprzód, jak gdyby chciał wejść do pracowni.

— Wszystko ułożone — szepnęła. Ksiądz Paweł spojrzał na nią zdziwiony. W tej chwili Marek zobaczył go w ciemnym korytarzu.

— Wejdź Pawle — zawołał. — Mam ci coś do pokazania. Idź do domu, Łusiu, moje dziecko.

Nie wiedząc, czego się spodziewać i dziwiąc się złagodzonemu tonowi głosu swego brata, ksiądz Paweł wszedł do izby, odczekał, póki Łucya nie doszła do końca korytarza, a potem zamknął drzwi za sobą. Stanął na środku izby z parasolem w ręku, ciekawy, w jaką nową fazę sprawa weszła.

— Mam ci coś do pokazania — powtórzył Marek, jak gdyby chciał stłumić pytanie jakiekolwiek, któreby ksiądz miał ochotę postawić. — Mówiłeś mi o krucyfiksie wczoraj wieczorem. Mam tutaj jeden. Czy będzie dobry? Spojrzyj na niego.

Mówiąc to, Marek odsłonił krzyż i podniósł go, tak, iż stał na ławie w tem samem miejscu, co poprzednio, kiedy sam mu się przypatrywał. Cofnął się, ustępując miejsca księdzu Pawłowi. Kapłan stał przez chwilę w milczeniu przed arcydziełem, z rękami w tył założonemi. Potem, jakby przypominając sobie, zdjął kapelusz, którego zapomniał zdjąć, kiedy wchodził do pracowni.

— Co za cudo! — zawołał stłumionym głosem.

Marek stał nieco w tyle z rękami w kieszeniach wełnianej bluzy. Nastąpiła długa chwila milczenia. Ksiądz Paweł nie umiał znaleść słów na wyrażenie swego podziwu, a podziw ten łączył się z uczuciem głębokiego nabożeństwa. Zdumiewająca rzeczywistość postaci, obleczona zarazem w rodzaj boskiej chwały, robiła na nim wrażenie, kiedy tak patrzał i wzbudzała mistyczny popęd do religijnego rozmyślania, właściwy osobom pobożnym. Zagłębił się w myślach, a szlachetne rysy jego odbijały jak w zwierciadle bieg myśli. Męka Zbawiciela świata odnawiała się przed jego oczami, dosięgając szczytu w ofierze krzyża. Mimowolnie ksiądz Paweł schylił głowę i powtarzał w duchu słowa Credo: „Qui propter nos homines et propter nostram salutem descendit de coelis", a potem „Crucifixus etiam pro nobis".

Marek stał, patrząc przed siebie, z rękami w kieszeniach. Palce schwyciły długie, ostre narzędzie, które wziął ze stołu po odejściu Jana. Oczy jego skierowały się w stronę gładkiej tonzury w tyle głowy kapłana i zwolna prawa jego ręka wyłoniła się z kieszeni, zaciskając w dłoni silnie ostre narzędzie. Podniósł je do wysokości głowy, tuż nad gładko wygolonym kręgiem wśród czarnych wło-

sów. Oczy jego rozwarły się szeroko, a usta drgały nerwowo, rozchylając wargi nad pożółkłemi zębami.

Ksiądz Paweł poruszył się i odwrócił się, by powiedzieć do brata coś o jego dziele. Widząc postawę Marka, cofnął się z rodzajem okrzyku i wyciągnął rękę, jakby chcąc się zasłonić od ciosu.

— Marku!

Artysta szybko podniósł rękę do swego czoła i blady uśmiech pojawił się na zbielałych ustach. Głos jego ochrypł.

— Zasłaniałem oczy od słońca. Czy nie widziesz, jak mnie olśniewa, odbijając się na srebrze? Co sobie wystawiasz, Pawle? Wyglądasz przerażony.

— O, to nic — odpowiedział kapłan śmiało. — Może jestem dziś trochę nerwowy.

— Tak to wygląda — rzekł Marek, siląc się na śmiech. Rzucił narzędzie niecierpliwym ruchem między inne na stół. Co myślisz o krucyfiksie?

— Jest prześliczny — odrzekł, panując nad sobą całą siłą woli. Kiedy go zrobiłeś, Marku? Nie miałeś czasu...

— Zrobiłem go przed laty — odpowiedział rzeźbiarz, odwracając głowę, by ukryć bladość. Zrobiłem go sam dla siebie. Nie myślałem go nigdy pokazywać, ale zdaje mi się, że nie zrobię już nigdy nic lepszego. Czy będzie dobry dla kardynała? Spojrzyj na robotę. Jest delikatna i czysta. Naturalnie nie znasz sztuki, Pawle, ale ci wytłomaczę wszystko w kilku minutach...

Marek mówił bardzo szybko, prawie bez związku i widocznie walczył z wzruszeniem. Paweł stał nieco zdala od ławki i od czasu do czasu robił znak głową.

— To jest bardzo proste — mówił artysta dalej, jak gdyby się lękał przestać, by zaczerpnąć tchu. Widzisz, robią czasem figury w prawdziwem r e p o u s s é, do połowy, lane, a potem złączone, tak,

że wyglądają jak z jednej sztuki, ale niepodobna ich zrobić dobrze, chyba, że się posiada stępel do wyciskania płyty w pierwotnej formie — ale stępel wyrabia zawsze tę samą postać, chociaż możesz odmienić twarz. Tanie srebrne krucyfiksy i aniołki i tym podobne rzeczy robią wszystkie w ten sposób i przy nadzwyczajnem staraniu można naturalnie wiele zrobić, aby wyglądały artystycznie.

— Naturalnie — potwierdził ksiądz Paweł cichym głosem. Zdawało mu się, że zrozumiał przyczynę tej wymowy swego brata.

— Tak, naturalnie — mówił Marek równie szybko, jak przedtem. — Ale zrobić coś takiego, jak oto ten krzyż, to rzecz całkiem inna. O, zupełnie inna. Tutaj musisz modelować figurę we wosku i robić odciski części i rzeźbić każdą część z osobna, kopiując wzór. Potem musisz połączyć wszystkie części razem i starannie zatrzeć linie. To wymaga nadzwyczaj delikatnej ręki, gdyż jakkolwiek odlew jest trudny, to nie jest to samo, co robić kielich wypełniony cementem i przygotowany, który można kłaść na ogień, wygładzić i rzeźbić, ile razy się podoba. Tutaj nie można kłaść na ogień od chwili, jak tylko połączyłeś odpowiednie części. Czy mię rozumiesz? Dla czego patrzysz na mnie w ten sposób Pawle? Wyglądasz, jakbyś mnie nie słuchał.

— Przeciwnie — odparł ksiądz, — zdaje mi się, że rozumiem to dobrze — tak dobrze, ile może całą procedurę zrozumieć profan w tym względzie. Nie ja tylko patrzę na ukończone dzieło. Jest wspaniałe, Marku — cudowne! Nie widziałem nigdy nic podobnego.

— Możesz je mieć dziś wieczorem — rzekł Marek, odwracając się i chodząc po izbie. — Chcę je jeszcze nieco poprawić. Nauczyłem się czegoś w ciągu lat dziesięciu. Będę pracował przez dzień cały i przyniosę wieczorem, by pokazać Maryi Ludwice. Potem możesz go zabrać.

— A cena? Muszę wiedzieć, co powiedzieć Kardynałowi.

— O! mniejsza o cenę. Zadowolnię się tem, co mi da, skoro go się pozbywam. Żadna cena nie równałaby się pracy. Doprawdy, Pawle, gdyby to nie było dla ciebie, nie oddałbym go wcale. Tylko moje przywiązanie dla ciebie mogło mię do tego skłonić. Jest to perła mej pracowni. Jakże pracowałem nad tem przed laty dziesięciu!

— Dziękuję ci. Sądzę, że rozumiem, — odpowiedział kapłan. — Jestem ci wielce zobowiązany, Marku i zapewniam cię, że zostanie oceniony. — Przyjdę po krzyż dziś wieczorem.

— Dobrze, do widzenia, Pawle. Oto twój parasol.

Kiedy ks. Paweł odwrócił się, by opuścić izbę, artysta spojrzał ciekawie na jego tonzurę i oczy ścigały ją, dopóki Paweł nie włożył kapelusza na głowę. Potem zamknął drzwi i powrócił do ławy.

ROZDZIAŁ IX.

Łucya pospieszyła z dobremi wiadomościami do domu. Jej młodzieńcza natura była giętka; uszczęśliwiona, że zapewniła Janowi powrót, szybko otrząsnęła się z wzruszenia, jakiego doznała. Nie rozmyślała wiele, gdyż nie miała czasu. Stało się to wszystko tak nagle, że myśli jej się plątały i wiedziała jedynie, że człowiek, którego kochała, musi być w rozpaczy i że im prędzej pójdzie do niego, tem łatwiej jej przyjdzie pocieszyć go w utrapieniu. Oddech jej stał się szybkim, gdy dobiegła do szczytu wschodów, a serce biło silnie, gdy dzwoniła do mieszkania. Widocznie zadzwoniła tak mocno w swem wzburzeniu, że wzbudziła podejrzenie w starej Assuncie, która ostrożnie wyjrzała małem kwadratowem, okratowanem okienkiem we drzwiach zanim otworzyła zamek. Zobaczywszy Łucyą, zaczęła się śmiać i szybko drzwi otworzyła.

— Tak głośno! — odezwała się starowina. — Myślałam, że to policya, albo pan Marek w złości.

Łucya nie przerywała jej, lecz wbiegła szybko do pokoju, gdzie Signora Pandolfi była sama, siedząc na swem prostem krześle z kapeluszem z szklanemi winogronami w ręku; przedstawiała obraz rozpaczy. Łucya pospieszyła ją pocieszyć.

— Nie płacz, mamo — rzekła szybko. Już wszystko załatwiłam. Ojciec chce, aby został. Przyniosłam pieniądze Janka. Prawda, nie możesz się domyślić mateczko, jak to wszystko się stało. Poszłam zapytać go o kurczęta, a potem zapytałam o Janka i powiedział mi, że już go nie zobaczę, a potem — potem uczułam coś tu w piersiach, wszystko zaczęło tańczyć przed oczami i upadłam na cegły, — moja suknia jest cała zapylona — o, spojrzyj, mamo, ale to nic nie szkodzi. Cierpliwości! Upadłam na podłogę jak miech mąki — p a t a t u n f a t e!

T - t t t! — zawołała Signora Pandolfi, podnosząc w górę ręce i wciągając oddech podczas kiedy język uderzał o podniebienie.

— A kiedy odzyskałam przytomność — zemdlałam, wiesz mamo — siedziałam na starem krześle trzcinowem a ojciec trzymał moje ręce w swoich i nazywał mię swoim aniołkiem! Możesz sobie, mamo, wyobrazić moje położenie, kiedy mię nazwał aniołem! To pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się zemdleć — nie masz pojęcia mamo, jakie to zabawne!

— O! moja droga, to musiało zmiękczyć mu serce! — zawołała Marya Ludwika. — Gdybym tak mogła zemdleć choć raz na chwilę! Kto wie? Możeby się nawrócił! A więc, Łusiu, cóż dalej?

— Mówiłam z nim, prosiłam go, powiedziałem, że prawdopodobnie zemdleję znowu i doprawdy czułam, że takby się stało. Powiedział mi więc, że mogę mieć swoją wolę i kazał mi zaraz iść do domu powiedzieć o tem Jankowi. Gdzie jest Janek?

— Eh! jest w swoim pokoju, pakuje manatki. Pójdę i zawołam go. Co to za dziwny dzień dzisiaj! Pomyśleć, że to jeszcze nie jedenasta godzina a co się już wydarzyło! To wystarczy, aby kobieta postradała zmysły i była zdatną do wysłania do Santo Spirito. Najprzód masz iść za mąż, potem znowu nie masz wyjść za mąż! Potem Jan zostaje odesłany — po tych wszystkich latach i to taki dobry chłopiec! Potem go znowu przyjmują napowrót! A potem... ale kurczęta, Łusiu, zapomniałaś się spytać...

— Wcale nie — odpowiedziało dziewczę. Pytałam się zaraz na wstępie. Potem, nie wiem, czy byłabym miała dość siły, aby mówić o kurczętach. Mówił, że chce pieczone. Biedny Janek! On je lubi gotowane z ryżem. Trudno, nie można mieć wszystkiego na świecie!

Signora Pandolfi doszła do drzwi i zawołała piskliwym głosem:

— Tisto! Tisto! Można ją było usłyszeć na ulicy.

— Ej! pani Ludwiko. Nie jesteśmy na Piazza Navona — odezwał się Jan Baptysta, ukazując się we drzwiach małego swego pokoiku. Co się stało?

— Chodź i rozmów się z Łucyą — odpowiedziała poczciwa kobieta, wybiegając, aby powiedzieć Assuncie o obiedzie.

Jan wszedł do pokoju i widząc rozpromienioną twarz dziewczęcia, domyślił się, że nastąpiła jakaś korzystna zmiana w jego położeniu, albo w położeniu ich obojga. Łucya zaczęła mu opowiadać, co zaszło, mniej więcej tak samo jak matce, tylko nieco łagodniej i ze spojrzeniem, które wyrażało szczęście. Kiedy wyłuszczyła położenie, zaczekała na odpowiedź. Jan stał obok niej i trzymał jej rękę, lecz patrzał przez okno, jak gdyby niepewny, co powiedzieć.

— Oto są pieniądze, — rzekła Łucya. Weźmiesz je, nieprawdaż? Wtenczas wszystko będzie

skończone. Co ci jest, Janku? Nie jesteś zadowolony?

— Nie ufam mu, — odpowiedział młodzieniec. — To nie jest jego zwyczajem zmieniać zdanie w ten sposób co chwilę. Ma on coś niedobrego na myśli.

— Cóż może zrobić?

— Nie wiem, ale czuję, jak gdyby coś złego groziło. Cierpliwości! Któż zresztą wie. Jesteś aniołem, Łusiu moja ukochana...

Wszyscy mi to dziś mówią, — odrzekło dziewczę. — Ojciec, ty...

— To rzecz naturalna. Jestto prawdą, a więc każdy to powtarza. Co myślisz? Czy przyjdzie dziś na obiad? Dopiero jedenasta godzina... możebym powinien wrócić i pracować nad dzbanem. Jednakże nie chciałbym go widzieć teraz właśnie...

— Zostań ze mną, Janku. Zresztą pakowałeś rzeczy, masz więc teraz prawo do wypakowywania ich przez godzinę. Powiedz mi, dla czego myślisz, że ojciec knuje zdradę? Chciałabym to zrozumieć. Mówił co dopiero zupełnie poważnie, był tak dobry, tak słodki jak cukier! Czy dla tego nie chcesz go widzieć, że jeszcze się gniewasz na niego?

— Nie — dla czegóż miałbym się gniewać? Naprawił wszystko. Zresztą i ja pozwoliłem sobie za wiele w obec niego.

— Jeżeli zgadza się, by zapomnieć... ale powiem ci, Janku, coś, co cię przekona.

— Co takiego, mój skarbie? zapytał Jan z uśmiechem, patrząc jej prosto w oczy.

— O! coś bardzo dziwnego, coś, o czem nie byłbyś nigdy pomyślał. Zaledwie mogłam wierzyć własnym oczom. Wystaw sobie, kiedy przyszłam do niego, drzwi były uchylone. Zajrzałam, zanim weszłam, aby zobaczyć, czy tam jesteś. Wiesz, co ojciec robił? Klęczał na podłodze przed pięknym krucyfiksem. Zdaje mi się, że się modlił, ale nie mogłam widzieć jego twarzy. Pozostał na klęczkach

długo, a kiedy zapukałam, przykrył krzyż; czy to nie dziwne? Oto przyczyna, dla której tak łatwo skłoniłam go do zmienienia zdania.

— On tylko patrzał na swoje dzieło — odpowiedział. — Widziałem go tak nieraz. Śmiałby się, gdyby cię słyszał. Co sądzisz, że on jest tego rodzaju człowiekiem? Może trochę modlitwy nie zaszkodziłoby mu. Ale to jest rodzaj lekarstwa, którego on nie bierze. Nie, Łusiu droga, łudzisz się, wierz mi.

Wyraz twarzy dziewczęcia zmienił się. Wmówiła w siebie, że nastąpiła wielka zmiana moralna u ojca i wielkie na tem budowała nadzieje. Widziała go takim, pragnęła zawsze takim widzieć go. Nie chciała nikomu o tem opowiadać, lecz zrobiła wyjątek dla Janka. Tymczasem Janek śmiał się i wytłomaczył rzecz w kilku słowach. Twarz jej wyrażała boleść, jaką odczuwała i zaczęła protestować przeciwko tłomaczeniu ucznia.

— To niełądnie z twej strony, Janku — rzekła obrażona. Ale nie zdaje mi się, abyś miał słuszność. Nie masz pojęcia, jak spokojnie klęczał, z rękami złożonemi na ławie. Schylił raz głowę i zdawało mi się, że całował stopy — chciałabym, abyś był widział, to nie wątpiłbyś teraz. Zdaje ci się, że wymyśliłam jakąś historyjkę, jestem tego pewna.

Łzy napełniły jej oczy, kiedy machinalnie spojrzała przez okno na ciemne domy po drugiej stronie ulicy. Słońce, które świeciło do tej chwili, zniknęło za chmurami i deszcz zaczął uderzać o szyby. Świat wydał się nagle Łucyi bardziej ponurym. Jan, który był wrażliwym, gdy chodziło o nią, patrzał na nią i zrozumiał, że zburzył coś, w co ona pragnęła wierzyć.

— Dobrze, dobrze, moja ukochana, może masz słuszność — odezwał się łagodnie.

— Nie wierzysz temu — odpowiedziała.

— Ze względu na ciebie wierzę we wszystko — nawet w nabożeństwo pana Marka — rzekł z czu-

łością ściskając jej rękę. Tylko, widzisz, ukochana, mówił w taki sposób kilka chwil przedtem, że wydawało mi się niemożliwem...

— Nie ma nic całkiem niemożliwego — odparła Łucya. Serce bije szybko, a między jednem tętnem a drugiem świat cały zmienić się może.

Tak jest, moja droga — przywtórzył Janek spoglądając jej w oczy. Ale czy myślisz, że między wszystkiemi tętnami serc naszych, może kiedy zajść zmiana?

— O! to co innego. Dla czegoż mielibyśmy się zmieniać? Moglibyśmy tylko zmienić się na gorsze, gdybyśmy zaczęli mniej się kochać nawzajem, a to jest niemożliwem. Ale ojciec! Dla czegożby nie miał zmienić się na lepsze? Któż to może powiedzieć, Janku, że w minucie, w sekundzie, po twojem odejściu nie żałował tego, co zrobił? Mogło się to stać w jednej chwili. Czemuż nie?

Co się robi nagle, nigdy nie jest dobrze zrobione — odpowiedział młodzieniec sentencyonalnie. Wiem to z mojej sztuki.

— Bóg dobry, to nie rzeźbiarz, Janku.

Słowa te wyrzekło dziewczę z prostotą, a wyraz twarzy nie zmienił się. Tylko ton głosu był poważny i spokojny i była w nim głębia przekonania, która uderzyła Jana. W krótkiem zdaniu określiła ona różnicę między jego sposobem myślenia a swoim własnym. Dla jej umysłu wszechmoc była rzeczywistością. Dla niego była to niepojęta potęga, której niedorzeczność chciał wykazać, porównując ją ze zdolnością człowieka. Zamilkł na chwilę, jak gdyby szukając odpowiedzi. Nie znalazł jej, a to, co powiedział, wyrażało dążenie, a nie twierdzenie.

Chciałbym tak wierzyć, jak ty — powiedział. Jestem pewny, że mógłbym dokonać większych rzeczy, robić piękniejszych aniołków, gdybym był pewny, że one istnieją.

Naturalnie, że mógłbyś, — potwierdziła Łucya. Potem z taktem ponad wiek swój zmieniła

przedmiot rozmowy. Powracając do tego, o czem mówiliśmy — rzekła — pójdziesz do pracowni, Janku, po południu, nieprawdaż?

— Tak jest — odpowiedział machinalnie. Cóżbym innego robił? O Łusiu moja ukochana, nie mogę znieść tej niepewności, — zawołał, dając nagle folgę uczuciom. Na czem się to skończy? Mógł się zmienić, może być takim, jak mówisz, dzisiaj, czem nie był wczoraj, ale czy wierzysz istotnie, że porzucił ten dziki zamiar? To przyjdzie nagle z czemś innem, czego się nie spodziewamy. Zrobi on coś - nie wiem co, ale znam go lepiej, niż ty. Jest on okrutny, myśli nad swojem dziełem a potem, kiedy nastanie spokój, niespodzianie wybuchnie burza. To się nie skończy dobrze!

— Musimy się kochać wzajemnie, Janku, a wtenczas wszystko skończy się dobrze. Kto może nas rozłączyć?

— Nikt - odpowiedział młodzieniec stanowczo. Ale mogą się zdarzyć rzeczy rozmaite, zanim się połączymy na zawsze.

Nie był on skłonny do przeczuć, a jego natura ufająca lękała się niepokoju. Przyszedł on do swego wniosku drogą logicznego procesu i zdawało się, że nie ma innego wyjścia. Jak to powiedział Łucyi, znał on charakter rzeźbiarza lepiej, niż kobiety w domu, ponieważ był jego ciągłym towarzyszem przez lata całe i nie mylił się co do swego sądu o Marka usposobieniu. Naturalne usposobienie człowieka okazuje się najlepiej, kiedy tenże znajduje się w swym właściwym żywiole, przy pracy, przy zwykłych zajęciach życia. Dla takiego człowieka, jak Marek, jest pracownia milszą od domowego ogniska. Różnił się w wielu rzeczach z rodziną, zniewolony był spędzać dzień cały poza domem, zajęty dokonywaniem dzieł, których kobiety nie mogły oceniać, ponieważ nie rozumiały myśli, które te dzieła tworzyły, ani nie znały sposobów wykonania; w takich warunkach można było spodziewać się, że

istotne uczucia artysty znajdą wyraz przy warsztacie raczej, aniżeli w towarzystwie żony i córki. Siedząc obok Marka i ucząc się od niego, czego można się nauczyć, Jan nabył zarazem gruntownej znajomości jego popędów i wrażeń, których ani Marya Ludwika, ani Łucya nie były zdolne zrozumieć.

Marek obstawał przy swych myślach i zamiarach. Pozbawiony inicyatywy i odwagi fizycznej był on nadewszystko uparty w zastósowywaniu swych teoryi. Aby miał nagle uledz pobożnemu popędowi, upaść przed krzyżem na kolana i zawołać mea culpa za całe przeszłe życie, było to rzeczą nieprawdopodobną. W oczach Jana było to niemal równie niemożliwem, jak to, aby miał w jednej chwili porzucić zamiar, który ogłosił z taką stanowczością poprzedniego wieczora. Pewnem było to, że zanim oznajmił postanowienie swoje wydania córki za prawnika, pomyśleć je musiał przez wiele dni, jak to było jego zwyczajem we wszystkich sprawach życia, nie radząc się nikogo, ani nie zdradzając w niczem swego zamiaru. Pewna część jego znakomitego talentu polegała na zdolności rozważania dokładnego postanowienia, zanim je wprowadził w życie; a jest to cząstką każdego rzeczywiście wielkiego talentu w każdej gałęzi tworzącej sztuki, ponieważ jest wynikiem wielkiej ciągłości w pracy umysłu w połączeniu z siłą koncentrowania i zaletą milczenia.

Jan znał charakter Marka i w myśli starał się budować przyszłość na podstawie teraźniejszości. Usiłował on wysnuć, co uważał za bieg myśli rzeźbiarza, aż do nieuniknionego wniosku, a im bardziej myślał nad położeniem, tem więcej przychodził do przekonania, że przypuszczenie Łucyi było mylnem. Nieprawdopodobnem w żadnym razie było, aby Marek miał nagle zamienić się w łagodną, przebaczającą istotę, dbałą tylko o dobro innych i gotową poświęcić własne skłonności i widoki temu chwalebnemu celowi.

O godzinie dwunastej Marek ukazał się sztywny, milczący i zamyślony. Jego zachowanie się nie zdradzało idei, podtrzymywanej przez Łucyą, jakkolwiek dziewczę tłomaczyło sobie, że ojciec wstydził się, iż ustąpił tak łatwo i nie chciał, aby myślano, że jest słaby. Była prawda w tem przypuszczeniu, które dowodziło zdrowego rozsądku i znajomości charakteru. Ale to nie była cała prawda. Marek nie tylko czuł się upokorzony, że pozwolił się zmiękczyć prośbom córki; żałował tego i byłby chciał cofnąć to, co się stało. Jednakże było zapóźno. Zmieniać zdanie drugi raz byłoby słabością, jakiej rodzina jego nie widziała jeszcze w jego postępowaniu.

Zjadł obiad w milczeniu, a reszta towarzystwa odważyła się tylko na kilka uwag. W duchu winszowali sobie szczęśliwego zakończenia sprawy i obawiali się nowego wybuchu gniewu, gdyby Marka usposobienie podrażniono. Sam Jan Baptysta dawał przykład powściągliwości. Co do Signory Pandolfi, miała przygotowane w kieszeni pieniądze, które jej mąż dał rano na zakupienie wyprawy Łucyi i spodziewała się każdej chwili, że Marek zapyta o nie, co byłoby znakiem, że zaniechał zamiaru małżeństwa z Carnesecchim. Ale Marek nie wspomniał wcale o tym przedmiocie. Zjadł szybko, jak tylko mógł, połknął szklankę lekkiego wina z wodą i wstał od stołu, nic nie mówiąc. Z pełnym znaczenia ruchem ku Maryi Ludwice i Łucyi Jan Baptysta opuścił swoje miejsce i udał się za artystą ku drzwiom. Marek obejrzał się nagle, usłyszawszy kroki za sobą.

— Łucya powiedziała mi, rzekł młodzieniec z prostotą. Jeżeli sobie, panie, życzycie, przyjdę do pracy. Marek zawahał się przez chwilę, gładząc miękki kapelusz swój ręką.

— Możesz iść z ludźmi i umieścić kratki księcia — rzekł wreszcie. Prawa strona jest całkiem go-

towa. Jeżeli będziecie pracowali pilnie, możecie ukończyć przed wieczorem.

— Dobrze — odpowiedział Jan. Pójdę zobaczyć. Mam tu klucze. Za pięć minut przyjdę.

Marek skinął głową i wyszedł. Janek powrócił do pokoju, gdzie kobiety kończyły obiad.

— Wszystko dobrze — powiedział. Mam umieścić kratki po południu. Czy pani przyjdzie zobaczyć? Mówił do matki, ale obejmował córkę wzrokiem.

— To bardzo daleko — zauważyła Signora Pandolfi, a chodziłyśmy tak wiele dziś z rana. Mnie się zdaje, że ten dzień się nigdy nie skończy!

— Odwagi, mamo, rzekła Łucya, chodzenie ci posłuży. Zresztą mamy omnibus tam. Co powiedział ci, Janku? Czy miałam słuszność?

Któż to wie? Jest bardzo cichy — odparł uczeń.

— Co to znaczy? W czem masz słuszność, moje serce? pytała Marya Ludwika.

— Ona myśli, że Sor Marzio zmienił się nagle w cukiernicę — odpowiedział Janek, śmiejąc się. Być może. Słyszałem, że teraz wyrabiają cukier z rzeczy różnego rodzaju.

— Capperi! To byłoby trudno! — zawołała Marya Ludwika. — Jeżeli w nim znajdziesz tyle cukru, aby osłodzić łyżeczkę herbaty, to mi to napisz — dodała ironicznie.

— Dobrze, — będę w kościele za godzinę, ale dosyć będzie czasu, jeżeli przyjdziecie godzinę lub dwie przed zachodem słońca. Światło jest wtenczas dobre, gdyż znajduje się wielkie okno od zachodu — dodał Jan, objaśniając.

— Przyjdziemy wcześniej — odezwała się Łucya. — Do widzenia, Janku, a uważaj, aby się nie przeziębić w tem wilgotnem miejscu.

— A panie również — odpowiedział — ubierzcie się ciepło.

Z tą uwagą i ukłonem opuścił dom, udając wesołość, której w rzeczywistości nie czuł. Zapraszanie kobiet, aby przyszły do kościoła, miało inny jeszcze powód oprócz pokazania im wspaniałej kraty złoconej, którą miał tam wprawić. Jan obawiał się, że Marek odesłał go do roboty dla tego, aby go usunąć z drogi, a nie wiedział, co się stać może w jego nieobecności.

Artysta mógł skorzystać z tego czasu, aby iść po Carnesecchiego, sprowadzić go do domu i przyspieszyć katastrofę, której uczeń obawiał się ciągle, pomimo ostatnich wypadków z rana.

Z trwogą w sercu opuścił dom i przeszedł przez ulicę do warsztatu, gdzie robotnicy już czekali na wózek, który miał przewieźć ciężką kratę do miejsca przeznaczenia. Kraty stały oparte o ścianę, zawinięte w brązowy papier i wielkie kawały leżały związane na ławach.

Była to wielka robota dekoracyjna, o którą jednakże Marek dbał mało. Wielkie sztaby wyrzeźbiono i wykończono stósownie do przeznaczenia, a on ich nie dotknął ręką. Ogromne arabeski z mocnego metalu przygotowano w kawałkach i połączono następnie śrubami, które można było wyjmować. Następowała mozolna praca złocenia, powlekania każdego kawałka bardzo starannie amalgamem z merkuryuszu i złota, a następnie rozgrzewania na wolnym ogniu, dopóki się merkuryusz nie ulotnił, pozostawiając tylko złoto. Potem wykończano robotę, czyszcząc i szczotkując. Niekiedy pozłacanie jakiegoś kawałka nie udało się i trzeba było je powtórzyć. Była to powolna i mozolna robota i Marek mało się troszczył o nią, jakkolwiek zmysł jego artystyczny nie pozwalał zabierać jej z pracowni, dopóki nie była wykończona doskonale.

Obecnie artysta stał w sieni wśród obwiniętych sztuk z fajką w ustach i rękami w kieszeniach. W chwilę później Janek wszedł, dwa wózki zajechały przed dom i zaczęto ładować.

Weź dłuto i kilka śrub — rzekł Marek, patrząc we worek z narzędziami głównego robotnika, który tenże przygotował. Nie można nigdy wiedzieć, czy nie będzie potrzeba przy tych wielkich sztukach.

— Byłoby to pierwszy raz, gdybym miał wiercić nowy otwór, kiedy już robotę uznaliście, panie, za gotową — odpowiedział robotnik, który miał nieograniczone uwielbienie dla geniuszu i przezorności swego mistrza.

— Nic nie szkodzi; zrób, jak mówię. Wszyscy możemy się mylić na tym świecie — odparł artysta, dając folgę moralnemu uczuciu, które nie wpływało na niego po za obrębem warsztatu. Robotnik usłuchał i dołożył żądane instrumenta do skórzanego worka.

A uważaj pilnie, Janku — dodał Marek, zwracając się do ucznia. Patrz na otwory w marmurze, kiedy będziesz zakładał wielkie sztuki. Odmierz je dobrze; jeżeli będą za luźno, to masz cienkie blaszki mosiężne, aby je założyć ciemi; jeżeli są za ciasne, opiłuj, ale wykończ i wygładź starannie. Nie zostaw nic surowego.

Jan kiwnął głową, pomagając robotnikom, którzy znosili ciężkie sztuki na wózki.

Przyjdziecie, panie, do kościoła przed wieczorem? — zapytał.

Być może. Nie wiem. Jestem bardzo zajęty.

W dziesięć minut kraty znajdowały się na dwóch wehikułach i Jan kroczył przy nich z robotnikami. Nie myślał o tem, by zmienić ubranie i zarzucił tylko stary płaszcz na szarą bluzę wełnianą. Obecnie był rzemieślnikiem przy pracy. Kiedy godziny pracy minęły i w niedzielę lubił kłaść sztywny, wysoki kołnierzyk i kraciaste ubranie, przypominające stroi angielskiego turysty, był wtenczas innym człowiekiem i stósownie do zmiany zapalał cygareto i ściągał mankiety na ręce, jak praw-

dziwy gentleman, poprawiając kapelusza od czasu do czasu i spoglądając na swe odbicie w oknach wystawnych, gdy przechodził.. Ale praca była pracą; szkoda było brudzić dobrych rzeczy braniem do ręki narzędzi i ocieraniem się o ludzi, a co więcej zmiana była mu przeciwną. Nie mógł wziąć do ręki młotka lub dłuta, kiedy się czuł prawdziwym gentlemanem, a kiedy był robotnikiem, musiał mieć swobodę, by módz zakasać rękawy i pracować podług upodobania.. W tej chwili także był dumny z powierzonej sobie pracy i nie mógł powstrzymać się od myśli, jak to pięknie byłoby mieć Lucya za żonę i być właścicielem warsztatu. Z zapałem bardzo młodego chłopca, kochającego swe zajęcie, całą duszą pracował nad przeznaczoną mu robotą, pewny, że każde zręczne uderzenie młotka, każda trudność pokonana, zbliża go do kobiety, którą ukochał.

Marek wszedł do pracowni, kiedy Jan odszedł, zostawiając w pierwszej izbie chłopca, który krajał cienkie druciki — przedwstępne zajęcie do rzeźbiarskiego zawodu. Artysta zamknął się i zasunął drzwi na rygiel, zadowolony, że jest sam, z miłem uczuciem, iż mu nikt nie przeszkodzi przez całe popołudnie. Zdawał się nie wahać się wcale co do roboty, którą zamierzał się zająć, gdyż natychmiast wziął krucyfiks do ręki i zaczął go badać, używając od czasu do czasu soczewki, by lepiej studyować każdy szczegół. Włosy spadały mu na czoło, a ramiona zaokrąglały się tak, że wyglądał całkiem niekształtny.

Przechodził silne wzruszenia w ciągu dnia - dosyć, by zachwiać pewność ręki zwykłego człowieka, ale u Marka zręczność ręki była pierwszą właściwością natury i trudnoby było znaleźć umysłowe wrażenie, któreby było wstrząsnęło jego fizyczne nerwy. Umysł jego jednakże pracował szybko i niemal dumnie podczas kiedy oczy śledziły drobne linie roboty, którą miał przed sobą.

W myślach górowało nadewszystkiem nie jasne przeświadczenie upokorzenia i złości przeciw bratu. Gniew, jaki odczuwał, byłby się niemal objawił w morderczym czynie nie więcej, jak trzy godziny wcześniej, a zamach stał mu jeszcze ciągle na myśli. Skrzywił usta do brzydkiego uśmiechu, przypominając sobie scenę we wszystkich szczegółach; ale zamiar różnił się od rzeczywistości, zgodnym zaś był z jego uczuciami. Uprzytomnił sobie znowu chwilę, w której trzymał ostre narzędzie nad głową brata i myśl, która wówczas tak szybko przebiegła jego głowę, powracała znowu z większą dokładnością. Przypominał sobie, że pod żelazem okutą skrzynią w kącie znajdowały się skryte drzwi, prowadzące do nieużywanej piwnicy, gdyż jego pracownia była dawniej sklepem winnym i wynajął piwnicę wraz z nim. Jedno silne uderzenie byłoby skończyło wszystko. Kilka szybkich poruszeń a ciało Pawła byłoby spadło z ciemnych schodów, drzwi byłyby się zamknęły i skrzynia byłaby stanęła na dawnem miejscu.

Była wtenczas jedenasta godzina. Robotników byłby odesłał na obiad i byłby powrócił do swej pracowni. Oni byliby myśleli, że ks. Paweł wyszedł z nim razem. Byłby poszedł do domu i powiedział, że Paweł opuścił go — albo nie byłby powiedział, że Pawła nie było, gdyż ktośkolwiek mógł był widzieć go, jak wychodził sam jeden. W nocy byłby powrócił a rodzina sądziłaby, że poszedł do swych przyjaciół, jak bywało często. Kiedy ulice były spokojne, byłby ciało wywiózł na wózku, który stał u wejścia pierwszego warsztatu. Nie było daleko — zaledwie trzysta metrów, licząc zakręty — do miejsca, gdzie się kończy Via Montella błotnym brzegiem przy ciemnej rzece opustoszałe sąsiedztwo, — zwrot na lewo, nizkie drzewa Piazza de Branca, ciemna, krótka ulica prosto do wody. Któżby czuwał o pierwszej po północy? Wszystko byłoby tak proste!

A potem — nie byłoby Pawła, ani utrapień domowych, ani łagodnej nagany księdza, ani wiecznej opozycyi w domu. Byłby Maryą Ludwikę i Łucyą niebawem doprowadził do rozumu. Cóżby mogły zrobić bez pomocy Pawła? Były tylko kobietami! Co do Jana Baptysty, skoroby został usunięty zjadliwy wpływ Pawła i jak stanowczo usunięty! skoroby sobie poszedł ksiądz raz na zawsze, Janek powróciłby do dawnych zwyczajów, do dawnej pogardy dla duchownych w ogóle, kościołów, wszystkiego, czego Marek nienawidził. Mógłby potem ożenić się z Łucyą i być mile widziany. Z tem wszystkiem, był on przystojniejszym młodzieńcem dla ładnego dziewczęcia, aniżeli Kacper Carnesecchi z długiemi, chudemi palcami i sałatą swoją z octem. Propozycya, odnosząca się do prawnika, była tylko farsą, głównie chodziło o pozbycie się Pawła. Nie mogła panować w domu zdrowa swoboda myśli, dopóki on wchodził do niego i wychodził o każdym czasie. Wepchnąć Pawła w cichy grób — do rzeki z ciężarami u szyi — znaczyłoby mieć pokój i wolność. Marek zgrzytał zębami, gdy myślał nad tem, jak blizkim już był tego czynu i jak nędznie chybił celu. Było to natchnieniem chwili a szczegóły przedstawiły się jasno w jego umyśle. Przebiegając je, znalazł, że się nie mylił. Jeżeliby Paweł powrócił a on znalazł sposobność, uczyniłby to. Może było lepiej, iż znalazł czas do rozważenia sprawy.

Ale czy Paweł powróci? Czy zechce pozostać z nim sam na sam w pracowni? Czy zauważył, odwróciwszy się tak nagle i zobaczywszy narzędzie podniesione, że cios miał właśnie spaść na jego głowę? Albo czy może uwierzył niezręcznej wymówce Marka do słońca świecącem mu prosto w oczy?

Pozostał spokojny, albo Marek starał się myśleć, że tak było. Artysta sam atoli był tak wzruszony w chwilach następnych, iż nie mógł być pe-

wnym co do zachowania się Pawła. Była to myśl przemijająca, że Paweł mógł zrozumieć i odejść przekonany, iż życie jego zostało ocalone niemal cudem. Nie powróci przebiegły ksiądz w takim razie; nie będzie wystawiał na niebezpieczeństwo swej drogocennej skóry w takiem towarzystwie. Nie można się było spodziewać — ksiądz był zresztą człowiekiem tylko, jak każdy inny. Marek przeklinał swoją nieszczęśliwą gwiazdę znowu, schylając się nad robotą. Coby to była za chwila, gdyby tak Pawłowi przyszło na myśl odwiedzić go znowu. Nawet robotnicy odeszli. Odesłałby chłopca, który został, do kościoła, gdzie pracował Janek. Natenczas zostałby sam z Pawłem. Ksiądz mógłby krzyczeć i wołać o pomoc — grube mury nie przepuściłyby głosu na zewnątrz. Byłoby nawet lepiej, aniżeli rano, kiedy chybił na jedno mgnienie oka.

Mówią, że piekło jest wybrukowane dobremi zamiarami lub straconemi sposobnościami — mruknął Marek. Odeślę Pawła przy najbliższej okazyi, aby pomagał brukować.

Zaśmiał się na ten brzydki dowcip i pochylił się niżej nad krucyfiksem. Tym razem postanowił, co zrobić, gdyż myśli nie przeszkadzały zajęciu. Odjąwszy dwie maleńkie srebrne śrubki, które jak najszczelniej przystawały, odczepił figurę od krzyża, odstawił ten ostatni na policę na ścianie i złożył statuę na miękkiej skórze, otaczając ją woreczkami z piaskiem, dopóki nie leżała tak, jak mu było potrzeba. Następnie wziął małe dłutko, przyłożył z największą starannością i uderzał na nie okrągłą drewnianą rękojeścią swego młoteczka. Za każdem dotknięciem badał powierzchnią za pomocą soczewki, aby się zapewnić, że zrobił poprawkę, jaką zamierzał. Była to nadzwyczaj delikatna robota, a wykonując ją, odczuwał pewną dumę, że nie mógł znaleźć miejsca, gdzie poprawka była możliwą, kiedy pracował nad tem przed dziesięciu laty. Znalazł je teraz we wyrazie twarzy, w drobnem uwydatnie-

niu linii w anatomii postaci. Kiedy tak badał ściśle, stawał się coraz pewniejszym, że jakkolwiek nie mógł obecnie zrobić lepiej pod względem pomysłu i ogólnego wykonania, to jednakże zyskał na subtelnej znajomości efektów i na zręczności we władaniu dłutkiem na bardzo delikatnych miejscach. Pewność dawała mu szczere zadowolenie uzasadnionej dumy. Wiedział, że stanął u zenitu swych zdolności. Dawne pragnienie zachowania krucyfiksu dla siebie zaczęło powracać na nowo.

Gdyby rozporządzał Pawłem, mógłby zatrzymać swą pracę — lecz Paweł ją widział. Niedorzeczny brak logiki we wniosku nie uderzył go. Nie wpraszał się swemu bratu, by dać ten krzyż właśnie Kardynałowi, a gdyby to zrobił, mógłby łatwo znaleźć powód do zatrzymania krucyfiksu. Ale był zanadto przyzwyczajony do myślenia, że Paweł stał zawsze w drodze jego życzeniom, aby na tak prostą rzecz patrzeć w tak prostem świetle.

— To dziwna — rzekł sam do siebie. Najdrobniejsze rzeczy zdają się na to wskazywać. Gdyby chciał tylko przyjść!

I znowu myśl jego powracała do rozważania czynu i znowu przechodził wszystkie okoliczności, potrzebne do bezpiecznego wykonania go. Co za natchnienie, myślał, i jaka szkoda, że nie znalazło wyrazu we fakcie w chwili, kiedy się nasuwała sposobność! Rozważał nad tem, dla czego mu to dawniej nigdy na myśl nie przyszło, przez te wszystkie lata, jako środek uwolnienia się od despotyzmu, który nienawidził. Przywołał na pamięć różne sceny w domu, w których Paweł odgrywał rolę. Przypomniał sobie teraz, jak w pewną niedzielę po południu znajdowali się wszyscy razem, zanim poszli na Corso i jak starał się przekonywać Maryą Ludwikę i Łucyą o szaleństwie tracenia czasu na chodzenie do kościoła w niedziele. Zdawało mu się, że dowodził łagodnie i rozsądnie. Ale nagle Paweł mu przerwał, mówiąc, że nie pozwoli porównywać

kościoła z cyrkiem, ani księży z kuglarzami i skoczkami na linie. Dla czego nie? Wtenczas kobiety zaczęły się gniewać i płakać i mówić o bluźnierstwie, aż wreszcie sam siebie nie mógł już słyszeć. To była wina Pawła. Gdyby go tam nie było, kobiety byłyby słuchały cierpliwie i z pewnością byłyby odniosły korzyść z jego rozsądnej mowy. Przy innej sposobności Marek oświadczył, że Lucyi nie powinno się uczyć niczego o chrześciaństwie, że Bogiem jest rozum, że Garibaldi ochrzcił jedno z dzieci imieniem Rozum i że on, Marek, mógłby ochrzcić tak samo drugie równie efektownie. Paweł wmieszał się i Marya Ludwika oparła się temu. Spór trwał blisko miesiąc, poczem Marek widział się zmuszony zaniechać nierównej walki, zaprzysięgając zemstę w przyszłości pod inną postacią.

Wiele, wiele takich scen przesunęło mu się przez myśl a w każdej z nich Paweł był przeciwnikiem, wrogiem jego pokoju, obrońcą tego wszystkiego, co on nienawidził i czem gardził. W wielkich i małych rzeczach brat był jego antagonistą od dojrzałego wieku, przez lat ośmnaście małżeństwa do ostatniego dnia. A jednak bez Pawła nie byłby mógł pewnie spodziewać się ułożenia sobie takiej fortunki.

To było jednem z głównych źródeł upokorzenia w jego własnych oczach. Przy takim charakterze, jak jego, jestto rzeczą prawdziwą, iż trudniej jest przebaczyć dobrodziejstwo, niż zniewagę. Może byłby się czuł mniej rozgoryczony naprzeciw bratu, gdyby z jego rąk nie był odbierał zleceń i zamówień, które zamieniły się w monetę, złożoną w banku. Przykro mu było patrzeć na Pawła, wiedząc, że zawdzięczał dwie trzecie majątku takiemu źródłu. Gdyby mógł się pozbyć księdza, byłby zaraz zwolniony od takiego ciężaru tego wszystkiego, co zatruwało mu życie. Wystawiał sobie żonę i córkę, słuchające z szacunkiem jego wywodów i zaczynające wykonywać jego zasady, Jana Baptystę, jako wymownego członka izby w starej restauracyi, zrefor-

mowanego, uwolnionego od nierozsądnego przywiązania dla Pawła — skoroby tego ostatniego nie było na świecie — i ostatecznie jako męża Łucyi i ojca dzieci, któreby ochrzcono imieniem Rozumu, i któreby były godnymi następcami Marka.

Badając postać przez soczewkę, dostrzegł maleńką niedokładność w miejscu, w którem ostre ciernie dotykały srebrnego czoła pięknej, umęczonej głowy. Obejrzał się za narzędziem dojść delikatnem do tej roboty, ale żadne mu nie odpowiadało. Chwycił więc ostry, cienko zakończony instrument, który był odrzucił po scenie porannej. Był za długi i zbyt ostry, ale w jego zręcznych palcach mógł wykonać tę robotę.

— Dziwne! — mruknął, dotykając narzędzia. — Jest to rodzaj konsekracyi!

Kiedy dokończył pracy, wsunął instrument do kieszeni bluzy, jak gdyby się obawiał, by go nie zgubić. Nie potrzebował go już, jakkolwiek pracował przez parę godzin z rzędu.

Myśli, które przeszły przez jego głowę, powracały i nie traciły jasności. Przeciwnie, zdawało się, że chwilowy impuls z rana zamienił się w tych kilku godzinach w stały, niezachwiany zamiar. Raz wstał ze stołka i idąc w kąt izby, odsunął żelazem okutą skrzynkę z miejsca. Zardzewiały pierścień leżał w małem zagłębieniu u wierzchu drzwi w podłodze. Marek pochylił się nad nim z bladą twarzą i błyszczącemi oczami. Zdawało mu się, jak gdyby widział ciało Pawła, wyciągnięte na ziemi, gotowe do spuszczenia w loch podziemny. Uniósł drzwi i oparł je o ścianę, spoglądając w czarną głębię. Woń wilgoci uderzyła jego nozdrza ze zbutwiałych schodów. Zapalił zapałkę i potrzymał ją nad otworem, aby zobaczyć, w jakim kierunku schody biegły na dół.

Coś poruszyło się za nim i wywołało mały hałas. Z krótkim okrzykiem grozy Marek odskoczył od otworu i obejrzał się. Zdawało mu się, jak gdyby ciało zamordowanego poruszyło się na po-

dłodze. Naprężona jego wyobraźnia przerażała go, a oczy wychodziły prawie z głowy. Obejrzał ławę i dostrzegł przyczynę odgłosu. Srebrny Chrystus, nieprzymocowany pewno w pozycyi, w jakiej go złożono, upadł na bok własnym ciężarem.

Serce biło Markowi jak młotem, kiedy powrócił do jamy i starannie zamknął drzwi, ustawiając ciężką skrzynię na dawnem miejscu.

Drżał gwałtownie, siadając na stołku i ocierając zimny pot z czoła.

Układając figurę na poduszce, z przestrachem obejrzał się poza siebie w stronę kąta.

ROZDZIAŁ X.

Kiedy Paweł zamknął drzwi pracowni i znalazł się na ulicy, uczuł dziwnie niemiłe wrażenie koło serca i przez chwil kilka był bardzo blady. Doznał on wstrząśnienia i pomimo największych usiłowań, aby sobie wytłomaczyć to, co się stało, wiedział, że był w niebezpieczeństwie. Każdy bezbronny, kto uczuł nagle pistolet wymierzony ku sobie, lub ujrzał broń podniesioną, by go uderzyć, zna to uczucie aż nadto dobrze. Prawdopodobnie starał się wytłomaczyć sobie później to, co czuł w tej chwili i nie doszedł do innego wniosku, prócz do tego prostego, że był mocno wystraszony. Hektor nie był tchórzem, a pozwolił Achillesowi biedz za sobą trzy razy w koło Troi, zanim mógł się zdecydować, by stanąć i walczyć i gdyby nie Athena, może byłby biegł dalej jeszcze. A jednak Hektor był uzbrojony do walki od stóp do głowy.

Kiedy minęło pierwsze wrażenie i Paweł zdążał szybko w stronę pałacu kardynalskiego, uparcie przeczył sam sobie, aby Marek zamierzał mu zrobić coś złego. Najprzód nie mógł znaleść dostatecznej przyczyny do takiego zamachu na swoje życie. To prawda, że stosunki z bratem nie były bardzo przyjazne w ostatnim czasie, ale między sprzeczką a

morderstwem Paweł widział zbyt wielką przepaść do przebycia, nawet dla takiej osobistości, jak Marek. A potem ten dobry człowiek nie chciał posądzać nikogo o złe zamiary, tem mniej o zamysły mordercze. Ten wzgląd atoli, mówiąc logicznie, nie przemawiał na korzyść Marka; skoro bowiem Paweł był mniej podejrzliwym od innych ludzi, musiał rzeczywiście doznać silnego wzruszenia, by zachwiać wiarę w niewinność brata. Widział broń w powietrzu, a także dostrzegł nienawistne spojrzenie w oku brata.

— Nie będę lepiej myślał o tem wcale — rzekł sam do siebie, obawiając się, aby go nie skrzywdził w myśli.

Szedł zatem do pałacu i starał się myśleć o Janku i Łucyi, o ich małżeństwie i przyszłem życiu. Dwie te młode twarze stanęły mu przed oczami i uśmiechnął się spokojnie, zapominając, co przechodził co dopiero i rozważając szczęście nie własne. Wszedł do mieszkania u szczytu starego budynku i odetchnął z pewną ulgą, siadając na starem krześle przy biurku.

W tej chwili Kardynał przysłał po niego. Ksiądz Paweł stał i starannie strzepnął pył z sukni i płaszcza i wygładził długi, jedwabnisty włos swego kapelusza. Był on bardzo staranny i dbały o powierzchowność swoją. Co więcej, miał on dla Kardynała szczególniejszy szacunek, jakkolwiek znał go z bliska od wielu lat, co jest zresztą uczuciem wrodzonem każdemu Rzymianinowi w obec książąt Kościoła. Jest to zabytek dawnych czasów, którego nie zdołała zniszczyć żadna zmiana zewnętrzna. Kardynał w Rzymie zajmuje stanowisko całkiem odmienne od stanowiska każdego innego dygnitarza. Nie dzieje się tak samo gdzieindziej, chyba w niektórych okolicach na południu. Piemontczyk szydzi z Kardynałów, ponieważ szydzi z Kościoła i religii w ogóle. Florentyńczyk wzrusza ramionami, ponieważ Kardynałowie reprezentują Rzym a Rzym ze

wszystkiem, co w nim się mieści, jest i był zawsze nienawistnym dla mieszkańca Florencyi.

Ale prawdziwy Rzymianin, nawet wtenczas kiedy przyjął idee nowej szkoły, zawsze odczuwa mimowolny szacunek dla szkarłatnego płaszcza. Dom Kardynała tchnie godnością, — o wspaniałości teraz nie ma często mowy — jakiej się nie znajdzie nigdzie indziej. Służba jest poważniejsza i stąpa ciszej, komnaty ciemniejsze i bardziej surowe, atmosfera spokojniejsza i cisza głębsza, aniżeli w pałacach książąt urodzonych. W samem powietrzu czuje się obecność niedoścignionej władzy, pracującej cicho nad dokonaniem wielkich dzieł.

Ksiądz Paweł zeszedł ze schodów i wszedł do apartamentów przez zwykłe zielone drzwi, które się własnym ciężarem za nim zawarły. Przeszedł kilka wielkich komnat, umeblowanych skromnie, w ostatniej z których stał tron, odwrócony od ściany pod czerwonym baldachimem. Za tą wielką salą recepcyjną, połączona nizkiemi drzwiami, ukrytemi w murze, była pracownia Kardynała, mały pokoik, bardzo wysoki i oświecony jednem wysokiem oknem, które wychodziło na wewnętrzny dziedziniec pałacu. Umeblowanie było nader skromne i składało się z wielkiego biurka, kilka krzeseł o wysokich poręczach i fotelu Kardynała, pokrytego skórą wytartą przez użycie. Na ciemno-zielonych ścianach wisiały dwa portrety, jeden Piusa IX, drugi Leona XIII. Kardynał siedział w fotelu, trzymając gazetę rozłożoną na kolanach.

— Dzień dobry ci, księże Pawle — odezwał się uprzejmym, choć nie bardzo dźwięcznym głosem.

Jego Eminencya był to mąż, liczący około 60 lat wieku, zdrowy i silny z powierzchowności, nie wysoki i skłaniający się do otyłości. Twarz jego była okrągła i cera jasna, co wraz z niewielkiemi a pogodnemi oczami piwnemi nadawało mu wyraz żywotności. Krótkie siwe włosy wychodziły z pod szkarłatnej czapeczki kardynalskiej. Miał na sobie

purpurową rewerendę z szkarłatnemi guziczkami i szkarłatny płaszcz jedwabny, który w wdzięcznych fałdach opadał na poręcz krzesła.

— Dzień dobry, Eminencyo — odpowiedział ksiądz Paweł, dotykając ustami wielkiego rubinowego pierścienia. Na znak Kardynała usiadł następnie na jednem z krzeseł o wysokiej poręczy.

— Jakie powietrze mamy dzisiaj? — zapytał Kardynał po chwili milczenia.

— Sirocco, Eminencyo.

— A, myślałem to sobie, zwłaszcza dziś rano. To bardzo nieprzyjemnie. Od czasu, jak Ojciec Secchi stwierdził, że sirocco istotnie przynosi ze sobą piasek pustyni, tem bardziej go nie lubię. Byłeś księże Pawle w sprawie krucyfiksu?

— Mówiłem z bratem wczoraj wieczorem. Powiedział mi, że będzie się starał zrobić go na czas oznaczony, ale wolałby mieć więcej czasu.

— Twój brat jest zręcznym artystą — rzekł Kardynał, składając ręce na kolanach, podczas gdy gazeta osunęła się na podłogę.

— Dobry artysta — powtórzył ksiądz Paweł, schylając się, by podnieść pismo. — Widziałem właśnie najlepsze jego dzieło — krucyfiks taki, jaki sobie życzył Wasza Eminencya. Nawet proponował, abyś Wasza Eminencya raczył go wziąć, gdyż nie stworzy on nic lepszego.

— Zobaczymy, zobaczymy — odpowiedział Kardynał tonem, który zdradzał, że propozycya nie bardzo mu się podobała. — Powiedziałeś, że już go ma zrobiony. Powiedz mi, czy twój brat ma wiele roboty obecnie?

— Nie tak wiele, Eminencyo. Skończył właśnie okratowanie kaplicy do jednego z kościołów. Zdaje mi się, że widziałem srebrny dzban rozpoczęty na jego stole.

— Myślałem, że może nie ma czasu na mój krucyfiks.

— Ależ on jest artystą, brat mój! — zawołał kapłan, którego dotknęło podejrzenie, że Marek mógł chcieć pozbyć się źle wykonanego przedmiotu, aby oszczędzić czasu. — Jest dobrym artystą, kocha pracę i zawsze robi, co tylko w jego mocy, by wykończyć dzieło jak najlepiej! Jeżeli on powiada, iż nie zdoła zrobić nic lepszego od tego, co już wykończył, to mu wierzę.

— Tem lepiej — odparł Kardynał. Ale musimy zobaczyć dzieło, zanim się zdecydujemy. Zdaje się, że masz wielką wiarę w dobre intencye brata, księże Pawle, nieprawdaż? Doprawdy! Byłeś prawie rozgniewany na mnie za to, że podsunąłem myśl, iż może jest zanadto zajęty, aby podjąć się mojego zamówienia.

— Rozgniewany? Wasza Eminencya jesteś niesprawiedliwym. Marek z wielką pracuje sumiennością. Oto wszystko.

— A! jest sumiennym człowiekiem. Nie wiedziałem. Ale skoro jest twoim bratem, powinienby być takim, księże Pawle.

Wesołe oczy prałata mrugnęły znacząco.

Paweł był milczący, jakkolwiek skłonił głowę w uznaniu bezpośredniej pochwały.

— Nie mówisz nic — zauważył Kardynał, spoglądając na swego sekretarza z uśmiechem.

— On jest człowiekiem z przekonaniem — odpowiedział wreszcie Don Paolo.

— To lepiej, aniżeli nie, lepiej, niż być obojętnym. „Ponieważ nie jesteś ani ciepłym, ani zimnym“ — znasz resztę.

— Incipiam te evomere — dokończył kapłan mechanicznie. Marek nie jest letni.

— Frigidusue? — pytał Kardynał.

— Z trudnością.

— An calidus?

— Nie bardzo, Eminencyo, to jest nie zupełnie.

— Ależ wtenczas, jakimże on jest, na Boga? — śmiał się prałat. Jeżeli nie jest zimny, ani gorący,

ani letni, czemże jest zatem? On mię interesuje. Jest szczególnym człowiekiem.

— On jest człowiekiem, mającym własne zdanie odpowiedział ksiądz Paweł. — Co mam powiedzieć? Jest tak dobrym artystą, że jest nieco szalony w innych rzeczach.

— Zdaje mi się, że jego opinie nie są naszemi. Wnosiłem to niekiedy ze sposobu, w jaki odzywasz się o nim. Nie jest jeszcze stary — opinie jego się zmienią. Jesteś bardzo przywiązany, księże Pawle, do swego brata — nieprawdaż?

— Jesteśmy braćmi, Eminencyo.

— Byli nimi również Kain i Abel, jeśli się nie mylę — zauważył Kardynał. — Paweł obejrzał się po pokoju niespokojnie. — Chcę tylko powiedzieć — mówił prałat dalej — że ludzie są nieraz braćmi, a nie kochają się wzajemnie.

— Come si fa? Cóż można zrobić przeciw temu? — nadmienił Paweł.

— Musisz się starać wpłynąć na niego. Musisz uczynić wszystko, by zmienić jego zapatrywanie, aby lepszy w nim wywołać sposób myślenia.

— Eh! wiem o tem, odpowiedział ksiądz Paweł. — Czynię co mogę, ale mi się nie udaje. On myśli, że się wtrącam. Nie jestem św. Filipem Nereuszem. Dla czegoż mam taić, jak rzeczy stoją? Marek nie jest złym człowiekiem, ale jest szalony na punkcie tego, co nazywa polityką. Wierzy w nowy stan rzeczy. Myśli, że wszystko jest złe i powinno być zniszczone. Wtenczas on i jego przyjaciele wznieśliby nowe idealne państwo.

— Niezadługo nie byłoby co jeść, jak równość gotowana i pieczona. Słyszałem, że socyaliści są tu nawet w Rzymie. Nie mogę pojąć, czego oni żądają.

— Oni chcą podzielić majątek kraju między siebie — odparł ksiądz Paweł. — Co za dziwne pomysły przychodzą ludziom do głowy!

— Aby podzielić dobra kraju, potrzebują tylko odtrącić kurs papieru od napuszonego długu narodowego. Pozostałoby z tej procedury więcej krzywdy, aniżeli pieniędzy. To mi przypomina historyę, którą słyszałem zeszłego roku. Deputacya socyalistów przybyła do pewnej wysoko postawionej osobistości w c Wiedniu - Bóg wie po co? Dość, że przyszli. Powiedzieli mu, że obowiązkiem jego jest podzielić swój majątek między mieszkańców miasta. On im odpowiedział, że mają słuszność.

- Patrzcie rzekł — posiadam około 700 tysięcy franków. Zdarza się właśnie, że Wiedeń ma prawie tyle mieszkańców. Macie każdy po florenie. To wasza cząstka. Żegnam".

Widzisz, że postąpił dobrze. Może gdyby twój brat miał swoją wolę, burzył wszystko i dzielił na równe części, posiadałby potem mniej, aniżeli miał przed tem. Co myślisz?

— Z pewnością, Eminencyo. Ale obawiam się, że tego nigdy nie zrozumie. Ma on bardzo niezmienne przekonania.

- Zmienią się tem prędzej, skoro go znudzą. Tego rodzaju idee są przejściowe, jak miotanie się człowieka w gorączce. Kiedy gorączka ustąpi, ogarnia uczucie znużenia i pragnienie spokoju.

- Byleby rzeczywiście ustąpiła! rzekł ksiądz Paweł smutno.

— O! tak będzie pierwszego lepszego poranku. Obok tych politycznych idei zdaje mi się, że brat twój jest także niedowiarkiem?

— Sądzę, że wierzy w cośkolwiek — odpowiedział kapłan wymijająco.

— A jednakże robi dobre interesa na wyrabianiu naczyń do służby kościelnej, mówił Kardynał dalej z uśmiechem. Dla czego mi nigdy nie mówiłeś księże Pawle, o dziwnych zapatrywaniach swego brata?

— Dla czegoż miałbym Waszą Eminencyą nudzić takiemi sprawami? Żałuję, że powiedziałem

tak wiele, nikt bowiem nie może zrozumieć dokładnie, jakim jest Marek, kto go nie zna. Jestto dla niego krzywdą mówić Waszej Eminencyi o nim, że jest wolnodumcą. A jednak on nie jest złym człowiekiem. Nie ma wad, o ile wiem, z wyjątkiem ostrego języka. Jest trzeźwy i pracuje ciężko. To znaczy wiele w dzisiejszych czasach. Jakkolwiek jest zbłąkany, powróci z pewnością na dobrą drogę. Nie chciałbym mu robić krzywdy.

— Dla czego myślisz, że mu to sprawia krzywdę, jeżeli się o nim wszystkiego dowiem. Czy sądzisz, że ja lub inni przestaną go zatrudniać, jeżeli się dowiemy o nim wszystkiego?

— Byłoby to naturalnem, jeżeliby się Wasza Eminencya wahał to uczynić.

— Obojętną jest rzeczą, czy martwe naczynia, których używamy, są rzeźbione przez świętego, czy przez niedowiarka. Ich użycie uświęca je, a nie moralna wartość artysty. Potrzebaby wiele czasu do zbudowania kościoła, gdybyś chciał używać tylko mularzy, znajdujących się w stanie łaski.

— Ale czy Wasze Eminencya nie wolałbyś, aby artysta był także dobrym człowiekiem?

— Ze względu na niego samego, księże Pawle. Rzeczy, które wyrabia, nie są przez to gorsze, że on nie jest dobry. Czy wiele z filarów w naszych kościołach nie znajdowało się w świątyniach rzymskich? Czyż sklepienie nad wielkim ołtarzem u św. Piotra nie jest z bronzowej posowy Panteonu? A zresztą, cóż jest dobre? Wszyscy nie jesteśmy dobrzy, ale jedni są gorsi od drugich. Nie naszą sprawa jest sądzić lub dawać zlecenia odnośnie do dzieł sztuki tym, których uważamy za najlepszych z ludzi, tak jak się daje nagrody pilnym i grzecznym dzieciom.

— To prawda — odpowiedział kapłan.

Nie chciał rozprawiać nad kwestyą wiary lub niewiary Marka. Gdyby go nie były zajmowały wypadki rana, byłby może uniknął tego przedmiotu,

jak to czynił dawniej, kiedy go Kardynał wypytywał. Ale dziś nie był on całkiem sobą samym, a nie będąc zdolny powiedzieć kłamstwa jakiegokolwiek, mówił prawdę więcej, aniżeliby sobie życzył. Czuł on, że może był nieco niesprawiedliwym wobec swego brata. Wyglądał zakłopotany, a Kardynał zauważył to, gdyż był uprzejmym człowiekiem i bardzo lubił swego sekretarza.

— Nie martw się tem — odezwał się po chwili milczenia. — Jestem, jak wiesz, starym gadułą i chętnie zajmuję się sprawami moich przyjaciół. Ale lękam się, że ci zrobiłem przykrość...

— O! Wasza Eminencya nie mógłbyś nigdy...

— Zrobić tego umyślnie — przerwał Kardynał. Ale błądzić jest rzeczą ludzką a mianowicie ludzkiem jest nudzić swych bliźnich dopytywaniem się. Mamy wszyscy własne kłopoty, księże Pawle. Kiedyś może sam zostaniesz Kardynałem - kto to wie? Mam nadzieję, że tak będzie. Wtenczas będziesz miał dobrego sekretarza, za dobrego, nawet dla ciebie, którego będziesz mógł męczyć pytaniami o jego krewnych. Tylko ze względu na ciebie Sor Marzio nie będzie miał mniej zamówień, nawet wtenczas, kiedy jeszcze więcej zwróci się ku socyalizmowi.

— Wasza Eminencya jesteś zbyt łaskawy, — rzekł ksiądz z prostotą.

Był bardzo wdzięczny za uprzejme słowa, gdyż wiedział, że były wypowiedziane na seryo a nie żartem. Myśl, iż może wyrządzić krzywdę Markowi, była bardzo bolesną dla niego, pomimo tego, co czuł tego poranka. Jednakże proste i rozsądne zapatrywanie prałata na sprawę uspokoiło go i usunęło wątpliwość, która od dawna zakłóciła spokój jego umysłu. Myśli, że te długie, okrutne palce Marka wypracowały delikatny deseń, prześladowała go i niepokoiła. Dźwięk głosu Marka, urągający wszystkiemu, co kapłan uważał za święte, byłby mu brzmiał w uszach przy używaniu poświęconych naczyń i byłby się mieszał z każdym słowem modlitwy.

Ale byleby sam nie był zobowiązany używać kielichów wyrobu swego brata, cóż to mogło szkodzić? Kardynał nie znał artysty, a jakiekolwiekby powziął o nim wyobrażenie, byłoby ono mglistem i niewyraźnem. Uczucie to zatem było jego własnem i całkiem osobistem. Byłoby to szczytem zabobonnego szaleństwa, gdyby chciał przypuszczać, że każda zła zasada przyczepiłaby się do srebra lub złota dla tego, iż rzeźbiła je bezbożna ręka. Prosta to rzecz, lecz przez długi czas niepokoiła umysł księdza Pawła.

Nastąpiła długa chwila milczenia po ostatnich słowach księdza, w czasie której Kardynał spoglądał na niego od czasu do czasu, obracając wielki rubinowy pierścień w koło palca.

— Zabierzmy się do pracy — rzekł wreszcie, jak gdyby chcąc usunąć przedmiot rozmowy z myśli.

Ksiądz Paweł rozłożył wielką tekę do pisania i zasiadł przy biurku, Kardynał zaś przeglądał dokumenta jedne po drugich i dyktował swemu sekretarzowi. Przez dwie godziny lub więcej dwaj ci ludzie nie ruszyli się od pracy. Kiedy odczytano ostatni papier i napisano ostatnią notatkę, Kardynał powstał z fotelu i podszedł ku oknu. Nie było innego odgłosu w komnacie prócz szelestu piasku, który ksiądz Paweł sypał na mokry atrament po starym zwyczaju, zsypując go następnie napowrót do piaselniczki obok kałamarza. Nagle sędziwy dostojnik Kościoła odwrócił się i spojrzał na księdza.

— Kiedy ty i ja spoczywać będziemy kiedyś tam u św. Wawrzyńca, będzie się toczyła wielka walka, mój przyjacielu.

— O co, Eminencyo? — odparł drugi.

— O srebrne kielichy może. O wiele rzeczy. Będzie to wielka walka, jakiej świat przedtem nie widział.

— Nie rozumiem — rzekł ksiądz Paweł.

— Twój brat reprezentuje ideę — odrzekł Kardynał. — Tą ideą jest przewrót wszelkich zasad spo-

łecznych. Jest to idea, która się musi rozprzestrzenić, ponieważ wielu jest zepsutych ludzi na świecie, którzy mają wielki interes w obaleniu prawa. Hasłem tego stronnictwa będzie zawsze „nie ma Boga" — ponieważ Bóg jest porządkiem, a oni pragną nieładu. To prawda, że oni będą zawsze w mniejszości, ponieważ większość ludzi jest zdecydowaną na to, aby nie niszczyć porządku. Ale ci ludzie będą walczyć do upadłego, wiedzą bowiem, że w owej walce nie będzie pardonu dla zwyciężonych. Będzie to olbrzymia walka i potrwa długo, ale będzie stanowczą i może nie powtórzy się już nigdy. Ludzie będą się zabijali nawzajem, gdzie się tylko spotkają, przez miesiące i lata, zanim koniec nadejdzie, gdyż wszyscy ludzie, którzy mówią że jest Bóg na niebie, staną po jednej stronie, a ci którzy mówią, że nie ma Boga, po drugiej.

Obyśmy nie doczekali czegoś tak okropnego! — zawołał ksiądz Paweł z przejęciem.

Nie, ani ty, ani ja tego nie zobaczymy. Ale maleńkie dzieci, które się tam bawią kasztanami na dziedzińcu, widzieć to będą. Świat lęka się samego imienia wojny, aby nie stała się powszechną, skoro raz wybuchnie. Powiedz to swemu bratu.

— Tego on pragnie! O tem zawsze mówi.

Natenczas jest to nieuniknione. Kiedy wiele milionów jemu podobnych zadecydowało, że złe ma się dokonać, to nie może ono być odroczone na długo. Krew spadnie na ich własne głowy.

Kiedy ksiądz Paweł powrócił znów do swego samotnego mieszkania w pół godziny później, myślał długo nad tem, co Kardynał mówił do niego a im dłużej rozmyślał, tem więcej prawdy zdawała się mieścić przepowiednia.

ROZDZIAŁ XI.

Jan Baptysta przybył do kościoła, gdzie miał przeznaczoną robotę i pilnował wyładowania wóz-

ków. Było dopiero po godzinie pierwszej i spodziewał się umieścić okratowanie przed wieczorem. Sztuki zniesiono ostrożnie do kaplicy, w której miały być umieszczone i złożono w porządku, w jakim ich potrzebować będą. Wymagało długiego czasu ich złożenie i uczeń był zadowolony, że prosił Maryi Ludwiki i Łucyi, aby przyszły później. Byłoby je znudziło przypatrywanie się składaniu części i przyśrubowywaniu ich i nie byłyby miały pojęcia o całości, znużone szczegółami pojedyńczemi.

Przez kilka godzin pracował z robotnikami, nie pozwalając nic robić bez jego kontroli i robiąc więcej, niż którykolwiek z robotników. Zajął się i zainteresował w miarę, jak czas upływał i zaczął wątpić, czy skończy robotę do zachodu słońca. Sami robotnicy, którzy woleli pracę tego rodzaju, od zwykłego zajęcia w pracowni, zdawali się nie spieszyć wcale, jakkolwiek robili wszystko spokojnie i systematycznie. Każdy z nich obliczał w przybliżeniu czas, jakiego było potrzeba do wkręcenia śruby, do wykończenia zawiasu, aby części przystawały szczelnie do siebie. Pół godziny, zmarnowane na drobnostkach dzisiaj, zapewniało im na jutro rozrywkę godziny lub dwóch na pójście do kościoła i powrót do domu.

Od czasu do czasu Janek spoglądał ku drzwiom a w miarę, jak godziny mijały, spojrzenia jego powracały w tę stronę coraz częściej. Wreszcie, kiedy zabłysnęły promienie wieczornego słońca przez zachodnie okna, usłyszał kroki i w tej chwili ukazała się Signora Pandolfi a za nią Łucya. Pozdrowiły Janka z daleka a ponieważ kościół od lat kilku był naprawiany i nieużywany od dawna, przeto dźwięk głosu nie wydawał się czemś nienaturalnem albo niestósownem.

— Jeszcze nie skończone — odezwał się Janek, wychodząc im naprzeciwko — ale możecie zobaczyć, jak będzie wyglądało. Godzinka wystarczy.

W tej chwili zjawił się nagle ksiądz Paweł, spiesząc ku obydwom kobietom. Wszyscy powitali go okrzykiem zdziwienia.

— Dziwicie się — zawołał — że mię tu widzicie? Przechodząc widziałem, jak wchodziłyście do kościoła, a ponieważ słyszałem o kratach, domyśliłem się, dla czego tu przyszłyście i udałem się za wami. Czy Marek jest tutaj?

— Nie — odpowiedział Jan. Mówił, że może przyjdzie, ale wątpię. Zdaje mi się, że chce być sam.

— Tak — mówił ksiądz Paweł zamyślony — sądzę, że pragnie pozostać sam.

— Miał wiele wzruszeń dzisiaj — zauważył Janek. Zobaczymy jaki będzie wieczorem. Ksiądz dobrodziej słyszał naturalnie nowinę? Zresztą oto jestem już przy pracy, więc pierwsze nieporozumienie już zażegnane. Łucya tego dokonała — ona taka wymowna! Lepsze umiałaby prawić kazanie od was, księże Pawle.

— To mały aniołek! — zawołał kapłan, gładząc ciemną jej twarzyczkę białą swą ręką.

— To już czwarty dzisiaj! — wykrzyknęła Łucya, śmiejąc się. Najprzód mama, potem ojciec — wystaw sobie, wuju, ojciec! — potem Janek a teraz wuj Paweł. Jeżeli mi nie wyrosną skrzydła, zanim zadzwonią na Anioł Pański . . .

Przerwała z wdzięcznym ruchem ramion, ukazując białe ząbki i zwracając oczy na Jana. Młodzieniec zaprowadził ich do okratowania. Znaczna część była już umieszczona u góry i sprawiała dobre wrażenie. Całość była dziesięć do dwudziestu stóp wysoka, składająca się z złoconych sztabów, oddalonych szeroko jeden od drugiego a między nieni przymocowane były wielkie arabeski. Po każdej stronie furtki anioł unosił metalową draperyą, której fałdy były w rzeczywistości z osobnych kawałków, które atoli po złączeniu bardzo wyglądały lekko i swobodnie. I tutaj nawet wielki talent

Marka okazał się w rzadkiej znajomości efektów i swobodnego modelowania; wysokie światła były dobrane starannie, a głębokie cienie fałd w ciemnem złocie nadawały bogactwo draperyi, nie łatwo widywane przy tego rodzaju ozdobach. Postacie aniołów również były wykonane ręką artysty, wolne od błędu ciężkości lub wad anatomicznych.

— To nie brzydkie — rzekł ksiądz Paweł tonem, który wszystkich zadziwił. Nieraz był on skąpy w oddawaniu pochwał dziełom swego brata.

— Jakto, nie brzydkie? To jest wszystko? — zapytał Jan ze zdumieniem. Czuł on także, że ponieważ on i Marek pracowali razem, przeto i jemu należała się cząstka uznania. Jest to naturalne ozdoba kościelna a nie „sztuka", jak mawiamy, ale chciałbym widzieć tego, coby zrobił lepiej.

— Dobrze, dobrze, Janku, przebacz mi — odpowiedział. — Faktem jest, że Marek pokazał mi coś tak cudownie pięknego, że nie widzę piękności w niczem innem, — albo przynajmniej nie tyle, ilebym powinien. Szedłem do niego znowu, właśnie kiedy Łucya wychodziła i pokazał mi krucyfiks, — cudo prawdziwe! — mówił mi, że ma go od dawna schowany w skrzynce.

— Nie widziałem go nigdy — zauważył Janek.

— Ja widziałam! — zawołał Łucya. Pożałowała tych słów w chwili, kiedy je wymówiła i przygryzła usta. Nie mówiła matce tego, co powiadała Jankowi.

— Kiedy widziałaś go? Jest on tak bardzo piękny — dopytywała się Signora Pandolfi.

— O! widziałam go tylko przez drzwi uchylone, kiedy tam poszłam, odpowiedziała szybko. — Drzwi były otwarte, ale zapukałam i widziałam, jak go chował. Ale sądzę, że był bardzo piękny. Co mówiliście o tem, wuju Pawle? Nie opowiadałeś nam o swej wizycie. Szepnęłam wujowi, że wszystko załatwione, ale wujaszek wyglądał, jak gdyby mię nie rozumiał. Co mówiliście ze sobą?

— O! nic — nic ważnego — rzekł ksiądz Paweł z pewnem zakłopotaniem. Nagle przypomniał sobie, że w skutek dziwnego zachowania się brata, wyszedł z pracowni, nie powiedziawszy ani słowa tego, dla czego przyszedł. — Nic, powtórzył. Mówiliśmy o krucyfiksie i Marek tłomaczył mi bardzo obszernie, w jaki sposób został zrobiony. Zresztą, jak Łucya powiada, mówiła mi, że wszystko załatwione i Marek rozmawiał bardzo spokojnie.

To było prawdą. Słowa Marka były dość uprzejme. Jego czyn najprzód przeraził Pawła a potem wprawił go w zadumę i rozmyślanie wypadków z tych kilku minut. Ale za nic w świecie nie byłby powiadomił żadnej z trzech osób o tem, co zaszło. Sam nie był zupełnie pewny. Ksiądz tłomaczył położenie jego ręki, wmawiając w siebie, że słońce świeciło mu w oczy. Coś innego błyszczało w jego oczach, myślał ksiądz Paweł, spojrzenie nienawiści i żądza krwi, o której okropnie było pomyśleć. Może nie powinien sobie tego przypominać, bo może się mylił z tem wszystkiem a ciężki to grzech posądzać kogoś o chęć morderstwa; mimowolnie jednakże ksiądz Paweł odniósł to wrażenie i był pewnym, iż nie było następstwem prostego przestrachu. Nie był tchórzem a jakkolwiek fizyczna jego odwaga rzadko była wystawiana na próbę, nikt z tych, co go znali, nie posądziłby go o wzgardy godną nieśmiałość, która się obawia tam, gdzie nie ma niebezpieczeństwa.

Łucya zauważyła ton w odpowiedzi księdza Pawła i domyśliła się, że coś zajść musiało, jakkolwiek jej domysły biegły w stronę przeciwną faktowi. Przypomniała sobie, co widziała sama i przywodząc na pamięć fakt, że Paweł wszedł do pracowni właśnie w chwili, gdy ją opuszczała, nie widziała nic naturalnego w przypuszczeniu, że rozmowa ojca z wujem toczyła się w tonie religijnym. Użyła wyrazu religia, aby wyrazić samej sobie, co miała na myśli. Uważała za całkiem mo-

żliwe to, że Marek złagodniawszy nagle i widocznie wzruszony jej zemdleniem, mówił o swych uczuciach księdzu Pawłowi, który z swej strony skorzystał ze sposobności, aby wpłynąć na usposobienie brata. Ksiądz Paweł, tak myślała, nie mówiłby swobodnie o takiem wydarzeniu, a jego przymus w tej chwili można przypisać tej samej przyczynie. Aby zapobiedz dalszym pytaniom ze strony matki lub Jana, Łucya odezwała się:

— Tak, zdawał się bardzo spokojny. Mówił mało przy obiedzie. Ale Janek powiada, że może tu niezadługo przyjdzie, to się sami przekonamy.

Nie bardzo było jasnem, o czem się mieli przekonać i Łucya starała się skierować uwagę na nowe kraty. Jan powrócił do roboty, a obiedwie kobiety i ksiądz Paweł stali, patrząc i od czasu do czasu zmieniali pozycyą, aby lepiej przypatrzeć się dziełu. Jan wszedł na drabinę, opartą o jeden z marmurowych filarów przy wejściu do kaplicy, zamkniętej kratami. Właśnie założono wielką arabeskę i związano sznurami, podczas gdy młodzieniec wkręcał śrubę w przygotowany otwór, aby przymocować jednę stronę od sztaby. Był on umieszczony niewygodnie, ale odesłał ludzi, aby przygotowali ostatnie sztuki, złożone w niedalekiej odległości od miejsca, w którem pracował. Trzy osoby przypatrujące się obserwowały go z zajęciem, prawdopodobnie uważając także, iż musi mieć dobre nerwy, aby utrzymać się w takiej pozycyi. Ksiądz Paweł zwłaszcza był niespokojniejszy od innych. Nagle kiedy patrzał na postawę Janka, jak uczeń wyprostował się i odwrócił się tak, aby dobrze umieścić śrubę, poruszyła się podstawa drabiny na gładkiej posadzce marmurowej. Szybkim ruchem ksiądz Paweł poskoczył naprzód ze zamiarem pochwycenia drabiny.

Słysząc odgłos szybkich kroków, Jan Baptysta odwrócił głowę i górną część ciała, aby zobaczyć, co się stało. Nagłe poruszenie przechyliło ciężar i ostatecznie zachwiało równowagę drabiny.

Z ostrym zgrzytem osunęły się końce drabiny od filara. Jan Baptysta rozpaczliwie pochwycił żelazne sztaby, ale długie narzędzie w ręku przeszkodziło mu i chybił.

Ksiądz Paweł, którego odgłos kroków wywołał najprzód ruch młodzieńca i tem samem przyspieszył przypadek, pobiegł naprzód, rzucił się pod upadającą drabinę i schwycił ją całą siłą. Ale było zapóźno. Janek był ciężki i cała drabina zbyt wielkiego nabrała impetu, aby ją mógł powstrzymać jeden człowiek. Z głośnym trzaskiem upadła na gładki marmur. Spadając na bok, Jan stanął na nogi, ogłuszony, ale jak się zdaje, nie zraniony.

Ksiądz leżał bez ruchu pod drabiną, z głową prawie schowaną pod ramię i ręką wyciągniętą sztywno na posadzce. Długie, białe palce otworzyły się raz lub dwa razy konwulsyjnie a potem nie poruszyły się więcej. Była to sprawa jednej chwili. Marya Ludwika krzyknęła i oparła się o filar, Łucya zaś pobiegła do nieszczęśliwego człowieka i uklękła przy nim. Jan, którego życie prawdopodobnie ocaliła szybka pomoc księdza Pawła, odciągał na bok ciężką drabinę a robotnicy nadbiegli przerażeni zobaczyć, co się stało.

Zdawało się, iż życzenie Marka spełniło się bez jego współdziałania. Śmiertelna bladość pokrywała szlachetne rysy kapłana a kiedy go podnosili, wszystkie członki się zwieszały z wyjątkiem lewego ramienia, które sterczało sztywne. Było wyrwane w samem ramieniu.

Nastąpiła chwila nieopisanego zamieszania, w której jedyny Jan zdawał się mieć pozór spokoju. Wszyscy inni płakali i mówili naraz. Marya Ludwika i Łucya uklękły przy rannym, którego złożono na stopniach ołtarza, płacząc, całując białe jego ręce i wołając jednym tchem, aby przemówił do nich.

— Martwy jak kamień — odezwał się jeden z robotników po cichu.

— E! jest w raju — rzekł inny, klękając u nóg księdza i rozcierając je.

— Zabierzcie go do szpitala, panie Tisto...

— Lepiej do domu...

— Pobiegnę do pana Marka...

W następnej ulicy jest apteka.

— Doktór lepszy — aptekarze to mordercy.

Jan bardzo blady, ale stanowczy, odsunął robotników od księdza.

— C a r i m i e i — rzekł — może jeszcze żyje. Jeden z was niech pobiegnie po powóz i każe zajechać przed drzwi zakrystyi. Reszta niech zbierze rzeczy starannie, aby nic nie zostało. Zabierzemy go do domu pana Marka i przywołamy najlepszego lekarza.

— Nie ma nawet kropli święconej wody w kropielnicy — jęczała Marya Ludwika.

— Pójdzie do nieba — łkała Łucya. — A jaki on był dobry...

Jan ukląkł także i starał się odszukać pulsu. Potem przyłożył ucho do serca. Zdawało mu się, że słyszy słaby szelest w piersi. Spojrzał i blady rumieniec ukazał się na jego bladej twarzy.

— Zdaje mi się, że żyje — odezwał się do kobiet, pochylił się znowu i słuchał. — Tak — mówił z radością. — Serce bije. Ostrożnie, pomóżcie mi go przenieść do zakrystyi; jeden z was niech zabierze jego kapelusz. Tak — ostrożnie — nie dotykajcie tego ramienia. Zdaje mi się, że kolory powracają do twarzy.

Z czterema innymi Janek podniósł ciało i zaniósł z całą ostrożnością do zakrystyi. Dorożka była już przed zakrystyą i za kilku minut biedny ksiądz Paweł znajdował się w niej. Powóz był kryty i Marya Ludwika wsiadła, podtrzymując słaniającą się głowę na swem szerokiem łonie, Łucya zajęła miejsce naprzeciwko, a Janek usiadł na koźle, rozporządziwszy, aby czterej robotnicy w drugiej

dorożce pojechali naprzód, by pomódz wnieść rannego. Innych wysłał po lekarza.

— Nie powiadajcie panu Markowi — nie chodźcie do pracowni, dorzucił w końcu. Wiedział, że Marek nie pomógłby nic, a miał nadzieję, że ksiądz Paweł będzie po za niebezpieczeństwem, zanim rzeźbiarz dowie się o wypadku.

W pół godziny później nieszczęśliwy leżał na łóżku Janka. Teraz było widoczne, że żyje, gdyż oddychał ciężko i regularnie. Ale na pół przymknięte oczy były bez wyrazu a rumieniec na zapadłych policzkach nienaturalny. Zwichnięta ręka jeszcze sterczała z pod kołdry. Obiedwie kobiety i Jan stali przy łóżku w milczeniu, czekając na przybycie lekarza.

Przyszedł wreszcie człowiek o spokojnym wyrazie twarzy, w średnim wieku, z szpakowatemi włosami i twarzą ospowatą. Zdawał się wiedzieć dobrze, co ma czynić, gdyż wypytywał, badając chorego, o najdrobniejsze szczegóły. Jan, który zaczął odczuwać następstwa upadku teraz, kiedy minęło pierwsze wzruszenie, usiadł, opowiadając zdarzenie. Lekarz żądał, aby kobiety wyszły z pokoju.

— Lewa ręka jest zwichnięta przy ramieniu, ale nie złamana, rzekł chirurg. Pomóż mi, dobrze? Trzymaj go mocno, całą siłą a ja wprawię stawy w dawne miejsce. Jeżeli głowa lub kręgi nie są nadwyrężone, ból może przywróci mu przytomność. To będzie dobrze. Teraz gotów — raz, dwa, trzy, ciągnij!

Obydwaj mężczyźni silnie poskoczyli i ku zdziwieniu Jana ramię opadło w naturalne położenie, ale rysy kapłana nie wyrażały bólu. Był widocznie nieprzytomny. Dalsze badanie przekonało lekarza, że uszkodzenie było poważniejsze; na jednej stronie głowy był guz ogromny i pełno sińców na ciele.

— Czy będzie żył? — zapytał Jan z cicha opadając napowrót na krzesło.

— O tak — prawdopodobnie. Zdaje się, że przyjdzie zapalenie mózgu. Trudno przewidzieć. W jakim jest wieku?

Postawił kilka jeszcze pytań, układając zręczną ręką pacyenta na poduszkach. Zażądał następnie papieru i napisał receptę.

— Nie można chwilowo nic więcej zrobić — rzekł. — Trzeba głowę okładać lodem, a jeżeli odzyska przytomność, tak, iż będzie mówił, zanim powrócę, uważaj pan, co będzie mówił. Może będzie w malignie, a może też będzie mówił rozsądnie. Nie można przewidzieć. Poślijcie po to lekarstwo i dawajcie mu, jeśli będzie przytomny. W przeciwnym razie tylko trzymajcie głowę chłodno. Powrócę wcześnie wieczorem. Pan sam nie jesteś raniony? — zapytał, patrząc na Jana ciekawie.

— Nie, tylko wstrząsnąłem się silnie i moje ręce są nieco pokaleczone — to wszystko — odpowiedział młodzieniec.

— Co to za piękna rzecz, młodość! — zauważył lekarz filozoficznie, odchodząc.

Jan pozostał sam w pokoju chorego, siedząc w głowach łóżka. Z pełnem obawy zajęciem i uwagą wpatrywał się w tę twarz bez wyrazu, śledząc ciężki oddech, wydobywający się z na wpół otwartych ust. W oddaleniu mógł słyszeć łkanie i rozmowę bez związku obydwóch kobiet, kiedy lekarz tłomaczył im stan księdza Pawła, ale obecnie był zanadto zgnębiony, aby na to wszystko uważać. Zdawało mu się, że ksiądz Paweł poświęcił życie za niego i że nie ma innego obowiązku, jak siedzieć i czuwać przy łóżku przyjaciela. Wszystkie wrażenia tego popołudnia mieszały się z sobą niejasno a wstrząśnienie z powodu upadku poruszyło jego nerwy więcej, aniżeli z początku się zdawało. Członki go bolały i czuł zawrót głowy a rysy księdza Pawła stawały się coraz niewyraźniejszemi. Ocknął się wejściem Łucyi, która szybko odłożyła swój kapelusz. Twarz jej była blada a ciemne oczy

nabrzmiały od płaczu, włosy w nieładzie spadały jej na szyję. Jan stanął obok dziewczęcia, które się wsparło na jego ramieniu i tak oboje wpatrywali się w chorego. Czuł on, że obowiązkiem jego było pocieszać Łucyą.

Doktor sądzi, że wyzdrowieje — rzekł.

Kto wie — odpowiedziała ze łzami i wstrząsnęła głową. — O! Janku, on był naszym najlepszym przyjacielem!

— Chcąc mię ocalić... — mówił Jan, lecz nie mógł dalej wyrzec ani słowa. Wyrazy utkwiły mu w gardle.

— Jeżeli będzie żył, będę mu synem! — dodał natychmiast. — Nie opuszczę go nigdy. Ale może... może on za dobry, aby żyć.

— On nie może umrzeć. Wezmę go w opiekę — odpowiedziała Łucya. — Musisz się modlić, Janku, za niego... i ja będę także i my wszyscy.

— Spróbuję, ale nie znam się na tych rzeczach tak, jak wy — rzekł Jan żałośnie. — Jeżeli myślisz, że to się przyda...

— Naturalnie nie wątp o tem — odparło dziewczę poważnie. Potem odwróciła się i ukrywając twarz w poduszce obok nieprzytomnej głowy kapłana, płakała, jak gdyby jej serce pęknąć miało.

Jan ukląkł przy niej i szeptał słowa pociechy do ucha.

Dzień zaczynał gasnąć i ostatnie promienie na zachodnim skłonie nieba padały przez małe okienko, oświecając skromne umeblowanie, białą pościel, zmienioną twarz chorego i dwie młode postacie, klęczące przy łóżku. Był to pokoik Jana — a był dość pusty. Gołe ściany, prosty stół przy oknie, okrągłe zwierciadło, oprawne w cynę, przy którem się uczeń golił, stara komoda — to było wszystko. Biało pobielane ściany zdobiły dwa lub trzy rysunki kielichów i innych sprzętów kościelnych. Mały czarny krzyżyk wisiał nad łóżkiem z małą gałązką oliwną umieszczoną nad nim, jako

pamiątka ostatniej niedzieli palmowej. W innej części pokoju były dwa gwoździe, na których wisiały stare rzeczy — oto wszystko. Ale głębokie światło gasnącego dnia nadawało wyraz pokoju każdej rzeczy i wydobywało na jaw szczegóły zapracowanego życia.

Łucyi płacz ustał po chwili, a kiedy nastał zmrok, milczenie stało się głębszem; oddech chorego stawał się łżejszym, jak gdyby w swej nieprzytomności zaczynał odpoczywać po dniu, w którym przebył tak wiele. Z pokoju bawialnego za krótkim korytarzykiem głos Maryi Ludwiki, płaczącej razem z starą Assuntą, stopniowo słabiej dochodził, aż wreszcie słychać go było tylko w przestankach i wreszcie ucichł zupełnie. Domownicy przejęci byli ciężkim smutkiem i oczekiwaniem wielkiego nieszczęścia.

ROZDZIAŁ XII.

Marek, nie wiedząc o niczem z tego, co zaszło w kościele, pracował dalej w samotności swej pracowni a bieg myśli jego toczył się w tem samem łożysku. Starał się zmusić uwagę swoją do skierowania się ku szczegółom zamiaru, jaki knował przeciw swemu bratu i przez pewien czas mu się to udawało. Ale inny wpływ zaczął pracować w jego umyśle, od chwili, jak się przeraził odgłosem po za sobą, podczas kiedy badał otchłań pod skrzynią. Nie chciał przyznać sam przed sobą, że taka nierozsądna obawa mogła wywrzeć długotrwałe wrażenie na nim, a jednak czuł się niespokojny i dziwnie rozdrażniony. Nie mógł się powstrzymać od tego, aby się nie obejrzeć od czasu do czasu na drzwi i niejeden raz oczy jego spoczęły przez kilka chwil na skrzyni a lekki dreszcz przebiegał jego ciało i zdawał się mrozić mu palce.

Mimo to pracował pilnie. Przyzwyczajenia do pracy nie mogła usunąć urojona troska chwili i jak-

kolwiek oczy jego błądziły od czasu do czasu, powracały zawsze do srebrnej postaci tak bystre jak zwykle. Badał każdy szczegół z drobnostkową i skrupulatną starannością, która zdradzała jego zamiłowanie do roboty, jaką się zajmował.

A jednak niepokój ogarniał go coraz więcej. Zdawało mu się, jak gdyby Paweł znajdował się w izbie, przypatrując mu się przez ramię, podsuwając ulepszenia głosem sobie właściwym, który brzmiał w uszach artysty. Wyobraźnia jego pracowała gwałtownie, i myślał o Pawle stojącym przy nim, nakazującym mu robić to lub owo wbrew woli, aż wreszcie zaczął zatracać własny sąd o tem, co robi. Chciał wiedzieć, czyby doznawał tego samego uczucia, gdyby Paweł umarł. Znowu spojrzał poza siebie i myśl, że nie żyje, coraz więcej utrwalała się w jego umyśle. Mimo, że pokój był jasny, jaśniejszy niż kiedykolwiek od rana, gdyż okno było na południe, i jakkolwiek pierwsze promienie słońca dochodziły około jedenastej w południe, budynki zasłaniały je, dopóki słońce nie stanęło na zachodzie. Dziś tem więcej powietrze było zmienne i około południa spadł drobny deszcz. Teraz wyjaśniło się i pracownia była tak oświecona, że światło dochodziło nawet do starej pajęczyny w kątach i oblewało woskowe modele i odlewy na półkach, złociło stare drzwi naprzeciwko złotą barwą. Marek miał firankę z szarego płótna, którą zasunął na dolną część okna, aby mu słońce nie przeszkadzało w pracy.

Był rozdrażniony sam na siebie i zirytowany ciągłem trwaniem wrażenia, że Paweł jest obecnym w pracowni. Jak gdyby chcąc się tego pozbyć, zaczął rozmyślać nad usunięciem brata swego ze świata. Nagły impuls z rana zamienił się w postanowienie po południu. Przestrach do pewnego stopnia ostudził jego zamiary i zastąpił nowym żywiołem w myślach przez obawę przed przyszłością, gdyby czyn został spełniony. Zaczął rozmyślać nad

tem, coby się stało potem, czy morderstwo mogłoby być odkryte jakimkolwiek sposobem i czy w takim razie przypisanoby je jemu.

Na pierwszą myśl, że taka rzecz, jaką zamierzał, mogłaby mieć inny koniec, aniżeli przypuszczał, Marek uczuł zimno koło serca i myśli jego przybrały inny kierunek. Wszystko było dość proste. Zwabić Pawła do warsztatu samego — uderzenie... ukrycie zwłok do nocy... krótka przestrzeń trzystu metrów z ręcznym wózkiem... wszystko to wydawało się wykonalnem. Tak, ale gdyby przypadkiem spotkał policyanta pod temi nizkiemi drzewami na Piazza de Branca, cóżby się stało? Człowiek z ręcznym wózkiem i czemś bezkształtnem w niem, uciekający w ciemnościach w stronę rzeki, z pewnością wywołałby podejrzenie u policyi. Możeby go zatrzymano i pytanoby się, co tam wiezie. Odpowiedziałby... cóżby odpowiedział w takim razie? Zrewidowanoby wózik i przekonanoby się, że zawiera ciało zabitego księdza. Zresztą przypomniał sobie, że koła robiłyby wiele turkotu wśród ciszy nocnej.

Ale pozostawał jeszcze sklep. Mógł zejść w nocy i pochować tam brata. Nikt tam nigdy nie schodził, ani on sam nawet. Któżby się domyślił tego miejsca? Rzeźbiarz pomyślał, iż byłoby to straszliwem zadaniem. Wystawiał sobie, jakby to było w zimnym, wilgotnym sklepie, z latarnią i trupem zamordowanego człowieka. Zbyt to było okropne, aby myśleć o tem, dopóki nie będzie konieczna potrzeba. Ale miejsce było dobre.

A potem, skoro Paweł zostanie pochowany pod wilgotnemi kamieniami, kto pierwszy zapyta o niego? Przez dwa lub trzy dni nikt się nie będzie zanadto dziwił temu, iż nie przychodzi dla wielkiego nawału pracy. Ale Kardynał, u którego był sekretarzem, dowiadywałby się o nieobecnego. On byłby pierwszy. Kardynałowi powiedzianoby, że Paweł nie spał w swem mieszkaniu w starym pałacu i przy-

słałby zaraz do domu Marka, aby się dowiedzieć, gdzie jest jego sekretarz.

Przysłałby więc a Marek powiedziałby, że nie wie i na tem skończyłoby się.

Trudno byłoby siedzieć spokojnie na ławie przez dzień cały z Janem przy boku. Prawdopodobnie spoglądałby często na skrzynię okutą żelazem. Janek zauważyłby to i może przetrząsnąłby piwnice. Nędzny byłby to koniec dramatu zdradzić się samemu przez własną słabość, kiedy wszystko zostało dokonane i Paweł poszedł sobie na zawsze koniec niegodny Marka, tak silnego umysłu wolnodumcy. Zabić księdza a potem być tak niespokojnym jak chłopak schwycony na gorącym uczynku! Rzeźbiarz starał się śmiać głośno w dawny sposób, ale usiłowanie pozostało bez skutku i skończyło się bolesnem skrzywieniem ust, któremu towarzyszyło spojrzenie ku skrzyni. Nie pomogło; był słaby i był zmuszony poddać się upokorzeniu, przyznając fakt ten sam sobie. Z pogardą dla własnej słabości zaczął myśleć nad tem, czyby mógł kiedykolwiek posunąć się tak daleko, by zabić Pawła. Przewidywał, że gdyby go zabił, nie pozbyłby go się potem nigdy.

Dokąd idą ludzie, kiedy umierają? Pytanie to powstało nagle w jego umyśle i zdawało się wymagać odpowiedzi. Odpowiadał on na to dość często przy kieliszku wina w restauracyi z Kacprem Carnesecchim, prawnikiem i innymi przyjaciółmi. Nigdzie!

To była odpowiedź dość jasna. Kiedy człowiek umiera, idzie w ziemię, taki jego koniec i zbyteczna więcej stawiać pytań. Możesz tak samo pytać się o wszystko, co stare, zużyte, połamane. Człowiek jest jak wszystko inne, zbiornikiem materyi - umiera, pochłania go ziemia i nie sprawia już więcej ambarasu.

Takie były odpowiedzi, jakie Marek zwykł dawać na pytanie: dokąd ludzie idą po śmierci? Do-

tąd zadawalał się niemi, tak jak one zdawały się zadawalać małą cząstkę szaleńców.

Ale cóżby się stało z Pawłem, gdyby Marek go zabił? Z czasem ciało jego obróciłoby się w proch, ot i wszystko. Jednakże było jeszcze coś innego. Marek był pewny, że Paweł byłby potem zawsze przy nim, tak jak właśnie teraz zdawał się czuć jego obecność tego popołudnia. Jakiego rodzaju byłaby ta obecność? Marek nie umiał powiedzieć, ale wiedział, że czułby ją. Nie mógłby się nigdy pozbyć tego uczucia, ścigałoby go i dręczyło do końca życia i nie miałby pokoju.

Jakby to być mogło, gdyby nie było rzeczywistem? Nawet księża powiadają, że dusze nie wracają na ziemię, tem bardziej wydało mu się to niepodobnem, skoro nie wierzył w istnienie duszy. Byłoby to więc dziełem wyobraźni, przywołującej ciągle na pamięć czyn dokonany a rzecz, która istnieje tylko w wyobraźni, nie istnieje wcale. A zatem nie było powodu do obawy.

Wniosek ten sprzeciwiał się faktom, z których go wysnuwał i rzeźbiarza to uderzyło. Pierwszy raz rozumowanie własne nie zadowalało go i usiłował odnaleźć przyczynę. Pytał sam siebie, czy to było dla tego, że w jego umyśle tkwiła dawniejsza tradycya o niegodziwości popełnienia morderstwa? Skoro nie ma duszy, przeto nie ma też absolutnego złego i dobrego. Gdyby brat jego był bogaty, byłoby zbrodnią zabijać go dla majątku. Nie byłoby jednakże zbrodnią zabić go dla idei. Marek powiedział sobie, że pozbyć się Pawła, znaczyłoby uwolnić siebie i rodzinę od panowania i mieszania się księdza i że taki postępek był tylko na małą skalę ilustracyą tego, czego pragnął dla swego kraju; było to więc słusznem, a zatem należało zrobić.

Na nieszczęście dla jego logiki ciągłość dedukcyi została przerwana uwagą, której się nie spodziewał. Spostrzeżenie to można było przypisać tylko obawie na przyszłość i nasunęło mu je prze-

rażenie, jakiego doznał przy oglądaniu podziemia. Aby je zneutralizować, Marek chciał spróbować stawić czoło temu, co nazywał chwilowym przestrachem, przez uporczywe rozmyślanie szczegółów planu, który zamierzał wykonać. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu, przekonał się, że powracał do tego samego wniosku, co przedtem. Przechodził wszystko w myśli raz jeszcze, dwa, trzy, dwadzieścia razy. Ilekroć doszedł do chwili, w której wystawiał sobie Pawła zabitego, ukrytego i zakopanego w piwnicy, ten sam dreszcz przebiegał jego ciało i mimowolnie spoglądał za siebie. Dla czego? Jaką władzę mogło wywierać martwe ciało na żyjącym człowieku z wszystkiemi zmysłami?

Tutaj było coś, czego Marek nie rozumiał, ale co mu nasuwały własne uczucia. Byłby mógł śmiać się z istnienia duszy i żartować z przyszłego życia po śmierci: nie mógł uniknąć przyszłości w tem życiu, jeżeli spełnił czyn, nad którym rozmyślał. Widziałby twarz zamordowanego dzień i noc do końca życia. Wiedział dobrze, że nawet choćby uniknął odkrycia zbrodni, nie mógłby nigdy uciec od okropności obecności swego zmarłego brata.

Złożył srebrnego Zbawiciela na skórzanej poduszce przed sobą i wpatrywał się w niego, podczas, gdy ręka machinalnie bawiła się narzędziami na stole. Głęboko osadzone oczy jego patrzały nieruchomo w to cudowne oblicze z wyrazem, jakiego przedtem tam nie było. Zniknął uśmiech z jego wązkich ust, a ciemne rysy były spokojne, niemal uroczyste.

— Cieszę się, że tego nie uczyniłem — rzekł głośno po chwili.

Patrzał ciągle na swoje dzieło i ogarnęło go wrażenie, że gdyby nie drobnostka, byłby zabił swego brata. Gdyby figurę był położył pewniej na skórzanej poduszce, nie byłaby się osunęła na ławę, nie byłaby wydała odgłosu w chwili, kiedy oglądał przyszły grób brata; nie byłby się przeraził tak na-

gle: nie byłby w myśli rozważał tak tej sprawy, jak to uczynił ze stanowiska przyszłej trwogi; byłby czekał na inną sposobność i gdyby się nadarzyła, byłby wymierzył cios i Paweł nie żyłby jeśli nie dziś, to jutro. Nastąpiłoby szukanie, któreby się skończyło lub nie odkryciem ciała, potem rozdzierający smutek żony, Łucyi i podejrzliwe spojrzenia Jana Baptysty. Młodzieniec słyszał go wyrażającego życzenie, aby Paweł zniknął ze świata. Dom stałby się piekłem, zamiast stać się wolnym od tyranii, jak to sobie najprzód wyobrażał. Odkrycie i sprawdzenie przyszłoby w końcu, galery na całe życie dla niego a hańba i wzgarda dla całej rodziny.

Przypomniał sobie słowa Pawła, kiedy tenże przypatrywał się krzyżowi w chwili właśnie, która o mało nie stała się jego ostatnią w życiu. Qui propter nos homines et propter nostram salutem — który dla nas ludzi i zbawienia naszego zstąpił z nieba. W dziwnym zwrocie uczucia Marek zastosował te słowa do siebie, z szczególną prostotą, która była zarazem patetyczną i zdumiewającą.

Gdyby Chrystus nie był umarł — rzekł sam do siebie — nie byłbym robił krucyfiksu. Gdybym go nie był zrobił, nie byłby mię przestraszył. Byłbym zabił mego brata.

On mię ocalił. „Dla nas ludzi i naszego zbawienia“ — te są słowa — dla mego zbawienia — to bardzo dziwne. Biedny Paweł, gdyby wiedział, czemu zawdzięcza życie, toby się cieszył. Któż może wierzyć w takie rzeczy? Któżby temu uwierzył, gdybym opowiedział? A jednak to prawda.

Przez kilka chwil patrzał ciągle na figurę. Potem otrząsnął się, jak gdyby chciał coś zrzucić z myśli i wziął narzędzie. Nie oglądał się znowu po za siebie i przynajmniej chwilowo nerwowy wstręt do skrzyni w kącie zdawał się go opuścić. Pracował z cierpliwą starannością, sądząc, że każde do-

tknięcie młoteczka będzie ostatniem, a jednak nie był całkiem zadowolony.

Światło dzienne bladło; odsunął firanki, aby wpuścić ostatnie promienie zachodu. Nie mógł on uczynić więcej, ani sama sztuka nie mogła nic więcej zrobić, by upiększyć i udoskonalić arcydzieło, które spoczywało przed nim. Kilka godzin, które spędził na wykończaniu swego dzieła, wydały owoce. Płoń jego nadała rysom martwej głowy coś, czego tam przedtem nie było, a kiedy stał nad swem dziełem, wiedział, iż przewyższył największe swoje prace. Poszedł i zdjął czarny krzyż z policy i wytarł jego gładką powierzchnię starannie kawałkiem jedwabiu. Potem delikatnie ujął w ręce figurę i złożył w dawniejszej pozycyi. Maleńkie śrubki obracały się równo, zachodząc szczelnie w dobrze ukrytych miejscach i dzieło było skończone. Marek umieścił krucyfiks na warsztacie i usiadł, by mu się przypatrzyć.

Zrobiło silne na nim wrażenie to dzieło jego ręki i znowu długo wpatrywał się w przymknięte powieki. Cień padał łagodny na rzeźbione srebro, tak łagodny, że kruszec zdawał się drzeć i poruszać i w swej zadumie Marek mógł prawie spodziewać się, że oczy Zbawiciela otworzą się za chwilę i spojrzą mu w twarz. Stopniowo cienie stawały się głębsze i zamieniały się w zmrok, aż wreszcie w ciemnościach czarne ramiona krzyża zaledwie były dostrzegalne i Marek mógł widzieć tylko jasną linią białej głowy i rąk rozpiętych na krzyżu.

Potarł zapałkę i zapalił lampkę. Myśli jego były tak bardzo zajęte, że zapomniał o robotnikach i nie dziwił się, dla czego nie powrócili. Wielu z nich mieszkało w stronie kościoła a jeżeli skończyli robotę późno, bardzo prawdopodobnie poszliby do domu, nie wracając do warsztatu. Rzeźbiarz owinął krucyfiks w białe płótno i włożył go w proste, drewniane puzdro, ale nie przyśrubował wieka, kładąc je tylko, tak, aby można je zdjąć każdej

chwili. Złożył narzędzia w porządku, mechanicznie, jak to czynił co wieczór, zgasił światło i skierował się ku drzwiom, niosąc pudełko w ręku.

Chłopiec, który pozostał sam przy robocie, zapalił łojową świeczkę i siedział na stołku, kołysząc się, gdy Marek się ukazał.

— Jeszcze tutaj! — zawołał artysta.

— Nie mówiliście mi panie, abym poszedł — odpowiedział chłopak.

Marek zamknął ciężkie drzwi zewnętrzne i przeszedł na drugą stronę ulicy do domu, podczas gdy chłopak zniknął w cieniach ulicy, pogwizdując. Wolno artysta wchodził na schody, rozmyślając o wielu wzruszeniach dnia tego i ostatecznie stwierdzając, iż rad był bardzo, że nie zabił Pawła.

Zwrotem w uczuciach, z których nie umiał sobie zdać sprawy, pierwszy raz od wielu lat przekonał się, iż byłby zadowolony, gdyby mógł widzieć brata żywym i zdrowym. Tyle razy owego dnia wystawiał go sobie umarłym, leżącym na podłodze pracowni, lub pogrzebanym w ciemnej piwnicy, że myśl zobaczenia go spokojnym i zdrowym, jak zwykle, miała w sobie coś przekonywającego. Było to jakoby zbudzeniem się z okropnego snu, po którym się widzi, że złe nie zostało dokonane i doznaje się tego uczucia nieokreślonej ulgi, które każdy zna, kiedy brzask nagle rozjaśni znane nam przedmioty w pokoju i w jednej chwili rozproszy nocne widziadła.

Paweł może nie przyjdzie tego wieczoru, ale przynajmniej Marya Ludwika i Łucya będą mówiły o nim, a będzie to pociechą słyszeć imię jego, wymówione głośno. Marek przyspieszył kroku wraz z tą myślą i w jednej chwili był u drzwi domu. Ku wielkiemu zdziwieniu otworzyły się, zanim mógł zadzwonić i stara Assunta wyszła, podnosząc pomarszczone palce do ust.

— Cicho! cicho! — szepnęła. — Jest mu odrobinę lepiej, albo przynajmniej...

— Co? komu? — pytał Marek, szepcąc także instynktownie.

— E! pan nie słyszał? Ksiądz Paweł — oni go zabili.

— Paweł! - krzyknął Marek, zachwiawszy się i opierając się o drzwi.

— Nie umarł — a przynajmniej jeszcze nie umarł mówiła starowina cichym, wzruszonym głosem. Był w kościele z Janem... drabina...

Marek nie czekał, by usłyszeć więcej, lecz pobiegł ze swym ciężarem w ręku przez korytarz. Drzwi w końcu jego były otwarte i zobaczył swoją żonę stojącą w bawialnym pokoju i spoglądającą trwożliwie ku niemu.

- Na miłość Boską, Gigia — zagadnął ją dawnem zdrobniałem imieniem, powiedz mi prędko, co się stało!

Signora Pandolfi wytłomaczyła rzecz, jak mogła, dając często folgę smutkowi w wybuchach płaczu. Opowiadała bez związku, ale fakta były dość proste, aby Marek nie miał ich zrozumieć. Stał przy stole z ręką opartą na drewnianym puzdrze, które przyniósł z sobą i z twarzą bardzo bladą.

— Pozwól mi - rzekł wreszcie. - Janek zatem był na drabinie. Drabina usunęła się, Paweł podbiegł, by ją pochwycić i spadła na niego. Jest mocno raniony, ale nie zabity, nieprawdaż?

Marya Ludwika kiwała głową wśród potoku łez.

- Był doktór, powiadasz? Tak. A Paweł gdzie leży?

— W pokoju Janka — jęczała jego żona. Oni są tam u niego.

Marek stał cicho i wahał się. Znajdował się pod wrażeniem najgwałtowniejszego wzruszenia i twarz jego zdradzała to, co czuł. Myśl o śmierci Pawła odegrała wielką rolę wśród myśli dnia całego, i był pewny, że pozbył jej się i że miał się przekonać, spotykając swego brata, iż wszystko

było snem tylko. Wiadomość, którą teraz usłyszał, przejęła go zgrozą. Zdawało mu się, jakoby jego pragnienie śmierci Pawła było do pewnego stopnia wydało materyalny rezultat bez jego wiedzy; zdawało mu się, jakoby był zabił brata swego myślą, jak gdyby miał udział rzeczywisty w jego śmierci.

Nie mógł prawie znieść tego, by pójść i zobaczyć rannego. Wyobraźnia jego wywołała obraz Pawła leżącego w łóżku i obawiał się zobaczyć go. Odwrócił się od stołu i zaczął chodzić po pokoju. W kącie noga jego potrąciła o coś — była to deska, na której wieczoru poprzedniego zaczął rysować swój szkic. Marek podniósł ją i przysunął do światła. Marya Ludwika spoglądała na niego smutnie, jak gdyby czyniąc mu zarzut obojętności i w tym wielkim smutku. Ale Marek uporczywie wpatrywał się w rysunek. Był to tylko szkic, lecz wykonany bardzo pięknie. Widział, że ideał jego był zawsze ten sam i że na papierze oddał tylko rysy, które wyrzeźbił przed dziesięciu laty, z piękniejszym wyrazem, z owemi dodatkami, które zrobił dziś u oryginału. Skoro tylko przekonał się o fakcie, odłożył deskę i otworzył drewniane puzdro.

Marya Ludwika, która daleką była od domyślenia się, jak ścisły związek istniał między krucyfiksem a Pawłem w umyśle męża, patrzała z wzrastającem zdumieniem, jak wyjął przecudny ten przedmiot i postawił na stole w świetle. Ale kiedy zobaczyła go, podziw na chwilę przemógł smutek.

— D i o m i o! Co za cudo! — zawołała.

— Cudo? — powtórzył mąż jej z dziwnym wyrazem. Kto wie? Może być!

W tej chwili Jan Baptysta i Łucya weszli przez drzwi otwarte i stanęli, przypatrując się tej scenie i nie rozumiejąc, co się dzieje. Dziewczę poznało krucyfiks natychmiast. Przypuszczała, że ojciec nie urzeczywistnił warunku księdza Pawła i tylko pokazywał matce arcydzieło.

— To ten, który widziałam — szepnęła Jankowi. Młodzieniec nic nie odpowiedział, lecz wpatrzył się w krzyż.

— Ojcze — odezwała się Łucya nieśmiało — czy już wiesz?

— Tak jest. Czy leży sam? — zapytał Marek tonem, który nie był mu właściwym.

— Jest tam Assunta, odpowiedziało dziewczę.

— Pójdę do niego — rzekł artysta i nie mówiąc nic więcej, wziął krucyfiks ze stołu i wyszedł. Twarz jego była bardzo poważna, a rysy miały w sobie coś, czego nie widziano w nich nigdy przedtem — coś niemal podniosłego. Janek i Łucya podążyli za nim.

— Chcę być z nim sam — rzekł Marek, odwróciwszy się do młodej pary, kiedy stanął u drzwi pokoju chorego. Wszedł, a za chwilę stara Assunta wyszła, trzymając fartuch przy oczach.

Mała lampka ocieniona stała na stole i rzucała na pokój łagodne światło. Marek czuł, iż trudno mu będzie spojrzeć w twarz bratu. Postawił krucyfiks na starej komodzie i przysunął lampę do niego. Potem stał przed nim, odwrócony plecami do łóżka, z rękami w kieszeniach bluzy. Mógł słyszeć regularny oddech, który dowodził, iż Paweł żył jeszcze. Przez długi czas nie miał odwagi odwrócić się; zdawało mu się, jakby jakaś siła niewidzialna trzymała go bez ruchu na miejscu. Spojrzał na krucyfiks.

— Jeżeli się obudzi — myślał — zobaczy go. Pocieszy go to, jeżeliby miał umierać.

Odwrócony ciągle od łóżka, usunął się na stronę, aż wreszcie osądził, że Paweł będzie mógł zobaczyć, co przyniósł, jeżeli przytomność powróci. Bardzo wolno, jak gdyby lękając się jakiegoś okropnego widoku, zmienił pozycyą i spojrzał nieśmiało w kierunku chorego. Nareszcie zobaczył bladą twarz odwróconą i zdumiał, że taki wypadek tak małą wywołał w rysach zmianę. Stanął przy łóżku.

Ksiądz Paweł nie poruszył się od chwili, jak lekarz odszedł, leżał na boku, podparty poduszkami tak, że twarz jego była zwrócona ku światłu. Był teraz blady, gdyż rumieniec, który był na twarzy, zniknął; powieki na wpół otwarte przedtem, teraz były spuszczone i zamknięte, tak iż się zdawało, że śpi spokojnie, gotów obudzić się za najmniejszym odgłosem.

Marek stał i wpatrywał się w niego. To był człowiek, którego nienawidził przez lat tyle chłopięctwa i wieku dojrzałego, człowiek, który mu się sprzeciwiał na każdym kroku, który stawał śmiało przed nim we własnym jego domu, aby bronić tego, co uważał za słuszne. To był Paweł, którego o mało nie zabił tego poranku. Prawa ręka Marka dotykała żelaznego narzędzia w kieszeni bluzy a palce drżały, dotykając go i długie ramiona przebiegał dreszcz od góry do łokcia. Wyjął je, spojrzał na nie i na twarz chorego. Zapytał sam siebie, czy mógłby pomyśleć o użyciu go w sposób, w jaki myślał a potem upuścił je na zielony skrawek dywanika przed łóżkiem.

To był Paweł — nie potrzeba byłoby ostrzyć broni, by go teraz zabić. Małe zaciśnięcie gardła, poduszka przytrzymana na twarzy przez kilka chwil i byłoby po wszystkiemu. A dla czego? Aby ta sama blada twarz ścigała go przez wieki? Nie. Nie warto było, nie było nigdy warto, choćby to było wszystkiem. Ale co innego należało rozważyć. Paweł mógł teraz umrzeć wskutek wypadku, w łóżku. Nie byłoby morderstwa w tym razie, ani okropnego uczucia jego obecności, ani też obawy przed odkryciem, odkąd nie było złego czynu. Niech więc umrze, skoro jest umierający!

Ale to nie było jednakże wszystko. Coby się stało, jeżeliby Paweł umarł? Miał on, to pewno, własne zapatrywania. Były to idee błędne. Czy tak? Być może, któż to mógł powiedzieć? Ależ on nie był złym człowiekiem, ten Paweł. Nie starał

się nigdy wydobyć pieniędzy od Marka, jak to czynili niektórzy. Przeciwnie. Marek doznawał jeszcze upokorzenia, kiedy pomyślał, ile zawdzięczał dobroci tego człowieka, brata jego, leżącego tutaj bez nadziei i bezsilnego, by pomódz sobie, lub ocalić siebie. Bezsilny? — tak, najzupełniej. Jakże łatwo byłoby z tem wszystkiem przycisnąć do tej twarzy bez wyrazu poduszkę nieco silniej! Nie byłoby nawet prawdopodobnie walki żadnej. Ktoby go ocalił, albo któżby o tem wiedział? A jednak Marek nie pragnął tego uczynić, jak przed kilku godzinami. Kiedy patrzał na twarz Pawła, przekonał się, że nie pragnął śmierci Pawła. Stojąc nad samym brzegiem otchłani, gdzie się kończy życie i nad niezgłębioną przepaścią wieczności, sam nie obawiając się dla siebie końca, lecz widząc swego brata staczającego się z pochyłości, wyciągnąłby dłoń pomocną i ocalił go. Nie chciał, aby Paweł umierał.

Patrzał na te rysy, pełne spokoju i wiedział, że obawiał się najwięcej tego, aby nie zmartwiały na wieki. Oddech stawał się spokojniejszym, coraz słabszym, jak się Markowi zdawało. Schylił się i starał się pochwycić ciepły oddech, wydobywający się z ust. Obawa jego zmieniła się w trwogę, w miarę, jak życie zdawało się znikać z bladej twarzy. W tej rozpaczliwej trwodze położył rękę na zranione ramię, bezwiednie opierając się na niem swoim ciężarem.

Z słabem westchnieniem ksiądz otworzył oczy i zdawał się patrzeć przez chwilę na krucyfiks, stojący w jasnem oświetleniu lampy. Wyraz niezrównanej łagodności i spokoju rozlał się na delikatnych rysach.

Qui propter nos homines et propter nostram salutem descendit de coelis.

Wyrazy te wyszły szeptem z ust umierającego człowieka, ostatnie sylaby zaledwie były dosłyszalne wśród głębokiej ciszy. Śmiertelna bladość

pokryła niebawem gładkie czoło i wychudłe policzki. Marek popatrzał jeszcze przez chwilę a potem z głośnym krzykiem upadł na kolana przy łóżku z wyciągniętemi rękami nad ciałem brata. Gorące łzy spływały na pościel a pierś rozrywało gwałtowne łkanie.

Nie widział, że Paweł otworzył oczy na ten odgłos. Nie zauważył kroków w korytarzu, nie słyszał, jak Marya Ludwika, Łucya i Jan Baptysta wbiegli do pokoju a za nimi Assunta z fartuchem przy oczach.

— Odwagi, panie Marku, — rzekł Jan Baptysta, odsuwając artystę od łóżka. — Chcecie go, panie, zamęczyć? Czy nie widzicie, że wreszcie jest przytomny?

Łucya ułożyła poduszki pod głową Pawła, a Marya Ludwika płakała z radości. Marek zerwał się na równe nogi i patrzał błędnie, jak gdyby nie mógł uwierzyć temu, co widział. Paweł odwrócił głowę i patrzał łagodnie na swego brata.

— Odwagi Marku — rzekł — zdaje mi się, że spałem. Co się stało ze mną? Dla czego wszyscy płaczecie?

Marek wybuchnął znowu płaczem, z którym mieszały się bez związku słowa radości. W nagłem szczęściu obejmował ramionami najbliżej stojące osoby i całował je. Zdarzyło się, że niemi były: Janek i Łucya. Paweł uśmiechnął się, lecz mówienie zmęczyło go.

— Dobrze, — rzekł Marek wreszcie z uprzejmym uśmiechem, jakiego nie widziano od wielu dni na jego twarzy — bardzo dobrze, moje dzieci. Ze względu na Pawła będziecie mieli swoją wolę.

W pół godziny później lekarz powrócił i zapewnił wszystkich, że nie było poważnego uszkodzenia, ani dalszego niebezpieczeństwa. Pacyent był mocno ogłuszony, ot i wszystko. Marek pozostał przy bracie.

— Widzisz, Janku — zagadnęła Łucya, kiedy się znaleźli w saloniku. — Miałam słuszność co do krucyfiksa i reszty.

— Naturalnie, potwierdziła Signora Pandolfi, jakkolwiek nie rozumiała wcale aluzyi. Naturalnie, wszyscy macie słuszność. Ale co to był za dzień, cari miei! Co za dzień!

Rozpostarła pulchne swe rączki na kolanach, wyglądając jak uosobienie prawdziwego zadowolenia!

KONIEC.

Zemsta pani starościny.

OBRAZEK Z DAWNYCH CZASÓW

PRZEZ

KRUKA.

POZNAŃ.
NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI KURYERA POZNAŃSKIEGO.
1897.

Wielkiéj sławy zażywał swojego czasu we Lwowie Imcipan Firlik mecenas. Osoba ni z mięsa, jakto mówią, ni z pierza, gdyż ród wywodzono mu od dziadków kościelnych, z powierzchownością wcale nie wspaniałą, jako człeczyna nikczemny, czarniawy, przypominający jakiego palestrancika chudego wiatrem podszytego, rozumem jednak i wymową zdobył sobie wysokie stanowisko naczelnika biura i najdzielniejszego obrońcy prawa. Jako syndyk zarazem miejski trząsł całym Lwowem i wielcy panowie nawet mu się kłaniali, potrzebując jego głowy w procesach. Swada bowiem u niego była jak niegdyś u Demostenesa, piorunująca, a skoro p. mecenas wziął na kieł w sprawie walnej, dobrze opłaconéj, pobijał na pewno przeciwnika, niby gromami, paragrafami prawnemi, któremi zdawał się być cały naszpikowany, nie przymierzając, jak pieczony zając słoniną. Wziętość jego ztąd rosła, a w równéj mierze i dostatek. We walnych sprawach bowiem, których nigdy nie brakło, nie brano nikogo, tylko Firlika. Pan mecenas zbadawszy zaraz sprawę gruntownie i swym bystrym rozumem oceniwszy, że nie będzie nad jego siły, brał proces na swe nikczemne barki i przyrzekał dobry „sukces“.

Klient uradowany płacił zaliczkę grubą „na biuro,“ a po zwycięstwie odniesionem pan mecenas obliczył honoraryum tak słono, że pacyent nieraz gębę jak szeroko otwierał ze zdumienia, lecz płacił, choć wzdychając. Dziesiątemu proces nie przyniósł żadnych zgoła korzyści, przeciwnie straty, lecz klient

i w takim razie jeszcze zadowolony był o tyle ze siebie i ze swego rzecznika, gdyż pobił przeciwnika, tryumf nad nim odniósł! Trofea rzeczywiste jednak odnosił tylko Imcipan Firlik, gdyż nietylko sława jego ustaloną została — mówiono o nim jako o niezwyciężonym adwokacie, który dotąd żadnej nie poniósł porażki, lecz i dostatek jego wzrósł tak bardzo, że zniewolony został nabyć nową wielką kaletę kowaną dla chowania pieniędzy, złotych, rozumie się, gdyż honorarya w złocie tylko przyjmował.

Tak więc pan mecenas nie miał powodu skarzyć się na losy, ścielące mu drogę żywota mamoną tego świata, a jednak nie czuł się szczęśliwym pomimo swych dostatków, czyli raczej zapragnął czegoś więcej nad to, co już posiadał, t. j. świetności, blasku, zaszczytów pańskich! A jakże wiele brakowało mu do wspaniałości marzonych!

Przedewszystkiem tamowało, jak mniemał jego „krescytywę“ i ciążyło na nim niby grzech pierworodny zbyt nizkie jego pochodzenie i nazwisko już samo „Firlik“ korciło go coraz więcej i do rozpaczy niemal przyprowadzało. Bijąc się z myślami przykremi czas spory, wpadł w szczęśliwej chwili natchnienia na pomysł, że ostrożnie pewną zmianę nader korzystną w nazwisku sprowadzićby można i to tanim kosztem.

Przekształcenie z nieszczęśliwego nazwiska „Firlik“ na wielkopańskie „Firlej“ uskuteczniało się zbyt łatwo, aby p. mecenas nie miał tego fortelu spróbować przynajmniéj. Zaczął się więc podpisywać, choć nieśmiało zrazu i nieczytelnie „Firlej“, postarał się też o dokumenta i pergaminy potrzebne, mające dowodzić, że pochodził, choć z lewéj ręki od téj wielkiéj rodziny, sprawił sobie okazały sygnet herbowy, pisarkom w swéj kancelaryi i klientom uboższym dał do zrozumienia, ukazawszy pergaminy, że skoro rodowód jego szczęśliwym wypadkiem odnaleziony, należy mu się tytuł „Jaśnie Wielmożny“.

Majątek swój ziemski „Chrapy“ w okolicy Brzeżan położony — Imcipan mecenas Firlik-Firlej był szczęśliwym posiadaczem tego klucza, wziętego w spadku po bezdzietnéj Tarlance, ostatniéj z tego rodu, tytułem kosztów łożonych na wyprocesowanie tego majątku, jako też legatu na kilkadziesiąt tysięcy złotych, podpisanego własnoręcznie przez J.Wielmożną pannę Jadwigę Tarło, choć koncypowany w kancelaryi Firlika — Chrapy więc, swe dziedzictwo przechrzcił p. mecenas na „Firlejowo“.

Przedzierzgiwał się zatem wszelkiemi sposoby gwałtem na wielkiego pana, tylko, że mu się to nie od razu udało według życzenia.

Panowie bowiem, przedstawiciele wielkich nazwisk rodowych, drwić sobie zaczęli z pana mecenasa i jego pańskich zachcianek, przyrównując go do żaby, nadymającéj się do grubości wołu, a w mieście odgrzebano na nowo jego prawdziwy, nieco już zapomniany rodowód.

Według opowieści starych ludzi był p. mecenas Firlik synem zubożałego bednarza, po którego śmierci wdowa, choć młoda jeszcze niewiasta, lecz schorzała i strapiona zgonem męża, podupadła zupełnie na majątku. Nie mogąc sobie dać innéj rady, by ratować życie swoje i jedynego pacholęcia po mężu, siadywała u bram kościelnych, wyciągając ręce po jałmużnę.

Po śmierci matki, osierocone całkiem chłopię przygarnęli do siebie z litości Ojcowie Bazylianie, przyjąwszy młodego Xawerka do klasztoru. Na różnych drobnych posługach spędził on tam swe młodociane lata, jako też na nauce, gdyż ojcowie szkołę utrzymywali i młodego Firlika przeznaczali do stanu duchownego, odkrywszy w nim niepospolite zdolności.

Młodzieniec jednak podrósłszy uciekł z klasztoru z pod surowéj klauzury Ojców.

Szukając stósownego zajęcia dla zapracowania na chleb powszedni, dostał się do kancelaryi Imci-

pana Wyczlińskiego, sławnego naonczas mecenasa. Tu między aktami przeżył całą młodość z wielkim pożytkiem dla siebie.

Wtajemniczony bowiem w kruczki prawne, ostatecznie jako zawiadowca biura przez lat przeszło dziesiątek, stał się prawą ręką mecenasa i kodexem niejako jego chodzącym — p. mecenas nie potrzebował, gdy chodziło o jaki paragraf prawny, zaglądać do ksiąg, Imcipan Firlik miał w głowie wszystkie paragrafy. W czasie też długiéj choroby Imcipana Wyczlińskiego, zawiadowca biura zastępował tegoż przy sprawach, a po śmierci mecenasa przejął Firlik biuro nieboszczyka na siebie i został adwokatem przy sądzie grodzkim i ziemskim, mianowany przez magistrat i przyjęty przez władzę kasztelańską i starostę.

Byli we Lwowie ludzie, którzy te wypadki pamiętali dobrze, ze szczegółami, i kiedy Imcipan Firlik zaczął udawać Firleja, dowiedziało się wnet całe miasto z oburzeniem, że syn żebraczki podszywał się pod wielkie nazwisko rodziny Firlejów, nieistniejącéj już wcale. Zżymano się ztąd na pana mecenasa, a największe oburzenie okazywali bogaci patrycyusze miejscy, zwłaszcza tacy, którzy niedawno zrzucili ze siebie skorupę plebejuszowską przez uszlachcenie łaską królewską.

Dowcipnie układali nawet paszkwile, a p. mecenas musiał niestety, na własne słyszeć uszy, jak mu zuchwały jakiś ulicznik, wśród śmiechu licznie gromadzącéj się publiczności zarecytował na rynku:

Ej, ty ucieszny Firliku
Skrybów lwowskich naczelniku
Robisz z Firlika Firleja
Niby ze Sobka Pocieja!
Bacz, byś pnąc się, z wysokości
Padłszy, nie połamał kości!
Pod kościółek znówbyś wrócił
Piosenkę swoją zanucił.

Pan mecenas zawrzawszy wtedy bezsilnym gniewem przeciwko śmiałemu napastnikowi, którego dosięgnąć ani mógł, ani chciał, bez narażenia się na śmieszność, przekonał się zarazem, że mała zmiana w jego nazwisku przyjętą została z wielkiem szyderstwem i urągowiskiem w mieście, lecz że z niego człowiek był uparty, nieustraszony lada porażką, postanowił właśnie na przekór motłochowi, na swojem postawić i we Firleja na prawnym gruncie się przeistoczyć.

Pora sprzyjała jego zamiarom. Obrano właśnie nowego króla po zgonie ostatniego Sasa i Imcipan Firlik postanowił po stósownych przygotowaniach udać się do Warszawy na koronacyą króla Stanisława, kazawszy się wybrać przyjaciołom i klientom jednym z członków deputacyi miejskiej, hołd królowi składać mającej.

Do tej wyprawy wyekwipował się tak wspaniale, że cały Lwów przez kilka dni nie mówił o niczem innem, jak o kolasie złocistej pana mecenasa, sprowadzonej z Wiednia i o czterech jego arabach, zakupionych na Wschodzie przez kupca ormiańskiego. Dziwiono się powszechnie tej rozrzutności oszczędnego zresztą mecenasa, aż się sprawa wyjaśniła po powrocie deputacyi z Warszawy. Araby wraz z kolasą przeznaczył pan Firlik jako podarunek królowi Jegomości! Przy składaniu hołdu ze strony miast przemówił on w imieniu miasta Lwowa tak świetnie i porywająco, że aż król Jegomość się popłakał podobno i mówcę uściskał. Zapraszał go potem na wszelkie uroczystości i festyny po koronacyi, mianowawszy pana mecenasa w czasie uroczystości między innymi kandydatami rycerzem złotej ostrogi! Nietrudno było przeprowadzić wtedy przy tak sprzyjających okolicznościach rycerzowi złotej ostrogi, swych zamiarów upragnionych. Król Stanisław, okazujący przy każdej sposobności swą łaskawość mecenasowi, potwierdzić

kazał bez trudności w swej kancelaryi dokumenta tegoż, przywracające mu dawniejsze rzekomo nazwisko rodowe „Firlej,“ stawiając w perespektywie panu mecenasowi nowe godności przy stósownej okazyi.

Tak więc Imcipan Firlik, postawiwszy na swojem, choć z niemałemi ofiarami w brzęczącej monecie, obsypany łaskami królewskiemi, urósł we własnych oczach do godności wielkiego pana. Oślepiony blaskiem swej wielkości mniemał nie inaczej, jak że skórę Firlika zostawił w Warszawie i przyjeżdżał do Lwowa rzeczywistym Firlejem.

By zaś sięgnąć po najwyższe godności przez króla Jegomości niby we mgle ukazywane, należało, jak mniemał, ująć wielkich panów, pokumać się z nimi, dom im otworzyć. Tego mógł znów dokazać w całéj okazałości z pomocą stósownéj żony. Należało sią więc ożenić! Dura necessitas dla starego kawalera, zardzewiałego w swych nawyczkach kawalerskich, choć młoda, powabna żonka nie była znów tak wielkiem nieszczęściem! Zachodziła jeszcze trudność we wyszukaniu odpowiedniéj osobistości na żonę.

Pan mecenas dobiegłszy bowiem nieznacznie pięćdziesiątki, nie mógł udawać młodego, a choć się trzymał czerstwo i zdrowie mu dopisywało, łysina na głowie go zdradzała. Przed łysiną zaś, równie jak przed siwizną — czarny wąs pana mecenasa śronieć także już zaczął — płoszą się panny, jak wiadomo, niby kuropatwy przed jastrzębiem. Te defekta ciała przyćmione jednak zostały teraz zupełnie, według rozumowania świeżego dygnitarza, przez wielki blask łask królewskich, padający na tegoż we Warszawie i pan mecenas podsumowawszy ostatecznie w téj materyi pro i contra, przyszedł do wniosku, że żadna rozsądna panna, odnośnie jéj rodzice, nie wzgardzą kawalerem z wielkiego rodu, pańskiego, urodzonym Firlejem na Firlejowie, rycerzem złotéj ostrogi, ulu-

bieńcem królewskim, przeznaczonym do najwyższych godności w Koronie! Przy tak szczęśliwym składzie okoliczności mógł pan mecenas wymagać i wymagał też od przyszłéj swéj połowicy: primo, by była urodziwą, choć niekoniecznie pierwszéj młodości; mogła być nawet młodą wdówką i niezbyt poważną.

Secundo, z dobrego domu, conditio sine qua non! Pokaźna też i wspaniała, by godnie mogła reprezentować pański dom Firlejów!

Tak więc sam w siebie wmówiwszy, że najpierwsze domy w Rzeczypospolitéj, będą mu stały jako zalotnikowi otworem, postanowił jeszcze téj zimy wystąpić w szranki podczas karnawału. W karnawale zjeżdżały tłumnie do miasta zamożniejsze rodziny z okolic dalszych i bliższych; bawiono się hucznie na balach wyprawianych kolejno bez przestanku prawie aż do postu przez bogate domy pańskie. Bez wielkich też trudności zaproszony został wkrótce p. mecenas, którego stósunki sięgały szeroko i daleko na jeden z takich balów do arystokratycznego domu państwa Wojnów.

Przyszły dygnitarz państwa J. Wielmożny pan Firlej przystępował do téj kampanii odpowiednio w pełnym rynsztunku, to jest wytwornie ubrany w atłasach i jedwabiach, ze szpadą u boku o pozłacanéj rękojeści, utrefiony, wyświeżony, ze stanowczym zamiarem przypuszczenia szturmu do serduszka upatrzonéj.

Po zwyczajnych przedstawieniach i powitaniach, gdy huczna kapela do tańca zagrała, przedsiębiorczy pan mecenas podmusnąwszy szwarcowanego wąsa, mknął z kopyta do naznaczonéj sobie, J. Wielm. panny Eufrozyny Morsztynówny, osoby bardzo poważnéj i wspaniałéj niby Junona. Z tancerką przypadającą mu od razu do gustu i serca zawiązał kwiecistą rozmowę, przeplataną słodkiemi madrygałami i pochlebstwami, zaczął przy tém przewracać oczy,

wzdychał, dając niedwuznacznie do zrozumienia, co się tam u niego działo wewnątrz pod atłasową ferezyą. Zadowolony ze siebie, gdyż widział że i na tém nowem dla siebie polu niesłychane odnosił sukcesa, gdyż panna mu się uśmiechała, nie widział niestety w swym zapale, że pannę śmieszyły te zalecianki marcowego kawalera; kuł żelazo póki gorące, t. j. nacierał na pannę coraz żwawiej, ją tylko samą brał do tańca, ją ścigał wszędzie, uczepiwszy się fałdów jéj sukni, niby kleszcz grzbietu baraniego.

Te zalecanki nie przypadły jednak wcale do smaku ojcu panny, JWnemu panu Kajetanowi Morsztynowi, kasztelanowi sanockiemu, senatorowi Rzeczypospolitéj, bogatemu właścicielowi niezliczonych włości na Pokuciu i Wołyniu, patrząc bowiem na to mizdrzenie się gryzipiórka, jak go nazywał, do swéj jedynaczki, brwi marszczył i zaciskał usta, a poznawszy po całym wyrazie twarzy swéj nadobnéj córy, że i ona także zniecierpliwiona, pozbyłaby się rada natręta, oderwał zapalającego się coraz więcéj kawalera prawie gwałtem od boku swéj Fruzi i chwytając zdumionego za ramię, zagadnął z przytłumionym w głosie gniewem.

— Za coż ty, mospanie, prześladujesz mi dziecię biedne moje i molestujesz je nie w porę? Czyś się uwziął tańcem Fruzię mi umęczyć i o chorobę przyprawić?

Przemówienie nie było zbyt grzeczne, lecz pan mecenas w uniesieniu, w jakiem się znajdował, nie odkrył w słowach tego, czego sobie nie życzył, t. j. niechęci i tajonéj groźby, lecz żart tylko widział, gdyż odparł z uprzejmością, skłoniwszy się grzecznie, bez uniżoności jednak, uniżoność bowiem nie przypadała Firlejowi.

— Uchowaj Boże, JW. panie kasztelanie! Jakżebym mógł tak zdradzieckie zamiary żywić w sercu. Nie sądzę też, jakoby Wnéj pannie kasztelance w sku-

tek tańca przygodzić się mogło co złego, gdyż bogini Terpsychora w opiekę bierze i tańczących i potężniejszy jeszcze — dodał uśmiechając się — bożek miłości!... Figlarz ten poraził swą złotą strzałą serca nasze.... Nie będę się taił — mówił, poważną przybierając minę — jako stan mój wkrótce odmienić pragnę, a że wdzięki i zalety nadobnéj JW. panny kasztelanki serce mi głęboko wzruszyły, umyśliłem wymiarkować pannę co do jéj afektów ku méj osobie celem skopulowania dwu odnóg starożytnych domów Morsztynów i Firlejów w jedno jakoby.....

Nie dokończył, podniósłszy bowiem oczy, zauważył, że oblicze senatora gniew oblał purpurą. Podniesione ramię mu drgnęło, niby gotowe wymierzyć srogi policzek. Uhamował się jednak, ściągnął rękę, zawołał tylko głosem drżącym od oburzenia:

— Więc to tak!... Ty mościpanie równasz się z Morsztynami!... sięgasz zuchwale po rękę Morsztynówny... Czy ty masz wszystkie zmysły w kupie!... Infamis!

— Słuchajno, mościpanie Firliku, czy Szafliku, czy jak cię tam zowią — zaczął łajać, ochłonąwszy z pierwszego uniesienia i znalazłszy słowo stósowne — gdybyś tak u mnie, w moim domu, na podobne zuchwalstwo się odważył, kazałbym cię pojmać pachołkom i na kobiercu, boś pono świeżo nobilitowany, rozłożonemu odliczyć pięćdziesiątkę oblewaną, szołdro jakiś, skrybencie płatny!

I rzuciwszy w twarz nieszczęśliwemu konkurentowi te słowa obelżywe, odwrócił się od niego wyniośle.

Mecenas stał chwilę na miejscu, niby gromem rażony, zanim do upamiętania wrócił. W uszach dzwoniły mu złowrogie, pogardliwe słowa, wstyd palił mu czoło, cała sala wraz z pląsającemi parami zaczęła się w koło niego obracać. Uczuł słabość na wnętrzu, padł na najbliższe krzesło; potrzebował wypoczynku.

Odetchnąwszy, potoczył się do bufetu, pochwycił za najbliższy gąsiorek z winem, nalał wielki puhar po same brzegi, wypił raz, drugi i trzeci; wrócił do przytomności.

Obelga jednak przez wino spłukaną nie została. Nie bolała go tak bardzo odprawa, gdyż przypadki podobne chodzą po ludziach, jak sposób sam odmowy. Senator obszedł się z nim, jak z chudopachołkiem, człowiekiem bez rodu i znaczenia, z kreaturą nikczemną, pełzającą po ziemi, niby podły robak. Zniewaga była ciężka, śmiertelna, wołała o zemstę krwawą! Czy miał żądać satysfakcyi od kasztelana? On, człowiek pióra, nieobeznany z bronią, miał wyzwać kasztelana na pojedynek?

Pana mecenasa ciarki przebiegły po całem ciele na samo wspomnienie krwawéj rozprawy. Pytanie zresztą wielkie, czy dumny pan przyjąłby wyzwanie od... Firlika! Fatalne nazwisko prześladowało go ciągle jeszcze, nie dało się zniweczyć! Lecz przecie posiadał papiery, stare dokumenta, przez majestat królewski uznane i potwierdzone!

Krom tego zamianowany rycerzem złotéj ostrogi! Więc dygnitarzem, senatorem prawie! Czyż ludzie nieczuli byli na te splendory, ślepi, porażeni na mózgu? Czy też tylko ten kasztelan jedynie, pyszałek, karmazyn strupieszały, stara mumia egipska, stanowił wyjątek?... Niezawodnie! Wszakże świat zresztą honory przynależne mu oddawał jako Firlejowi, boć niezaprzeczenie był Firlejem, herbowym, wylegitymowanym w obec tronu nawet, karmazynem!

Spojrzał raźniéj przed siebie, wyprostował się dumnie, dawna buta mu wróciła; wino też spełnione ognia dodawało. Przez otwarte podwoje komnaty, gdzie się znajdował, mignęły mu przed oczami pary kręcące się w tańcu w sali sąsiedniéj rzęsisto oświetlonéj. Z upodobaniem zatrzymał wzrok na uroczéj postaci JW. panny Izabeli Czarnowskiéj, którą po-

przednio już był poznał i w pamięci sobie zaznaczył. Ojciec był podkomorzym, zamożnym właścicielem dóbr w okolicy Rzeszowa, nie zaliczał się do wielkich panów, choć ze starego, dobrego pochodził rodu; panna też była przystępna, wesoła i rozmowna, a nadewszystko powabna! Przedsiębiorczemu zalotnikowi, ścigającemu wzrokiem pożądliwym zgrabną tancerkę, szczęśliwa myśl strzeliła do głowy, bo zatarł ręce z radości. „Na przekór Morsztynom! na wzgardę téj mumii kasztelańskiéj! Otóż dowiodę, że z rekuzy ich nic sobie nie robię! A może przy okazyi i ptaszek się usidli! Co za tryumf! Co za klęska dla Morsztynów!“ mówił do siebie z lubością.

I w następnym tańcu p. mecenas prowadził już pannę Izabelę z hardą miną zamaszyście, wybijał hołubce jak młodzik. Otumaniły go piękne oczy tancerki! Serce mu zaczęło tajać, usta zaś wino rozwiązało; wyśpiewały one tajemnicę serca z taką niestety gorączką i natarczywością, że obrażona panna stanęła w tańcu i wyślizgując się z objęć ściskającego ją zbyt mocno tanecznika, odparła go od siebie tak nieszczęśliwie, że tenże nie zbyt pewny na nogach, runął na posadzkę! Ta druga klęska, straszna, stanowcza, bo publiczna, złamała rycerza złotéj ostrogi i odebrała mu ochotę i odwagę do dalszych wypraw pod znakiem bożka miłości. Zebrawszy się z posadzki śród wesołych śmiechów zgrabnych par, naokoło niego wirujących, czmychał z koła, pragnąc, w tłum się wmięszawszy, ukryć swój wstyd i pomięszanie, kiedy go przytrzymali rodzice panny, oraz gospodyni domu JW. pani senatorowa Wojnowa. Osoby te żarciku niewinnego, jak wojowniczy rycerz gwałtowny swój szturm do serduszka panny nazywał, wcale z wesołéj nie brały strony, gdyż po krótkiéj, piołunem zaprawnéj rozprawie, przyszły dygnitarz Korony, opuszczał progi pańskie, przez gospodynią domu sobie wypowiedziane.

Pobity na łeb na szyję szukał pociechy we winiarni; suszył na pociechę gąsiorki tak długo, aż go bezprzytomnego odniesiono do mieszkania.

Z porażki swéj wyniósł p. mecenas przynajmniéj tę naukę, że nie dorósł jeszcze wcale wielkim panom i wątpliwość niejaka mu się nasunęła, czy kiedykolwiek otchłań dzielącą go od [illegible]rych karmazynów, będzie mógł wypełnić. Lecz nieugięty, jakim był, nie myślał się cofać. Zmierzył raczéj swe siły, opierając się głównie na swych dostatkach, jakoteż zdolnościach w swym zawodzie i zawyrokował: W złocie potęga moja! Złoto mnie wzniesie na najwyższe szczyty ponad najpotężniejszych magnatów! Będę pracował w pocie czoła, zyski ciągnął, szczędził, a potem zobaczymy! W myśli skupował już obszerne dziedzictwa, rozległe pańskie dzierżawy, puszcze i lasy. „Nabędę na własność pół Rusi, zapuszczę zagony, rozleję się po całym kraju, świat cały w zdumienie wprawię, zaćmię blaskiem bogactwa najbogatszych panów. Niechaj głoszą po całéj Rusi i Koronie: Te sioła, miasta, rzeki, wody i góry to własności Firleja, owego Krezusa, magnata Firleja!... Czyżby mi wtedy jeszcze śmiał kto zarzucić, żem chudopachołkiem p. Firlikiem? — powtarzał sobie zaślepiony namiętnością i zagrzebał się w swem biurze, jak kret w norze. Chwytał teraz sprawy wszelkie, choć niekoniecznie jasne i czyste, obrabiał je zręcznie, podciągał kunsztownie pod paragrafy prawne, przekupywał świadków nawet i wygrywał.

Z klientów ściągał, jak to mówią, skórę, stawał się skąpcem, obojętnym na nędzę ludzką, samolubem, zimnym szydercą, ale sława jego rosła i zarazem majątek, jako też wziętość; biuro jego [illegible]eniu niejako ciągłem pozostawało.

Pod koniec lata los mu dał w ręce sprawę, niemało korzyści rokującą.

Rady i opieki u sławnego rzecznika szukała także między innymi pani znakomitego rodu, wdowa po staroście Mołodeckim, urodzona Żegocina, właścicielka wielkiego klucza Suszy z przyległościami, niewiasta nie pierwszéj młodości, lecz za młodą uchodzić pragnąca, jak to na pierwszy rzut oka zauważył bystry mecenas, ze stroju już samego sądząc; okazała bowiem suknia żałobna wdowy z czarnego aksamitu, koronkami, wstęgami i różnemi fatałaszkami nad miarę upstrzona, zakrywała prawie żałobę. Jéj usta, świeże jeszcze, wdzięczyły się zalotnie bez potrzeby, z nałogu pewnie, w uśmiechu pieszczonym. Na wskazane sobie przez mecenasa z głębokiemi ukłony miejsce opuściła się pani starościna powabnie, z wdziękiem młodéj panienki, złożyła zgrabnie jednę na drugą nóżkę w safianowe, obcisłe buciki obute, i odgarnąwszy całkiem krepową zasłonę z twarzy, przystojnéj jeszcze, choć przekwitającéj, ze śladami wielkiéj piękności, równie jak i zużycia, jęła z żywością w głosie i afektacyą rzecz swą wyłuszczać.

Rola jéj się nadawała; występowała bowiem jako nieszczęśliwa, uciśniona wdowa. Wyzuwał ją z majątku niejaki Imcipan Ordyniec, z przydomkiem Łowczyc, dzierżąc nieprawnie, bez tytułu posiadania, dziedzictwo niebożczyka jéj męża, ś. p. starosty Krzywdzica Mołodeckiego.

— W. pani starościna pozwoli, że będę natrętny, lecz stawiać jestem zmuszony niektóre pytania niezbędne, ex officio — zagadnął swą klientkę rzecznik, dosłuchawszy się końca, obojętny jednak na pociski z przymrużonych ócz niewiasty na siebie ciskane — widocznie była to zwyczajna zabawka pięknéj pani z mężczyznami. — Kiedy wszedł ów Ordyniec niecnota w posesyą inkryminowanego majątku, na mocy jakiéj tranzakcyi?

Życzeniu odpowiedziała wezwana zadość i sporo ponad życzenia nawet, malując obszernie, z tkliwo-

ścią, w żywych kolorach niecierpliwiącemu się słuchaczowi swe błogie pożycie z nigdy niezapomnianym, nieodżałowanej pamięci małżonkiem, żałośnie znów i w ponurych barwach dzieje swego krótkiego, lecz goryczy pełnego losu w stanie wdowieństwa.

Przysłuchujący się niby nabożnie mecenas, nie bez złośliwych uwag w duchu czynionych, notował sobie tymczasem w pamięci szczegóły uwagi godne, puszczając mimo uszu, niby owad naprzykrzony wszystko, co nie należało do rzeczy wraz z całym zasobem pięknych słów, westchnień i wykrzykników swej, teatralnie usposobionéj klientki.

Z opowiadania pani starościny wynikało, że Ordyniec chował się od małego dziecka u starosty w Suszy, był nawet synem może jego, lecz nieprawym, do spadku zatem niezdolnym. Krótko przed ślubem z dzisiejszą starościną, panną naówczas Żegocianką, przed mniej więcej 15 laty, jak prawnik nie bez trudności z pięknéj pani podstępem tylko wydobył, starosta usunął niedorostka Ordyńca z domu, wstydząc się zapewne dziecię grzechu ukazać żonie, wyprawiając go wraz z dworzaninem do swego drugiego klucza, Przygórza, u stoku Karpat położonego.

Kilka miesięcy temu starosta pożegnał się z tym światem, przekazując przed śmiercią swéj wdowie, starościnie ze Żegotów Mołodeckiéj, gdyż małżeństwo nie miało potomstwa, cały swój majątek, a więc i Przygórze, któréj to włości, dzierząc takową od dawna, Łowczyc niegodziwy wydać się wzbraniał.

— Testament, tuszę, W-pani starościno — zabrał głas mecenas, gdy piękna pani mówić nareszcie przestała — rite sporządzony, sprawy całéj fundamentem! Rzecz w takim razie jasna, nie przedstawia wielkich impedymentów, przeciwnik ustąpić zostanie zniewolony!...

— Alboli też — dodał, spostrzegając zakłopotanie wdowy — brak formalności, zaczepiono testament?

Badana westchnęła, przewracając swe ciemne oczki.

— Niestety! — wyszepnęła złamanym głosem — testament nie egzystuje wcale!... Mój nieboszczyk, o, jakże nieporadny! nic na piśmie nie rozporządził! Wystaw sobie, mościpanie mecenasie, ustnie tylko objawił swą ostatnią wolę! O, ja nieszczęśliwa, uciśniona niewiasta!...

— Tam do kata! — bąknął mąż prawa — verbum volat, rozpada się niby mgła! Trudności będą wielkie!

— Ratuj, broń, walcz za mnie, mężu wszechwładny, potężny, sławny z mądrości i wymowy! — błagała piękna pani, wyciągając swe białe rączki do mecenasa — pobij, zgnieć tego Łowczyca nieugiętego, przeklętego wroga, bym go widziała u stóp moich upokorzonym, złamanym, odartym, bym go mogła stratować, niegodziwca, nogami! O! — i wybuchła spazmatycznem łkaniem.

Gdy się uspokoiła, prawnik, zdziwiony tym namiętnym wybuchem swéj klientki i na rozmaite z tego powodu wpadając domysły, podjął na nowo krótkie, tą razą suche badanie, zapobiegając starannie, by piękna pani nie miała sposobności do obszernych i obfitych w słowa opisów, lub czułych scen.

W ten sposób dowiedział się w krótkim przeciągu czasu, co mu wiedzieć było potrzebnem, i zrozumiał, że sprawa na słabych stojąc podstawach, zapowiadała długi, zawiły proces z wątpliwym wypadkiem. Ostatni ten szczegół mało go obchodził, podczas gdy rzecz główna, olbrzymi, kosztowny proces właśnie był mu na rękę.

Nic stanowczego od razu nie postanowiwszy, wahając się rzekomo podjąć trudnéj sprawy, zażądał

przedewszystkiem dokładnego spisu obu majętności, co mu było najważniejszem.

Wdowa przybyła po kilku dniach z żądanym spisem, przywiódłszy ze sobą, ku pomocy pewno młodą krewniaczkę, pannę Irenę, jak ją przedstawiła mecenasowi. Trudno było sobie dobrać lepszego sprzymierzeńca, jakim była krewna starościny, pod względem powierzchowności przynajmniéj.

Panna Irena, młodziutka, świeża, blondynka smukła jak topól, z obliczem szlachetnem, różowem niby krew i mleko, wpadała każdemu w oczy przez swe bujne, jak len delikatne włosy o złotawym połysku. Tem wdzięczniéj odbijały od złocistéj kosy jéj ciemne, aksamitną brwią okolone oczy, o błyskach najczystszego brylantu. Oczy te słodyczą i niewinnością tchnące nieokreślonego jakiegoś powabu nadawały całéj wdzięcznéj postaci i do uwielbienia zniewalały mężczyzn.

Mecenas też, wcale nie obojętny na powaby niewieście, hołd złożył w duszy téj pięknéj i czystej, jak anioł dziewicy, która w swéj skromności i niewinności nieświadomą nawet się być zdawała potęgi swych wdzięków.

Niby różdżką czarodziejską dotknięty wyszedł ze swéj zwyczajnéj skorupy urzędowéj; stał się nadskakującym, słodkim jak wosk miękkim. Uprzedzał teraz życzenia pani starościny, przyjął sprawę z wielką gotowością i obiecał takową jak najrychléj, o ile możności, podnieść, choć panna Irena nie bardzo jakoś zbudowaną być się zdawała tą skwapliwością prawnika.

Ten ostatni w nadmiarze grzeczności, by nie trudzić pięknych pań, zapowiedział swą bytność w mieszkaniu pani starościny; potrzebował bowiem, jak twierdził, przystępując do tak walnéj potyczki stósowne porobić przygotowania, sprawdzić dowody, prze-

słuchać osobiście świadków, załatwić przezornie wszelkie formalności.

Przedstawienie rzecznika przyjęła piękna pani z żywem zadowoleniem i odtąd pan mecenas stał się częstym gościem u pani starościny, zajmującéj obszerne mieszkanie, wynajęte w domu na Ormijańskiem, jak twierdziła. Częste odwiedziny prawnika nie dziwiły nikogo, gdyż zajęty ważną sprawą, czynił przedwstępne przygotowania do procesu. W rzeczy saméj jednak, sprawa mocniéj go obchodząca, innéj była natury.

Piękne oczy panny Ireny zraniły śmiertelnie czułe serce mecenasa, w głowie u niego się paliło! „Co za rozkosz! — marzył teraz coraz częściej na jawie, swe wielkie plany na bok tymczasem odkładając — posiadać tak uroczą żonę, jak panna Irena!“ Klejnocik ten można było tą razą, jak sądził, bez wielu trudności sobie przywłaszczyć; okoliczności sprzyjały. Nasamprzód z niewiastami tylko samemi miał do czynienia; panna Irena, sierota, pozostawała pod opieką cioci starościny. Nauczony też gorzkiem doświadczeniem, wiedział, że z łysiną na głowie nie przystępuje się obcesowo do panny, zdaleka raczej, naokoło; złote runo zdobywało się, uchodziwszy smoka czuwającego, starościnę. Orężem zwycięskim stawał się proces powierzony; sprawa ta inne jeszcze korzyści rokowała. Należało ją zatem jak najrychlej w bieg wprawić.

Prawnik sporządził też niebawem akt oskarżenia naprzeciw Łowczycowi jako przywłaszczycielowi obcego mienia, intruzowi. Pismo starannie opracowane, opatrzone dowodami, wystylizowane, jasne, punkt po punkcie, materyalnie i formalnie irreprensibilis, mocne niby taran, według tego, jak twierdził autor, pan mecenas, wyprawiono umyślnym posłańcem do starosty stryjskiego, pod którego jurysdykcyą podlegała włość Przygórze.

Starosta Żegota, choć z innej linii niż starościna, zawsze powinowaty, nie widząc powodu odwlekania sprawy, zawezwał strony w krótkim czasie przed swój sąd starościński w Stryju.

Łowczyc jednak nieopatrzny wcale nie odpowiedział na wezwanie ku niemałemu ukontentowaniu mecenasa stawającego przed kratki w roli pełnomocnika skarzącej. Za naleganiem też tego ostatniego starosta ogłosił wyrok zaoczny, przywracający uciśnionej wdowie wydarte jej i przetrzymywane nieprawnie posiadłości w Przygórzu.

Podczas gdy przezorny mecenas ostrzegał tryumfującą z powodu zwycięstwa odniesionego przez panią starościnę, pouczając, że to początek dopiero wojny domowej, gdyż Łowczyc niezawodnie bronić się będzie, piękna pani rozgorączkowana, zarządziła natychmiast stosowne środki do „exekucyi“ wyroku.

— Zniszczę go, wywłaszczę, straduję, dopóki wyrok służy, właśnie o to mi chodzi! — wołała goreją c na licu z płomiennemi od zemsty oczyma, niby szatanek wcielony — niech mu rozdrapią dobytek, dach nad głową spalą! Obym go tak widziała żebrakiem, wyciągającym rękę po jałmużnę u progów moich! — i mimo, że łagodził i hamował zapały mecenas, w którego planie nie leżało wcale niszczenie włości, łatwo, najprawdopodobniej nawet jemu samemu w udziale przypaść mogących, wyszukała stósowną osobistość, niejakiego Goszczyca, szaraczka łupieżcę, który za stosowną zapłatą podejmował się wszelkich gwałtów i „exekwował“ zapadłe albo i niezapadłe wyroki sądowe na przeciwnikach. Tenże dobrawszy sobie stosownych opryszków, posiłkowany prócz tego zbrojnym ludem ze Suszy, wyruszył niebawem na Przygórze.

II.

Wielmożny Imcipan Ordyniec, pan na Przygórzu, wielkim majątku leśnym, między Karpatami a źródła-

mi Stryja na mil kilka się rozciągającym, wyprawiał się po długiéj słocie jesiennéj na łowy. Kiedy zaś pan Ordyniec na wielkie łowy się sposobił, to niby hetman na wyprawę wojenną. Wywodził w pole całe zastępy ludu pieszego i konnego; szły furgony ze zapasami żywności, z kuchnią i namiotami — wyprawiano się bowiem pohulać dni kilka lub kilkanaście w puszczy — psy gończe wiedziono na smyczy; ostatni ten szczegół mianowicie pouczał każdego, że wyprawa była myśliwska.

Wieczór naprzód i noc całą zgiełk i wrzawa napełniały dziedziniec; ściągali się naganiacze wraz z przewodnikami z siół bliższych i dalszych; opatrywano konie, kulbaki i podwody; leśnicy i gajowi z lasów ostrzyli broń i próbowali samopałów; ładowano na furgony ławy, beczki i stoły. Dla ciemnéj nocy nanieconо też tu i owdzie ognisko; ztąd dziedziniec przedstawiał się niby obóz wojenny.

Kiedy wszystkie przygotowania wykończono po krótkim wypoczynku z brzaskiem dnia nazajutrz pan domu, mężczyzna młody i dorodny, choć starszym czynił go nad lata zarost ciemny na ogorzałéj twarzy, opatrzywszy swym sokolim wzrokiem ludzi i konie, dosiadł ulubionego cisaka i kazał starszemu leśnikowi otrąbić sygnał do wymarszu. Sam wysforowawszy się na czoło kalwakaty w towarzystwie Imcipana Zakliki, swego najbliższego sąsiada i niemal domownika. — Imcipan Zaklika kawaler, właściciel kilku chłopów, nie pilnował ogniska domowego, wolał czepić się klamki pańskiéj — jakoteż Imcipana Zabielaka, swego poufnego i nieodstępnego adlatusa, prowadził zastępy z uśmiechem zadowolenia na ustach.

Słońce tam gdzieś w dali z poza gór na widnokrąg niebieski się dźwigające, oblało właśnie po raz pierwszy od dni kilkunastu wzgórza lasy i knieje złotawym blaskiem, tak że cała przyroda z radości niby się uśmiechała, a konie pod jeźdzcami parskać

zaczęły. Pan Ordyniec też, sam rozochocony, te wszystkie wypadki za dobry „omen“ poczytując, zagadnął ochoczo swych towarzyszy: — Ho, ho, Mościpanowie, bogowie wyprawie naszéj sprzyjają! Gdyby tak Djana w równéj mierze fawory nam swe okazała, co Jowisz, łowy pomyślne i obfite prorokować się godzi!

— Co daj Boże Amen! — zakończył swym grubym basem Zaklika, pokrząknąwszy radośnie.

Zabielak zaś, stary wyga, dworak wesoły i o płytkim języku, przeciwko zwyczajowi milczał, nie bardzo jakoś wesoło patrząc na około siebie i poziewając. Z czego biorąc pochop Ordyniec, pospolicie Łowczycem nazywany, odpowiednio do swéj myśliwskiéj żyłki, zagadnął swego ulubieńca. — Cóż to Mości Zabielaku! Językaś w gębie zapomniał, wyglądasz niby zmokły kur i humory niezdrowe, widzę, waporują z ciebie!

— Ha zwyczajne niedomaganie! — odparł zapytany — człek nie dospał nocy z powodu preparacyi na łowy, a starych kości przy lada okazyi gościec ima się chciwie!

— Gościec to! — zawołał pogardliwie, wtrącając się do rozmowy Zaklika — wiem ci ja jakowy! Otóż w zakład idę, że cię zgaga pali w gardzieli, Mości panie Zabielaku i na dołyszku uciska. Za nadtoś pilnie pono zaglądał w czarkę, traktując gromady gorzałką! A ostrzegałem: aqua vitae to nie szlachecki trunek! Bies go uwarzył dla Chama za karę, że tenże wydrwił ojca Noego, zmorzonego winem. Pociechy z Imci pana Zabielaka nie będziem mieli w puszczy, W. panie Łowczycu, oj nie, jeno mitręgę! Nie lepiejże go było zostawić w domu z babami u kądzieli?

Kiedy Łowczyc rozśmiał się wesoło ze żarciku, Zabielak, wyprostowawszy się na koniu, odparł urażony, spoglądając z podełba na towarzysza:

— Trzymałbyś ty lepiej język za zębami, Mości panie Zakliko, skoro ci na koncept braknie funduszu w mózgownicy! Dowcipy twoje suche i niestrawne jak niedźwiedzia skóra z kudłami, a jednak się niemi popisujesz!... Jakaż cię to naraz turbacya napadła o moją personę!... dziękuję uniżenie! Patrz ty raczéj, byś z wielkiéj frasobliwości czkawki nie dostał i przez łeb szkapie na ziemię się nie zwalił, jak ostatnią razą!

— Ot i co? przypadek! — bronił się Zaklika — szarak drogą mi przebiegł, cóż więc za dziwo, że mi się nieszczęście nagodziło! Bez szwanku jednak uszedłem z całemi gnatami. Ty mości Zabielaku, byłbyś wtedy nałamał karku, bo kruchy on jest u ciebie, jak żydowski łokszyn na szabas, albo te twoje suche żeberka byłbyś pokruszył, niby trzaski, nie byłby cię ratował ani twój sławiony dowcip w głowie!

Zagadniony wzdrygnął ramionami i spoglądając z lekceważeniem na grubego i niezgrabnego Zaklikę, z którym często ścierał się zwycięzko na słowa ku zabawie dziedzica, zawołał lekceważąco:

— Nie mógłbym ani nawet, choćbym chciał, sierdzieć się o twą grubą, niby śrut żarnowy mowę, Mospanie, co mi za satysfakcya! Dzika zwierzyna zawdy trąca puszczą! nikogo to nie razi. Tyle jeno ci się mówi ex benevolentia i zmiłowania nad twą nieudolnością, nie zaczepiaj ty twoim mizernym językiem ludzi światowych, skoro wilczek z ciebie dziko chowany i światać nie najrzał krom tyle, co w naszym dworze!... Ho, ho! prawił daléj, sławiąc siebie samego, co u niego w zwyczaj już było poszło — siłaby o tém opowiadać, jakom ja we świecie w setnych bywał opałach, a zawdym się szczęśliwie wywinął, niby lis z pułapki! Nie napróżno też Zabielaki w herbie mają lisa,. jako symbolum najprzód twardego życia! I dziad mój rzeczywiście sto lat przeżył z góry, nie zaznawszy przypadłości nijakiéj, ani niezdrowiska

aż do zgonu samego. Rodzic mój nieboższyk doczekał się dziewięćdziesiątki, zdrów zawdy jak rydz, choć się nie szanował i w niejednéj bywał potrzebie. Skoro się zaś położył, trzy dni jeno na śmierć czekał, nie trwożąc sobą, nie zawodząc, ani majacząc. Panu Bogu ducha oddał bez dolegliwości... panie świeć tam nad jego duszą!... Z czego wszystkiego biorąc asumpt, tuszę, że i na mnie bies stryczka jeszcze nie ma gotowego! A choćby go nawet i ukręcił i podsuwał się ku mnie, by mnie ułapić, jeszczebym się próbował fortelem wykręcić! — i poglądając złośliwie ku Zaklice dodał: -- posłałbym jego szatańską mość do mojego przyjaciela Zakliki, perswadując, jako większy profit w czeluściach piekielnych odniosą z człeka wielkiego i opasłego, aniżeli ze mnie, wyschłej szczapy!

— Ej, Mości Zabielaku — odciął się z humorem zaczepiony, widząc, że Łowczyca ta utarczka na słowa bawiła — czemu zaś nie! Ja sądzę przeciwnie, że tam w otchłani piekielnéj z niecierpliwością czekają na twoje przybycie! Twój język okłamany, podstępny, złośliwy, cóż za smaczny kąsek, co za specyał dla samego Belzebuba!... Przyznajże Mości Zabielaku, że twoja cała siła, to ten język oheblowany, wychodzony, niby cywka u warsztatu tkackiego!

— Nie pohańbiajże mi przyjaciela, mości Zakliko! — odezwał się na te słowa wesoło, uprzedzając odpowiedź swego poufnego, Łowczyc — myślałby kto, że Imcipan Zabielak językiem tylko mleć potrafi, jak podstarzała gadatliwa niewiasta! Wszakże u niego, sądzę, fundament głowa tęga, a język to jeno jakoby instrument posłuszny i umiejętnie zażywany.

— Vivat WPan Łowczyc! — zawołał uradowany tą obroną swego pana dworak — swym subtelnym rozumem trafił on w samo sedno! Język

zdradza myśli człowieka i objawia jego dowcip, czy takowy płytki i tępy, alboli też ostry i głęboki. Ho, ho, Mościpanie Zakliko, ze Zabielakami radzę ci ostrożnie, na bok z nosem, nie zadawać się w głębokie dysputy, byś sromotnéj porażki nie poniósł. Nie na próżno, jakom już rzekł, w herbie mamy lisa! Nie chwaląc się też, były w naszéj familii zawdy głowy sposobne u mężczyzn, konceptów i fortelów pełne, jakoby od zwierzęcia onego zapożyczone. Wiedzieli o tem sąsiedzi i znajomi, bo mówili:

Zabielaki mądre szpaki
W słowie chwaccy, w umie gładcy!

I nie była to próżna chwalba jeno! Pomnę ja dobrze — prawił rozgadawszy się, uważając, że słuchano go pilnie, a do jaru spory jeszcze kawał drogi pozostawał — jak, mianowicie rodzic mój nieboższyk Michał ze srogich terminów wywijał się zawsze gładko, z całą skórą przynajmniej, przez swój dowcip jeno. W pamięci tkwi mi z inwazyi szwedzkiéj przygoda taborowa:

— Trzymaliśmy naonczas w zastawie folwarczynę pod Krakowem; rodzic mój, chudopachołek niby, człeczyna nieznany, ale umysł miał głęboki. Toć on sam prawie ze siebie wyuczył się szwargotu szwabskiego, tyle jeno, że kilkakroć razy wiódł w zbrojnéj oprawie dla bezpieczeństwa kupców z towarem na Śląsk! Dla téj jego bystrości, oraz i znanego powszechnie dowcipu komenda wojskowa w Krakowie poleciła mu dostawę prowiantu dla miasta; obawiano się bowiem lada moment oblężenia. Raz, jedziemy, het od Sandomierza — nieboższyk rodzic brał mnie chętnie ze sobą z powodu, żem był chwacki, jako niedorostek już i nad wiek sposobny — wielkie prowadzimy zapasy. Cały tabór srogi ciągnie się za nami. W wielkich drabiastych wozach wiozą ziarno we worach, pędzą trzody całe wołów i baranów. Słonko południowe już i przypiekać zaczyna. Mój

rodzic wzrokiem wybiera łączkę pod lasem najsposobniejszą do wypoczynku dla ludzi i koni, aż tu ni ztąd ni z owąd z poza drzew tegoż lasku wynurza się huf szwedzkich rajtarów. Wszyscy zdrętwieli z przerażenia; jednych trwoga zatrzymała na miejscu, drudzy biorą nogi za pas, już i lamentują w niebogłosy, co strachliwsi; rodzic mój sam zwątpił i z wielkiéj aprensyi ręce załamał. Ale wnet nabrał animuszu z téj racyi, że jemu, jako wodzowi nie przystało głowy tracić i dawać złego przykładu. Zacznie więc łajać na pachołki i woźnice: Cóż to wy drapichrusty, ciury tchórzem podszyte? Szwed was ani nie napoczął jeszcze, ani też cskomy mieć nie będzie na taką zgrają nikczemną, płochliwą, a oni już wrzask podnoszą, jakby ich na rożnie przypiekano! Zaraz mi do furgonów, jechać wolno, w porządku.

Nie mniéj jednak zafrasowany srodze zwraca się z koniem do mnie, a siedziałem na pierwszym furgonie wraz z braciszkiem klasztornym, wylękłym, któregośmy przypadkiem zabrali po drodze — i mówi niby do siebie: „To tu nie przelewki! Ta dzicz zapasy nam zrabuje! Byle jeno tyle! ale i kole nas kuso być może!“

Wtedy mnie szczęśliwym trafem koncept przypada do głowy i rzeknę do zafrasowanego:

— Tatusiu! mnie się widzi, że fortelem z biedy wywinąć się możemy! Kwestarza mamy ze sobą, symulujmy, jako dobro wieziemy do klasztoru.

— Dalibóg! — zawołał na te słowa uradowany ojciec — wcale niepośledni koncept, ten smyk nie w ciemię bity! — i zaleca zaraz braciszkowi zaintonować pieśń nabożną.

Księżyna wydobył z pod habitu kantyczki i drżącym głosem zaczął nucić: „Héj gospodzie uwielbiona.“ Wszyscy zawtórowali, odkrywszy głowy i tak jedziemy wśród uroczystego pienia niby z pro-

cesyą. Szwedy podjeżdżają ku nam, starszyzna na przedzie; wyzwierzają ślepska ciekawie, dziwują się, kręcą głowami, ale zajęli całą drogę i ustępować nie myślą. Wtedy rodzic mój na czele taboru jadący na swéj srokatéj, ulubionéj kobyle, dodawszy sobie ducha, huknie potężnym głosem:

— A z drogi poganie! Cóż to? Nie widzicie, że ofiarę wieziemy Panu Bogu?

— Stój zuchwalcze! — odkrzyknął na te słowa, wysforowawszy się naprzód z oddziału szlachcic zdrajca — tak ty to bluźnierco wenerujesz przesławne po całym świecie wojsko Jegomości króla szwedzkiego? Nie wiesz ty, chłystku, że za twoją obelgę już samą zasłużyłeś na stryczek? Tak, ptaszku! Jedno skinienie jeno jenerała, a podyndasz tu na téj chójce!

Mnie ciarki przeszły po skórze na tę groźbę strasznego rycerza, ale rodzic mój odparł spokojnie niby, uderzając dłonią w rękojeść szabli:

— Herbowym ja! Jakżeby się odważył, choćby i sam jenerał ubliżyć honorowi szlacheckiemu! Nie mam ja i tak obawy nijakiéj, nic mi się przygodzić nie może, bom pod protekcyą Najwyższego! Dla czeladki to tego Pana Niebieskiego, dla ojców klasztornych w Kurhaniu wiedziemy te prowianty, po ludziach miłosiernych ukwestowane!

— Nie wchodzić nam w to teraz, pod jakiem godłem i dla kogo prowadzisz te zapasy, choćby były przeznaczone i dla biesa samego — odparł zuchwale bezbożnik — tyle pewno, że ich nie zawieziesz bratku do kresu!... i to dla ojców, mówisz wszystko? taka siła dobra wszelakiego!... Patrzajcie no! Twoi ojcowie wilcze gardło mieć muszą i brzuchy nakształt worów korcowych. Daj ich katu! Wypasą się oni na tym dobytku, niby ciołki na otrębach! Cóż za żarłoctwo! a Gula w klasztorze, to grzech podwójny!

Dalipan, okazya najlepsza nam się nadarzyła — szydził bezbożnie przeniewierca, obejmując łakomie wzrokiem zasoby okazałe — by przyłożyć ręki ku dobremu dziełu!.... Powiedz tam ojcom, by pasami żywoty pościągali i na poście, modlitwie, a medytacyi czas trawili nabożnie. Wszak ci to strawa ona im najmilsza! Żołnierze atoli króla szwedzkiego słowem Bożem żyć nie mogą; ojcowie zrozumieją to łatwo!... Alboli — dodał, patrząc w oczy zafrasowanemu — figiel to będzie mądrości, a z ciebie lis szczwany! Te zasoby to nie dla klasztoru, wiedziesz ty je gdzieindziéj; nie ułapisz ty wróbla na plewy choćeś, bratku, dowcipny! Co tu zresztą wiele gadać, twoje fortele tyle ci pomogą, co umarłemu kadzidło!.. i skinął na żołdactwo do rabunku gotowe.

Natenczas rodzic mój we wielkiéj konsternacyi zsiada żwawo z konia, poskoczy do jenerała samego i odetkawszy w swéj mózgownicy czopik od szwabskiéj mowy, pali do niego oracyą, łacińskiemi sentencyami gęsto szpikowaną. Nie rozumiał ja dobrze tego przemówienia i do dziś dnia tego odżałować nie mogę, bo było głęboce uczone i jędrne. Wedle tego, jak późniéj explikował ojciec kwestarzowi, był to jakoby obuch na Lutra i całą zgrajȩ heretycką. Argumenta czerpał mówca od dna samego ze staroświatowéj historyi pogańskich nacyi, prawiąc o świątyniach egipskich, greckich i rzymskich, o świętych gajach i skarbach, wpadł na dominium kościelne, dobra klasztorne i sacrilegia. Ciężkie musiały być te pociski, niby kule z dział wielkiego kalibru, bo Szwed zwątpił, i porażony, spuścił głowę. Widząc to mój rodzic, naciera coraz żwawiéj, gromi, klątwami grozi, zapowiada krucyatę... no, koniec, końcem, Szwed pobity na łeb na szyję, uląkł się i odstąpił. Machnąwszy niecierpliwie ręką odegnał rajtarów od taboru i zawróciwszy sam konia, wynosił się jak niepyszny. Co za uciecha ztąd między nami!

Najwięcéj radości okazał braciszek klasztorny, bo strachy trzymały go śmiertelne, by heretycy, uczepiwszy się jego habitu — a już go sobie wśród rzechotu palcami wskazywali — nie znęcali się nad nim. Ten objąwszy w ramiona mego rodzica, nuże go ściskać i wielbić pod niebiosa.

— O, mościpanie Michale! — wołał ze łzami w oczach — cóż za człek z ciebie! Prosto z niebios od św. Piotra na sukurs nam zesłany! Zionęłeś na poganina niby ogień nieustający z gardłacza i Filistynowie rozproszeni zostali orężem Jozuego! Chwałaż Tobie Panie, chwała! Św. Michał pogromił szatana!

Nie mógł się wcale uspokoić poczciwy księżyna; mnie téż uściskał za mój koncept i darował krzyżyk na pamiątkę!...

— Takimi to Zabielakowie byli — kończył, spozierając tryumfująco na Zaklikę — ród krzepki na duchu i na ciele!..

Gruby szlachcic wzdrygnął ramionami i zabierał już głos, by samochwalcy stósowną pewno dać odprawę, lecz go nie słuchano; łowczyc wypuścił konia, rwąc się naprzód. Dojeżdżano do Osipowego urwiska, naznaczonego miejsca zbornego, a na drogach i dróżkach w około rozsypane oddziały większe i mniejsze zamożniejszéj szlachty wraz ze swym dworem, oraz panowie bracia, sproszeni uczestnicy polowania, nadjeżdżali, harcując na rączych koniach.

Po zgiełkliwych powitaniach, skoro większa część zaproszonych się dostawiła, zabrano się do dzieła, nie czekając na opóźniających się. Najstarszy leśnik z dóbr Przygórskich, kierownik łowów, Imci pan Wrzosochaty, pospolicie Grozą zwany dla swéj groźnéj powierzchowności, wyglądał bowiem niby opryszek ze swą zarosłą całkiem twarzą, otrąbiwszy hasło do wyprawy, starał się ład zaprowadzić między tłumami; wysyła naganiaczy rotami na najodleglejsze

punkta kniei, łowców rozstawia w długiej linii nad głębokim parowem, odgraniczającym puszczę od pól ornych. Fale ludu odpłynęły, gwar się ulatnia, aż cisza, niby przed burzą, zaległa na około. Po długiej godzinie oczekiwania dochodzą uszu łowców, niecierpliwie na miejscu stojących, od przeciwległego końca niewyraźnie odgłosy hukających ludzi, niby szum zbliżającéj się nawałnicy. Wnet też echo roznosi po lesie tentent spłoszonéj uciekającéj zwierzyny, suchy liść zaszeleścił, łamią się gałęzie. Łomot, nawoływanie, stuk nadbiegającéj trwożnie zwierzyny coraz bliższe, wyraźniejsze. Myśliwi ustawili się w pozycyi, przyłożyli samopały do twarzy; padł już pierwszy strzał, takowe odzywają się coraz gęściéj. Nareszcie na całéj linii zabrzmiały salwy, niby w boju, kiedy się starły nieprzyjacielskie szyki. Padają szaraki i rogacze, śmiertelnym ugodzone pociskiem. Tu i owdzie postrzelona zwierzyna płoszy się, wymyka bokiem, lub się cofa, pędzi w śmiertelnym strachu w las napowrót. Spuszczono psy ze smyczy, naganiacze nacierają, wrzeszcząc przeraźliwie. Krzyżują się ze sobą rozkazy, wykrzyki, nawoływania; zgiełk wzrasta. Namiętność ogarnęła wszystkich.

Myśliwcy niby oślepli strzelają do rannego cofającego się zwierza między gromady ludzi; naganiacze zawracając rozpierzchłą dziczyznę, podchodzą nieraz pod same lufy sztućców. Mięsza się wszystko ze sobą, rozsypuje po lesie bezładnie, lub zwiera w gęste kupy, tu i owdzie umawiają się nawet i kłócą, aż nieładowi położył koniec Imcpan Groza, dając na trąbce donośny, przeciągły znak, by się rozeszły gromady i ustanęły na wsk[illegible]m miejscu w porządku.

Na pierwszéj nag[illegible] położono, nie licząc szaraków, kilkunastu ro[illegible] dwa jelenie i starego odyńca. Zaklice szczęście[illegible]isywało dziś, jak nigdy. Żaden strzał jego nie chyb[illegible] celu, co uważając tuż w sąsiedztwie, obok ustawi[illegible]y Zabielak, pudlujący

haniebnie, pękał z gniewu i zazdrości, zwłaszcza że złośliwy sąsiad nie omieszkał każdéj położonéj zwierzyny wznieść z tryumfem do góry przed oczy, takową okazując zadąsanemu, niby na urągowisko. Na Łowczyca wyszedł jeden z jeleni, wielkie zwierzę, już pod sam koniec naganki; myśliwy, choć gorący, dał strzał trafny, zwierzę padło na miejscu.

Lecz kiedy strzelec uradowany podskoczył do ubitego, by zobaczyć, w które miejsce wpakował mu nabój śmiertelny, jeleń zażartował sobie z pana Łowczyca; podniósł się bowiem nagle ze ziemi i jął biedz na złamanie karku ku lasowi, niby przy najlepszem zdrowiu. Wypuszczono za uciekającym ogary, padło kilka strzałów i zwierzynę położono po raz drugi. Zbiegli się zaraz na miejsce ludzie i łowce, między którymi Ordyniec wołał z rozognioną twarzą:

— A to mi wypadek! Jak żyję, coś podobnego mi się nie wydarzyło! Widzieliście przecie Mości panowie, ubiłem go na śmierć, a ten niepoczciwiec natrząsa się ze mnie, wstyd mi czyni! Zerwał się na równe nogi i daje drapaka do lasu!... Co za osobliwsza przygoda!...

— Nic to! — odezwał się na to długojęzyki Zabielak, wysuwający się wszędzie ze swą osobą naprzód, podążając za swym panem — miał ci ja wypadek, osobliwszy, jeszcze zgoła do wiary prawie niepodobniejszy! — i kiedy myśliwi obejrzeli ogromne, krwią z ran płynącą zbroczone cielsko zwierzęcia, jako też policzyli odnogi u rogów, dworak na naleganie pańskie opowiadał swój dziwny wypadek. Spuszczano się w dolinę, gdzie już kuchcik pr. ; nanieconem ognisku odgrzewał bigos i przysmarzał kiełbasę na śniadanie.

— Kiedyśmy trzymali Sniatynkę koło Krakowa — mówił Zabielak — bawił ja się jednéj zimy osobliwie w łowy na lisy, bo lisiurka mego rodzica wypełzła, włos się był wytarł, potrzeba było pod wierzch

świeże dać podbicie. Więc dla skórek chwytał ja liszki w żelazo i ubijał ze samopału, a strzelałem celnie!

— Tak jak dziś — wtrącił złośliwie Zaklika.

Ukarawszy gromkim wzrokiem natręta, opowiadał Zabielak daléj:

— Razu jednego już pod wieczór ubiłem też pod samemi gumnami starego lisa, zakradającego się do kurnika. Ukontentowany, bo futro było gęste i jak puch delikatne, odzieram ubitego w alkierzu, porzucam ścierwo na bok i tuż obok skórkę.

Po wieczerzy kiedym już zapomniał o wszystkiem, zachodzę ja dla jakiejś potrzeby do alkierza, otwieram drzwi, a tu mi się przedziera coś kosmatego między nogami. Robię zaraz światło, rozpatruję się po alkierzu, uważam, lecz ni śladu odszukać nie mogę po lisiurce! Cóż u biesa, myślę sobie, upatruję zguby pilnie i odkrywam, że i ścierwa też braknie, a nawet i kruka, któregom ustrzeliwszy w gaju, tu był porzucił. Wystawić sobie moje zdziwienie! Przeżegnałem się, by odegnać czary od siebie, w tem słyszę na podwórku mój Dolot ujada! Wybiegam, patrzę przy blasku księżyca i o małom trupem nie padł z wielkiego zdumienia! Dolot dzierży mojego lisa nieboszczyka za gardziel, Lisiurkę lisek miał na sobie. Odarty więc już wśliznął się w swą skórkę, pochwycił w paszczekę kruka i drała do lasu!... Co za natura w takiéj bestyi, co za chytrość! Nigdybym nie był wierzył, gdybym nie był na własne oczy widział! i topiąc łyżkę w misie z wonnym bigosem, zastawionym na stole z tarcic na prędce zbitym, jął się zaklinać, że prawdę mówił. Podczas gdy jedni ze słuchaczy kręcili głowami niedowierzająco, drudzy znów stawali w obronie twardéj natury lisiéj, odezwał się, zjadłszy właśnie i popłukawszy przekąskę kordyałem z dobroduszną niby miną, lecz z oczkami szatańsko błyszczącemi Zaklika:

— Nie sumituj się, mości panie Zabielaku, wszakże ci wierzymy. Cóż tam znów takiego extraordynaryjnego, że lis zbiera się na nogi, choć skórkę z niego zdarli, wszakże wiadoma rzecz, jako szczupak na pateli już smażony nawet, przewraca się na drugą stronę, gdy mu ogień doskwiera!... Aleś historyi swéj nie dokończył! Boć to nie koniec jeszcze Mości panowie — zwrócił mowę do zajadających smacznie słuchaczy — jam był trafunkowo obecny przy onéj przygodzie, więc ją dopowiedzieć mogę, jako też stwierdzić całą naracyą Imci pana Zabielaka najwiarogodniejszem testimonium, bo naocznem. — I ze złośliwym półuśmiechem jął zdrajca opowiadać. — Pełnił ja naonczas służbę przy lekkiéj chorągwi Wpana Susła w Miechowie. Pewnego dnia zimowego wysłał on mnie z depeszą do namiestnika do Krakowa. Załatwiłem wszystko szczęśliwie i ukontentowany wracam do domu. Mróz brał krzepki owego wieczora, gwiazdy się wyskrzyły, śnieg jeno tak chrupie pod nogami szkapy. Niedaleko Sniatynki, gniazda rodzinnego Zabielaków — a tędy droga mi wypadała — para ślepiów zabłysła mi z daleka. Podjeżdżam, patrzę, wlecze się gościńcem wilczysko, ale wolno, ledwie się porusza, łeb opuścił na ziemię, dyszy ciężko, a gruby niby beczka. Patrzajcieno, myślę sobie, co mu braknie? Struł się czy ochwacił, alboli podpił sobie na weselu i crapula go trzyma? Wylekuję ja cię tu zaraz z niedomagania wilczku, mówię sobie i wyjąwszy szabelkę z pochwy, szach, mach, macnąłem go na krzyż aż poza żebra, z konia się pochyliwszy. Żywotem mu rozpruł i z kałdona wilczego wysypuje się ku mojemu zdumieniu.... najprzód lis z krukiem w pysku, za nim Dolot imający lisa, na ostatku kto? wystawcie sobie! Imci pan Zabielak! Głodne wilczysko widać napotkawszy całą kompanią, połknęło takową żarłocznie na jeden moltyk, jeno, że strawić ich nie mogło wszystkich!...

Panowie bracia, dosłuchawszy się niespodziewanego końca, wybuchnęli głośnym śmiechem. Szczególniej jowialny pan sędzia Białozór, schwyciwszy się za swój okazały żywot aż się trząsł od śmiechu.

— Nie! — wołał, uspokoiwszy się nieco, wycierając załzawione oczy kułakami — non plus supra! człek wątrobę wytrząść ze siebie gotów! ha, ha, ha!... Ale też z ciebie, Mościpanie Zakliko, koncepcista, niech cię okrólują! Powiadają, że Tatar z dobrego humoru zjadł drugiego Tatara aż do podeszwy, aleś ty, Mości Zakliko, jeszcze dowcipniej sobie począł, boś kazał zjeść Imcipana Zabielaka wilkowi aż do lisiego ogona.

Wesołość jeszcze się wzmogła, co rozjątrzało zawstydzonego i sierdzącego się Zabielaka; tenże odgrażając się w obelżywych słowach, uczepił się Zakliki, żądając zadośćuczynienia za obelgę. Uspokajano wzburzonego, dowodząc wśród wesołości, że żarty nie obrażają, lecz humory dobre rodzą i niby pieprzyk wzniecają pragnienie.

To ostatnie dowodzenie trafiło do przekonania zaperzonego dworzanina. Zapito więc sprawę kordyałem na krótkiem toporzysku, a w tem też odzywająca się trąbka pana Grozy dała znak do nowej wyprawy.

Ruszono zaraz od stołu pośród ochoczego gwaru, by podążyć na nowe stanowisko, lecz wnet zwolniono kroku.

W towarzystwie zjawił się niespodziewanie Imci pan Otręb, podstarości z Przygórza. Cała jego postawa wylękła, zakłopotana, zapowiadała na pierwszy rzut oka niezwyczajne, Jobowe wieści.

Myśliwi też przystanęli, zwróciwszy ciekawie oczy na nowoprzybyłego. Tenże podszedłszy ku Łowczycowi zdziwionemu, zawołał żałośnie, zanim się jeszcze schylił do stóp pańskich:

— W. Panie Łowczycu! nieszczęście! najazd na dwór! Goszczyc hajdamak ze swą szajką, oraz zbrojnym ludem ze Suszy zajął gwałtem dwór i całe obejście. Nie mając ludzi do stawienia oporu, ustąpić byłem zniewolony i dopadłszy szkapy, pognałem za Wnym Panem!

W czasie tej mowy oblicze Łowczyca wesołością dotąd jaśniejące, mieniło się jak pogoda na niebie pod czas wiosenny! Śmiertelna bladość spędziła mu najprzód rumieńce z jagód, by wnet miejsca ustąpić ciemnemu szkarłatowi; nozdrza mu się rozdęły, dziki gniew zabłysnął w oczach.

— Łotry! — krzyknął urywanym głosem — zbóje!... O, ten Goszczyc!... niewiasta owa szatańska!...

Tymczasem Otręba z wielkiej żałości nie zważając na wykrzyki pańskie, referował dalej:

— Nie inaczej, jeno czyhali pohańce gdzieś w pobliżu skryci, bo skoro pochód zniknął w knieiach, ćma ludu wyroiła się z poza skały Turowej, zaległa dziedziniec, dwór okoliła. Czerń plądruje i rabuje, wypędzają konie i trzody z budynków, wywożą na zabranych podwodach zboże nawet ze śpichlerzów — strach patrzeć, co za dezolacya! Goszczyc ze swoimi hajdamakami zajął dwór; gołe ściany pozastawi po sobie, boć to zbój wypróbowany w swym kunszcie, jakby u Tatarów był w nauce! Straszne zniszczenie, ruina, finis rerum! Poodbijali nawet piwnice pańskie i suszą stare gąsiorki i antałki!...

— Gwałtu, na ratunek! — krzyknął w téj chwili przerażony Zabielak, łamiąc ręce — te wisielce gotowe dobrać się do naszego starego lipca w tylnéj piwnicy! Chryste Panie!.. Czyś nie zauważył przypadkiem mościpanie Otrębo — badał trwożnie podstarościego — jakie trunki, z jakich gąsiorków ta dzicz spija? bo jeśli z omszałych, głębokich brzuchaczy...

Zanim dokończył, Łowczyc, dosiadłszy już konia, rozpłomieniony na całem obliczu, niby bożek zemsty, nawoływał panów braci w słowach krótkich, drżących od kipiącego gniewu:

— Injuria, straszna krzywda.. zbrodnia!... o pomstę woła do Nieba!... Mościpanowie! Kto za mną?

I nie oglądając się już poza siebie popędził, jak wicher; szlachta dosiadła koni zgiełkliwie, rwała z kopyta za Łowczycem. Leśni i dworscy ludzie, idąc za przykładem panów, zaprzęgali konie do podwód, siadali na wozy, gromady ludu od naganki zaczęły na wyścigi biedz ku domowi; obraz przedstawiał niby ucieczkę po doznanéj porażce.

Kiedy hufiec myśliwych, cwałujących na czele wydostał się z lasu na płaszczyznę, straszne widowisko przedstawiło się oczom przerażonych jeźdźców: drewniany dwór przyborski stał w ogniu. Śród bałwanów gęstego dymu wyskakiwały krwawe płomyki w kształcie długich krwawych języków i niby grając, strzelały ochoczo w górę. Dołem zaś ogień chwytając łakomie smolne szczyty dachu, rozlewał się, potężniał aż objął dach cały. Płomień zapanowawszy wtedy nad kłębami dymu, strawił go swą siłą, wybuchnął całemi snopami, wrząc i kotłując, jak odmęt ze siarki i ognia. Przerażenie zdjęło gromadkę niewiast dworskich, bo stały przy ogniu nieruchome, niby w ziemię wrosłe, łamiąc dłonie; niektóre leżały pokotem na ziemi. Tu i owdzie wymykali od pożaru niby duchy potępieńców z otchłani piekielnéj sprawcy pożaru, złoczyńcy z pochwyconym dobytkiem, krwawą łuną jaskrawo oświeceni. Na ten widok jeźdzcy wypuścili konie, biegnąc za Łowczycem, dopadającym już w szalonym pędzie palącego się budynku. Rzucano się hurmem na ratunek. Siła płomieni atoli tak już była rozszalała, że usiłowania ludzkie stały się bezskutecznemi.

Zabielak z narażeniem życia tłumił ognie, zalewał wodą, rozrywał gorejące kłody drzewa z pomocą nadbiegłéj gromadki ludzi, w rogu dworu, ratował piwnice dworskie.

Niezadługo runął dwór, strawiony przez ogień aż do fundamentów, zapobieżono jednak dalszemu szerzeniu się pożaru.

Podczas gdy Łowczyc rozszalały z rozpaczy i gniewu ścigał wraz z Zakliką i kilku dworskimi głównego sprawcę nieszczęścia, Goszczyca, chcąc go ująć koniecznie, ktoś ze szlachty, snującéj się naokoło gorejącego jeszcze, upadłego na ziemię pogorzeliska, zdarł ze słupa, przede dworem wbitego dla wygody jeźdźców przybyłych, by mieli stanowisko dla koni, papier jakiś zapisany, wyrok sądowy, jak się niebawem przekonano, do tegoż słupa przybity.

Dokument ten, opatrzony podpisami i pieczęciami, ściągnąwszy ze słupa szlachcic nie koniecznie piśmienny, zaniósł go do mądrego Białozora sędziego, który pismo przeczytał w kółku ściągających się zewsząd, zaciekawionych panów braci.

My, starosta Stryjski, Andrzéj Żegota Stradom Chmara — brzmiało obwieszczenie — wraz z członkami sądu naszego starościńskiego, podajemy do wiadomości wszem razem i każdemu z osobna, co następuje:

Ponieważ w sprawie jw. pani Eudoxii Krzywdzic Mołodeckiéj, wdowy po niebożczyku Krzywdzicu Mołodeckim, staroście, naprzeciw w. imcipanu Janowi Ordyńcowi cognomine Łowczyc, o nieprawe dzierżenie włości, do Przyborza należnych, na wezwanie nasze powód nie stawił się wcale, ergo inkryminacyi nie zbił i pretensyi swych do rzeczonego majątku ni ustnie ni piśmiennie nie udowodnił, po pilnem zbadaniu sprawy wraz z dokumentami, oraz świadkami przysiężnymi, uznaliśmy jako już i zawyrokowali ratione przysługującéj nam władzy staro-

ścińskiéj w imieniu Rzeczypospolitéj oraz Króla Jegomości, jako WPan Jan Ordyniec, sine titulo dzierżący włości po ś. p. starościcu Krzywdzicu Mołodeckim, pozbawiony zostaje niniejszem posesyi Przyborza wraz z przyległościami. Wdowa natomiast po rzeczonym staroście JW. pani Eudosia Krzywdzic Mołodecka, któréj przysługuje prawo mężowskie, wchodzi aktualnie de dato, jak poniżej, w posiadanie majętności Przyborze z całym obszarem ziem, lasów, pól, łąk etc. Wiarogodność własnoręcznym podpisem jako też pieczęcią stwierdzamy.

Dan w grodzie naszym w Stryju 28 Octobris A. D. 1795.

— A co? słyszeliście Mościpanowie — odezwał się, skończywszy czytanie sędzia — nie żarty to, wyrok niby z trybunału! Wdówka poradzić sobie umiała! Inwazya na fundamencie prawnym niby oparta, a jednak Jejmość się przehasała. Wyrok świeży niezaprotestowany, więc choćby i tradować wolno, ale nie rabować cudzego mienia, nie palić substancyi cudzéj — dowodził rozgrzawszy się sędzia. — Doszedłli też wiadomości waszéj, Mości panie Zabielaku — zapytał po chwili, w czasie gdy szlachta oglądała pismo z rąk do rąk je sobie podając — zapozew ów starościński, co tu we w wyroku wzmiankowano? Circumstancya ta bowiem arcyważna!

Zapytany wzdrygnął ramionami.

— Zda mi się — odrzekł — był tu pod koniec lata szołdra jakiś z miasta, może i woźny, tylko że nikogo nie zapozwał. Łowczyc bowiem dowiedziawszy się, jako nieznajomy ów od stryjskiego po urzędzie przybywał, wpadł zaraz w straszną furyą. „Starosta! Co tu starosta ma do dysponowania na mojem dziedzictwie? — wrzeszczał grożąc i wytrząsając rękoma nad głową wystrachanego pachołka — Ja tu pan, ja starosta, rozumiesz ty to włóczęgo, urwipołciu? Jak śmiesz stawać przed oblicze moje z rozkazem sta-

rościńskim!“ I wydarłszy papier z ręki strwożonego, podarł go w drobne strzępki i cisnął takowe w twarz pachołkowi, dając przestrogę na przyszłość. „Gdybyś raz jeszcze wtóry — mówi — zuchwale wtargnął w me progi, to się postaraj pierwéj u ojców o absolucyą generalną za grzechy z całego żywota, radzę ci, obwiesiu, bo tu kres twéj pielgrzymki doczesnéj. Na bramie niby wronę rozkrzyżować cię każę ku przestrodze drugim łotrzykom!

— Co za imprudentia! — zawołał mąż prawa, kiwając głową — sam się przyczynił do swego nieszczęścia przez zbytnią krewkość.

— Taka to już natura po ojcu! — bąknął Zabielak. — Mołodeccy wszyscy absoluty, gorąco kąpani!

— Mołodeccy, mówisz Mospanie! — zauważył na te słowa przysłuchujący się uważnie Imcipan Wydzga, najodleglejszy sąsiad Przyborza — wszakci to Łowczyc Ordyńcem się pisze, a jednak synem starosty Mołodeckiego? Zagadka dla mnie nie do rozwiązania! A wy, Mościpanowie, ażaliście nie zauważyli tego kontrastu między osobą a nazwiskiem?

— Nic to tam znowu takiego nadzwyczajnego — tłomaczył Zabielak — Łowczyc nie pisze się przecie sam Ordyńcem; ludzie raczéj tak go nazwali z matki Ordyńcowéj z domu, pierwszéj żony starosty i nazwisko się utarło... Lecz czegoż tu stoimy otiosi! — zawołał innym głosem, z oczkami pałającemi pożądliwością, gdyż posuchę czuł w gardle od dawna — rozpamiętując frasobliwie, właśnie jak Żydowie nad gruzami Jerozolimy! Tempus volat bez pożytku, a tam czeka na nas w lamuzie, w niedostatku innego asilum, po pożarze, laborum dulce lenimen... mój lipiec płomieniom wydarty! Opryszkowie nie zdążyli już widać odbić naszéj piwnicy głównéj, jam ją zasłonił przed ogniem, trunek zatem tamże zawarty po dwakroć zatracony, jako bonum alienum sine posse-

sore uważać należy! — i już prowadził panów braci, zaproszeniu nie odmawiających, do pobliskiego lamusa, ciemnéj, długiéj nory na podmurowaniu, po wierzchu ziemią osypanéj.

Tu śród najrozmaitszych rupieci, na prędce w kąty pospychanych, stał w podłuż długi prosty stół drewniany z ławami na około. Na stole spostrzegało się przy ponurem świetle łojówki parę brzuchatych, omszałych gąsiorków wraz z ustawionem obok drobnem z miedzi naczyniem do picia, z kuchni widocznie wziętem.

Podczas, gdy panowie bracia gasili pożar, Zabielak uratowawszy piwnicę, te wszystkie przygotowania przezornie był poczynił, przewidując, że sprawa na sucho ukończyć się nie może.

— Mościpanowie! — zagadnął swych gości z niejaką uroczystością w głosie, chwytając za odkorkowany gąsiorek — nie chcę słów na próżno tracić, opisując wam, jaki to nektar przeleje się przez gardło wasze, sami przecie gustabitis et exsultabitur cor vestrum! Tyle jeno pierwszéj dla zaostrzenia smaku wzmiankuję, jako tym samym lipcem przed laty JWpan starosta Morsztyn traktował króla Sasa, pobawiającego tutaj na łowach przez doby trzy. Król Jegomość zakosztowawszy nektaru, już się z nim nie rozłączył, nad stare wina go preferując. Tego trunku zażywał on przy wszelkich moltykach z takim sukcesem, że ułożywszy do snu wieczorem dnia trzeciego swe królewskie członki, przespał w rajskich marzeniach dobę całą. Wieczorem dopiero nazajutrz ocuciwszy, wyruszył w dalszą podróż do Lwowa, mianując przed odjazdem JWpana Mołodeckiego swoim podczaszym i starostą!

Działo się to przed 15 circa propter laty, a cóż dopiero dziś być musi!... Mościpanowie, vivant stare czasy, vivat Republika! — i napełniwszy czarkę kosztownym płynem, wychylił ją jednym haustem

i oddał napełnioną na nowo w ręce najbliższego sąsiada, W. pana sędzi Białozora.

Szlachta piła wprawdzie ochoczo, ale nie sławiła ze zbytecznym zapałem dobroci trunku. Jaki taki wypiwszy, oglądał się raczej na sąsiada, żałośnie jakoś kiwając głową, aż ktoś poszepnął na ucho przyjacielowi, patrząc na drobną czarkę:

— Człek wcale nie wie, jak się do tego maleństwa zabrać! chwytasz, nie ma co, łykasz, z bojaźnią, byś z trunkiem razem owego naparstka nie połknął!

Posłyszawszy te słowa Imcipan Baltazar Wisłouch, powszechnie antałkiem zwany dla swej tuszy, równie i gorliwości, z jaką pełnił puhary usque ad finem bez zmordowania, zawsze z równym zapałem, zawołał głośno:

— Oj, nie ma to, jak nasze stare, dobre czasy! Nie inaczej u nas mówiono, jeno:

Kiedy pić, to puharami!
Kiedy bić, to nahajami!

A ktoś dodał jeszcze:

Chorym laudan, mel, arnicum!
Zdrowej szlachcie Hungaricum!

Rymy te przyjęte zostały głośnym śmiechem; panowie bracia z lubością powtarzali ostatni zwłaszcza wiersz: Zdrowej szlachcie Hungaricum!

Imcipan Wisłouch zaś nabrawszy ztąd śmiałości, zagadnął Zabielaka:

— Słuchaj jeno Mospanie, miód twój zacny, bez przywary, jeno, że my, szaraczki niegodni takiego trunku! Ot, schowaj ty sobie twe specyały i zamknij w piwnicy aż do ponownego przybycia jakiego króla Jegomości. Nam zaś wytocz beczkę, choćby zieleniaczku, byle Hungaricum! Słyszysz, jak nam się wszystkim czka za naszym trunkiem ulubionym! I postaw też roztruchaniec pokaźny, albo w niedo-

statku choć konewkę, boć widzisz sam, że drobną czarką pijąc, nikt z panów braci pragnienia nie ugasi. Nieprzystojnie też Bachusowe dary łykać, niby gorzałkę, z miedziaka!

— Nie frasuj się zbytecznie, mościpanie Wisłouchu — odparł na to wesoło Zabielak — jam już pomyślał o wszystkiem! Uszczerbku ty nie doznasz, ani nikt z panów braci! I jażbym też sam miał się wraz z wami na pragnienie wskazać? Za kogóż mnie bierzecie? Rozglądnijcie się dobrze, mościpanowie — mówił daléj, wskazując na ciemny kąt, gdzie bystre oko odkrywało parę wielkich, pękatych beczek — tam spoczywają subsidia nasze pryncypalne! Kropelka ona lipca przedniego stanowiła, że tak rzeknę, exordium do długiéj oracyi!

Przemowę tę powitano z niekłamaną radością. Szlachta wykulnąwszy ochoczo jednę z beczek z ciemnych czeluści bliżéj do światła, ustawiła ją na przysposobione już legary; odbito szpunt, wyszukano wielki róg bawoli, z którego pito wino na polowaniu i rzucono się z zapałem na nieprzyjaciela.

Odpowiednich toastów nie zabrakło; brano „asumpt“ już to z pożaru, który ugasić należycie wypadało, już to ze szczęśliwéj przeszłości lub pełnéj nadziei przyszłości, i suszono róg gorliwie do dna, z rąk do rąk go sobie podając. Przed wszystkimi celował tu Wisłouch. Nie tylko bowiem z równem łakomstwem pił ciągle ochoczo i szczerze, ale jeszcze z pod sumiastego wąsa sypał niby z rękawa dowcipami, śmiesznemi odezwami i żarcikami, tak, że panowie bracia wprowadzeni w dobry humor, bawili się wśród śmiechu wesoło, zapomniawszy zgoła o gospodarzu domu i jego nieszczęściu.

Ponieważ pito suto i szybko, nie dziw, że towarzystwo po niedługim czasie rozmarzone, językom folgę dawało, ztąd gwar zapanował niby w ulu. Tu

oświadczano sobie wśród uścisków i wykrzyków dozgonne, nigdy w sercu niewygasłe afekta.

Tam zwierzano sobie nawzajem w rozrzewnieniu najskrytsze tajniki serca, lub opowiadano z lubością ciekawe przygody; Zabielak z Zakliką toczyli nawzajem podjazdowe utarczki na języki, podczas gdy Imcipan Baltazar, dowcipkując, pilnował, by kolejki nie doznały uszczerbku i puhar krążył regularnie. Już też ten i ów z panów braci słabnął widocznie; głowy siedzących opadały ciężko na piersi, języki obracały się z oporem w ustach gwarzących, bielmem zachodziły oczy wszystkim, kiedy wieczorem wpadł do lamusa stajenny z wieścią, że koń Łowczyca raniony wrócił sam bez jeźdzca do domu.

Najprzytomniejszy Imcipan Baltazar wziął się zaraz do badania i ku przerażeniu swemu jako też żalowi z powodu niewczesnéj „libacyi“ dowiedział się, że Łowczyc po długich poszukiwaniach wpadłszy na trop, ścigał przywódzcę napadu, Goszczyca, w towarzystwie dwu konnych aż do lasu w Suszy. Tu zetknął się ze szajką Goszczyca.

Pachołki widząc przemoc, przerażeni, pouciekali tchórzliwie, sam zaś Łowczyc, broniąc się niezawodnie rozpaczliwie, z konia zwalony, został prawdopodobnie zarąbany, lub ujęty.

Imci pan Baltazar, posłyszawszy te szczegóły, okrzyknął natychmiast zbrojną wyprawę. Panowie bracia ruszyli się też z zapałem od stołu, lecz siły nie odpowiedziały dobrym chęciom. Bachus zazdrosny nie dozwolił, by jego czciciele przeszli pod znaki Marsa, jak zauważył ku niemałemu swemu strapieniu Wisłouch. Ten ostatni zebrawszy co odważniejszych ludzi dworskich, dosiadł konia i powiódł swój mały hufiec w kierunku wskazanym ku lasom w Suszy, by odszukać Łowczyca, lub przynajmniéj wieść powziąść pewną o losach jego.

III.

Na wielkim gościńcu, prowadzącym lasami majętności Suszy ku Lwowu, toczyła się szparko pod wieczór chłodnego dnia jesiennego podwoda z jednym podróżnym, prócz woźnicy. Wózik różnił się od chłopskich już na pierwszy rzut oka drabeczkami misternemi, starannie, białem pręciem wyplatanemi. Konie też rosłe, ogniste, w pańskiej uprzęży, równie jak i woźnica w liberyi, to wszystko pouczało, że podróżny nie należał do zwyczajnych śmiertelników. I w rzeczy samej, siedzący na drugiem siedzeniu, człowiek nie pierwszej młodości, w czarny, barani kozuszek przyodziany zaliczał się nawet do wielkich panów, jako potomek starożytnej kniaziowskiej rodziny i zwał się Michał Korybut Daszkiewicz — bene natus wprawdzie, lecz nie possessionatus, choć mąż o wielkich nadziejach. Marzył bowiem w skrytości serca ni mniej ni więcej jak o... królewskiej koronie! Nie święci garnki lepią! Wszakcito w Rzeczypospolitej każdy szlachcic urodzonym był kandydatem do tronu, a cóż dopiero Korybut! Jeden z tego rodu dzierżył już berło; dla czegożby więc wdzięczny naród drugiego potomka z tej zubożałej, lecz zasłużonej rodziny książęcej nie mógł purpurą ozdobić!

W tej nadziei żył kniaź bez sławy i znaczenia, znosząc cierpliwie tymczasowe upokorzenie, nie wchodząc w związki małżeńskie, by nie splamić mitry książęcej i nie zagrodzić sobie drogi do tronu, jako plenipotent i poufny wielkiego pana i bogatego właściciela ziemskiego JW. pana marszałka Jana Rogali Lubczyca Boratyńskiego, który na stare lata, zrzekłszy się dostojeństw i zaszczytów w powiecie, osiadł we Lwowie, puściwszy swe majątki ziemskie w dzierżawę i w zastawę.

Że kniaź w rzeczy samej liczył na koronę, wyszło na jaw po elekcyi zeszłorocznej. Gdy bowiem

wybrano Poniatowskiego, kandydat do tronu wrócił z Warszawy zgnębiony, upadły na duchu; ciężka choroba powaliła go na łoże. W gorączce nieprzytomny wygadał się ze swej tajemnicy i ztąd mieszkańcy Lwowa dowiedzieli się dopiero, jak dostojną osobę gościli w swych murach! Z choroby powstawszy, wyżółkły, przygarbiony, zamknięty w sobie i nieprzystępny, kniaź nadziei jednak nie stracił i przebolawszy po niejakim czasie ciężki zawód, był znów gotów do czekania na przyszłą elekcyą. Tymczasem pełnił dalej swe obowiązki w nowo według gustu pańskiego pobudowanym dworze marszałka we Lwowie, objąwszy po swem wyzdrowieniu zarząd nad służbą dworską, jako też ster nad sprawami pańskiemi.

Sprawy te zależały głównie na dozieraniu włości, odnawianiu kontraktów z dzierzawcami, ściąganiu sum zaległych, pilnowaniu w ogóle dobra pańskiego. W tym celu też robił kilka razy do roku wyprawy ze Lwowa, objeżdżając majątki marszałka. Wracając tą razą z takiego objazdu, zdawał się być bardzo niezadowolony z rezultatu, gdyż siedział chmurny, patrzał posępnie przed siebie i do Hrycia, starego woźnicy, nie odezwał się dotąd ani słowem.

Hrycia, zasłużonego woźnicę marszałka, starego gadułę ze słuchem dla wieku nieco przytępionym, korciła bardzo ta wzgarda, jak mniemał, swej osoby, zwłaszcza, że sam JW. pan marszałek swojego czasu w długie zadawał się z nim po drodze gawędy, dla tego starał się ściągnąć na siebie uwagę swego pana pokrząkując, zaglądając mu w oczy, lub zagadując, lecz naprożno. Wtedy rozsierdzony, odwróciwszy się, zaciął konie i popędził po korzeniach i wybojach, że aż kniaź podskakując na siedzeniu zaklął ciężko pod nosem. Poczuwszy wreszcie żganie w boku, odezwał się rozgniewany do woźnicy:

— Do krocset biesów, jedźże wolniej człowiecze, w chorobę wpadnę przez ciebie!

— Hę? — zapytał niedosłyszawszy zagadniony, obracając się do pana — czy Jegomość widzi mi się jakoby chciał co gadać?

— Mówię, byś gębę zawarł, a uszy raczej otworzył, trutniu — odrzekł zniecierpliwiony kniaź, a widząc, że konie w biegu nie ustawały, natężywszy głosu, wrzasnął — jedźże wolniej bałwanie!

Na to wezwanie dopiero woźnica ujął lejce nieco krócej, odpowiadając:

— Szkapy biorą, poczuły dom, ani ich powstrzymaj! Ho, ho, żeby im tak dać na wolę, widzielibym, coby się tu działo! Szumy w powietrzuby się robiły, rozniosłyby nas urwise, tę naszą dryndulkę w puchby rozbiły! Bułanka — mówił zwracając swą głupkowatą twarz do siedzącego — ta, bo jak skra, nie uważa, woda czy ogień! a jeno ją biczem, mój Ty Panie, zaraz w susach zrywa się ku obłokom, a chimerna, no!... Widzi Jegomość, jak to będzie kiwać głową, a mleć ogonem! Niepodoba jej się, żem ją sparł wędzidłem, onaby sobie chciała pobrdysać na wolności. Gniady, no, bo jak gniady, naturę ma powolniejszą. Derda sobie niby lisek po miedzy kiedy go nikt nie goni, jeno że strachliwy! niech choć pies zaszczeka, albo głupi wróbel się zerwie wedle niego, jużci uszy do góry, chrapy rozedmie i zrywa się niby postrzelony. A niechno się dobrze zagrzeje, mój Ty Jezu, wtedy się oddaj Bogu i wleź w konopie! Człek życia niepewny z nim, bo się rozbieguje jak wściekła sobaka, na nic nie będzie wtedy aprendował!...

Rozgadawszy się tak Hrycio, mimowoli opuścił lejce, z czego swywolna bułanka nie omieszkała skorzystać. Dawszy bowiem nagle susa, uderzyła w bok, wyciągnęła bryczkę z kolei wraz z podburzonym starszym, nie mniej jednak pustym towarzyszem broni, gniadoszem i, mimo nawoływań i przekleństw

Hrycia, wózik nie oparł się aż o sosnę, w której pień dyszel z siłą uderzywszy, ułamał się od przodku.

Kniaź krzyczał przerażony:

— Stary niedołęgo, gamoniu, trzymajże konie!... To mi dopiero woźnica! Bodaj ci były palce poupadały, zanimeś pierwszy raz lejce wziął do ręki!.. Wołki tobie u pługa poganiać, ale nie konie wodzić.. Że też za każdy raz z nim się coś przygodzi! Jeśli nie dyszel, to oska, jeśli nie oska, to koło, ale coś się z pewnością zepsuje! I cóż tu teraz poczniemy w lesie bez dyszla!..

— Ej, niech tam Jegomości głowa o to nie boli! — odparł Hryć obojętnie gderającemu, schodząc z wózika — kiedy jeno tyle... w lesie drzewa dosyć, to się dyszel nadstawi. Co mi za wielkie nieszczęście! nieprzymierzając, jak gdyby sroce wypadło piórko z ogona.

I mówiąc to łamał już sporą brzózkę, kozikiem z kieszeni dobytym sobie dopomagając. Potem zastrugał drzewo i w mgnieniu oka przytwierdził do dyszla sznurkami.

Zanim zniecierpliwiony kniaź się opatrzył, dyszel już został naprawiony, a Hryć wsiadłszy na siedzenie skierował konie na dawne tory, zagadując swego pana z chełpliwością:

— Widzi Jegomość, jak to stary niedołęga poradzić sobie umie! Cała mitręga nie trwała ani pacierza. Ho, ho, w innych się to już bywało tarapatach, a jednak Hrycia wilcy nie zjedli jeszcze, choć jedną razą mało już do tego brakowało.

I połową ciała zwrócony do kniazia, nie spuszczając z oka koni, jął opowiadać, ulegając swej gadatliwości.

— Będzie temu lat już kilkanaście, jechałim wtedy z Jaśniepanem do Suszy na wesele nieboszczyka starosty. Mróz był straszny, tak, że ptactwo z powietrza na ziemię zmarzłe spadało, śnieg leżał na

parę łokci, a w boru, jechalim tym samym lasem, jeno nieco głębiéj, ni drogi ni śladu nijakiego. Kopiemy się z ciężkością saniami przez zaspy, wymijając drzewa, do głównego traktu. Miałem w zaprzęgu cztery śronki, szkapy niby buhaje — takich się już dziś nie widzi! Na samym skręcie w gościniec, patrzę z boku coś się z daleka niby czerni; mroki już padały, więc nie mogłem dobrze rozpoznać, aż tu Jaśniepan krzyknie wystrachany:

— Wilki, wilki! Hrycio puszczaj konie! W Imię Ojca i Syna! Hawryłko, masz tu moją szablę, a trzymaj się krzepko i tnij, skoro ci się nawinie pod rękę ta żarłoczna czereda — tak rzekł do pachołka obok mnie siedzącego, podając mu swoją szablę. Sam pochwycił za rusznicę i mówi struchlały:

— Ciężką będziem mieli przeprawę. Bestye pewno głodne, a więc rozżarte Takiéj ćmy też jak żyję nie widziałem, setki całe! Jakże się tu obronić samotrzeć, z jednym samopałem w ręku .. w koniach cała nadzieja nasza. Hrycio, puszczaj!

— Ciekawość mnie brała, więcem się obejrzał poza siebie i zdrętwiałem ze zgrozy. Zgraja, stado całe za nami, niby owiec. Płyną jak obłok siny, chmura groźna. Jezus, Marya! zawołałem drżąc z przerażenia. Gorąco mi się zrobiło mimo trzaskającego mrozu i zaraz potem zimno. Dreszcze mnie wzięły całego, włosy na łbie mi powstawały, czułem śmierć się zbliżającą, jakby mi kto kosę zimną za kark zakładał. Otrząsnąłem się, przeżegnałem konie biczem, wypuściłem lejce, cmokając na zaprząg. Szkapy ruszyły z kopyta i mkną jak łanie, śniegiem z kopyt nas obrzucając. Mimo rączości naszéj wilki jednak nas dognały; szczerzą kły, warczą głucho, prą się ławą ku koniom. Wtedy Jaśniepan dał ognia z rusznicy, przewrócił się pierwszy, najchytrzejszy. Dzicz biegnąca, zatrzymawszy się na chwilkę rozdarła ubitego w drobne kęsy i pożarła go w mgnieniu oka.

Za chwilkę już nas dopędzili, drą się do koni. Jaśnie pan nabija, Hawryłko próżno macha szabelką, nie może dosięgnąć napastników. Wtedym ja rozpuścił bicz i nuże smagać zbóje po kudłach, po ślepiach, po uszach, Jaśniepan też już nabił, wystrzelił. Padł znów jeden z trzody, która jak pierwéj się zatrzymała a Jaśniepan modli się błaga — Hrycio na Boga, zmiłuj się co konie! człeku, bo po nas! Gnaj, pądź! Padnie, nie padnie, wszystko już jedno! tak ginąć, czy owak!

Jam z bicza znów wypalił, huknąłem na szkapy. A wtem wałach odkulni potknął się niezdara — częściéj mu się to wydarzyło — i przyklękuje na oba kolana. Wilczysko zgroźne daje zaraz susa, caps, ima mojego wałacha pod gardlice. Reta, reta, wrzeszczę ze wszystkich sił, ździeram szkapę lejcami do góry. Zerwał się przecie na nogi, wyskoczył w górę, strząsnął ze siebie gad żarłoczny. Puściłem tedy szkapy całkiem, luzem prawie i okładam je batogiem; pędziłem na złamanie karku.

Konie prześcignęły wilki. Rabusie, nie mogąc dognać zwierząt, rzuciły się tedy na nas ludzi. Okalają sanie, cisną się, wskakują na siedzenie. Jaśnie pan ogania się kolbą rusznicy, Hawryłko wywija szablicą, jeno ja nie mam nijakiéj obrony. Zanimem zdążył uchwycić, jak się należy, i obrócić grubym końcem biczysko, wilk, wskoczywszy na sanie, już mi siedział na karku i ciągnie mnie za ucho. Krzyknąłem z bólu i strachu, jaśnie pan się zrywa ze siedzenia ku méj obronie, wrzeszczy wystrachany: „Hu, ha!“ Hawryłko lamentuje z płaczem, a tu wilki zewsząd wdzierają się na sanie, rozwierają paszczęki, kły wyszczerzają, blisają ślepiami. O, Jezusie, co się wtedy ze mną działo. Zamknąłem oczy i mówię głośno Zdrowaś Marya, a zęby jeno mi tak klekocą ze strachu. Polecałem Panu Bogu grzeszną duszę, bom myślał, że ostatnia,

straszna godzina życia mojego biła. Lecz inaczéj się stało. Niespodziewanie nadeszła nam pomoc.

W Suszy — byliśmy już pod wsią samą, nic o tem gwoli ćmy nie wiedząc — ludzie usłyszeli nasze strzały i lamenty i zaraz się domyślili, wiedząc o wilkach, że jacyś podróżni w opałach. Wyroiła się też zaraz z chałup wielka gromada ludu z widłami, cepami, drągami. Dano znać do dworu. Sam wpan starosta wyjechał konno z gośćmi i pachołkami zbrojnymi. Ludzie pierwéj ciągnący krzyk uczynili wielki, gdyśmy, posłyszawszy nadchodzących, zaczęli wrzeszczeć o pomoc. Gromada natarła w biegu hałasując, panowie wtyle wystrzałami w powietrze dali znać o sobie. Wtedy dopiero rabusie stchórzyły i puściwszy nas, rozbiegły się żwawo po lesie. Ubito tego gadu w pościgu z jaki tuzin, pałkami, strzałami lub uszczuto gończemi. Nic nam się zresztą nie stało, jenom ja odmroził pięty i uchom stracił; wilk mi je odgryzł, płatek mały pozostawił z całego, jak to jegomość pewnie już obaczył.

Ztąd też i moje nieszczęście, żem przygłuchy, a osobliwie, skoro na plusk się zabiera... Jaśnie pan dał mi zaraz na miejscu cztery dukaty, a gdyśmy wrócili do domu kilka korcy.... tu przerwał, bo konie nagle stanęły, a kniaź zawołał gromko: — Jedźże gapiu, co stawasz? — lecz w tejże prawie saméj chwili zmienił rozkaz, zoczywszy przed wozem coś niezwyczajnego. — Stój, nie najeżdżaj! Nie widzisz, że na samym środku drogi rozciągnięty leży człowiek! Zleź z woza i obacz, co mu braknie! — Oddawszy lejce do trzymania kniaziowi, posłuszny Hryć stoczył się ostrożnie z wózika; podszedłszy potem i obejrzawszy leżącego, krzyknął przerażony: — Człek zabity, zarzezany jak baran! we krwi się broczy, a co ran ma po ciele! — Kniaź ciekawością zdjęty, skoczył także ze siedzenia, kiedy jezdzcy w pełnym kłusie pędzący z tyłu — tentent słyszano już sporą chwilę —

obstawili w mgnieniu oka miejscowość. Pierwszy z nich, szlachcic dobréj tuszy, o sumiastym wąsie, Imcipan Baltazar Wisłouch, widząc na ziemi leżącego, pewno zabitego i schylonego nad nim, pewno oprawcę, krzyknął zajadle: Morderca, ha, mamy cię zbóju, imać tego psubrata! — Na te słowa nadszedł właśnie kniaź i zawołał oburzony: — Wara, nie tykać go!... Człek niewinny — tłomaczył z niejaką obawą opatrując groźnego szlachcica i jego zbrojny zastęp — czy nie widzisz Waszmość, jako woźnica jest, stary niedołęga! Za piecem jemu wylegiwać, ale nie ludzi zabijać! Myśmy właśnie najechali leżącego na drodze ani wiemy, co zacz i co mu dolega. Ten zlazł z wózka na mój rozkaz, by uprzątnąć zawadę! — Na to oświadczenie, oczywiście wiarogodne, pachołcy opuścili ręce, dając wolne przejście do żdzierających się koni Hryciowi strwożonemu, pan Baltazar zaś, nie ze wszystkiem przekonany, wejrzawszy z podełba na tuż stojącego, zatrwożonego kniazia, zsiadł z konia i przystąpił do mniemanego niebożczyka. Rozpoznawszy w nim, mimo mroku padającego, gdyż słońce już było zaszło, Łowczyca, zawołał boleścią zdjęty: — Tak, to on, Łowczyc! Ducha w nim nie ma! A jaki pokrajany! Rękojeść szabli zdruzgotanéj dzierży jeszcze w dłoni! Rzucił się na cały hufiec morderców, boć on nie ustąpi przed samym czartem przeklętym! I te łotry rozsiekali człowieka żywcem i pozostawili psom i ptactwu drapieżnemu na pożarcie, niby bydle! O poganie! Taki rycerz ten sromotny kres znalazł tutaj! — łamał ręce biadając płaczliwie ze żalu, trunek też niepomiernie użyty do tem większéj czułości go pobudzał.

— Człek był z niego złoty, z tysiąców wybrany! — zawodził. — Pan z panów, a z nami drobną szlachtą żył za panie brat! Z nami jadł, z nami pił, zabawiał się najwięcej między nami i nie opuszczał nigdy w potrzebie! Potrzebowałeś konia,

dawał konia, nie miałeś pieniędzy, dał pieniędzy, choćby ostatek, szatę zdjąłby z ciała i oddał nie namyślając się wcale! Któż to mnie wyratował w biedzie, kiedy mi grad w polu krescencyą całą wytłukł z kretesem. To on, Łowczyc! Dał słomę, dał ziarno, przeżywił mnie wraz z dobytkiem przez rok cały! Takiego człowieka skrytobójcy musieli zamordować! O, mój Boże!... A rycerz z niego! dziś nie trafi się już podobnych! Siłacz, jakiego nie ma na Rusi i w Koronie! Bo kto dziś będzie wodził się z niedźwiedziem za bary, kto wyjdzie z oszczepem na odyńca? Kto?... Czy ty może nikczemny karzełku! — zwrócił mowę do kniazia, mierząc go pogardliwem okiem.

— Lecz ta krew niewinnie przelana — mówił dalej z mocą — spadnie na głowy przeklętych zbójów, bo przysięgam ci Łowczycu, na twe członki pokrwawione, na twe cienie szlachetne, ja Baltazar Wisłouch, twój najwierniejszy, najserdeczniejszy przyjaciel, druh, sługa, że się pomszczę za ciebie!...

Wtem bolesny, przytłumiony jęk, niby z grobu, dał się słyszeć od ziemi, a Wisłouch skoczył jak oparzony, krzycząc wielkim głosem:

— Żyw, dalibóg żyw, drgnął! Hej, ludzie, kto w Boga wierzy, na ratunek! kto wie, może się tylko zataił! Obyś ożył, Łowczycu najukochańszy, dałbym głowę własną!

Dźwignięto leżącego do góry, nacierano mu skronie, skrapiano okrwawioną twarz wodą, porozrywano na nim szaty — bezskutecznie jednak, życie nie wracało. Po daremnych usiłowaniach rozłożono martwego wygodnie na posłaniu, ułożonem ze suchego liścia i mchu i zabrano się do omywania krwi zakrzepłej; następnie za radą doświadczonego Wisłoucha tarto do krwi krzepnące ciało, aż takowe nabrało nieco ciepła i wisności. Krew z ran zaczęła wtedy sączyć, co zauważywszy gruby szlachcic, jął

pielęgnować z zapałem i cucić wracające życie; krew tamowano mokremi płatami, jako też obwijano poranione piersi i oblicze. Wreszcie okryto leżącego płaszczami i wojłokami i pozostawiano na niejaki czas w spokojności.

Przy tych wszystkich zachodach kniaź krzątał się z wielką skwapliwością; zdjął nawet ze siebie kożuszek, aby nim okryć rannego. Teraz też dopiero Wisłouch pozbył się swych podejrzeń i uznał, że napotkani podróżni nie mieli udziału w zabójstwie.

— Daruj Waszmość — zagadnął kniazia rękę doń wyciągając — żem cię miał za nikczemnika! w żałości to tam człek słówek nie odważa, ale widzę dowodnie, jakoś nie jest winowaty, a nawet, zda się, człeczysko jakieś poczciwe! Baltazar Wisłouch, do usług Waszmości!

— Zaś ja — odrzekł zagadniony, ściskając dłoń sobie podaną — jestem kniaź Korybut Daszkiewicz!

Na takie przedstawienie zdziwiony szlachcic odstąpił krok w tył i języka w gębie zapomniawszy, miał już paść do nóg księciu panu, kiedy tenże zdołał go jeszcze powstrzymać.

— Nie schylaj się Mościpanie Wisłouchu — zawołał smutnie się uśmiechając — jam honorów nie zwyczajny — mitra moja z cierni uwita, a księstwo na księżycu umieszczone. Choć niby książę, alem chudopachołek większy pewno od ciebie, gdyż i pięć dzi ziemi nie posiadam! Pozostaję w służbie u marszałka Boratyńskiego we Lwowie... Tego Łowczyca, alias Starościca znam z imienia, — mówił już innym głosem, wpadając chętnie na nowy przedmiot — chociem go na dworze naszym ni razu nie widział. Człek z niego ma być surowych obyczajów, nieokrzesany!

Szlachcic wzdrygnął niechętnie ramionami.

— Plotki niegodziwe! — zawołał żywo, urażony — białogłowy takowe skomponowały i w obieg

puściły, bo im Łowczyc nie był dość gładki. Nie umiał im się przymilać, mizdrzyć, koperczaków stroić, nie estymując zgoła tego kociego, fałszywego rodu, o temperamencie podstępnym i płochliwym. Miasta też nie lubił, ani wielkich dworów pańskich, gdzie duma panuje i wzgarda dla szlachty i to są jego obyczaje surowe, Mości książę, panie! Czyste, nieposzlakowane raczéj, bez zmazy! Żył on jak ongi Józef niewinny w domu Putyfarowym. Swoboda i wolność naturze jego przedewszystkiem przypadały. W puszczy gotów był hasać tygodniami całemi, borykając się z dzikim zwierzem, łowy to jego najmilsze zajęcie, a kompania wesoła panów braci najpiękniejsza zabawa, więc ztąd on nieokrzesany! Czy pojmujesz Mości panie kniaziu, jaką niegodziwą kalumnią rzucono na człeka najzacniejszego?...

Ta fama wszelako rozniesiona po świecie przez one sroczki gadatliwe hańby bynajmuiéj Łowczycowi nie przynosi, mulieris garrulitas, non viro iniquitas, a nam stokroć on droższy jeszcze. Oby tylko Pan Bóg zachował go przy życiu! Jest nadzieja wszelaka... ciepło rozeszło się po całem ciele — kończył schyliwszy się, opatrując rannego — redivivus, redivivus! rusza się Dalibóg — wołał z rozjaśnionem od radości obliczem. — Cały kunszt teraz — mówił podniesionym głosem — by go przetransportować bez urazy, ostrożnie do domu! Ba, co ja mówię do domu, dom mu spaliły te łotry! — zasępił się przy tych słowach — trza go nieść do dworku najbliższego przyjaciela, lub do mnie, jeno że kawał drogi niepomierny, a tu periculum in mora!

— Słuchajno mościpanie Wisłouchu — odezwał się na to słuchający z uwagą kniaź — obowiązkiem jest chrześciańskim ratować człeka in mortis periculo, i to jeszcze takiego, który jest z przedniej familii, arcynobilis! Słuszne obawy twoje, przez długi transport mógłbyś ducha z niego wytrząść, więc zrobię ci

propozycyą następującą: Powieziemy po ze sobą do Lwowa, wcale już niedaleko! Obchodzić się z nim będziem po drodze niby z jajem, możesz nawet i ty sam jechać. Złożym go we dworze marszałka, będzie tam miał wygodę wszelką, pielęgnacyą, chirurga! Załogi też nijakiéj nie zrobi chory, bo dom wielki i zasobny. Marszałek zaś bynajmniej krzyw nie będzie gościowi, bo Łowczyc twój, musisz wiedzieć, chrzestnym jest synem i familiantem marszałka.

— Wdzięcznem sercem przyjmuję propozycyą, z niebaś człowiek Mości książę panie! — zawołał z wielką radością, ściskając ręką dostojnika Wisłouch — lepiej nie mogło się już nagodzić. Wstyd mi jeno, żem ciebie, Mości kniaziu, mógł tak brzydko podejrzywać, fe! nie godzi się wyrokować o umyśle człeka ex superficie!

Ułożono chorego, oddychającego już choć słabo, lecz bez przytomności prawie pozostającego, przeniósłszy go ostrożnie na wózik, na siedzenie miękkie, troskliwie usłane, z podpórką w tyle, otulono go starannie; kniaź i Wisłouch, którego konia przytroczono do wózika, usadowili się po obu stronach, podtrzymując ramionami chorego, zdało się uśpionego w siedzącej pozycyi.

Potem gruby szlachcic wyprawił pachołków do domu z poleceniem do panów braci do Przygórza, mówiąc:

— Tam w lamuzie bibują jeszcze pewnie panowie szlachta, poco mieliby sobie przerywać? oświadczcie im tedy, jakośmy znaleźli w lesie JW. pana Łowczyca na poły ubitego i wiedziemy go do Lwowa gwoli kuracyi. Imcipanu Zabielakowi zaś powiedzcie, by zamknął piwnicę z rozkazu pańskiego, tak... — fortelem go zażyję, pomyślał sobie, najlepiej będzie! Skoro z rozkazu pańskiego, może się Zabielak ustraszy i wina odmówi. Inaczej ta spragniona czereda z żałości niby antałki wszystkie

wysuszy z kretesem! — Po co ten zbytek? rozlewać wino bez potrzeby! Skoro zaś Łowczyc wyzdrowieje, znajdzie piwnice puste!

Kniazia wzruszyła ta troskliwość szlachcica o dobro chorego, nie wiedział bowiem, że tenże przemawiał „pro domo“ uważając piwnice Łowczyca, jako swoje.

Równocześnie z pachołkami wyruszyła powózka z Łowczycem, a Wisłouch zapowiedział Hryciowi na odjezdnem:

— Pojedziesz Waść noga za nogą! Konie niech idą lekko, jak panna w tańcu. Masz oczy, to patrz dobrze przed się! Księżyc też przyświeca, więc wyminąć snadno możesz kamień i wyboj każdy po drodze, by nie było wstrząśnienia. Za najmniejsze bowiem udrgnięcie odbierzesz w kark mosanie, to tam trudno, tu nie ma żartów!

Choć nie wszystko słyszał, ostatnie słowa jednak, wymówione dobitnie, Hryć zrozumiał dobrze i zachował się bojaźliwie stósownie do polecenia; panowie tymczasem zabawiali się rozmową.

Pierwszy kniaź pytał ciekawie:

— Powiedzno mościpanie Wisłouchu, jaka to właśnie sprawa, któréj ofiarą padł Łoczyc? Jaki to nieprzyjaciel godził na jego życie, kto mu dwór spalił? Nic bowiem dotąd nie wzmiankowałeś!

— Klęska ona — odparł na to Wisłouch nagle i niespodzianie spadła na nasze głowy, niby grom z nieba, a nieprzyjacielem, czyli raczéj nieprzyjaciółką Łowczyca i sprawczynią tych wszystkich molestacyi jest własna jego macocha, starościna ze Suszy!

— Co mówisz! — zawołał kniaź zdziwiony — tak blizka familia koty drze ze sobą!... Choć, co prawda — dodał po chwilce — ta białogłowa, przemieszkująca obecnie we Lwowie, nie zażywa w świecie dobréj opinii, o wcale nie! I z jakiejże racyi

prześladuje pasierba, co jéj tenże skrewił, że aż na życie jego nastawa?

— W Łowczycu winy nie ma najmniejszéj — odrzekł pytany — mąż bowiem z niego spokojny i zgodę miłujący, byle nikt go nie podrażnił! bo skoro podjuździony, rozjątrza on się łatwo i wybucha! Toć i pies, gdy mu na ogon nastąpisz, warczeć będzie i kły szczerzyć.

Jejmośćpani starościna zapozwała Łowczyca o wydanie sobie majętności Przyborskiéj, nieprawnie rzekomo dzierżonéj przez Łowczyca, choć to majątek familijny, a Łowczyc, jedyny syn starosty, przez tegoż nadaną ma sobie włość. Baba majątku chciwa, zagarnąćby rada całą spuściznę po niebożczyku, ponieważ dzieci nie ma wcale krom Łowczyca z pierwszéj żony. Matrimonium ono zaś starościna, zda się, uważa za niebyłe, czy nielegalne, gdyż Łowczyca intruzem zowie, Ordyńcem — nazwisko po matce, które się rozpowszechniło — jak gdyby nie był wcale synem starosty Mołodeckiego!...

Myśmy, mówił, otulając rannego, z którego wojłok opadł — w pięknéj kompanii zabawiali się statecznie dziś właśnie łowami, gdy wtem, ni ztąd, ni z owąd wpada do lasu podstarości przyborski ze srogim lamentem: Goszczyc, mówi, ze swoją szajką rabusiów dwór napadł i rabuje! Zrywamy się zaraz od śniadania, dosiadamy koni i biegniemy w lot, aż tu i dwór się pali. Rwetes tedy, na ratunek, co koń wyskoczy. Ledwieśmy pożar przydusili i w lamuzie, gdyż dwór spłonął do fundamentów, nieco wina uratowanego ku pokrzepieniu skosztowali, aż tu nowa wieść przerażająca nas spłoszyła. Pachołek stajenny zwiastuje: Pański wierzchowiec — Łowczyc, gdyśmy ognie gasili, pogonił za Goszczycem, łotrem — nagodzonym zbiegł bez jeźdźca! Skoczyłem ja tedy z kilku ludźmi i po długiem szukaniu znajduję ubitego.

Kniaź słuchając opowiadania, kiwał z podziwienia głową. Dziwuje mnie — rzekł — taka zajadłość niewieścia! Ten rabunek, zniszczenie, mord głębszą muszą mieć przyczynę, widzi mi się, aniżeli w chciwości, jeno i w żądzy possessyi. Nie baczysz na to Mościpanie Wisłouchu? Skoro rękę wyciągniesz po twą własność, którą ktoś obcy niby sobie zawindykował, a żali przywłaszczyciela będziesz zaraz palił i mordował?... Białogłowa ona zresztą zamożna, nie uchodzi za chciwą, raczéj za rozrzutną. Opinia gani głównie jéj płochość, zalotność, lekkie obyczaje w tym stopniu, że marszałek choć niby powinowatą — marszałek miał za żonę Mołodecką z domu, siostrę rodzoną niebożczyka starosty — wcale jéj u siebie nie przyjmuje!

Tylko wychowanka téjże, jéjmość panna Irena, odwiedza nas tak jak dawniéj. Stary pan tak się do téj wesolutkiéj i miluchnéj dzieweczki przywiązał, że tęskni za nią, skoro choć jednę dobę jéj nie widzi. Nie dziw wcale, gdyż stworzonko to, zda się, z innéj całkiem gliny ulepione, niż reszta niewiast! Wspaniała ona, niby jakaś królewna, i figlarna zarazem, ucieszna! Twarzyczka u niéj wdzięczna, niby u cherubina — mówił ożywiając się — skoro zaś wejrzy na cię oczami o błyskach turkusowysh, to ciarki przechodzą ci po skórze! Choć jeno mówi, to ci się zdaje, jakby gdzieś dzwoneczek brzmiał srebrny. — Będziesz ją widział i sam doświadczysz, mospanie!

— Na psa urok! — zawołał spluwając i wstrząsając głową szlachcic. — Mnie Venus sama, ani nawet czarodziejka Circe w amanta już nie przemieni! Mimo, żem niby matrymonialnego związku słodyczy nie kosztował jeszcze, wcalem takowych nie łakomy ani spragniony. Kpię sobie raczéj z wdzięków niewieścich! Wolę ja się Bachusowi pokłonić. I w téj mierze równe gusta mamy z Łowczycem. U niego piękny rumak daleko wyżéj stoi w cenie, niż naj-

kraśniejsza białogłowa, dla któréj ócz on wcale nie ma! Ztąd téż powzięliśmy oba zamiar stateczny do końca życia w kawalerskim wytrwać stanie! Byle jeno nieborak z ran mi się wylizał i wszedł w posesyą niezaprzeczalną włości swych dziedzicznych!..

— Ta baba mściwa — dodał z niepokojem w głosie — gotowa go zrujnować, spalić od kołka do kołka, przez tego łotra Goszczyca. Wyrok staroścíński ma téż w ręku, wolno jéj majątek Przyborski tradować.. Pozostają tam niby na straży wszyscy panowie bracia z okolicy, zwołani na łowy, lecz ta hałastra niepoczciwa puhara jeno pilnuje; piją jak bąki — zawołał, wzdychając żałośnie — znam ich przecie dobrze! Gdyby tak przypadkiem taka czereda spragniona znalazła się była w Kanie na godach, nie byłoby się skończyło na kilku wiadrach wody przemienionéj we wino, jezioro całe bodajby było starczyło! Ten Zabielak, sam bibuła nieuhamowany, będzie wyciągał antałki z ostatniéj dziury!... Gotów on prześwidrować ziemię aż do drugiego krańca, byle wiedział, że tam wygrzebie jaki gąsiorek! Wysuszą wszystko i rozjadą się potem do domów, zostawiając dobytek Łowczyca na Boskiéj Opatrzności!

— Sprawa wcale nie wesoła — bąknął kniaź zamyślony — pozostaje droga prawna, rekurs przeciw niesprawiedliwemu, zda się, wyrokowi!

— I jam tejże saméj opinii! — zawołał żywo Wisłouch — po co nam sądy i trybunały?... Według Łowczyca znowu instytucye one nie warte i funta kłaków. Nie ma on respektu przed urzędem z goła, w szablę jeno dufa. Szabla u niego to urząd i obrona i paragraf!

— Hm! — zauważył kniaź — kto mieczem wojuje, od miecza zginie!

— Jeno że z Łowczycem — odparł, broniąc przyjaciela, szlachcic — wcale nie łatwa sprawa!

Z biesem samym za rogi wodzić się będzie, a nie ustąpi! Siłę też ma straszną i zanim się kto do duszy jego dobierze, napocić się musi nie mało i sam pierwéj ducha nozdrzami wypuści! O zakład idę, że z morderców owych z pół kopy porąbał on na zrazy, zanim go z nóg zwalono. Padł przez niefortunny jakiś wypadek; fortelem jeno i podstępem pod moc go swą dostali!.. Lecz z oprawców ci, którzy skórę unieśli całą, nie mają się z czego weselić, o nie! lepiéj byłoby im na łonie Abrahamowem. Niechno Łowczyc wydobrzeje! no, mój Ty miły Panie! Łyka z nich drzeć będziemy, wytropim tych łotrów, wydobędziem choć z pod ziemi, obławę na nich zrobimy, niby na dzikiego zwierza!

Dając żałowi w ten sposób folgę, już to sławiąc przymioty Łowczyca, którego co chwila rękę pod otulenia wciskając opatrywał i badał, czy życie z ciała nie uleciało, Wisłouch zabawiał kniazia aż do samego Lwowa, dokąd nareszcie ku ogólnemu zadowoleniu i panów i woźnicy wieczorem się dowleczono.

JWpan marszałek Boratyński, stary, poważny dostojnik, o siwym wąsie i pociągłéj, zbolałéj twarzy znosił od lat paru coraz dokuczliwsze cierpienia gośca, przywykły pod koniec dni swoich do spokojnego i cichego życia, zatrwożył się niepomału, gdy mu kniaź zwiastował gości niezwykłych, z których jeden, śmiertelnie chory, groził przewróceniem całego porządku domowego

Posłyszawszy dopiero, że umierającym był jego powinowaty, choć mało sobie znajomy, oraz jak ciężkie nieszczęście na głowę tegoż spadło, ofiarował mu, wzruszony do głębi serca straszną przygodą, wszelką pomoc i gościnność.

Złożono chorego ostróżnie na wygodne łoże w Izbie na tyłach domu położonéj do mieszkania kniazia przytykającéj; krzątanina powstała zaraz we dworze, zbiegli się słudzy wraz z ochmistrzynią, cie-

kawi oglądać rannego, aż zwołany chirurg przepędził ciekawców, zostawując tylko kniazia i Wisłoucha do pomocy przy opatrywaniu licznych ran, z których najniebezpieczniejsza okazała się na czole, gdyż szła aż do kości. Chory, osłabiony głównie utratą krwi, leżał dni kilka bez czucia, niby w letargu. Przez ten czas utrzymywano go przy życiu prócz starem winem, głównie rosołkami, które gotowała własnoręcznie, z wielką umiejętnością ochmistrzyni domu, Jejmość panna Giertruda Gosławicka, panna z wysokiego rodu, tak przynajmniej sama o sobie głosiła, osoba młoda jeszcze, okrągła, rumiana, pulchniutka, jak pączek w maśle smażony, wcale smaczna, według tego, jak zapewniał Imcipan Baltazar kniazia. Ten pierwszy z innych powodów jeszcze uczuł głęboki szacunek dla ochmistrzyni. Panna Giertruda śmiała, wymowna i samowolna, trzymała właściwie ster domu w swéj białéj rączce; kniaź chodził koło niéj na palcach, sam pan domu schylał czoło przed jéj rozumem i stanowczością. Prócz tego, panna Giertruda dzierżyła klucze od piwnicy!

Ten ostatni przymiot ochmistrzyni najwięcéj przemawiał do serca szlachcicowi i zniewalał go do oddania hołdu niewieście, jako téż do zabrania bliższéj z nią znajomości, która wkrótce w poufałą przyjaźń się zamieniła.

Chory tymczasem ocknął się ze swego półsnu i niebezpieczeństwo największe na trzeci dzień już minęło ku niezmiernéj radości grubego szlachcica, który nie opuszczał prawie dotąd łoża młodzieńca. Pozbywszy się teraz ciężkiéj troski, Wisłouch odetchnął raźniéj, lecz uczuł zarazem po tylu trudach przebytych, niepokojach i obawach, jako téż po nocach nieprzespanych w kościach coś nakształt zimnicy. Dreszcze przechodziły go po ciele, krew mu nabiegała do głowy, cisnęło na dołyszku, cięgoty brały go co chwila; trzeba na domiar nieszczęścia, że go zgaga jeszcze

w gardle palić zaczęła, wywołując pragnienie nieugaszone! Należało spędzić zawczasu to niedomaganie zanimby się wżarło w ciało i przemogło naturę.

W leki szlachcic nie wierzył, aniby tychże użył, przekonany naprzód o bezskuteczności aptekarskich ziółek. Jeden jedyny znał on tylko środek wypróbowany, „radykalny“, w domu zawsze z wielkiem używany powodzeniem; była to kropelka, choćby i sporsza „dosis“ wina!

Na nieszczęście w tym domu „specyfiku“ nie znano zapewne, ani używano, gdyż przy obiadach nawet pańskich zresztą, co się zowie okazałych, pito cienkusz tylko, podpiwek!... z powodu rzekomo, że pan domu wina nie znosił zgoła, jak gdyby Hungaricum kogo było już o łoże boleści powaliło!...

Po obiedzie tego dnia, w którym niedomaganie grubego szlachcica się wzmogło, kiedy marszałek do swéj komnaty się wyniósł, by z pomocą herbarzy pracować nad wybudowaniem drzewa genealogicznego swego domu, kniaź zaś w podwórze wyszedł do koni, Wisłouch naraz się zakrztusił, krząkając i plwając z mocą, tak, że panna Giertruda rękodajnemu pachołkowi przy sprzątaniu zastawu ze stołu pomocna, obejrzawszy się, zawołała trwożnie:

— Cóż to, Waćpan się dławisz?

— W gardle mi stanął — odrzekł p. Baltazar prychając — ów podpiwek niecny. Piłem to paskudztwo zmuszając się, dla honoru domu! Ale widzę, jakom niemądrze sobie postąpił, strułem się całkowicie, a że gryzawica krom tego od wczora już mnie tłucze i zgaga w gardzieli piecze, nie wiem sobie rady, desperacya mnie już bierze!

Ochmistrzyni radziła spróbować rumianku, lecz p. Baltazar wstrząsnął się cały na samą wzmiankę tylko, protestując żywo.

— A niechże mnie Pan Bóg broni! — mówił przerażony — dopierobym sobie żywot zakwasił!...

Widzisz Waćpanna — dodał objaśniając — natura naturze nierówna, każdéj przypada co innego! Wilk puszczy szuka, kwoczka grzebie w piasku, kaczka do wody ciągnie, a szlachcic do wina wzdycha i takowem defekta kuruje!

Panna domyśliwszy się wreszcie, w co gość godził, zawołała z uśmiechem na ustach:

— O, kiedy tylko tyle! Kuruj się Waćpan winem, ile tylko dusza zapragnie, zaraz służę! U nas piwnica zapchana!

— Zmiłuj się Mościapanno cześnikówno — ojciec panny Giertrudy piastował podobno godność cześnika — wdzięczność w sercu zachowam ci dozgonną — błagał szlachcic gorąco, wyciągając ramiona — odmówię zaraz nowennę do św. Józefa na twą intencyą by...

Nie zdążył już dokończyć, gdyż panna Giertruda frunąwszy jak ptaszek, zniknęła we drzwiach do kredensu prowadzących, a Wisłouch zatarł ręce z radości.

Wróciwszy wkrótce w towarzystwie sługi, niosącego na podstawku butel okazałą wraz z kilku kielichami, kiedy postawiwszy wino na stole, pachołek się oddalił, panna zagadnęła swego gościa z miną, niby zadąsaną:

— Pierwej nie naleję, aż mi Waszmość nie wytłomaczysz nieroztropnego słowa, którem usłyszała na odchodnem: Na jaką to intencyą dla mnie chcesz odprawiać nowennę do św. Józefa?

Zapytany uśmiechał się tylko, utkwiwszy wzrok w butelkę niby w tęcz i pokiwnął jak żubr w lesie, a kiedy go nagabywano coraz natrętniej, śmiało odrzekł:

— Nie gniewajże się Mościapanno Cześnikówno. Jakżebym mógł się odważyć obrażać moją zbawicielkę! Życzę ci przecie jak najprzyjemniejszych rzeczy, a suponując, że jak każda panna pragniesz

gorąco rutę na myrtę ślubną zamienić, postanowiłem odprawić nowennę, byś wkrótce przed ołtarzem stanęła z chwackim kawalerem jako oblubieńcem!

Panna Giertruda, uznawszy, że życzenie nie było znów tak bardzo obrażliwe, napełniła winem dwa kieliszki, wzięła jeden z nich do ręki i trąciwszy szkłem o napełniony kieliszek szlachcica, umoczyła koralowe usteczka w trunku; odrzekła jednak grożąc palcem:

— Nie wtykaj Waszmość palcy między drzwi, by ci ich nie przyskrzyniono! Co tobie do mojej ruty! patrz raczej, by tobie, jeśliś kawalerem, podagra w nogi nie weszła, zanim się namyślisz do zmiany kondycyi; nie mógłbyś tedy poskakać kole panny, ani hołubca wybijać! co za wstyd!

— Mościapanno cześnikowno! — bronił się pan Baltazar, napełniając swój wypróżniony kieliszek po same brzegi — wstyd, o którym waćpanna mówisz, nie spotka mnie pono nigdy, a to z tej racyi, primo, jako w tany nie zabawiam się nigdy! Sekundo zaś, kole panny drepcić bodaj kiedy mi wypadnie. Jakoż miałbym to czynić bez intencyi nijakiej? Pragnę bowiem w kawalerskim stanie wytrwać statecznie do końca żywota! Jestem ślubem jakoby skrępowany!

O, Mościpanie szlachcicu! — zawołała panna, niby uradowana lecz przygryzając usta — jakże szczęśliwie się nagadziło! Równego ducha mamy oboje, gdyż i ja powzięłam decyzyą w młodziutkim wieku jeszcze, nie wychodzić nigdy za mąż, w panieństwie żyć raczej dozgonnie! — Lecz w duszy pomyślała sobie: Piękny mi kawaler! Takie komplementa śmie w żywe oczy mi prawić! Obym cię niedźwiedziu uchodzić mogła i złamać twą uporną naturę. Cóżbym za to dała! — Głośno zaś zapytała: i jakież to śluby wiążą Waćpana, czy wolno wiedzieć?

— Nie jest ci to ślub formalny, podprzysiężony — objaśniał szlachcic, gasząc skwapliwie pragnienie

winem — jeno przyrzeczenie, abstynencya dobrowolna z dewocyi, pryncypalnie zaś z ateizmu ku Łowczycowi, śmiertelnemu wrogowi niewiast! My, przyjaciele jego od serca, biorąc sobie wzór z pana i wodza naszego, obwarowaliśmy się przez verbum nobile, jako we węzły dozgonne z białogłowami wchodzić nie będziemy!... Życie wiedziem sobie w swobodzie i wesołości, niby Kozacy na Zaporożu!

— No, proszę! — zawołała wybuchając gniewem panna — pięknych rzeczy się dowiaduję! Spisek niby uknuty przeciw niewieściemu rodowi! Konfederacya pod dowództwem Łowczyca! I ten Łowczyc, taki młody, okazały mężczyzna antymatrymonialne związki tworzy! Wiesz Waszmość co? To bunt, sprzysiężenie zbrodnicze, zdrada!... — wołała ochmistrzyni z gorączką wzrastającą, porywając się od stołu i wywijając rękami — gdybym tak była królem Jegomością, kazałabym was wszystkich niby waryatów zaszpuntować do lochu Mospanie, o, tak!...

Na te słowa weszła do jadalni panienka hoża, w ciemny podróżny płaszczyk otulona. Wybrała się niezawodnie z odwiedzinami do przyjaciółki, panny Giertrudy, lecz nie znalazłszy jej w mieszkaniu, skierowała swe kroki do jadalni, skąd ją głosy ludzkie dochodziły. Zastawszy tu jednak obcego mężczyznę, strwożona jak sarenka, wycofywała się spiesznie, kiedy panna Giertruda podchodząc ku przyjaciółce, zawołała:

— Zostańże Inciu, w samąś porę właśnie nadeszła!... Nie płosz się jeno niebezpieczeństwa tu dla ciebie nie ma! Na tego... Jegomości wcale nie zważaj! Tak jakbyś mnicha widziała, jeno że z wąsami!

Kiedy nowoprzybyła zdjąwszy z ramion okrycie i birecik z głowy z pomocą gospodyni domu, odsłoniła lepiej swe niezwyczajne wdzięki, Wisłouch niby rażony blaskiem urody dziewiczej, rozwarł na chwilę

usta z podziwu, cofnął nawet rękę wyciągniona po kieliszek. Tylu wdzięków nie widział dotąd w kobiecie! Ciągnęły go przedewszystkiem przepyszne oczy czarodziejki tak, że w nich niby w głębinach morza tonął. Przedstawiony też bełkotał słowa niezrozumiałe; dopiero gdy panna Giertruda przedstawiła, mówiąc:

— Panna Irena, wychowanka starościny Mołodeckiej, — szlachcic się opamiętał i wejrzał bystro na piękną pannę, drgnąwszy na całem ciele, niby przerażony.

Spostrzegłszy zmieszanie Wisłoucha, gospodyni domu pospieszyła z wyjaśnieniem:

— Nie trwóż sobą Mospanie! Panna Irena a starościna to niby ogień i woda. Moja przyjaciółka nie miała i nie ma udziału w machinacyach swej opiekunki! Niewinna ona, czysta jak łza, ta poczciwa moja kochana Irenka!

Uścisnąwszy serdecznie zarumienioną przyjaciółkę, usadziła ją na wygodnem krześle poręczowem, przysunąwszy takowe bliżej stołu. Siadłszy potem naprzeciw, zabrała głos, wracając w toku mowy do swej dawnej sierdzistości.

— Musisz wiedzieć, kochana Inciu, żeś trafiła na osobliwsze posiedzenie! Walkę toczę z tym oto grubym Jegomością, i cieszę się, żeś mi nadeszła z pomocą. Wystaw sobie, że tu u nas kole Karpat egzystuje drugie Zaporoże... Czyś nie tak rzekł, Mościpanie Wisłouchu?

A gdy zagadniony kiwnął głową nieco zawstydzony, na znak potwierdzenia, mówiła dalej w namiętnym tonie:

— Pewne konsorcyum Jegomościów młodszych i starszych utworzyło niby Sicz kozacką w okolicy Karpat. Na łupy wypraw pewno nie podejmują, lecz sprzysięgli się, uważ jeno dobrze, przeciw sła-

bym niewiastom! O, hańbo i wstydzie! To mi dopiero rycerze! Kiedy dawniej bohaterowie przybrani w szarfy swych bogdanek występowali w szranki, by toczyć bój zażarty na cześć swych bogin, kiedy umierali z ich imieniem na ustach, dzisiejszy nędzny ród mężczyzn ma sobie za sromotę stanąć z oblubienicą na kobiercu ślubnym! Ażali to podobne do wiary!...

Na szczęście pokolenia ludzkiego kilku mizernych warchołów tylko wyparło się niewiast! Jednego z téj cnéj kompanii bezżeńców masz przed sobą, droga Inciu!... Szanowny Imcipan Wisłouch!... Obejrz go sobie dobrze! Ciekawe zaiste zwierzątko dwunożne. A i dowódzca téj szajki starościc Łowczyc, ktoby się tego był spodziewał! młodzian jak dąb, istny bożek wojny i miłości zarazem, Mars i Apollo w jednéj osobie, także w naszym znajduje się domu przypadkowo!... Niebiosa widocznie pokarały go już za sprosne jego dzieło, o mało życia nie stracił!... Słyszałaś już pewno Inciu! w całym Lwowie o czem innem przecie nie mówią, jak o przygodzie Łowczyca! Z waszego też domu początek wszystkiego!

— Wieści mnie doszły o morderstwie — wyszeptała trwożliwie panna Irena we wielkiem pomieszaniu — gdym się dowiedziała o strasznéj zbrodni, struchlałam, straciłam przytomność. Okropność! taka plama na cały dom!... mówiła złamanym głosem, jéj piękne oczy zaszły łzami.

— Ależ moja droga — pocieszała nieszczęśliwą pani domu — nie bądźże dzieckiem! Cień nawet niesławy nie pada na ciebie, najniewinniejszą istotę pod słońcem! Mordował Goszczyc, lecz i ten narzędziem tylko był karzącéj Opatrzności. Pocieszcie się zresztą, ofiara żyje i prawdopodobnie wydobrzeje wkrótce... Ja, bo w tem zdarzeniu widzę tylko palec Boży, napomnienie, groźną przestrogę, daną z góry Łowczycowi: Nie baw się, odszczepieńcze, w bez-

bożne, brzydkie związki, nabierz innego ducha, rozwiąż coprędzéj niesforną klikę zuchwalców, buntowników, byś za karę nie padł trupem na miejscu!...

— I tobie też Mościpanie Wisłouchu, oświadczam moją wzgardę, brzydzę się tobą, równie jak i panna Irena, jak wszystkie niewiasty młode i stare i brzydzić się nie przestaną, dopókąd inny duch w ciebie nie wstąpi, dopóki należeć będziesz do téj jaszczurczéj konfederacyi!

Po tym gromie, spadłym z ust rozsierdzonéj ochmistrzyni na głowę kręcącego się niby w ukropie szlachcica, obie panny, niby zagniewane, wziąwszy się pod rękę, wyszły z jadalni, a gość susząc resztki z butelczyny, mówił do siebie skwaszony:

— Masz tobie! zadała ci bobu, Mościpanie Baltazarze!... Milutkie to niby, gładkie jak kotka, a jakie ma pazurki, ho, ho!... A ta druga, to istne malowanie! Co za okazałość, co za krasa, klękajcie narody!... Łowczyc, skoro powstanie na nogi i ujrzy tak powabnego djabełka, rozmiłować mi się gotów, dalibóg! Urok na niego padnie! A skoro się jeno zapali, gorzeć będzie, dopókąd ta piękna czarownica pożaru nie ugasi! Przystąpić z nią gotów do ołtarza, zapomnieć o przyrzeczeniach, o przyjaciołach, nastaną babskie rządy w Przyborzu i nasze piękne czasy kawalerskie się skończyły! To nie żarty! Trzeba, dalipan, jak najwcześniéj ucieczką salwować fatalne położenie!

Łowczycowi jednak daleko jeszcze było do podróży. Przyszedł on wprawdzie o tyle już do siebie, że mógł na naleganie przyjaciela i samego marszałka podpisać własnoręcznie przedłożone sobie, przez adwokata wygotowane pisma, zawierające protest przeciw najazdowi i zaborowi majątku, jako też skargę o podpalenie, rabunek, gwałt i rozbój, wymierzoną przeciw starościnie i Goszczycowi, gorączka jednak, z ran wywiązana, trzymała go na łożu boleści; pewnego dnia

nawet, bez żadnych powodów gorączka u chorego się zwiększyła, a Wisłouch, marzący o powrocie do domu, zamiar odłożyć na czas późniejszy widział się zniewolony.

Pozostał jeszcze i to wcale nie ku swemu niezadowoleniu. Posiedzenia w jadalni, w których często panna Irena, kniaź a nawet marszałek brali udział, powtarzały się teraz dnia prawie każdego. Gruby szlachcic wynajdywał w sobie zawsze „defekta“, które leczyć należało, ochmistrzyni znosiła chętnie wino z piwnicy, gdyż p. Baltazar przy kielichu nabierał fantazyi; baraszkując i dowcipkując, ożywiał on całe towarzystwo.

Na pannę Giertrudę patrzał też coraz łaskawszemi oczami, choć takowa szlachcicowi wcale nie schlebiała; przeciwnie, drażniła go tylko, łajała, stawała okoniem do niego, nie mogąc mu darować jego ślubów zdradzieckich.

Sfukany, mawiał do siebie szlachcic:

— Rezolutna białogłowa z téj cześnikówny, a język w niéj cięty, niby miecz obosieczny, no, i wcale jéj z tem do twarzy nawet. Kot niełowny, człek niemowny, biesa też warci!

Kilka dni późniéj, kiedy obiad w domu marszałka przeciągnął się nad miarę, do późnéj godziny, i biesiadnicy u stołu rozochoceni bawili się wśród śmiechu, podtrzymywani we wesołości przez dowcipy domorosłe podchmielonego Wisłoucha, ukazał się niespodziewanie w podwojach od tyłu domu Łowczyc, którego stan zdrowia znacznie się już polepszył, wywabiony niezawodnie ze swéj komnaty wesołym gwarem, uszu jego dochodzącym.

Powitano chorego głośnemi okrzykami radości. Twarz jego blada, z wypełzłym rumieńcem, ze śladami boleści i cierpienia, okryta licznemi bliznami, urok jakiś dziwny otaczający mężnego, nieszczęśliwego rycerza, przyczepiony, zdało się, do jego ramion

krzepkich, do piersi wyniosłéj, do całéj wspaniałéj postawy, na wszystkich zrobił wielkie wrażenie, odbiło się szczególniéj na obliczu wdzięcznem panny Ireny, w towarzystwie także się znajdującéj, jako żywe współczucie, uwielbienie prawie.

Ale i młodzieniec, uprzedzony przez Wisłoucha o dziwnéj urodzie panny, olśniony został od razu blaskiem cudownie pięknych oczu czarodziejki. Urok padł na Łowczyca, jak zauważył wzdychając p. Baltazar, i oczarował niejako wszystkie jego zmysły, otumanił go, onieśmielił, poraził na oczy, na uszy, na język! Łowczyc siedział w obec panny niby żak w obec nauczyciela, zalękniony, zmięszany — po raz pierwszy pewno w swem życiu.

Rozmowa téż, podtrzymywana głównie przez Wisłoucha, nie kleiła się już tak swobodnie, jak dotąd, i towarzystwo wnet się rozproszyło.

P. Baltazar, odprowadziwszy Łowczyca do mieszkania, odezwał się niepokoju pełen: — Nie dobrze się z nami dzieje, oj wcale nie, Mości Łowczycu! Widzi mi się, jakoby Kupidynek tu w domu swawolnie się rozpościerający, wymierzył zuchwale swe strzały w nas, kawalerów wieczystych. Celibatu węzły topnieją niby lód na wiosnę pod ciepłem spojrzeniem zwodniczych Syren! Trzeba się bronić, bo zginiemy!... Jakiegoż to środka zażył przebiegły on mędrzec grecki, Ulisses, burzyciel grodów, kiedy przejeżdżał okrętem wedle syreńskiéj wyspy?... Otóż — odpowiedział sam sobie, gdy zapłoniony Łowczyc milczał — powiązał towarzyszy niby barany, woskiem uszy im pozalepiał, by nie słyszeli ułudnego śpiewu i wiosła w bieg szybki wprawiwszy, zmykał, po gładkiéj wód powierzchni sunąc, niby obłok po błękicie nieba. I nam zatkać uszy, zamknąć oczy i pomykać co żywo w nasze puszcze ulubione! Tam wesoło, swobodnie, a nadewszystko bezpiecznie.

Życzenia Wisłoucha nie spełniły się atoli; Łowczyca zatrzymał gwałtem prawie marszałek.

— Czy waść na umyśle cierpisz? — ofukał dostojnik szlachcica, gdy ten ostatni ze zamiarami powrotu otwarcie się wynurzył — czy nie widzisz, że staroście mocno jeszcze niedomaga, mamże dozwolić, by w chorobę popadł na nowo, wypędzając go od siebie? I gdzież się zresztą podzieje, kiedy nie ma własnego kąta? Spędzi u nas zimę całą, wydobrzeje zupełnie, rozerwie się w mieście, no, i otrząśnie się ze swéj zardzewiałości zaściankowéj... Nie ma co gadać, nie puszczę go i kwita! Waść, skoro ci spieszno do domu za sprawami, to i jedź wreszcie z Bogiem!

Wisłouch téż po krótkim namyśle, uważając, że obecność jego w domu koniecznie potrzebna, wybrał się w drogę i odjechał, nie bez żalu jednak i trwogi w sercu.

IV.

Pani starościna Mołodecka, zajmująca na tejże saméj ulicy, co marszałek, t. j. na Ormijańskiem przedmieściu, parę set kroków daléj, ku miastu, wynajęte domostwo obszerne, jako mieszkanie, pędziła we Lwowie życie swobodne i wesołe. Nie dziw! Młodość jéj ubiegała chyżo, należało więc czas i okoliczność wyzyskać stósownie. Świat też winien jéj był, jak mniemała, niejakie wynagrodzenie za krzywdę wyrządzoną, za skradzioną sobie wiosnę życia, którą nieszczęśliwa strwoniła po części w stadle obmierzłym ze starcem schorzałym. Smutna konieczność, ubóstwo zniewoliło ją do ofiary, sprzedaży dobra najcenniejszego kobiety, bo wdzięków i młodości. Wolnéj czyż nie godziło się powetować pięknych chwil straconych marnie, spragnionéj nie napić się z czary życia? Bez wątpienia! I spieszyć należało, gdyż resztkami młodości goniła niestety! Przy świetle dziennem nawet już wdzięków

swych na pole popisu wyprowadzać nie odważała się, jak elegant podupadły ubioru wypełzniętego na widok publiczny.

Przy blasku jarzącego światła jednak, wyświeżona starannie, wystrojona — żałobę zarzuciła w pierwszych tygodniach już pobytu w mieście — mogła wystąpić jeszcze w szranki pod godłem bożka miłości, marzyć o zdobyczach; że zaś zalotność, żądzę, każdy jéj ruch, każde niemal słowo zdradzały, nie brakło jéj wkrótce na zebraniach ochoczych i zabawach wielbicieli, za łatwemi tryumfami goniących. Piękne panie i poważniejsze matrony gorszyły się wprawdzie całem zachowaniem się zalotnéj wdówki, lecz ta ostatnia bawiła się jednak ochoczo, zawiązywała znajomości, wstępnym bojem podbijała serca hulaszczéj młodzieży lub marcowych kawalerów; nie zważając, że złośliwe języki szarpały jéj sławę.

Plotki rosły z dniem prawie każdym w świecie, w którym żyła staroś ina; niedługo podawano sobie nawet z ust do ust nazwiska gachów uprzywilejowanych pięknéj pani i domy pierwszorzędne zamknęły się przed nią. Nie biorąc sobie zbyt do serca upokorzenia, użycia tylko spragniona, wdowa znajdowała inne towarzystwa, choć nie najwykwintniejsze, gdzie ją przyjmowano chętnie; we własnym domu urządzała téż częściéj wieczorki i zabawy, trybu życia nie odmieniając. Wychowanka jéj panna Irena, osoba wielkiéj urody, co do pochodzenia tajemnica okryta, świeżo z klasztoru, gdzie się kształciła, odebrana, nie krępowała przy tém swobody cioci starościny. Pannę dorosłą uważając za podlotka, nie otworzywszy jéj serca, przeciwnie urazę do niej czując, że tak prędko i pięknie wyrosła, odsadziła całkiem od siebie, za mieszkanie przeznaczywszy jéj ciasny kącik na drugiej stronie domu w sąsiedztwie służebnych; na scenę życia, w towarzystwo nie wyprowadzała jéj ze sobą.

W czasie, gdy Łowczyc, w domu marszałka złożony, zawisł pomiędzy śmiercią a życiem, pani starościna właśnie najweselej się bawiła. Rozszerzywszy koło swych znajomości, znalazłszy przyjaciółki odpowiednie i mężczyzn zajmujących zastęp cały, wciągnięta została, jak ku temu wzdychała, w prawdziwy wir życia. Nie minął dzień jeden prawie bez wesołéj pohulanki, wieczorku lub baliku, trwających nieraz noc całą. Wstawszy późno, piękna pani o niczem nie myślała, jak o stroju wieczornym, szczęśliwa, nie znała troski!

W najważniejszem i jedynem jéj zajęciu około upiększenia swéj osoby radą i pomocą służyła starościnie Zuzia, nowo nagodzona panna służąca, osóbka mała, lecz ruchliwa i przebiegła, o bystrych, ciekawych oczkach i języku wiecznie świerzbiącym, prawdziwe dziecię miejskiego bruku.

W południowej porze pewnego brzydkiego dnia jesiennego, piękna pani ocuciwszy, zwlokła się leniwie z łoża wygodnego i narzuciwszy na siebie ranny tołubek, podeszła, poziewając, ku umywalni tuż obok przygotowanéj, skwaszona, znudzona, chora.

Życie w mieście nie dało jej uciech, o jakich marzyła. Zabawy goryczą były zaprawne, miłość, którą się rozkoszowała, bezbarwną, jałową, sztuczną! Świat temu winien, czy też ona sama?... I jedno i drugie powodem, odpowiadała sobie wzdychając, z chmurą na czole. Prawdziwą ochotę, serdeczność, szczerą przyjaźń rzadko dziś znaleść na świecie, ród ludzki nikczemnieje, mężczyźni bez zapału, bez uczucia, bez serca!... Lecz i ona sama zastygała powoli, wdzięki jej, niby kwiat w jesieni, bez woni, bez świeżości, szron warzył... mówiąc te słowa do siebie, spięła się nieco na palce i wejrzała uważnie w zwierciadło u góry zawieszone. — Okropność! — zawołała przerażona; tak brzydką nie widziała się jeszcze dotąd! Rumieńce na jagodach wypełzły jej zupełnie;

wyrugowała je ztamtąd sucha, żółtawa skóra, wdzierając się zuchwale aż ku skroniom, układającym się w złowrogie, zmarszczki zapowiadające linie! Usta utraciły karmin, pierś zapadała, oczy pozbawione były blasku! Zgorszona tem spustoszeniem swych wdzięków, przerażona piękna pani umyła się szybko i zadzwoniła na Zuzię.

— Śniadanie podawać! potem natychmiast ubierać się będę! — rzekła nakazująco do wchodzącej i zaraz po danym rozkazie oddalającej się sługi.

— I chwili nawet jednej nie zniosę tej szpetnej nagości mego ciała, tego rozkosznego, pięknego niegdyś ciała! — mówiła do siebie z żalem, siadając na krześle poręczowem, załamawszy dłonie, niby we wielkiej rozpaczy

Gorzkie myśli, w które popadła, przerwała wnet Zuzia, przynosząc na srebrnym podstawku wazkę z winną polewką wraz z nakryciem. Złożywszy wszystko na stoliku przed siedzącą, sługa cofnęła się zgrabnie, bez szmeru do przyległej gotowalni, robiąc przybory do ubierania swej pani.

Ta ostatnia, ciągle zamyślona, posępna, zaledwie skosztowawszy wonnego, kurzącego się posiłku, niecierpliwie udała się do gotowalni, zasiadła na miękkiem, wyścielanym krześle przed zwierciadłem, mrużąc jednak oczy, by uniknąć wstrętnego widoku, oddała swą głowę mistrzowskim dłoniom sługi.

Zuzia z wielką znajomością rzeczy i wprawą zabrała się do ważnego i trudnego dzieła. Skropiwszy włosy wonnościami, uwiła je zgrabnie, szczotkami i grzebieniami się posługując, w jeden węzeł kunsztowny, na czubku głowy kiścią nadobną się kończący.

Nastąpiło odświeżenie wdzięków twarzy; praca mozolna i wiele zachodów, trudu i zgrabności wymagająca dokonała się ku tryumfowi Zuzi, głównie z pomocą bielidła, w którego obłoku rozdmuchanym

skąpana twarz cała wraz z szyją, świeżej, lśniącej nabrała barwy. Nie zapomniano i o karminie, gdzie tego było potrzeba. Na ostatku po żywych naradach i próbach, okrywszy resztę wdzięków lilijową, wspaniałą suknią z falbanami, obszytemi w koronki, Zuzia po dwugodzinnej pracy wywiązała się z swego zadania chwalebnie, a starościna odżyła.

Obejrzawszy teraz dobrze swą postać w zwierciedle, widząc ją taką, jaką mieć pragnęła, uśmiechnęła się z zadowolenia; co zauważywszy Zuzia, odstąpiła krok w tył i klasnąwszy w dłonie, zawołała z dobrze udanym zachwytym w głosie:

— O, śliczności, o, bogini!... Moją piękną panią mężczyźni dziś jeść będą oczyma, a młode Jejmoście popękają z zazdrości.

— Pochlebnico! — odrzekła łaskawie starościna, nie spuszczając wzroku ze zwierciadła — chwalisz dzieło rąk własnych... Jak uważasz, czy bielidła nie za grabo na twarzy? mógłby kto łatwo podejrzenie powziąść!

Sługa, chodząca naokoło pani z podziwieniem, przyjrzawszy się pobielonej twarzy, zawołała żywo:

— Śladu nawet najbystrzejsze oko nie odkryje!... Od stóp do głów w mej pani wszystko zachwycające, urocze!

— Dość tych pochwał, ty kotku pieszczony — rzekła, odwracając głowę pani domu i uderzając lekko ręką sługę po ramieniu — powiedz we wozowni, by zaprząg był gotow! Skoro się ściemni, niezadługo, wyjeżdżam... Ty, kochana Zuziu, masz dziś czas wolny aż do późnego wieczora... Panna Irena...

— U marszałka znowu — przerwała ze skwapliwością służebna — goście tam podobno zawitali, wcale niezwyczajni. Jakiś szlachcic tęgi, jak niedźwiedź i to nie sam, przywiózł ze sobą... nieboszczyka zabitego! Rabusie go w boru zamordowali.

Cała ulica o czem innem nie mówi, jak o tem zabójstwie? Ten jegomość, co tu u nas był niedawno, z oczami jak u żbika, to podobno herszt zbójów!

— Goszczyc! — zawołała strwożona starościna.

— Tak Goszczyc — powtórzyła Zuzia — utrzymuje, mówią ludzie, całą zgraję zbójów; napadli dwór jakiś w okolicy Stryja, zrabowali go, spalili całą wieś, wyrznęli ludzi, pana samego dognali uciekającego w boru i zarzezali...

— Jego, Łowczyca! — krzyknęła starościna strasznym głosem, drgnąwszy na całem ciele — na Boga żywego! gadaj!

Sługa, rozwarłszy jak szeroko oczy z wielkiego zdziwienia z powodu niezwykłego zachowania się swéj pani, wzdrygnęła ramionami.

— Nie słyszałam nazwiska — odrzekła — ludzie nie mówili.

— Więc biegnij na ulicę... wypytaj... wywiedz się! — rozkazywała pani w urywanych słowach, tchu głęboko z piersi sięgając z wielkiego przerażenia.

— Co za straszne nieszczęście!... niepodobne do wiary!... Alto, słuchajno! — zawołała pewniejszym głosem, odzyskawszy nieco panowania nad sobą, zatrzymując odchodzącą — z ulicy plotki mi tylko przyniesiesz, niepewne wieści; zabierz się raczéj i skocz do Imcipana Firlika. Niechaj natychmiast przyjdzie do mnie, ale to natychmiast, bez straty czasu, rozumiesz?

Zuzia wybiegła spiesznie, a starościna załamała dłonie.

— Mieliżby go zamordować? — zapytała siebie saméj półgłośno z rozpaczą w głosie — zniszczyć w okropny sposób to piękne, młode życie?... O, Boże wielki! tegom przecie wcale nie pragnęła, ani kazała!... Chyba Firlik!... Lecz w jakimże celu?... A może ten łotr Goszczyc dokonał zbrodni bez ża-

dnego rozkazu!... W każdym razie jam sprawczyni. Jam winna krwi niewinnie przelanéj! Zbójczyni!... O, sama wydałabym się wtedy w ręce katom, sama odsłoniła pierś do śmiertelnego ciosu! Umierać przynajmniéj z nim razem, kiedy żyć nie było można!... Więc go kocham, kocham, zamiast nienawidzić!... Szalona miłość moja!... Wszakże mną wzgardził, zelżył strasznie, przeklął! jam mu zemstę poprzysięgła, a jednak truchleję na samą wieść o jego śmierci! Jakaż niepojęta istota ze mnie, sama siebie nie rozumiem! — mówiła nieco spokojniéj, chodząc żywo po komnacie — ludzie podobno umierają, lub zabijają się z miłości; nie wierzyłam dawniéj, dziś wierzę, bo sama doświadczam tego na sobie: żyjąc czy umierając kochać go podobno nie poprzestanę!... Mężczyzna też z niego niby marzenie, niby zaczarowany królewicz! Postawa szlachetna, wspaniała, wzrok orli, piękne, dumne czoło. Podbił me serce od razu, płomienie objęły mą duszę, oszalałam! Któraż niewiasta oparłaby się czarowi?... Ale on nieprzystępny, pyszny, nieskalany zgromił mnie, shańbił, mianując wszetecznicą, Sodomitką!... Ha! — zawołała z brzydkim, pożądliwym uśmiechem na ustach — jak gdyby dla chwili prawdziwego szczęścia, rozkoszy, nie warto było poświęcić tego nędznego życia, choćby i ciało i duszę zaprzepaścić, goreć w piekle wieczność całą! — wyrzekłszy to, wzdrygnęła się jednak. — Dla czegoż w piekle koniecznie! rzekła do siebie, przystanąwszy — czyż na pokutę czasu nie stanie jeszcze? Wszakżem nie stara przecie! Dopiero gdy jesień życia minie, z wdzięków ruina pozostanie, pod samą starość pora najstósowniejsza do żalu, skruchy, poprawy! — i usiadłszy zamyśliła się gorżko.

Ruch w salce przyległéj, gdzie gości przyjmowano, położywszy kres smutnym myślom pięknéj pani, zwiastował przybycie Firlika. Zerwawszy się też ze siedzenia, otworzyła drzwi i zagadnęła żywo kłaniają-

cego się nizko mecenasa — Mościpanie Firliku! o niczem mnie nie uwiadamiasz, a ja drżę z trwogi i niepokoju, ażali Łowczyc żyw? — Pytany, usiadłszy na wskazanem sobie miejscu, odparł zdziwiony — Ja?... W. pani starościna mnie przecie exekwowania wyroku nie poruczyła! Nic nie wiem, krom pogłosek po mieście krążących! Łowczyc, mówią, ciężko ranny, lada chwilę ducha wyzionie.

Starościna na tę wiadomość zatrzęsła się z przerażenia, zimnica objęła ją całą, oczy stanęły jéj słupem. Zdawało jéj się na chwilę, jakoby znajdowała się rzeczywiście w strasznéj toni — bałwany ją zalewały, ziębiły. Ręce wyciągnęła do góry, przebierając palcami, jak gdyby się chciała ratować przed zgubnym żywiołem.

Nareszcie głuchy jęk wydarł jéj się z piersi, odzyskała przytomność. Uczuwszy słabość wielką, schwyciła się za poręcz krzesła, usiadła ciężko na siedzeniu. Podczas gdy gość strwożony, niepewny, co czynić, kręcił się, podchodził, by służbę wołać na ratunek, starościna mu tego wzbroniła ruchem ręki i wskazując na siedzenie przez niego opuszczone, odezwała się do siadającego obumierającym głosem.

— O, mości panie mecenasie, sprawę moją prowadzisz i nic zgoła o niéj nie wiesz?... Czyś dał polecenie Goszczycowi, by zgładził ze świata Łowczyca?

— Wcalem na oczy nie widział nawet onego exekutora! — bronił się żywo mecenas. — Jejmość pani samaś go nagodziła, dała mandat, całą procedurę prawną przewracając do góry nogami! Nawarzyłaś piwa... wybacz Wpani starościno — mówił, hamując się w uniesieniu — wszakem mitygował, radził powstrzymanie agresywnych kroków.

— Radziłeś Waćpan, tak! — zawołała wdowa rozżalona — lecz było twoim obowiązkiem oprzeć się méj woli, złamać opór! Wszakże kierujesz całą spra-

wą, odpowiedzialnyś za wszelkie wypadki. O, jeśli Łowczyc... umrze, nie będę was oszczędzała, oskarżę was, ciebie mości panie mecenasie i tego mordercę nędznego i siebie samą, wszystkich, którzy brali jakikolwiek udział w zbrodni! Krew niewinnie przelana musi zostać pomszczoną!

I zerwawszy się z krzesła we wielkiem wzburzeniu kroczyła po kobiercach, zawodząc i rozpaczając, podczas gdy gość ze zdumieniem patrzał na tę niepojętą sobie zmianę mściwéj i zemstą przeciw wrogowi swemu, Łowczycowi nie dawno jeszcze dyszącéj kobiety.

Niezadługo Zuzia wniósłszy światło, gdyż mroki wieczorne zalegały już komnatę, oznajmiła przybycie panny Ireny od marszałka. Zwołaną pospiesznie badała starościna, drżąc od niecierpliwości. Dowiedziała się nareszcie z pewnego źródła, że Łowczyc żył, choć licznemi ranami okryty; robiono sobie nawet nadzieję, licząc na młodość i siły chorego, utrzymania go przy życiu.

Starościna odetchnęła swobodniéj, ciężki kamień spadł jéj ze serca. Kiedy wybadawszy z wychowanki wszystkie szczegóły krwawego wypadku, zaspokoiła swą ciekawość, mecenas czychający na sposobność zbliżenia się do nadobnéj panny, jak lis na porę stósowną zakradnięcia się do kurnika, odezwał się dobieranym głosem, robiąc słodkie oczy:

— Jejmość panna Irena widziała pewno owego Łowczyca, jakie też wrażenie uczynił na Waćpannę?

— Nie widziałam go na własne oczy — odrzekła pytana sucho, niewytłomaczony wstręt w sercu czując zawsze do starego zalotnika — słyszałam tylko o nim i to same pochwały. Wielbią starościca jako dzielnego, wspaniałego rycerza!

— No, proszę — odrzekł niezadowolony gość — fama zaś głosi, jako człek z niego zapalczywy, łupieżca i zawadyaka!

— Nic o tem nie wiem — odpowiedziała, tłumiąc głos panna, z obawy, by nie być słyszaną przez ciocię starościnę, zdala na poręczowem krześle w zamarzeniu spoczywającą; ta ostatnia bowiem nieraz już wychowankę wyłajała za niedość grzeczną rozmowę z mecenasem. — Lecz — dodała — jego to właśnie samego, Łowczyca, złupiono, spalono, mordowano!

— Na pół dziki, niby w puszczy chowany — opisywał gość, nie żałując czernidła, puściwszy mimo uszu ostatnie słowa — obcuje z dzikim zwierzem!

Panna Irena, zgorszona jadowitemi słowami prawnika, postanowiła, właśnie na przekór, bronić lżonego, i odszepnęła:

— Łowy miłuje, mówią, nadewszystko! Wszakże z ludźmi przestaje chętnie, gościnny jest i dla przyjaciół wylany, którzy oddani mu z duszą i z ciałem!

Gość, krzyknąwszy z niecierpliwości, zawołał:

— Jego przyjaciele, o! będą to niezawodnie niedźwiadki z téj saméj, co on kniei! Czereda sprosna, hulaszcza, do ekscesów skora!

— Widziałam jednego z nich u pana marszałka — odparła, zniżając głos piękna szermierka, starościna się bowiem poruszyła na swem siedzeniu — imcipana Wisłoucha, wcale tak strasznie nie wygląda! Człowiek z niego owszem gładki, uprzejmy, nawet krotochwilny. Jednę tylko ma wadę — twierdzi panna Giertruda — on, Łowczyc i całe kółko tych jegomościów ułożyli sobie, wcale się nie żenić!

— O, to cnota, nie wada! — zawołał uradowany mecenas. — Wystaw sobie waćpanna takiego wilkołaka mężem! Cóż za nieszczęście dla białogłowy taki mąż! Całe jéj życie niby w puszczy!

— Panna Giertruda jednak — walczyła daléj z przeciwnikiem nadobna panna, choć z niejaką obawą — knuje spisek przeciw temu związkowi bezżeńców. Nawrócenie Wisłoucha wzięła sama na

siebie. „Szkoda — mówi — żeby tacy dzielni mężowie nie mieli wieść życia na świecie, tak, jak Pan Bóg przykazał.“ Pod opieką szczególniejszą ma też i Łowczyca, pielęgnuje go starannie

— Niechno wydobrzeje, powiada, postaramy mu się o żonę. Grzech byłby nie odpuszczony, gdyby młodzian tak udatny, okazały, no i mienny, z pięknéj familii, stworzony jakby ku uszczęśliwieniu niewiasty, zmarnować miał wiosnę życia dla jakiejś tam niedorzecznéj fantazyi, o, nigdy na to nie pozwolę! — płynęły szybko, w uniesieniu, słowa z koralowych usteczek, niby muzyka dźwięczna, a jednak tą razą raziły one ucho słuchacza; tenże zauważył bowiem, posępniejąc coraz widoczniej:

— Jéjmość panna Gertruda, widać, białogłowa mężna, wojowniczego ducha i Waćpanna nawet się zapalasz, właśnie tak, jakby ów ranny urwis leżał ci na sercu!

— Lituję się — odparła panna Irena, z przelotnym rumieńcem na twarzy — nad stanem nieszczęśliwego!

— O! takich nieszczęśliwych więcéj na świecie, wyrzekł, westchnąwszy mecenas — toć i ja sam..

— Waćpan! — przerwała z podziwieniem w głosie panna — ów sławny mecenas, bogaty pan, nieszczęśliwy?... Możnaż temu wierzyć?

— Pozory mylą — odpowiedział poważnie mąż prawa i chcąc zbadać raz należycie pannę, do któréj gorzał w sercu płomieniem coraz gorętszym, dodał, zatapiając pożądliwie swe małe oczki w nadobne liczko — przestraszyłabyś się Waćpanna, gdybym tak odkrył przed nią tajniki méj duszy!

— O, nie życzę sobie tego wcale — zawołała z przerażeniem panna Irena.

Zalotnik skwaszony przestał przemawiać mową zakochanych, żałując, że nie w porę się wybrał, nie zaniechawszy atoli zamiaru, kiedyś, przy sposobniej-

széj chwili i korzystniejszych widokach, bądź co bądź szturm przypuścić do serduszka uwielbianéj. Uważając też, że pani domu obojętna, własnym myślom oddana, o gościu jakoby zapomniała, pożegnał niebawem towarzystwo i opuścił mieszkanie ku niemałéj radości panny, która też po cichu wyniosła się na drugą stronę, zostawiając starościnę samą.

Ta ostatnia ważyła tymczasem w umyśle zamiar, wstrząsający ją do głębi duszy i powzięła wreszcie postanowienie. „Muszę go widzieć, muszę z nim mówić!“ — powtarzała sobie rozgorączkowana — choćby mnie życie kosztować miało!“

Żal, miłość, ciekawość, składały się na to postanowienie. Zamierzyła zakraść się do mieszkania marszałka, dotrzeć do chorego Łowczyca.

Wykonanie nie przedstawiało nawet wielkich trudności. Przebywając niedawno jeszcze często w gościnie u marszałka, starościna znała rozkład domu, równie jak i służbę. Wszystkie te powody skłaniały ją tem więcéj do śmiałego przedsięwzięcia i powiększały gorączkę.

Kiedy też na ulicy dobrze pociemniało, wdowa przybrawszy się stósownie zakwefiona, przedsięwzięła wycieczkę marzoną. Dopięła tego, czego tak gorąco pragnęła; widziała Łowczyca, mówiła z nim bez świadków. Skutek jednak nie odpowiedział pewno oczekiwaniom, nowe nawet rozczarowanie i upokorzenie jéj zgotował, gdyż wróciła przygnębiona, złamana na ciele i na duchu, chora. Kilka dni przepędziła w łóżku, gdy zaś wstała, z większą jeszcze niż dotąd namiętnością oddała się zwyczajnym swoim rozrywkom — szalała z rozpaczy, złe duchy ją opanowały i ciągnęły w przepaść.

Z Firlikiem pojednała się zupełnie, Goszczyca nawet przyjmowała łaskawie. Ten ostatni po kilku tygodniach dopiero stawiwszy się po nowe rozkazy przed oblicze swéj pani ze znacznemi bliznami na twarzy,

łagodnie tylko sfukany został za zbyt gorliwe spełnienie wyroku.

— Mordować nie kazałam! — mówiła piękna pani, grożąc palcem.

— Wykonywałem skrupulatnie rozkazy JW. pani starościny — odrzekł łajany, mężczyzna barczysty, całkiem obrosły na twarzy, groźnej powierzchowności — ludziom moim wzbroniłem zabijać, lecz napastowany, zagrożony, bronić się musiałem. Łowczyc dognał mnie jak furya w lesie. Wszystko pierzchało przed nim, niby przed odyńcem ranionym; już mnie rąbał zajadle, szablę roztłukł o mój kark i czaszkę, ślady zostały dotąd — mówił, wskazując na twarz pełną ran zagojonych — byłby mnie z pewnością rozrąbał w drobne kawałki, gdyby mojemu chytremu Wańce nie było się udało z tyłu konia Łowczyca okaleczyć i podciąć zgrabnie popręg u kulbaki. Jeździec runął na ziemię, co widząc moi ludzie, zbiegli hurmem, rozjątrzeni, siekali leżącego na kapustę.

Opryszek za swe blizny odebrał od starościny nagrodę w brzęczącej monecie Nowych rozkazów na teraz mu nie dano, polecono tylko stawić się na zawołanie.

Pani starościna bała się mecenasa, który zagroził odrzuceniem całej sprawy z Łowczycem, gdyby bez jego upoważnienia krok jaki przedsięwzięto. Prócz tego zagrażały świeżo pięknej pani skargi i protesta tak zastraszające, że sam mecenas przejrzawszy papiery, kiwał nad niemi głową.

Po walnych naradach ze starościną zasiadł jednak z dawną pilnością w biurze, zagłębił się w swój przedmiot, wygrzebał stósowne paragrafy i na terminie w ognistej obronie przed kratkami zwyciężko odparł zarzuty skargi, unieważnił protest.

Obrońca Łowczyca przegrał dla braku dowodów — papiery potrzebne spaliły się przy pożarze dworu w Przyborzu.

Pan Firlik z wygranej jednak wcale się nie ucieszył.

— Przed starostą — mówił, zdając sprawozdanie z przebiegu sprawy swej klientce — wygrać rzecz nie zbyt trudna, lecz proces pójdzie przed wielki trybunał, a tam wypadek nader wątpliwy. Łowczyc bowiem, jak słyszę, porobił liczne znajomości na mieście, koligacye ma z możnymi panami, co wszystko ułatwi mu koncesye w kole deputatów. Krom tego używa ogólnej sympatyi miasta i okolicy gwoli wypadku nieszczęśliwego, który go spotkał. Nas okrzyczano za najeźdźców, drapieżników, zbójów! Opinia publiczna potępia nawet starostę za jego wyrok dla nas łaskawy. Potępieni jesteśmy z góry, a jedynie tylko z powodu gorączki Jejmości!... Sam bies poszepnął wtedy Jejmości do ucha radę ową zdradziecką, by exekwować wyrok zaledwie zapadły z ogniem i z mieczem w ręku! — kończył bardzo niezadowolony, nienawistnym wzrokiem obrzucając starościnę.

— Mościpanie mecenasie — odparła ta ostatnia, usiłując złagodzić gniew prawnika — przebacz zaślepieniu niewiasty! Po co się zresztą rozgoryczać bez pożytku, kiedy skupić należy siły, by cel upragniony osięgnąć!... Im większe trudności, tem większa sztuka twoja i zasługa!... I ja z méj strony, wszelkich dołożę starań, nic mi nie będzie za trudne, przed niczem się nie ulęknę — mówiła ze wzrastającem uniesieniem, z oczyma dziko pałającemi — z piekieł samych gotowam zawezwać pomocy, byle dzieła dokonać: Łowczyca upokorzyć, zgnębić, zniszczyć, zetrzeć łotra na proch!

Mecenas nie dziwiąc się już zbytecznie téj zaciekłości niewieściéj i uczuć najsprzeczniejszych, rodzących się na przemiany z jednego i tego samego źródła, t. j. namiętnéj, występnéj miłości macochy do pasierba, czego wreszcie, wnioskując słusznie z wszel-

kich oznak, się domyślił, streścił raz jeszcze dobitnie trudności nieprzebyte prawie, z jakiemi miał do walczenia i kończył, by zastraszyć starościnę, stósownie do swego planu.

— Sprawa, jakeś Jejmośćpani sama uznała — mówił poważnie — niby góra stroma, skałami i cierniem najeżona, pod którą się piąć trzeba. Mimo nadzwyczajnych wysileń rezultat bardzo jeszcze wątpliwy. Przytem sława moja na szwank narażona. Nie dziwuj się Waćpani starościno, że jéj przyjąć nie mogę, jak tylko w ten sposób, bym ją mógł uważać za moją własną!

Na oświadczenie klientki, że takowa gotowa zgodzić się na wszystko, mecenas wymienił swoje warunki, pomiędzy któremi najważniejszy opiewał, że Przygórze w pomyślnym razie, t. j., gdy proces zostanie wygrany, stanowić miało wiano dla panny Ireny.

Starościna zgodziła się bez wielu korowodów na ten warunek, nie przeczuwając podstępu.

Chytry prawnik bowiem, wytargowawszy bez trudności włość dla trzeciéj niby osoby, z podziwienia godną bezstronnością przystąpił do najgłówniejszego żądania.

Wdłuższéj przemowie krążąc na około przedmiotu, docierał bliżéj do rzeczy saméj. Wymownie i ze wzrastającym zapałem malował stan swéj duszy, swe nadzieje, obawy, cierpienia. Zaklinał się, że jest najnieszczęśliwszym z ludzi, że bez panny Ireny życie nie miało dla niego wartości, że gdyby mu wszelka nadzieja odjętą została, z rozpaczy gotów wstąpić do klasztoru, lub gorzéj jeszcze w gwałtowny sposób koniec nędznemu żywotowi położyć. Przysięgał, że w razie gdy życzeniom jego zadość się stanie, wszystkie swe zdolności, całą swą umiejętność poświęci sprawie.

Zdziwioną tem niespodziewanem przedstawieniem mecenasa i jego namiętnością, jakoteż wahającą

się starościnę potrafił wreszcie przekonać i dowieść we wymownych słowach, że związek ten ze wszech miar odpowiedni i dla obu stron dogodny, stanowił przedewszystkiem „conditio sine qua non.“

Wiedziona pragnieniem nieugaszonem zemsty nad Łowczycem, niewiasta, widząc w mecenasie jedyne narzędzie stósowne do urzeczywistnienia zamiaru, przyrzekła temuż ostatecznie w razie pomyślnym, rękę swéj wychowanicy i pan mecenas, jako człowiek przezorny i porządek miłujący, spisał natychmiast szczegółowo warunki układu, który zobopolnie podpisano.

Dokonawszy wielkiego dzieła, Firlik opuszczał mieszkanie wdowy z rozkosznem uczuciem w sercu. Losy swe na dobre wprowadził tory, nadzieje jego, życzenia najgorętsze spełnią się niezawodnie, — gdyż proces wygra, musi wygrać! Od czego miał głowę na karku, cały zasób przebiegłości, dowcipu, haczyków i kruczków prawnych. W pocie czoła pracować będzie, poruszy niebo i ziemię, biesa samego z piekieł wywoła ku pomocy. Złota nawet nie pożałuje na świadków, na deputatów samych, skoro okaże się potrzeba. Rezultat nie mógł zawieść. Nagroda czekała go suta: rączka téj powabnéj dziewoi, krasawicy, czarodziejki, któréj podobnéj nie było pod słońcem! Czy nie oszaleć od szczęścia?... A wiano jéj, to wielki, pyszny majątek! Złączywszy go z Firlejowem i wcieliwszy przegradzające obie włości, wsie marszałka Boratyńskiego, stworzy wielką dzierżawę, kawał kraju i zostanie od razu największym z panów, możniejszym niż taki Morsztyn, hetka pętelka, wyrówna Sanguszkom samym!... Do posiadłości zaś marszałka się dobrać nie sztuka wcale! Z wsi tegoż grosza, Tulejki i Targowagórka leżały na pograniczu, wdzierały się we włości Firlejowskie; granic nie uregulowano dotąd. Kawał lasu krańcowego stanowił od niepamiętnych czasów jabłko niezgody pomiędzy od-

nośnymi dziedzicami, również sporny był kręty strumyk z łąką.

Nic łatwiejszego, jak proces, po kilkakroć już wytaczany, odnowić, podnieść pretensye, uwikłać starego marszałka, narobić mu kosztów, wyskubać ptaszkowi złote piórka i wyprzeć ostatecznie z possesyi w ten lub ów sposób. Niechaj ludzie się gorszą, żołądkują, wrzeszczą! Co go obchodzą sądy głupiej tłuszczy. Właśnie, niech się sromają, pękają ze zazdrości i gniewu; im większa wrzawa i zdumienie, tem głośniejsza sława, rozgłos potężniejszy we świecie. Niechaj dmą w surmy i trąby, niechaj witają przy grzmocie kotłów i bębnów nową świetną gwiazdę, wchodzącą na horyzoncie: Firleja odrodzonego, w nowej glorii i okazałości!

Z niezwykłym zapałem, z gorączkową żarliwością zabrał się teraz pan mecenas do sprawy, którą strona przeciwna, przegrawszy, przed trybunał wniosła do osądzenia. Od walnej bitwy, tu niezadługo rozegrać się mającej, zależała cała przyszłość! Zwycięstwo odniesione stanowiło dopiero podstawę, kamień węgielny do budowy marzonego szczęścia i wielkości. Należało zatem wcześnie zbierać siły, obmyślać plany, wyszukiwać sprzymierzeńców, podejść nieprzyjaciela, pokrzyżować jego zamiary, odsłonić słabe strony. Firlik miał także swoje wpływy i stosunki z osobami wysoko postawionemi; zakres tychże starał się usilnie przez nowe znajomości rozszerzyć, będąc przeświadczony, że tylko przez protekcyą możnych osób, przez silne stronnictwo sobie oddane, pomiędzy gronem deputatów trybunalskich utworzone, sprawa jego i starościny, okrzyczana i przez ogół potępiona, pomyślny obrót wziąść mogła. Nie żałował więc zachodów i starań, zastawiał sieci na deputatów, którzy zaczęli już zjeżdżać się na kadencye trybunału; tam gdzie sam nie mógł dotrzeć, wyprawiał starościnę. Udał się

nawet osobiście do Suszy dla odszukania dowodów i świadectw potrzebnych.

Przy tych jego zabiegach niewygodnym, wprost szkodliwym nawet stawał się Łowczyc. Już sama obecność jego w mieście źle usposabiała opinią publiczną dla starościny i jej sprawy. Młodzieniec przedstawiał w swej osobie niejako żywe oskarżenie, przypominał krzywdę sobie wyrządzoną, zbrodnicze zamachy przeciwników.

Łowczyc, dźwignąwszy się z niemocy po niebezpiecznej, lecz nie długiej chorobie, kiedy się pokazał we wielkim świecie, gdzie miejsce mu zapewniały własne węzły pokrewieństwa z pierwszymi domami, tudzież stanowisko marszałka, stał się wkrótce ulubieńcem, zwłaszcza kobiet, bohaterem, na którego spoglądano z podziwem i uwielbieniem. Wieść o jego nieszczęściu, nieustraszonej odwadze, niezrównanem męztwie, równie jak o sile olbrzymiej ciała, rozeszła się wkrótce po całem mieście. Znano go na ulicy nawet, gdzie zwracał na siebie powszechną uwagę przez swą dziarską postawę, szerokie ramiona, przez bliznę krwawą na wyniosłem czole. Jakże tu walczyć z tak niebezpiecznym przeciwnikiem, marzyć o zwycięztwie?

Mecenas nieraz tracił odwagę, popadał w powątpiewanie, rozpacz prawie. W sercu powziął też nienawiść do tego młodzieńca, którego pochwałami brzmiało całe miasto, zazdrościł mu sławy, młodości, powodzenia. Niechęć wzrosła, kiedy posłuchy go doszły, że Łowczyc z panną Giertrudą i Ireną przestawał najmilej, zabawiał się ochoczo w ich towarzystwie, że znajomość przechodziła w poufałą przyjaźń. Ta wieść przeraziła go do głębi serca, budząc w umyśle podejrzenie już dawno powzięte. Przypomniał sobie postanowienie panny Giertrudy, słyszane z ust panny Ireny.

Przedsiębiorcza ochmistrzyni marszałka założyła sobie, zwalczyć wstręt młodzieńca do stanu małżeńskiego, skusić go, jak wąż zdradziecki Ewę w raju, podsunąć mu stósowną białogłowę na żonę. Czyż wybór zdrajczyni nie mógł paść, najłatwiej nawet, na najurodziwszą dziewicę w mieście? Czy Łowczyc zresztą sam nie miał krwi w żyłach, pozbawiony był wzroku, by nie poznać się na barwie i woni najcudniejszego kwiatka... Ireny?... Jakże mógł tak długo być zaślepiony, on, lis szczwany, gdzie miał oczy, gdzie rozum? Jakże puszczać mógł jagniątko samopas na pożarcie wilkowi? O, dawno należało już przedsięwziąć kroki odpowiednie gwoli spokoju, bezpieczeństwa własnego!

Tego dnia jeszcze starościna zakazała surowo swéj wychowanicy bywać w domu marszałka Zakaz jednak, jak się mecenas zakochany na własne oczy, niestety, przekonał, przyszedł za późno. Nie zdołał już przytłumić płomieni, które, zda się, objęły serca młodzieńcze.

Kiedy Firlik raz zamyślony jak zwykle z aktami pod ramieniem wracał z grodu do domu w południowéj godzinie, na skręcie z ulicy na rynek, podniosłszy wzrok nagle, spostrzegł koło klasztoru ojców Bazylianów odosobnioną, młodą parkę, wolno idącą. Postać niewieścia przypominała pannę Irenę! Zaniepokojony podszedłszy niespostrzeżenie między publicznością targową bliżéj, poznał, o zgrozo, dokładnie... Łowczyca i pannę Irenę! On trzymał ją poufale pod ramię, ona szczebiotała wesoło; oboje patrzeli sobie nawzajem w oczy, z zachwytem, z uniesieniem, zatopieni w sobie, zapomniawszy o świecie całym! Tak się przynajmniéj zazdrosnemu, w którego sercu na ten widok, jakby sztylet utopiono, wydawało. Podchwytywano mu klejnot jego najcenniejszy, zuchwała ręka sięgała po skarb, jego własność, nadzieję całą, szczę-

ście, gwiazdkę jasną, która miała oświecać, radować jego nędzne, ponure życie!...

Jakże się ratować przed stratą, jak zabezpieczyć skarb przed niegodziwym przywłaszczycielem?... Strzedz chociaż go, jak oka w głowie, z rąk nie wypuszczać, nie nęcić złodzieja jego blaskiem! odpowiadała zazdrość, gniew, nienawiść.

Panna Irena uważana odtąd jako więzień, nie mogła opuszczać domu bez pozwolenia, wychodziła zaś tylko w towarzystwie Zuzi. Starościna zakaz oznajmiła pannie drżącym od gniewu głosem z uniesieniem niezwykłem, z wściekłością. Mecenas jednak nieufny, podejrzliwy, pomyślał nadto ze swéj strony o nadzwyczajnych środkach ostrożności i postawił szpiega na ulicy ze stósownem poleceniem. Na trzeci dzień już posterunek doniósł mecenasowi, jak to było jego obowiązkiem, że Łowczyc snuł się koło mieszkania starościny, podchodził, zaglądał w okna, lecz z panną się nie widział.

Kilka dni późniéj gruchnęła niezwyczajna pogłoska po mieście. Opowiadano sobie ze zdziwieniem na ulicy, że Łowczyc, znana powszechnie osobistość, zniknął bez śladu! Marszałek i dwór jego zaalarmowali miasto. Rozpytywano, badano znajomych i nieznajomych, rozsełano ludzi na wszystkie strony świata, napróżno! Śladu nawet nie odkryto po zaginionym w zagadkowy sposób.

V.

Na wielkim gościńcu, prowadzącym od Lwowa ku Brzezanom, brnął w błocie rozjeżdżonem mały poczet jeźdźców, okalający powózkę, środkiem drogi się wlokącą. Na wozie siedział jegomość drobny, suchy, otulony w płaszcz aż po samą brodę. Mimo wiosennéj pory bowiem, ostry wiatr, od wschodu dmący, niby na urągowisko wiośnie, w tym roku wcześnie się zapowiadającéj i na przekór mile uśmie-

chającemu się słonku, ciął po twarzy, niby rózgami, i mroził powierzchnią ziemi tam, gdzie promienie południowego słońca nie zajrzały.

Kiedy się zaczęto spuszczać z góry, podróżny na powózce wskazał ręką na dróżynę wąską, niby wąż przez smugi i moczary w dal się wijącą. Kalwakata skierowała konie w kierunku wskazanym, a jeden z jeźdźców, w którym poznajemy dawnego znajomego, imcipana Baltazara Wisłoucha, odezwał się, kręcąc głową:

— Tam do biesa, mościpanie knaziu, właśnie w same topieliska nas wprowadzasz! Nie znaszże innej drogi?

— Nie! — odrzekł krótko kniaź i dodał żałośnie:

— Gorzéj jeszcze wypadnie! Wam jak wam, na koniach złe miejsca snadno ominąć, ale ja z wozem pchać się muszę torem prosto przez chęchy i doły!

— To czemuż jegomość na koń się nie przerzucisz? — zauważył Wisłouch.

— Na pohybel moim starym kościom — odparł zagadnięty — o, tego jeno jeszcze potrzeba! Dosyć się człek wstrząśnie na oskach. Gnaty moje niby poprzetrącane od ustawicznego włóczenia się; ostatniego czasu osobliwie ciągłe rozjazdy, z wózika na wózik! Człek choćby był z kamienia, skruszeje!... Oj, Firliku, Firliku, gadzino jadowita, byś z piekieł nie wyjrzał za moje niewczasy i niewygody!... Wszakże znacie wszyscy, mości panowie, owego sławionego mecenasa Firlika, alias Firleja? — pytał, zwracając mowę do Zakliki i Zabielaka, harcujących na okazałych rumakach po drugiéj stronie podwody.

Zaklika kiwnął głową potakująco, a Zabielak zawołał:

— Ktoby nie znał tego infamisa, zdrajcy i łupieżcy, wilka w baraniéj skórze!

Tylko Wrzosochaty, zwany Grozą, należący także do drużyny, a jadący nieco w tyle, bliżéj pachołków konnych, poczet zamykających, odparł, podjeżdżając:

— Ja bom go nie widział, ani wiele o nim słyszał. Człek żyje w puszczy niby w miechu, z rzadka na świat się wychylając, więc téż sprawy świeckie odbijają się o uszy, niby to echo w lesie! Człek zresztą ani już nie ciekawy, bo dobrego nic nie usłyszy! — i machnął ręką.

— Masz ty racyą prawie, mościpanie Grozo — odrzekł na to Wisłouch — najlepiéj pono w domu za piecem! Wszelako okazya trafi się, jak teraz, że człekowi wątroba się w żywocie przewróci od wielkiego rozjątrzenia i z pasyi wyskoczysz ty tedy ze zapiecka, niby korek z butelki przepełnionéj... Z tego Firlika pasym drzeć gotów!.. i do marszałka się już zabiera... Ho, ho, mości knaziu, uszy do góry! to nie przelewki! Wytężyć trza wszystkie siły, uzbroić się od stóp do głów, bo skoro jeno słabiznę odkryje ta sobaka jadowita, ukąsi!.. I pod jakim to pretekstem zadarł on z wami? — pytał kniazia, wzrok ku temuż obracając. — Wspomniałeś już wprawdzie coś o tem, lecz w tym ustawicznym rozgardyaszu człek ani dobrze nie uważał. Okazya teraz najlepsza, możebyś zechciał, mości kniaziu, sprawę obszerniéj wyłuszczyć; wdzięczni ci będziemy!

Panowie bracia podjechali na ostatnie słowa bliżej podwody, niby słuchać gotowi. Spuszczono się z góry w kałużę przez całą szerokość dróżyny rozlaną; po obu stronach ciągnęły się bagna i trzęsawiska jak tylko oko sięgało. Konie téż we wóziku i pod jeźdzcami szły noga za nogą, a kniaź, choć z natury małomówny, tym razem mając żałość do zrzucenia ze serca, zaczął opowiadać bez dalszej zachęty.

— Rzecz datuje się od zimy jeszcze. Będzie temu z jakie... dziesięć niedziel, wkrótce po zniknięciu

Łowczyca ze Lwowa. Pewnego wieczora przybywa do nas poseł konny ze Sroczy z orędziem od podstarościego, jako ludzie z Firlejowa tną nasze sosny na Petrowym majdanie. Marszałek na tę wieść niesłychaną aż posiniał z gniewu na twarzy, bo pnie tam najgrubsze, wiekowe, na budulec się chowają.

— Mości kniaziu! — błaga, łamiąc dłonie — bez straty czasu jedź, powstrzymaj ten rabunek, spędź hajdamaków z lasu!

— Wyjechał-m ja na całą noc, strząsłem się po grudzie, przeziębłem do szpiku kości, właśniem trafił na one mrozy najsroższe po Matce Boskiéj Gromnicznéj — zajeżdżam rano nie przede dwór, jeno prosto na majdan. Patrzę, od granicy Firlejowskiéj uwija się lud gęsty, rudują, tną, piłują, że aż trzeszczy po lesie. Przypadam do leśnych i pilnowaczy: Co to ma znaczyć? Kto kazał? — pytam rozsierdzony zuchwalstwem.

— My nie winni temu! — odpowiadają nagabywani, wzdrygając ramionami — pan gubernator dał rozkaz, dopilnować go musimy!

— Gubernator! Gdzie on? Co jemu przyszło do głowy?

— Nadjedzie lada moment — odpowiadają — dziw, że go nie ma jeszcze dotąd. Sam pilnuje roboty dzień niemal cały!

Jakoż zanimem się rozpatrzył, zauważywszy przy tém ku nie małéj żyrocie, jako najpiękniejsze właśnie sosny obalano, zjawił się gubernator Firlejowskiego klucza. Imcipan Maksym Pawłowicz Łazarew, jak się sam przedstawił, Rusin, ale człeczysko potulne i do zgody pochopne. Zajeżdżał od folwarku przez pole się wlokąc dryndulką w hetkę zbiedzoną; kożuszynę na sobie miał lichą, na głowie lisiurkę wypłowiałą. z oblicza wychudzonego patrzały mu niedostatek, troska, uciemiężenie; ludzie równie jak i zwierzęta krzyż pono mają na Firlejowszczyznie. Imcipan me-

cenas uciska wszystko żelazną dłonią!... Podchodzę ja do Imcipana Łazarewa i zagaduję, nie czując się od wrzącego gniewu.

— Jak Waść śmiesz w naszym lesie takie czynić spustoszenie? I niby na urągowisko wybieracie nam samą okrasę z drzewostanu niby szwedy z gryki na własnej misie! Odpowiadaj Waść!

Człeczyna zlazłszy z biedki, pokłonił się nisko i rzecze z rusińska:

— Pomiłuj batiuszka, ja nie winowat, Jej Boh nie winowat!

I tłomaczy się pokornie, jako mecenas Firlik jego pan orędzie przysłał, by ciąć sosny najgrubsze na majdanie na belki do nowego dworu.

— Nie może być — rzeknę mu na to — przecie imcipan Firlik wie bardzo dobrze, jako Petrowy majdan do Sroczy należy, majątku marszałka Boratyńskiego. Nieporozumienie zapewne zaszło i ostrzegam cię mościpanie zawczasu! Inwazyi podobnej nie puszcza się płazem. Patrz, byś nie nawarzył bigosu sobie i swemu panu!..

Koniec końcem przeperswadowałem Rusinowi. Spędził ludzi, zaniechał roboty, raport przesłał do mecenasa. Jam też kontent, że sprawa tak gładko i bez korowodów ubita została, wracam do domu, będąc sam przekonany, że omyłka tylko była ze strony gubernatora. Wnet jednak wyszło na jaw, jako mecenas z intencyą nas zaczepił. Kilka dni poźniej bowiem poseł ze Sroczy oręduje nam znowu, że budulec rudują sobie Firlejowscy spokojnie dalej. Na kim się skrupiło?... Na kimże, jeśli nie na kniaziu! Pędź, ty bratku, napowrót duchem, nie pytaj, mróz, śnieg, czy zawierucha, ratuj lasu, ujadaj się z chłopami, tocz z nimi walki, bo tą razą sprawa bez krwi rozlewu się nie skończyła! Imcipan gubernator uniżony, grzeczny ale twardy, jak róg.

— Nie mogę — mówi — roboty zaprzestać! Wygowor jużem i tak dostał od mego pana! Zjechał on sam na miejsce, złajał mnie, z błotem zmieszał. Ludzi zegnał na majdan i rozkazał, by do końca zimy bez przerwy rudowali!..

— Ha, trudno, — odpowiadam — chcesz bójki koniecznie, mospanie? Dobrze, będziesz ją miał! bo przecież nie możesz suponować, byśmy w pokorze serca pozwolili sobie nabiał zgarnąć z chleba.

Zebrałem zaraz ludzi i przepłoszyłem napastników, przyczem niejednemu się oberwało. Alem spadł z deszczu pod rynnę, mój ty miły Panie, teraz się dopiero rozpoczęły tany! Mecenas, czychający jeno widocznie na okazyą, skargi szle do grodu o napaść, gwałt, rozbój. Marszałek się broni i wytacza ze swej strony proces o zajazd, o naruszenie granicy, a ty kniaziu skakaj! Jedź do grodu, szukaj adwokata, sprowadzaj miernika, sprawdzaj granice, pędź co chwila do Lwowa po rozkazy pańskie. Dziwo, żem ducha nie wyzionął przy tych wszystkich imprezach! i — westchnął głęboko, wzywając wzrokiem słuchaczy do politowania nad swą dolą.

Towarzystwo jednak nie okazywało jakoś wiele współczucia, a Wisłouch odezwał się nawet ochoczo:

— Coś przebył, toś już przebył, mościpanie kniaziu, ofiaruj Panu Bogu te twoje molestacye oraz podziękuj Mu de profundis, żeś skórę uniósł całą! Najpryncypalniejsza zasługa twa w tem leży, żeś przy okazyi tych twoich przygód i ucisków Łowczyca nam odkrył! Dobra gwiazda mimo wszelkich klęsk i utrapień jednak cię wiodła! Byle jeno wieść twoja, mości kniaziu, nie okazała się mistyfikacyą!

— Nie obawiaj się waćpan! — odrzekł kniaź — jestem swego pewny! Nie podejmowałbym przecie podróży uprzykrzonej bez ważnego powodu, ani was wzywał ku pomocy! Oglądał ja nawet na własne oczy loch pode dworem w Firlejowie, gdzie więżą

Łowczyca i zasięgnął języka od samej małżonki Łazarewa!

— I jakim to sposobem Jegomość na trop właśnie wpadłeś? — pytał ciekawie Zaklika, wysuwając się z koniem naprzód.

— Dziwnym wypadkiem — odparł kniaź, który, że go słuchano uważnie, rozgadał się na dobre. — Zetknął ja się raz na granicy przy rozmierzaniu pola z Łazarewem. Pogadaliśmy po przyjacielsku o tem i owem, bo co nam do waśni dziedziców; uważam ja, na gubernatora biedce leży psina niezwyczajna jakaś! Kundel, nie kundel! cóż u biesa za gatunek. Opatruję ciekawie, a Łazarem mówi śmiejąc się:

„Takiej sobaki, to Jegomość jeszcze pewno nie widział w życiu, bo to nie niedźwiadek, mam go zawdy przy sobie ku oswojeniu; darował mi go niedawno nasz więzień...“ i zaraz zafrasowany mocno, chwyta się za gębę, jak gdyby był za wiele powiedział. Mnie tedy dopiero w głowie zaczęło się rozjaśniać. Pogłoski bowiem dawno już uszu mych dochodziły, jako w lochu dworskim we Firlejowie więżą człeka. Nie zważał ja tam na gadania ludzkie, sam własnemi zajęty sprawy, aż teraz nagle ta mowa i zachowanie się całe gubernatora mnie zastanowiły. Biorę go więc na spytki, lecz na próżno — słowa z niego więcej wyciągnąć niepodobna! Tym mocniej zaciekawiony, dotrzeć umyśliłem do źródła samego i pod pierwszym lepszym pretekstem zabieram ja się z nim do dworu do Firlejowa.

Po drodze wyciągam mego Rusina na słówka, podchodzę, wymacuję, aż się mimowoli wygadał, że więzień, młody szlachcic, od kilku niedziel dopiero przywieziony do dworu, zamknięty szczelnie i strzeżony, pozostaje we więzach. Jejmościpani Łazarew wyśpiewała resztę. Kobiecinie zbiedzonej, znękanej, w niedostatku wraz z dziatkami żyjącej, nie trudno było otworzyć usta kilku bitemi talarami.

Podczas gdy gubernator, zatkawszy uszy, do gospodarstwa wyszedł, Jejmość w srogiem zatrwożeniu i zaklinając mnie na wszystkie świętości, bym jéj nie zdradził, wyjawiła wszystko, co wiedziała o więźniu: Sprowadziła go związanego nocą — mówiła — szajka opryszków, wrzucili go do lochu i zakuli więzienie kłodami i żelaznemi sztabami. Postawili mu jako stróża jednego z pomiędzy siebie, rabusia zgroźnego, wiecznie pijanego; my zaś żywić musimy i więźnia i dozórcę za nędzną zapłatą! Wstęp do lochu surowo był wprawdzie obcym wzbroniony. Że jednak dozórca nieraz pijany dzień cały leżał gdzieś w kącie, jak bydlę, więcem z litości, odebrawszy klucz pijanemu, zaniosła biednemu więźniowi jedzenie. Człek młody, dorodny, z delikatnéj widać mąki. Na czole szeroką ma bliznę, wjeżdżającą głęboko na głowę pod czarne kędziory. Wejrzenie i mowa dumne, pańskie, nie zdawał się być nawet zbyt zdesperowany!

— Łowczyc, jak Boga mojego kocham! — przerwał żywo Wisłouch — i widziałeś go Jegomość na własne oczy?

— Czekajże Waść końca — odparł niezadowolny kniaź — nie przerywaj nie potrzebnie. Kiedym poraz pierwszy, mówiła niewiasta — ciągnął kniaź rzecz swoją daléj pośród powszechnéj uwagi — przyniosła obiad młodemu więźniowi, tłomacząc mu, kto jestem i dla czego przyszłam, tenże oglądał mnie uradowany i zawołał ochoczo: „Bogu dzięki, że przecie choć raz jeden nie potrzebuję widzieć téj opiłéj mordy zbójeckiéj i zabierając się do jedzenia zauważył: „Cienko mnie Aśćka utrzymujesz, wikt bardzo nędzny! Skoro tu jeszcze parę niedziel posiedzę, wyschnę ja na trzaskę.“ Wtedy ja zafrasowana mówię mu „Daruj mi Jegomość, ale my sami w duszę nie mamy co wrazić! Nas dwoje, kilkoro dziatek, a utrzymanie, żal się Boże!“ Nie odpowiadając nic,

jadł pilnie, lecz gdy swą soczewicę sprzątnął z misy zagaduje mnie żywo: „Wiesz Aśćka co? Gdybyś ty miała rozum w głowie, toby nam wszystkim zaraz było lepiéj“. Jam wystrachana kiwała mocno głową odmownie, domyślając się żądania zakazanego, a panicz mówił daléj — Nie trwórz jeno sobą, nie będę przecie wymagał, byś mnie na wolność puściła, co i tak prędzéj, czy późniéj nastąpi, dotyczy jeno moltyków chudych, które łatwo omaścić sobie możemy. Wszakże macie tu lasy i puszcze? pytał daléj, a gdym potwierdziła, zawołał z błyszczącemi od radości oczyma: — Dajcie mi ich jeno! Puśćcie wy mnie, ludkowie mili, choć na dzień jeden na łowy! Ho, ho, co za pohulanka! A jakie życie wieść będziemy na książęcym dworze! Zaopatrzę Aśćce śpiżarnią w zwierzynę wszelkiego rodzaju, kłopot będziesz miała jeno, którą sztukę do obiadu wybierać! Dalipan serce skacze mi w piersi na samą myśl tylko. Nie namyślajże się Aśćka długo i nie obawiaj się, bym miał inny użytek uczynić z méj wolności. Słowo ci daję szlacheckie, verbum nobile, jako nie będę myślał o ucieczce, ani kroków stósownych czynił ku oswobodzeniu mojemu! Możecie mnie zresztą pilnować!... Jakże nie zaufasz mi Aśćka, nie wierzysz mnie? starościcowi Mołodeckiemu, panu na Przyborzu!“ Wyszłam z lochu zawojowana, serce mi się ścisnęło. To paniątko z wielkiego rodu, a tak nieszczęśliwe, uciśnione, rwało się do wolności, pożądało choć chwil parę pohasać, odetchnąć świeżem powietrzem. Dusza jeno mu tak piszczała do lasów, do puszczy! Widać tak był chowany! Oj, ty niebożątko moje, jakżebym rada zdjąć ci zaraz z rąk okowy, puścić jak ptaszka wolnego!“ Odtąd mojemu Maxymowi nie dałam już spokojności; tylem mu nasuszyła głowę, naperswadowała, naprosiła, że się zgodził wreszcie na żądanie panicza. Spoiwszy stróża, ostrożnie tyłami mój mąż wywoził pod ukradką więźnia do lasu, zabrawszy dla

niego broń według życzenia. Trzeba było widzieć tę radość, ten szał biedaka, kiedy pierwszy raz na świat wyjrzał! mnie patrzącéj przez okno z wielkiéj rzewności oczy zaszły łzami. Wrócili dopiero wieczorem, a ubili taką straszną moc zwierzyny, żeśmy podwodę musieli posyłać do lasu. Ja kiwam głową z podziwu, gdym ujrzała całą furę zapchaną dziczyzną i ptactwem, a mój panicz odzywa się z uśmiechem na ustach: — A co! widzisz Aśćka, czym nie sprawdził? Wybierzcie tam co pokaźniejsze na kuchnię, a resztę sprzedajcie choć w mieście! Mieszczuchy łakome na dziczyznę, może i zakupią. Za pieniądz utargowany sprawcie sobie, co wam najgwałtowniéj potrzeba, a gdyby od expensów waszych jaka drobna resztka zbyć miała, to sprowadźcie dla mnie siaką taką kapkę wina!

Na to ostatnie słowo Wisłouch, wyrzuciwszy głową do góry jak rumak szlachetny łbem, zachichotał głośno, w czem mu Zabielak zawtórował, i już otwierał usta do wesołego żarciku, kiedy przypomniawszy sobie zakaz kniazia, w téj chwili umilkł, tak że opowiadający kończył bez przeszkody:

— Odtąd żyliśmy całkiem inaczéj — mówiła jéjmość pani Łazarewowa, panicz na każdy obiad miał smaczne pieczyste i wino. Gdy się zapasy w śpiżarni kończyły, mój Maksym wyprawiał więźnia do lasu i wracali zawsze z obfitym połowem. Raz nawet przywieźli niedźwiedzia; panicz go ubił na własną rękę i pochwytali dwa młode żywcem. Z tych jedno zmarniało, a drugie u nas się chowa.“ Kiedym to wszystko usłyszał — mówił kniaź — zastanawiałem się nad tem, czyby mi się nie udało więźnia uprowadzić podejściem, lecz wnet od zamiaru odstąpiłem prócz trudności z téj uwagi, jako zdrajcą stałbym się biednéj, poczciwéj kobieciny. Loch jednak obejrzałem sobie dobrze z zewnątrz i osądziłem, że nie trudno byłoby go wziąść, lub się doń włamać,

gdyż leży pod starym na poły spróchniałym dworem, choć niby mocno obwarowany. Nie mogłem też inaczéj, jak zdradzić całą tajemnicę w domu, choćem czuł wyrzuty sumienia, lecz marszałek, przed którym się odsłoniłem, sfukał mnie srodze. „Czyż wasze zwaryował? — mówi — więc starościć ma zgnić w lochu dla twych głupich skrupułów, a łotr tryumfować? Biorę ja rzecz całą na siebie i nie turbuj się waść; twój gubernator i jego cna małżonka krzywdy nijakiéj nie doznają.“ Zaraz też pchnął posłańca po waszmościów, sąsiadów i kompanów Łowczyca, za moją radą, dziwuję się jeno, że tak mało mężów pokwapiło się do onéj wyprawy, a tu różnie wypaść może.

— Znajdą się jeszcze, mniemam — pospieszył Wisłouch z odpowiedzią — myśmy najpierwsi, otrzymawszy orędzie, zaraz się zerwali, ale i tamci dopiszą, byle jeno nie zapóźno!

Panowie bracia postępując ciągle wolno, gdyż droga stawała się coraz uciążliwszą po błocie głębokiem, przeżuwali w myśli opowiadanie co dopiero słyszane, aż po sporéj chwilce milczenia, odezwał się Zaklika:

— Dziwować może każdego, jak taki mąż dzielny, rycerz wypróbowany, no i człek prawy jak Łowczyc w sromotę ustawicznie popaduje i krzyżyki srogie znosić musi, podczas kiedy niesprawiedliwy, obłudny i przewrotny drapieżca wywyższon cieszy się w zwycięztwie i tryumfuje! Temu łotrowi Firlikowi wszystko się udaje, co jeno zapomyśli! Medytuję ja jeno nad tem, co jemu właśnie Łowczyc skrewił, że go zdmuchnął jak piórko!

— Toćżeś już słyszał tak jak my wszyscy, mości panie Zakliko — odrzekł Zabielak, gdy wszyscy milczeli — rzecz główną, snadno wysnować ztąd resztę, komu nie zaciasno w mózgownicy — i jął tłomaczyć objaśniając. — Proces w trybunale starościna

wygrała z Łowczycem, co gdyby oskarżony był na miejscu, nigdy nie byłoby się stało! A kto prowadził proces? Kto mącił wodę? Kto z białego zrobił czarne?.... Firlik! Komu więc zależeć mogło na uprzątnięciu Łowczyca? W czyjéj włości osadzono więźnia? Gdzie więc zbrodzień, co zacz?.... Odpowiedz sobie sam na te pytania, mospanie, jeśliś nie w ciemię bity!...

— Krom tego — zauważył kniaź — powód miał mecenas inny jeszcze, pono najważniejszy. Imci pan Firlik zabiera się do stanu małżeńskiego, a Łowczyc podkochiwał mu pannę!...

— Patrzajcie no!... ho! ho!... więc to zawiść! wykrzykiwała zdziwiona szlachta, a Imcipan Baltazar pytał ciekawie:

— I gdzież pannę znalazł ten obwieś, która go chciała?

— Chciała nie chciała — odrzekł kniaź — to rzecz małéj wagi. Pani starościna wygrawszy proces, z wdzięczności oddała swemu obrońcy rączkę swéj wychowanki Ireny; rzecz zda się, z dawna ukartowana!

— Ireny! — wykrzyknął oburzony Wisłouch — o, poganin! Co Jegomość mówisz! Dla Boga!... Ta pergaminowa ośla skórka, padło obmierzłe do takiéj krasawicy się kwapi! To grzech! By cię była pierwej czkawka utłukła, sprosny wieprzu, zanimeś wyszczekał tę twoją kłamliwą oracyą przed trybunałem do końca i sięgnął zuchwale po to jabłuszko rajskie!...

— Waszmości aż płomienie ogarnęły z wielkiéj afektacyi — zauważył kniaź — mógłby ktoś nawet podejrzenie powziąć, jakoby zazdrość w tobie wybuchnęła!

— Ej, choćby nawet — odparł wzburzony jeszcze szlachcic — ale trudno się pohamować, skoro żółć w człeku się rozleje!... Nie byłoby już spra-

wiedliwości na ziemi ni na niebie — dodał spokojniej — gdyby ten wisielec nie miał raz przecie znaleźć kresu nieprawościom swoim!... Pija ten gryzi piórek wino? — zapytał nagle innym tonem, a gdy na pytanie towarzysze nie umieli odpowiedzieć, rzekł na chybił trafi kniaź:

— Nie pija!

— Otóż to! — zawołał żywo pan Baltazar — byłbym gotów o zakład iść, że nie pija! Łotry podobne jak Firlik nie używają w regule tego trunku, gust tracą wreszcie całkiem i rdzewiejąc w swej nikczemności i przewrotności, giną marnie! Kto zaś wino pija, nie może być złym człekiem!

Kiedy na to twierdzenie Wisłoucha ten i ów ze słuchaczy jął kiwać głową, uśmiechając się z niedowierzaniem, szlachcic dowodził z wielkiem zaperzeniem:

— Na honor — zapewniał — nie żart to, ani czcze gadanie! Zważcie jeno dobrze, Mości Panowie, skoroście dotąd jeszcze nie doświadczyli, jako choleryk, zdrajca, przechera obłudnik i podobnego gatunku urwisz nie będzie się lubował w szlachetnym napoju; wszelki człek cny za to i poczciwy przyjacielem Bachusa. Zkądże taka dyferencya?... Rzecz snadno się eksplikuje! Wiemy już z Ewangielii, jako w człeku złe zarodki przemagają dobre; w sercu każdego spoczywa moc wielka wszelkich niegodziwości, złych humorów, kwasów, oraz sprosnych ździebeł, rozrastających się ustawicznie i bujnie rozkładających niby na glebie tłustéj. Wino zaś to ma do siebie, że warzy skażone zarodki, kwasy czyści, przytłumia jad i wypłasza złe humory, waporujące przez ciało, niby dym ulatujący przez komin na dachu. Skoro zaś cała ta trucina w nasieniu wygłodzona została, dobre kiełki puszczają snadno i pielęgnowane, bujnie wypuszczają, ulepszając ustawicznie temperament. Kto zatém wina nie pija, nie wykorzeni nigdy złości w naturze za-

szczepionéj, lecz właśnie zasila takową, rozkrzewieniu pomaga, zatruwając w sobie soki i charakter takiem prawem coraz bardziej upadła. Ergo, Mości panowie, kończył ze zadowoleniem, obzierając się po towarzyszach — vivat Hungaricum!

— Vivat! — zawtórował skwapliwie Zabielak, dodając: Wywody twoje, Mości panie Wisłouchu niby ze Salomonowéj głowy czerpane, aprobuję całem sercem i dziwuję się subtelnéj mądrości twojéj! Dobre zaś skutki wina okazują się dowodnie choć na tobie samym. Waszmość za kołnierz nie wylejesz i dla tegoś zdrów, wesół i temperamentu jak najdobrotliwszego!

Kniaź jednak nie uwierzył twierdzeniom Wisłoucha, dowodząc wprost przeciwnie, że wino działało właśnie ujemnie na ciało i umysł człowieka, co potwierdzał nieśmiało, ale stanowczo p. Wrzosochaty, zwany Groza, podczas gdy dwaj drudzy panowie bracia kruszyli kopie za wywodami Wisłoucha. Wywiązała się ztąd długa i zajmująca rozprawa o dobrych i złych skutkach wina. Wśród żywéj szermierki na słowa wydobywano się tymczasem z błota, podjeżdżając na suchą górzystą drogę. Zdala wyłaniały się po obu stronach gościńca ciemne, tajemnicze obszary lasów, niby mglistych chmur nieprzejrzane zbiorowisko. Niebo wraz z bystrem dotąd, ku widnokręgowi schylającem się słońcem, posępniało, osłaniając się pomału obłoczkami, nabierającemi coraz ciemniejszéj barwy. Wiatr zmieniający co chwila kierunek, ustalił się wreszcie, śląc od południa łagodne podmuchy „na zmianę“, jak zauważył kniaź, porzucając nagle przedmiot rozmowy, znudzony bezowocową sprzeczką.

— Chwała Bogu — mówił tenże dalej, prostując swe członki długiem siedzeniem pokurczone — za chwilkę dotrzemy do karczemki Efraima na Dąbrowie, gdzie i nocleg urządzim! Należy nam się też wytchnienie, a więcej jeszcze pociągowi sfatygowanemu.

Znużonym przykrą, kilka godzin już trwającą podróżą po rozmokłej grobelce, na pustkowiu smutnem i bez życia, wlała pociechę do serca ta zapowiedź przewodnika.

Chwilka jednak oznajmiona trwała dobrą godzinę jeszcze na przekór życzeniom niecierpliwiących się coraz więcej podróżnych. Konie bowiem resztki sił dobywając, postępowały pod górę wolniej jeszcze, z omdlenia zaledwie nogi za sobą powłócząc. Okolica za to nabierała coraz więcej urozmaicenia i powabu. Przed oczami jezdzców snuły się pagórki coraz wyżej się wznoszące, przerznięte krętemi dolinami i smugami, zieleniejącemi młodą, kiełkującą trawką. Nieprzejrzane lasy zarysowywały się coraz wyraźniej, odkrywano wzgórza kępami drzew umajone, strome urwiska, potoki i jeziorka leśne, czarne czeluście zarosłych jarów, spłoszono tu i owdzie stado wron i kruków. Na początku lasu, w uroczej dolinie ze strumykiem, okolonej wysokopiennemi drzewami rozsiadła się stara drewniana karczemka z szopą tuż przylegającą, na konie.

Kiedy panowie bracia wraz z zapadającym mrokiem na miejsce się wreszcie dobili, powitał radośnie licznych i niezwykłych gości gospodarz zajazdu, mały, chuderlawy żydowina, z domu aż na drogę wybiegłszy ze zapewnieniem radosnem, że gospoda jego, sławna na całą okolicę, obecnie wcale nie zajęta, czeka na dostojnych gości we wszelkie zasoby dla ludzi i koni zaopatrzona.

Wezwaniu chętnie zadość uczyniono i podczas kiedy pachołcy zajęli się końmi, panowie bracia rozgościli się w szynku, krzepiąc się na ciele i na duchu łykiem gorzałki.

Na wieczerzę żona Efraima uwarzyła gościom z polecenia kniazia piwa z grzankami, po którym to posiłku, wzmocnionym zakąskami, przez tegoż kniazia z domu zabranemi, szlachta legła pokotem na posłaniu ze słomy, w szynku nagotowanem.

Zabrano się do spoczynku mimo wczesnego wieczora, gdyż z brzaskiem dnia zapowiedziana została dalsza podróż do Firlejowa, kilka mil jeszcze oddalonego.

Znużonym sen też wkrótce skleił powieki, Wrzosochaty tylko nie mógł długo zasnąć, marząc z otwartemi oczyma. Nie czuł się na swoich śmieciach i ta niepewność sen mu odbierała. W swéj puszczy podszytéj bezpieczny, ukryty niby w pudełku, zasypiał on błogo, szumem dębów odwiecznych niby niemowlę ukołysany. Prócz miejsca niezwyczajnego przerywały mu sen podróż odbyta, wrażenia tejże i opowiadania kniazia, co wszystko snując mu się po głowie, tworzyło w umyśle dziwaczne, mięszane obrazy.

Pół na jawie, pół we śnie widział on w podziemiu obrzydliwem więźnia znękanego, wychudzonego jak szkielet we więzach, przykutego do muru grubym łańcuchem. Uwięziony błagał rozpaczliwie o pomoc, o ratunek. Głos był jego panicza ukochanego. Drżąc od wzruszenia, litością na wskroś przejęty, rzucił się w ciemny zdradziecki loch, już rozczepiał kajdany, gdy wtem z łoskotem wielkim zjawił się szatan, ziejąc ogniem i siarką, objął go płomiennym oddechem, drapieżnym pazurem schwycił go pod grdykę i gardlił, aż zasypiający jęknąwszy głucho, ocucił.

Przekonawszy się, że to mara tylko go dręczyła, ułożył się znów do snu.

W izbie ciemności panowały nieprzejrzane, w szyby bębnił deszcz grubemi kroplami.

Stuk ten nieustanny potężniał, nabierał mocy i odgłosu.

Marzący rozróżnia niby tentent koni coraz wyraźniejszy. Fantazya stworzyła mu stado rozhukanych rumaków, gdzieś po stepie cwałujących. Ziemia drży, szum powstaje w powietrzu. Strwożony obraca się

po za siebie i widzi jeźdźców liczny hufiec. Najbliżsi twarzą przypominają towarzyszy podróży odbytej, a jednak oblicza ich wykrzywione, straszne, krwią im nabiegły źrenice. Pędzą jak szatani, grożą mu, wrzeszczą dzikiemi głosy w pościgu. Bojaźnią zdjęty, ucieka przez lasy błonia, kierując się prosto ku swej puszczy; tam go czeka bezpieczeństwo, błogi spokój. Uziajany, spocony, sił resztę dobywając, pnie się pod górę, zbiega potem w dolinę najprostszą drogą do swej kniei.

Wrzaski ścigających coraz bliższe, straszniejsze, a ucieczka jego coraz powolniejsza, bo nogi lgną mu w błocie. Próżno się sili, wydrzeć się na wierzch nie zdoła, nogi ciężą mu niby z ołowiu, tonie; obejmuje go szara, rozrzedzona masa błota, zapada się. Chce krzyczeć o ratunek, lecz już zapóźno, głosu z gardła wydostać nie może, zalewa go brzydka ciecz; krztusi się, robi piersiami, nareszcie przebudził się, ciężko westchnął.

Deszcz nie stukał już w okna, ciemności panowały w szynku. Ze dworu dochodził uszu szmer jakiś, odgłosy kroków, gwar głosów ludzkich, lecz wkrótce przebrzmiało wszystko, cisza zaległa. Szlachcic przeżegnawszy się, przewrócił się na drugi bok i niezadługo zasnął twardo.

Panowie bracia po długiej i mozolnej podróży spali długo, jak po łaźni.

Słońce walcząc z chmurami, ćmiącemi jego jasność, odbiegło już spory kawał od ziemi i zapanowawszy zwycięzko nad siną oponą, oblewało ciepłem i światłością ziemię całą, budząc ją do życia, a w szynku Efraima panowała jeszcze głucha cisza.

Dopiero, kiedy promienie słońca przez okno karczmy padły na oczy Wisłouchowi, szlachcic rażony blaskiem światła, ocucił i widząc, że mimo postanowienia i zwyczaju przespał naznaczoną porę wczesną, zerwał się z posłania i zbudził towarzyszy.

Zabrano się żwawo do ubierania; Wisłouch najprzód gotów wyszedł do szopy, by kazać pachołkom kulbaczyć konie. Któż opisze atoli jego zdziwienie, kiedy stajnię zastał próżną!

— Cóż u biesa, czy czary? — zawołał zdumiony — ni ludzi, ni koni, ni powózki! — W żłobach leżał jeszcze owies niedojedzony, ślady kół i kopyt końskich, choć niewyraźne, bo deszczem zmyte, prowadziły od szopy w stronę Firlejowa. Szlachcic podszedłszy, stanął na drodze, obejrzał się bacznie naprzód i wtył, poczem puścił wzrok w gęsty, ciemny las. — Hultaje — rzekł do siebie, nas okradli, ale ten Żyd nieczciwiara! — i puścił się biegiem do karczmy. Otworzywszy drzwi po drugiéj stronie wywołał Efraima z mieszkania do sieni. Tenże zbliżał się śród ukłonów, ze słodkim uśmiechem na ustach.— Słuchajno Waść — zagadnął p. Baltazar tłumiąc gniew na widok zdrajcy — kto tu nasze konie wyprowadził ze stajni?.. To taki zajazd u ciebie łotrze! wołał coraz groźniéj, wybuchając — więcześ to ty w spółce z rabusiami! A, ptaszku, nie uda ci się sztuka, nie na kpówes trafił! Albo oddasz, coś zrabował, albo podyndasz na hójce! Żyd przerażony padł szlachcicowi do nóg, zaklinając się śród łez i przysiąg, że jest niewinny, brał na świadectwo całą okolicę, jako zajazd jego dobréj sławy używał! — Jeśli kto to te panowie, co tu byli w nocy — uniewinniał się skwapliwie, powstając ze ziemi na rozkaz szlachcica — zajęli konie, ale ja... — Więc byli tu obcy, co za jedni, zkąd! — przerwał niecierpliwiąc się p. Baltazar. — Jak ja ich mam znać, kiedym ich nie widział wcale! — odpowiadał Żyd żałośnie — Oni przyjechali — tłomaczył płaczliwym głosem — w ciemną noc, cała kupa tego, może mędel, może dwa, czy ja wiem! Ziemia jęczała pod kopytami, a mnie strach wziął wielki skryłem się pod pierzynę. Pukali do drzwi, do okien, wołali, moja Sura mi mó-

wiła, alem się bał otworzyć. W ciemną noc po co im otwierać? Może zawadjaki, hałaśniki, ganefy, a panowie szlachta chcą spać spokojnie. Odeszli wreszcie, otworzyli sobie szopę, wyprowadzili konie; Sura wszystko słyszała, bom ja się zagrzebał w piernat! — Wisłouch, którego mimowoli rozśmieszyło na chwilkę to tchórzostwo Żyda, nie prędko jednak pozbywszy się swego podejrzenia, przybrał groźną minę sędziego.

— Sianem — mówił, brwi marszcząc — nie wykręcisz się przedemną, szubrawcze! Ho, ho, zaczniesz ty inaczéj śpiewać, gdy cię weźmiemy w obroty! Twoje tłomaczenie mało mnie obchodzi. Czy tak, czy siak, tyś odpowiedzialny za stratę! Konie u ciebie zginęły, musisz je dostawić, choćbyś ze ziemi wygrzebał! Nie puścimy cię, o, nie, łotrzyku, ze skóry cię odrzemy!...

Efraim wybuchnął głośnym płaczem na tę groźbę, łamiąc ręce z rozpaczy i zawodząc w niebogłosy. Panowie bracia téż sceną niezwyczajną wywabieni ze szynku, wybiegli hurmem, a posłyszawszy o nieszczęśliwym wypadku, podążyli do szopy, tylko Wrzosochaty pozostał na miejscu.

— Odżałować nie mogę — zabrał tenże głos, bijąc się dłonią po czole — żem nie wstał w nocy! Toćem słyszał przecie rozgardyasz koło zajazdu, hałas i stukanie, alem sądził, że to w méj mózgownicy pokutowało!

Tu opowiedział szczegółowo, co mu się śniło i co niby na jawie słyszał, nie przyczyniwszy się atoli wcale do rozjaśnienia sprawy.

Przywołano żonę Efraima do szynku, dokąd towarzysze, sprawdziwszy smutną rzeczywistość pod szopą, pociągnęli ze sobą Wisłoucha wraz z żydem. Zabrano się do ścisłych badań; żydówka potwierdziła słowa męża. Przekonano się ostatecznie o niewinności Efraima. Nastała chwila przykrego milczenia.

Panowie bracia, powarzeni, kiwali głowami, patrząc osowiałym wzrokiem po sobie, z pytaniem niemem na ustach: co tu teraz począć?

Pierwszy Wisłouch zebrał się ze swego zgnębienia.

— Czasu napróżno — zawołał rozpaczliwie — tracić nie możemy! Koni trzeba nam koniecznie! Tyś żydzie — zwrócił mowę do wybladłego, kurczącego się od trwogi Efraima — zawsze skrewił, ciebie się więc trzymamy. Koni nam dostarczysz, skoro chcesz ujść z całą skórą!

Izraelita wyciągnął na te słowa ręce błagalnie. Zaklika zaś, litując się nad nieszczęśliwym, zapytał:

— Czy nie znasz ty, mości Efraimie, dworu szlacheckiego w pobliżu, gdzieby koni dostać można?

Pytany wstrząsnął smutnie głową, lecz godna jego połowica z twarzą brudną, zakopconą, z ryżą peruką na głowie, włosy pokrywającą, odezwała się skwapliwie:

— Dworu w blizkości nie ma, ale jest osada szlachecka niedaleko, Przeloty, szlachty tam jak maku, konie też mają!

Całe towarzystwo ruszyło zaraz. nie tracąc wiele słów, ku osadzie wskazanéj z Efraimem jako przewodnikiem.

Po obu stronach strumyka, wijącego się wężowato doliną, wśród pagórków leśnych, rozsiadły się liczne chatki drewniane wraz z przybudowaniami, zamieszkałe przez pracowitą ludność, szlachecką z urodzenia, lecz schłopiałą przez małżeństwa z Rusinkami pozawierane. Ludek ten zabiegliwy, pilny, a skromny we wymaganiach, las wyżywiał. Z lasu brano drzewo na wyroby stateczków domowych drobnych i znaczniejszych, piłowano kłody na deski, obrabiano budulec, wypalano węgle i smołę. Zamożniejsi posiadali też konie do wywozu swego towaru na sprzedaż. Mieszkańcy tego zaścianka, urodzeni na miejscu, byli

szlachcicami, mocą przywileju nadanego osadzie przez króla Jana Kazimierza, za oddane sobie ważne przysługi w czasie ucieczki. Tymże samym przywilejem darowany został Przelotom spory szmat lasu, do starostwa należącego. Mężowie zaścianka dumni ze swego szlachectwa, choć schłopiali nie bratali się z innymi wieśniakami i zardzewiali w swym zaścianku, ze światem mało się stykając, na obcych spoglądali z nieufnością i podejrzeniem. Ztąd panowie bracia, koni szukający, wcale gościnnego przyjęcia od mieszkańców osady nie doznali. Opowiadanie ich o skradzionych koniach nie wiele znajdywało wiary; nie kwapiono się z udzieleniem pomocy proszącym, zaledwie wpuszczano ich do chaty, pozbywając się czemprędzej natrętów. Zwątpiali zaszli jeszcze za radą Efraima do zagrody wójta osady, na drugim końcu położonéj.

Dostojnik wiejski, człowiek długi, kościsty, z twarzą jak u żbika, całkiem zarosłą, odziany siermięgą, przyjął gości w kapturze na głowie, zajęty wydłubywaniem kobiałki na ławie, na któréj siedział jak na koniu. Kilkoro dzieci pomagało ojcu. Najstarszy wyrostek trzymał kobiałkę obu rękami, przytwierdzając ją do ławy, inne strugały, ciosały, łupały na około ławy; młodsze bawiły się wiórkami na ziemi. Spora kupka tego drobiazgu, tłoczyła się jeszcze, wygrzewając się na zapiecku, blizko ogniska, przy którem krzątała się żona dostojnika, niewiasta, jak kula okrągła, z rozczochraną grzywą włosów na głowie w zbrukanéj codziennem użyciem szmacie.

Ujrzawszy niezwykłych gości, młodsze dzieci zerwały się spłoszone ze ziemi i z zapiecka, biegnąc do kobiety.

— Matko Niebieskiego Pana! co za moc tego pędractwa! — kładł w ucho Zaklika najbliższemu sobie Grozie — niby szarańczy, zjedzą Imcipana naczelnika z flakami! Niedobry ztąd dla nas omen, wcale nie! Imcipan wójt z powodu tak licznéj kon-

solacyi skąpy zapewne i nie użyty! Zobaczysz Waść, że nasze zaloty do jego bachmatów rekuzą się skończą.

Kniaź liczył głowy rodziny w izbie, podczas gdy Wisłouch z pomocą usłużnego Efraima rzecz swą wyłuszczał przed gospodarzem domu, który przerwawszy na chwilkę robotę, nie wstając jednak z ławy, opatrywał ciekawie szlachtę przybyłą. Wzrok jego zatrzymał się na Zabielaku, przypatrującemu się ze swéj strony uważnie, z pewnym rodzajem niepokoju, czy trwożnego zdziwienia panu domu. Kiedy zaś tenże na prośbę Wisłoucha co do koni, drapiąc się za uchem i kiwając głową na odpowiedź wreszcie się zebrał Zabielak, zaledwie parę słów usłyszawszy, zapytał, przerywając niecierpliwie.

— Waść się zwiesz Zegota?

Zapytany wejrzał bystro na szlachcica.

— Tak, — odrzekł z dumą, — Nikita Wszebór Zegota, nobilis!

— O, nie wątpiłem, gdym cię usłyszał, — zawołał żywo Zabielak. — Miałeś Waszmość liczne rodzeństwo — badał daléj natarczywie z drżeniem w głosie — braci i siostry; z tych jednę krasną Dobrosławę, sobie najpodobniejszą, wydaliście za mąż najrychléj. Tu w téj izbie odbyło się huczne wesele, cały zaścianak został sproszony. Czy nie wiesz co się z nią stało?

Pytany wzdrygnął ramionami.

— Czort ją zwiał — mruknął pogardliwie.

— Niceś nigdy o niej nie słyszał nawet? — nacierał szlachcic.

— Hm, Dobrosława — odpowiadał niechętnie pan domu — wielka pani, wyparła się rodzeństwa, co mnie do niej!... Ludzie mówią — dodał — że szczęście miała, brała męża po mężu, aż wreszcie za starostę się wydała, niechaj się wydała, ja jej nie znam wietrznicy! — i zakończył brzydkiem przekleństwem.

Zabielak słuchał tych słów niby porażony, mienił się na twarzy, oczy mu zabłysły.

— Więc jednak ona — gadał do siebie niby w gorączce — podejrzywałem zawsze! — a głośno zapytał: Czy Wasze nie spamiętał nazwiska może?... starościna Mołodecka?

Badany kiwnął głową potwierdzająco. Zabielak zaś podniósł głos, zwracając się do cisnących się koło niego ciekawie towarzyszów.

— Wypadek niesłychany — mówił — bodaj zdarzył się kiedy na świecie: białogłowa dwu naraz miała mężów, z tych drugi, starosta Mołodecki, już pogrzebion, kiedy pierwszy, ja Zabielak, żyw jeszcze! Cóż wy na to Mościpanowie!... Rozumiesz ty Mospanie Żegoto mowę moją — wygłaszał coraz namiętniej — siostra twoja cna Dobrosława, bigamię popełniła, dwużeństwo; jam jej pierwszy mąż, bo to moje było wesele tu w tej chacie, zaś kilka lat później poszła za mąż za starostę. Dwu mężów naraz, to kryminał, zbrodnia, infamia! sąd, potępienie na ziemi i na niebie! — podnosił głos aż do krzyku, oburzenia pełnego.

Pan domu obojętny dotąd, strug trzymany w ręku, położył na ławie, wlepiwszy oczy w zapłomienione od uniesienia oblicze szlachcica. Niewiasta też podniosła kołtuniastą głowę od komina i obejrzała sobie poraz pierwszy śmielej swych gości, dzieci nawet puściwszy z rąk fałdy matczynej sukni, pootwierały, jak szeroko usta.

Wszystkich wstrząsnął odgłos słów groźnych szlachcica. Tenże, uważając za stosowne, wytłumaczyć się jaśniej przed zdumionymi towarzyszami, podjął mowę w spokojniejszym tonie:

— Nie sądziliście nigdy, Mościpanowie, aniście też mogli syponować, jako ja stary ów dworak, szaławiła, chudopachołek bez domu i łomu w innych zgoła żył kiedyś kondycyach. Pocom miał dopiero

oczy otwierać bez celu nijakiego i potrzeby! Miał ci ja ongi własną substancyą i dobytek, dzierżawą trzymając folwark Suchy Wilk z włości Morsztynowych! I w stanie małżeńskim przetrwał lat parę. Bies mnie otumanił, urok zadała, ziemio rozstąp się przedemną! dziewka gładka, zalotna, a niecnotliwa tu z tej chaty! Kiedym ujrzał i usłyszał mówiącego tego oto Jegomości, mego.. szwagra, wszystko stanęło mi zaraz w pamięci, żona moja, tfy! sadyba cała, zagroda starego Żegoty i wszystko, com przebolał na świecie... W lat trzy swywolnica chudobę mi rozproszyła na szaty, świecidła, fatałaszki, na goście, zabawy, fumy i szumy! Uczyniła mnie żebrakiem, a przeczuwając nędzę i niedostatek, odbiegła mnie zdradziecko wraz z moją małą Inią!...

— Co Waćpan mówisz! — przerwał Wisłouch zdumienia pełen — więc ta dziewica wspaniała i piękna, niby z królewskiego rodu, miałażby być twoja...

— Córka rodzona — dokończył Zabielak z goryczą.

— W zapowiedziach już pozostaje z Firlikiem — zauważył kniaź — o jej nazwisku, jako ze Zabielaków właśnie pochodzi, dopierośmy się z kościoła dowiedzieli. Nikomu atoli przez myśl nawet nie przeszło, że to krew twoja Mospanie!

— W zapowiedziach, oni już w zapowiedziach, o! — powtarzał strwożony szlachcic — do ślubu jednak nie przyjdzie nigdy! — zawołał z mocą — należałoby jednak, mniemam, uwrócić chyba do Lwowa, jak sądzisz, Mości kniaziu?

— Nie ma się po co spieszyć — odparł tenże — narzeczeni po drugiej dopiero zapowiedzi!

— Zatem naglącą sprawę pierwej należy załatwić, ale duchem — rzekł spokojniej Zabielak i zagadnął gospodarza domu:

— Widzisz Mości... szwagrze, jak nam spieszno! Nie byłbyś moim powinowatym, gdybyś w takiej okazyi gdzie chodzi o uwolnienie jeńca niewinnego, nie udzielił pomocy! Poczynaj sobie jak chcesz, ale daj koni!

— Koni, koni! — wołał gorąco Wisłouch. — Wiecie Mościpanowie, co mnie w tej chwili na myśl przyszło?... no, ale o tem potem. Powiem wam jeno, że się tam może pali, mnie przeczucie nie zawodzi! — i przemówił ze swej strony Żegocie do serca:

— Ruszże się Waść do biesa! wyleź ze swej skorupy ślimaczej! Musisz wiedzieć, że tu chodzi o życie człeka i to jakiego! Na rany Boskie błagamy! Nie chciejże ręki przyłożyć do strasznej zbrodni przez twe opieszalstwo i niegościnność! Nie zapomnimy ci przysługi nigdy! Sam Łowczyc, ów więzień, srebrnemi talarami cię zasypie!

— O tak, nagroda cię nie minie! — przywtarzali towarzysze — starościc, pan to hojny i bogaty!

Obietnica poskutkowała; Imcipan Zegota ruszył się wreszcie, wstał z ławy, dzieci rozesłał po kumach i krewniakach ze stósownemi poleceniami, sam ofiarował swego mierzynka.

W kilka chwil panowie bracia siedzieli już na koniach, nie na wierzchowcach wprawdzie, ani biegunach wypróbowanych, zawsze jednak czuli czworonogi pod sobą i pozbyli się ciężkiéj troski.

Do hufca przydał przezorny Żegota własnego wyrostka, wsadziwszy go na źrebca na oklep; tegoż zadaniem było pilnować, by koni nie uprowadzono i z Firlejowa z pociągiem zwróconym wrócić do domu.

Ruszono z kopyta, wkrótce atoli doświadczono, że gorącym życzeniom domorosłe, spracowane rumaki mało odpowiadały, postępując, skoro tylko sposobność się natrafiła, żółwim krokiem.

Niezadowolony ztąd Wisłouch najmocniéj jął prychać, spluwać, aż wreszcie wybuchnął niecierpliwie:

— Czort jakiś figle płata nam po drodze! Mitręga spotyka nas po mitrędze! Byle jeno nie zapóźno przyjść ze sukursem. Sprawa widzi mi się nieczysta, jakem już wzmiankował i trwogi niewytłomaczone ogarniają mnie całego. Biję ja się z myślami czas już spory i przyszedłem do wniosku, że to nie łotrzykowie zwyczajni konie nam ze szopy w Dąbrowie wyprowadzili. Uważcie no sami: pojmali nam pachołków i podwodę!... przekąski też przepadły i wino, gąsiorki omszałe! A takeś sknerzył Mościpanie kniaziu — mówił żałośnie wzdychając — człek zaledwie skosztował nektaru kosztownego, zaś to hultajstwo sprosne gardziele sobie smaruje, pławi się w takim trunku! Możnaby pęknąć z desperacyi! Głód i pragnienie człeka uciska, a niepotrzebnie. Należało wczoraj z wieczora zaopatrzyć się należycie na zamiar do dzisiejszéj wczesnéj wyprawy tak jakem ja radził!

Słysząc to narzekanie i widząc zgryzotę głęboką szlachcica, wyrytą na twarzy, kniaź uśmiechnął się mimowoli, pomimo ogólnego zwarzenia umysłów i rzekł pocieszająco:

— Nie bierz sobie Waść znów tak gorąco do serca téj ostatniéj straty. Nagrodzisz sobie łatwo ubytek w żywocie przy lada okazyi! Obmeszałych zaś gąsiorków w piwnicy u marszałka wcale nie brak, i skoro jeno powrócim szczęśliwie z wyprawy, ja sam wstawię się u Imcipanny Gertrudy, by cię suto utraktowała. Explikuj jeno Waszmość swoje racye, jakoś zaczął.

Zagadniony kończył żałosnym jeszcze głosem:

— Więc pytam ja was, Mościpanowie, po co uprowadzili nam pachołków, podwodę? Otóż impedymenta nam mnożą, zasobów pozbawiają, by po-

wstrzymać wyprawę. Któż taki?... Firlik i starościna. Wytropili nas zatem, co nie było trudno, gdyż nie dość ostrożnie do dzieławy się brali. Wieść o naszéj zbrojnéj expedycyi z miasta mogła dojść uszu zbrodni, z powietrza ją schwytali, czy ja wiem! Dość, żem przyszedł do konkluzyi, jako nikt inny, jeno wrogowie Łowczyca siepaczy w trop za nami wysłali i oni to w Dąbrowie nas złupili. Teraz więc łotrzyki dawno już nas prześcignęli i Łowczyca dzierzą. Czy rozumiecie, Mościpanowie, w jak wielkiem niebezpieczeństwie pozostawa nasz więzień?

— Dalibóg, wielkie prawdopodobieństwo — zawołał na te słowa wylękniony Zabielak — o, wy nie znacie jeszcze dobrze téj wściekłéj niewiasty, gotowa ona na wszelkie zbrodnie!... Dopowiem wam tylko moją historyą i sami tedy osądzicie. Kiedym ją ścigał w ucieczce, a szła z rąk do rąk, kryjąc się przedemną, bom szalał jeszcze za nią, bił się, łba nadstawiał — Panie odpuść mi wszystkie grzechy! — pułapkę na mnie zastawiła i ledwom się skrytobójcom z rąk wyśliznął. Odtąd przestałem ją gonić, wyrzekłem się niegodziwéj, przeklątem! Na kilka lat straciłem ją całkiem z oczu, aż dziwnym trafem spotkaliśmy się w mieście Stryju. Ja sprawowałem niby urząd koniuszego w pobliskiéj Suszy, w rzeczy zaś saméj łaskawy chleb dał mi, znękanemu na ciele i na duszy, wspaniały starosta. Ona, zabawiając się u krewnéj, do ślubu się gotowała, gdyż złowiła zalotnica grubą rybę, możnego starostę. Poznała mnie przy spotkaniu, gdyż się strwożyła, jak gdyby grom w nią uderzył. Jam téż w niepewności nie pozostawał, kogo miałem przed oczyma, a jednak wątpliwości znów mnie ogarnęły. Nie może być, myślałem sobie, by się znalazła na kuli ziemskiéj białogłowa tak zuchwała! Jakżeby odważyła się wstępować w nowe związki, widząc

pierwszego męża żywego? Czekajmy końca! Zastanowiła mnie tylko ta okoliczność, że wkrótce po spotkaniu starosta wskazał mnie wraz z niedorostkiem synem swoim na wieczne wygnanie do Przygórza. Ślub odbył się rzeczywiście i to bez nas; starosta pojął w małżeństwo Wpannę Eudoxią Żegotównę. — Więc to nie ona, powiedziałem sobie, ani się domyślając, że Eudoxia z turecka czy grecka to samo właśnie znaczy, co Dobrosława; a może się dała przechrzcić przez popa schyzmatyka, skrupułów bo tam u niéj nie ma zgoła! Ze starostą żyła jak ze mną. Słysząc o rozpustnem życiu starościny, znowum powziął podejrzenie; widziałem ją późniéj jeszcze kilka razy, ale że mi się jakoś odmieniła, wypiękniała, wymłodziła, sekreta musi mieć od ciotów z Łyséj góry — więcem znów popadł w dubia. Tymczasem starosta umarł, a w jakim ucisku! Piekło stworzył sobie na ziemi ony ów pan przez nobrotliwość swoją i uległość. Więziła podobno na ostatku chorego ta szatanica, a może i otruła!... A to jeszcze nie wszystko — kończył Zabielak — Łowczyc wyrósł na słusznego młodziana, starościnie się spodobał i czy uwierzycie Mościpanowie, macocha pożądała, o zgrozo, własnego pasierba! Posyłała po niego, ciągnęła, wabiła! Łowczyc sam nie zwierzał mi się wprawdzie ze strasznego sekretu, bo człek z natury jest skryty, alem ja przecie nie ślepy; odgadnąłem łatwo, co się święci. Ztąd też datuje się ten jego wstręt nieprzezwyciężony, nienawiść, jaką powziął do całego rodu niewieściego! Ona zaś mści się teraz na pasierbie ta zajadła poczwara, usiłuje go z majątku wyzuć, zniszczyć. Wściekłość jéj nie zna bowiem granic, a Imcipan Wisłouch trafnie się pewno domyślił, jako morderców wysłała, posłyszawszy, że przyjaciele uwięzionemu biegną na ratunek!

Ciarki przebiegły po skórze słuchaczom na ostatnie słowa, a Groza zawołał gorąco:

— Więc w konie, Mościpanowie, nie żałować chebetów, choćby i popadały!

Popędzono wierzchowce i puszczono się kłusem wyciągniętym, mimo głośnych protestów wyrostka Żegotowego, wlekącego się wolno na samym końcu. Młodzieniaszek bowiem — strzegł bachmatów zaściankowych jak oka w głowie i strofował panów braci, gdy takowe wypuścili, uważając za wybryk i zdradę, skoro rumaki jego do skorszego, aniżeli zwyczajnego, w zaścianku przyjętego za zasadę, chodu, przynaglano. Życzeniom wyrostka stało się wkrótce zadość, gdyż i konie niezwyczajną zmianą zdziwione, opierały się, o ile mogły, wymaganiom sobie stawianym. Droga też leśna, którą ustawicznie teraz dążono, stawała się uciążliwą i mozolniejszą śród gór coraz stromszych, tak że jeźdzcy z rozpaczą w sercu, widzieli się zniewoleni, zaprzestać próżnéj walki z przeznaczeniem i zdać się na łaskę i niełaskę swych wierzchowców.

Po kilku godzinach wolnéj, nudnéj podróży w czasie któréj panom braciom z wielkiego znużenia mówić się prawie odechciało, zjechano z gór nad wąwóz głęboki z bystrym strumykiem na dole, po prawéj stronie gościńca w dal wychodzący. Tuż obok wiodła drożyna wązka, wydeptana, raczéj ścieżka, prowadząca do sioła. Kniaź. wysforowawszy się z koniem naprzód, zawołał radośnie, wskazując na wioskę.

— Otóż Chrapy, alias Firlejowo! Pojedziemy tu tędy! bliżéj daleko i droga lepsza!

VI.

Przeczucie nie zawiodło Wisłoucha; odsiecz przychodziła za późno. Łowczyca uwieziono z lochu podedworem Firlejowskim. Kniaź dotarłszy na samo miejsce, podczas gdy towarzysze jego przed wioską się zatrzymali, przyniósł tę smutną wiadomość, potwierdzoną przez gubernatora Imcipana Łazarewa, który wraz z Kniaziem podążył też do panów braci.

— Więźnia uprowadzili — zdawał tenże sprawę— łotrzyki z polecenia samego pana. Wywieźli go z wielkim pospiechem w rannéj godzinie podwodą, obrawszy kierunek wielkim gościńcem ku Stryjowi.

Rozpytując się o szczegóły, panowie bracia dowiedzieli się, że szajka była liczną, dowodzoną przez człowieka silnego, obrosłego jak niedźwiedź na całéj twarzy, szramami okrytéj, dzikiéj i zuchwałéj.

— Goszczyc! — zawołał przerażony Wisłouch, poniechawszy z trwogi pochlubić się trafnością swego domysłu.

Nie mniéj porażeni stali w milczeniu chwilę sporą, jakby im słowa na ustach były zamarły, drudzy panowie bracia. Herszt opryszków nabrał w ostatnich czasach we Lwowie i okolicy tak strasznego rozgłosu, że samo imię jego przerażało. Kniaź pierwszy radził odwrót, Zabielak i Zaklika się wachali, tylko Wisłouch i Wrzosochaty oświadczyli stanowczo, że ścigać będą ślad uwiezionego choćby na koniec świata.

— Kto zaś tchórzem podszyty — zauważył Wisłouch, odzyskując wnet męztwo i zwyczajną swą sprężystość — niechaj wcześnie się cofnie i owszem, by nie żałował po nieczasie. Przedsięwzięcie to bowiem śmiałe i niebezpieczeństw pełne, wymaga mężów odważnych i na przygody gotowych. Takich snadno zbierzem jeszcze, bo ludzi prawych i śmiałego ducha nie brak, chwała Bogu nigdzie! Temi słowy zawstydzeni, wszyscy oświadczyli gotowość należenia do wyprawy. Pożegnawszy gubernatora, ruszono zaraz pieszo do niedalekiéj Sroczy, włości marszałka, by tamże w konie i ludzi się zaopatrzyć. Kilku odważnych ludzi dworskich i stósowne rumaki wybrał sam Wisłouch. Wygłodniali, zaspokoiwszy potem głód i pragnienie, wyruszyli po południu, wskazanym sobie śladem, wyciśniętym na miękkiéj ziemi przez liczne kopyta końskie w las głęboki.

Imcipan Baltazar, starając się przedewszystkiem jeźdzca utrzymać przy ochocie i dobrym duchu, wysnuwał z głowy wesołe opowiadania, żarciki i dowcipy, podróż więc odprawiano wśród gwaru ochoczego, zapomniawszy o niebezpieczeństwach. Kiedy jednak z głównego gościńca, kierując się ciągle śladami przez końskie kopyta znaczonemi, zjechano w bok na szlaki mniej pewne, zagłębiając się w puszczę dziką, głuchą, nieprzejrzaną, wesołość znikała, głośne rozmowy przycichły, uśmiech konał na ustach. Dziwne uczucie niepokoju, zatrwożenia ogarnęło serce i najodważniejsze. Głęboka cisza panowała naokoło. Majestatycznie strzelały ku niebiosom wspaniałe buki, klony, odwieczne dęby, niby książęta lasu; zdawały się one dumnie spoglądać z wysokości na hołotę leśną karłowate sosny i brzozy pod osłoną olbrzymich konarów nieśmiało swe wierzchołki wznoszące do góry. Gęste sploty pasożytów, jak bluszczów, chmielów, wilców różnego rodzaju obejmowały pnie drzew, wchodziły na gałęzie, łączyły się ze sobą, krzyżowały, tworząc tu i owdzie gąć gęstą, nierozerwalną.

Słońce skryło się właśnie za góry, a w półcieniu puszcza stawała się jeszcze dziksza i tajemnic pełną. Jechano coraz wolniej i spokojniéj; do rozmowy nikt nie czuł ochoty. Ten i ów tłumił oddech nawet w piersi, jakby z obawy, by nie zwrócić na siebie uwagi i nie rozbudzić usypiającego, potężnego ducha téj puszczy.

Na drodze czerniał zdala jar gęsty, zarośnięty, groźny, niby otchłani czeluście. Ominąć go nie było można, gdyż z obu stron drogi wchodził w las głęboko, tu stanowiąc wąwóz przedłużony, nie do przebycia, tam przechodząc w strome, piętrzące się wzgórza.

Wisłouch sam przekonał się o trudnościach naocznie i wróciwszy, chwilkę zawahał, co czynić wypada. Jeźdzcy wszyscy zatrzymali się przerażeni przed otchłanią, wzrok zapuszczając w jej ciemne taj-

niki, jakby takowe przeniknąć usiłując. Nikt się nie kwapił naprzód, a Imcipan Baltazar, spostrzegłszy zwątpienie ogólne, zawołał, dodając towarzyszom ducha:

— Czy nie wstyd! mężów uzbrojonych od stóp i do głów dziesięciorgo waha się i trwoży sobą? Marsz naprzód, wolno, ostrożnie z dłonią na rękojeści szabli, oczu na wszystkie strony dobrze zażywając.

I skoczył naprzód; wszyscy ruszyli za przewodnikiem, dwójkami się ustawiwszy dla braku miejsca we wąwozie. Spuszczano się wolno, przezornie w głęboki wędół; cisza panowała naokoło, jakby makiem zasiał. Puszczyk tylko zakwilił jękliwie gdzieś w pobliżu, po drugiej zaś stronie załomotał skrzydłami wielki ciężki zdało się ptak, zabierając się do lotu. Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę by ujrzeć sępa czy orła wznoszącego się w górę, kiedy nagle, bez szelestu prawie z zarośli przyległych wynurzyło się kilkunastu ludzi zbrojnych. Wisłouch najpierwszy rękojeścią szabli silnie w głowę uderzony, zanim się opatrzył, ściągniony został z konia; drugi opryszek wyginał z nóg zwalonemu ramiona na grzbiet z wielką zręcznością i szybkością, zakładał mu więzy na ręce; a że szlachcic przyszedłszy do przytomności, opierał się zajadle, skrępowano mu i nogi. Hufiec cały stanął; jeźdźców rozbrajano pospiesznie, ze siodeł ich wyrzuciwszy. Najdłużej bronił się Wrzosochaty, lecz i tego niezadługo pokonano i rozbrojono. W kilka chwil konie pozostały bez jeźdźców; z gąszczy pokazała się straszna, postać Goszczyca. Opryszek uśmiechał się szatańsko z zadowolenia.

— Otóż to mi rycerze! — mówił z przekąsem, nie więcej trudności z wami było, jak kiedy się trznadle chwyta na sidła — za jednem pociągnieniem sznurka cały tuzin tego! Mógłbym wam teraz łby poukręcać, gdyby mnie fantazya napadła!

Na tę groźbę kniaź pobladł na twarzy, co spostrzegłszy Goszczyc, jął uspakajać strwożonego.

— Nie strachajcie się atoli, co mnie z waszej śmierci przyjdzie! Gdybym był chciał, byłbym was mógł już w Dąbrowie wyprawić na łono Abrahamowe. Lecz po co to. Dla zabawy ja przecie ludzi nie rzezam. Tylko, że mi się sprzeciwiacie, podpatrujecie, cóż mam czynić? muszę się oganiać!... I tak zuchwale w dziesięć głów i to samej hołoty rzucać się na sławny hufiec Goszczyca! poszaleliście chyba! No i wleźliście w pułapkę dobrowolnie, jam was musiał wyłapać przecie, byście mi nie bruździli, ale, Dalipan, kłopot mam tylko z wami — mówił oglądając sobie z szyderczem uśmiechem pojedyńczo rozbrojonych.

Stanął potem przy kniaziu i namyśliwszy się chwileczkę, mówił dalej poważnie:

— Mój proceder, Mościpanowie, daje mi wyżywienie i moim ludziom, pojmujecie to łatwo. Za wasze zuchwalstwo też kara spotka was słuszna, równie jak za moją mitręgę i pracę należy się wynagrodzenie. Otóż słuchajcie, co postanowiłem: Za każdą głowę szlachecką zapłacicie mi okupu po sto talarów bitych! Myślę, że nie można żądać więcej za puste łby wasze!... A jakże z pieniędzmi, czy macie więcej w kalecie niż w mózgownicy?

— Któż tyle grosza nosić będzie przy sobie — zawołał kniaź trwożnie.

— Hm, nowa trudność — zauważył opryszek, kręcąc głową. — Lecz — dodał po chwili — i na to znajdzie się rada... Zostawię sobie kilku z was jako zastaw, ciebie, Mości kniaziu np. i tego grubego szlachcica, zda się przywódzcę — mówił wskazując na Wisłoucha — tych dwu wystarczy nawet. Resztę, niby plewę, wypuszczę na wolność, niechaj idą wystarać się o wykup. Dodam im przewodników nawet, by ich wywiedli na dobrą drogę. Za dni... trzy przybędą z pieniędzmi. Tu w tym jarze, dobrze wam wszystkim znanym, będą czekali moi

ludzie. Skoroby zaś wysłańcy mieli skrewić, na! wtedy, Mości kniaziu, daruj, ale twoja głowa w niebezpieczeństwie, równie jak i owego grubego szlachcica! Wtedy jesteście wy obaj, jakoby na gardło wskazani. Niech się też nie marzy wolnym o odbiciu jeńców; o, w takim razie nie umiem żartować. Nie wchódźcie mi zresztą w drogę nigdy, Mościpanowie, radzę wam, gdyż na drugi raz z całą skórą nie wyjdziecie. Co do pachołków — dodał po chwilce — także okup za nich mi przypada, licząc tylko po... 10 talarów za głowę należeć się będzie: tutaj pięciu, z Dąbrowy dwu... Ale wino! — zawołał, przypomniawszy sobie — mieliście ze sobą zacne, niech was uściskam. Uraczyłem się jak nigdy! Wiecie wy co! zamiast pieniędzy, przywieźcie wy mi za każdego pachołka po gąsiorku waszego wina. Dalibóg, dobra myśl przyszła mi do głowy!

Na ostatnie słowa, Wisłouch, jak baran związany, z siłą wielką podrzucił się do góry i z brzękiem opadł na ziemię, wyrzucając zarazem z ust brzydkie przekleństwo, Goszczyc zaś w mniemaniu, że więzień czynił wysilenia, by więzy ze siebie rzucić, skinął na opryszków, dając im stósowne polecenia. Grubego szlachcica, któremu pęta na nogach nieco zluźniono, uprowadzały silne ramiona w gęstwinę, w oddaleniu kilkaset kroków od jaru, gdzie w miejscu ukrytem i bezpiecznem znajdowało się obozowisko łupieżców. Kniazia także rozkazał zawieść tamdotąd herszt zbójów i zwracając mowę do pozostałych na miejscu jeźdźców, którym broń i konie oddano, rzekł na pożegnanie.

— Spamiętajcie sobie dobrze to miejsce: Siny jar, znany na okolicę! W trzy dni dostawicie tu 500 talarów, jakoteż siedm gąsiorków wina, albo zakładników waszych ujrzycie na gałęziach téj sosny między niebem a ziemią!

Wieczorem wił się niby w boleściach na posłaniu ze mchu i suchych liści kniaź leżący pod konarami rozłożystego dębu i zawodził pocichu, złorzecząc tuż obok spoczywającemu Wisłouchowi.

— Waść winien — mówił rozpaczliwie — całemu nieszczęściu! Bodaj ci był język kołem pierwéj stanął, zanimeś mnie do téj całéj wyprawy namówił, zanimeś mnie popchnął do tego jaru piekielnego!... Nie szaleństwo rzucać się na tę zgraję łotrów wypróbowanych w dziesięć koni! Goszczyca umyśliłeś ujarzmić! Łacniéj z szatanem samym wojować! Zginąć przyjdzie marnie, bo któż tu będzie chciał za mnie sto talarów wyłożyć! Marszałek wcale nie; jużem mu się uprzykrzył. Rad będzie, że mnie się w łatwy sposób pozbędzie! Oj, dolaż moja, dola!

Wisłouch nie odpowiadając, obojętny niby, wpatrywał się bacznie pół leżąc, pół siedząc w ogromne ognisko, na samym krańcu urwiska płonące, na kilkadziesiąt kroków oddalenia.

Zbóje rozłożeni niedbale na około, gwarzyli ochoczo, zapijając gorzałkę; kilku obracało na drewnianych rożnach olbrzymie pieczenie z dziczyzny zapewne.

Na samym końcu tegoż ogniska siedział na pniu drzewa Goszczyc wraz z najprzedniejszymi z opryszków, klęczącymi, lub na pękach chrustu siedzącymi, na około dranicy, jako stół urządzonéj.

Opryszki przy stole rzucali kości o pieniądze — nie trudno się było tego domyślić po ich ruchach, jako też po brzęku miedziaków, po dranicy rzucanych.

Długi czas wpatrywał się Wisłouch w ten cały obraz, smutnie zadumany nad swojem położeniem. Tysiączne myśli snuły mu się po głowie.

Ciekawie pytał siebie samego, czy Zabielak i towarzysze będą zbierali pieniądze na okup po przyjaciołach, czy też obmyślą wyprawę. Niezawodnie zbrojną napaść urządzą, bo grosza skąpi każdy.

Lecz wyprawa nie uda się z pewnością, nie było tam człeka, któryby umiał prowadzić! Choćby się nawet udała, skoro ściągną mnogo ludu, uderzą, nie mniéj on wraz z kniaziem, jako zakładnicy, na niebezpieczeństwo wystawieni.

Goszczyc zawiedziony i oszukany, przedewszystkiem do zakładników się zabierze, ze zemsty choć jeno saméj zagra im na gardle. Należało samemu pomyśleć o ratunku, lecz w jaki sposób?...

Pieczenie zdjęto tymczasem z ognia; na dane hasło towarzystwo całe ruszyło do smacznéj wieczerzy; jedzono żarłocznie, popijając gorzałkę.

Z najedzonych jeden powlókł się potem leniwie ku dębowi, pod którym spoczywali jeńce.

Luzowano straż; opryszek bowiem, który dotąd z nabitą bronią w ręku chodził kole dębu, opuszczał swe miejsce.

Nowy zaś posterunek nie okazywał widocznie ochoty do pełnienia swych obowiązków z tą samą gorliwością, co jego poprzednik. Stanął bowiem z daleka od legowiska bez broni w ręku; przeciągał się, poziewał, oglądając się na ognisko.

Przybliżywszy się nareszcie i sprawdziwszy, że straży jego powierzeni jeńcy w śnie spoczywali głębokim — Wisłouch również jak kniaź, niby umówieni, wyciągnęli członki na posłaniu i zamknęli oczy — wrócił do towarzyszy.

Ciągnęła go tamdotąd wesołość, światło, trunek.

Wisłouch, spostrzegłszy tę szczęśliwą okoliczność, natężał umysł, jakby skorzystać najlepiéj z niedbalstwa stróża.

— Byle jednę rękę mieć wolną! — powtarzał sobie rozgorączkowany.

Palcami jął obmacywać sznury na swych rękach, o ile zasięgnąć zdołał. Poznał, że takowe mocne były i grube. Westchnął żałośnie, lecz naraz oblicze jego zajaśniało radością; szczęśliwa myśl

przyszła mu do głowy. Tłumiąc głos, zapytał biadającego jeszcze ciągle towarzysza niedoli:

— Mości kniaziu, chcesz być wolnym?

Pytany odrzekł niechętnie:

— Nie szydź waść z nieszczęśliwego!

— Na żart niewczesny chwila ta całkiem niesposobna — mówił poważnie pierwszy — pytam jegomości po raz wtóry, ażali chcesz być wolny?

— Nie kuś, waćpan — odparł badany, lecz głosem, w którym brzmiała radosna nadzieja.

— Masz jegomość mocne zęby? — pytał daléj szlachcic.

— Dotąd trzymają się nieźle w szczęce — odpowiedział towarzysz zdziwiony. — Lecz po co takie pytanie? — dodał.

— Bo od twoich zębów zależy — mówił Wisłouch — nasze uwolnienie!

I przewróciwszy się na posłaniu, podsunął ku twarzy towarzysza swe ręce spętane.

— Ot, ten sznur główny, na którym palec trzymam, należy rozciąć — mówił. — Więc gryź, żuj, siecz, mości kniaziu. Gdybyś kły miał ostre i śpiczaste, jak u myszy, co za szczęście dla nas obydwóch!

Kniaź znalazłszy ustami wskazane miejsce, zabrał się z zapałem do swego zadania; w kilka chwil sznur został rozgryziony. Wisłouch jął potem pracować z natężeniem rękami; przeginał się, mocował, rozszerzał sploty.

Prędzéj niż się spodziewał, wyciągnął z więzów lewe ramię; bez trudności następnie prawe.

Drżąc od wzruszenia, sięgnął teraz do kieszeni po kozik wielki, ostry, świeżo na wyprawę wytoczony; z łatwością przeciął nim więzy krępujące nogi. W ten sam sposób zdjął pęta z rąk towarzysza. Jeńcy byli wolni. Imcipan Baltazar miał ochotę wyskoczyć w górę z wielkiéj radości, krzyknąć po-

tężnym głosem, lecz się uhamował. Kniaź zabierał się pospiesznie do ucieczki; towarzysz go jednak powstrzymał.

— Na Boga, co czynisz, mości kniaziu! — zawołał przerażony — sam w puszczy zginiesz marnie! gdyż ja nie ruszę się ztąd, dopóki nie odkryję Łowczyca!

Strofowany stanął i wracając się, spostrzegł strwożony wyruszający od ogniska ku dębowi posterunek. Padłszy zaraz na ziemię, niby gromem rażony, popełznął na swe dawne miejsce; to samo uczynił Wisłouch. Opryszek, znalazłszy więźniów na dawnem stanowisku, snem rzekomo ujętych, pokwapił się wnet do swoich. Jeńcy odetchnęli.

— Widzisz, jegomość — pouczał leżąc Wisłouch, jakiéj ostrożności zażyć nam trzeba, by się z rąk naszych oprawców wydobyć! Dla zmylenia czujności straży należy płaszcze nasze tu zostawić!

I mówiąc te słowa, podniósłszy się, zdejmował z ramion wierzchnie odzienie; okrył niem miejsce, na którem był leżał. Kniaź naśladował wiernie wszystkie czynności towarzysza. Obaj uchodzili potem ostrożnie w przyległe zarośla. Za radą Wisłoucha okrążano obozowisko, opatrując takowe z gęstwiny w przyzwoitem oddaleniu od ogniska. Naprzeciwko Goszczyca zatrzymali się zbiegi. Herszt zbójców oddany był grze z namiętnością; zauważano jednak, że mimo zacietrzewienia się swego, wzrok słał co chwila w pewne miejsce ciemne, na schyłku pagórka położone. Szlachcic wpatrzywszy się tam nie zdołał dla ciemności tu panującej nic odkryć, ani rozróżnić żadnego przedmiotu. Sporą chwilę wytrwał jednak na swojem stanowisku, zastanawiała go bowiem baczna czujność opryszka. Na naleganie towarzysza, marzącego tylko o ucieczce, uchodzono już daléj, kiedy głuchy brzęk kajdan doszedł uszu obu towarzyszy niedoli.

— Łowczyc! — krzyknął szlachcic, w radosnem uniesieniu nie umiejąc się uhamować, tak głośno, że czujne ucho Goszczyca zachwyciło odgłos mimo oddalenia; zbój odwrócił głowę niespokojnie, zbiegi strwożeni zatrzymali oddech w piersi. Nie zauważywszy nic więcéj, herszt opryszków, zatopił się znowu w swojéj grze, a więźnie cofnęli się kilkanaście kroków w głąb puszczy.

— O, gdybym tak miał, Mości kniaziu, ze sobą choć kilku tylko zuchów — mówił Wisłouch z gorączką, drżącym od wielkiego wzruszenia głosem — wpadłbym jak grom na to łotrostwo i poraziłbym ich, na honor! Pora najsposobniejsza! Tamci na wpół pijani wylegują się bezpiecznie przy ognisku, ten tu w grę swoją ducha całego włożył! Trzydzieści głów liczy szajka, lecz krom Goszczyca, nie znajduje się tu ni jeden mąż odważnego ducha, tłuszcza to podła, płocha, tchórzem podszyta, do rabunku i morderstwa skora, lecz nie walki otwartéj...

— Wisłouch! Dalibóg jego głos, czy to Waszmość? — doszedł w téj chwili uszu zbiegów przytłumiony odgłos z pobliża i zarazem z gęstwiny wynurzył się mąż olbrzymiej postawy.

— Wrzosochaty! — odkrzyknął zagadniony i z wielkiego zdumienia otworzył na chwilkę usta jak szeroko, nie inaczej, jak gdyby był ujrzał niebiosa przed sobą się roztwierające.

— Jam to we własnéj osobie — mówił Groza uradowany — i nie sam w kompanii znajduje się krom Zabielaka i Zakliki, Mości pan Wydźga, Białozór, trzej bracia Bąki, obaj Zacharewicze, Leliwa Szemiot i cały zaścianek Ratyhiniecki wraz z pachołkami, puszcza roi się od ludu, zważajno Waszmość!

Jakoż zdumionych więźniów okalała witając, wielka gromada zbrojnych. Wisłouchowi łzy stanęły w oczach z wielkiej radości.

— Jezus, Marya! — wołał niby szalony, nie dowierzając własnym oczom — ludkowie mili, to cud, Dalibóg cud! Św. Michał jakoby zesłał z nieba swe zastępy na pomoc uciśnionym! Czy mi się marzy, czy na jawie się dzieje?

— Ocknij się, Mościpanie Wisłouchu! — odezwał się na te słowa najbliżej stojący Wydźga — z twego zadurzenia, oglądaj nas trzeźwym wzrokiem. Nic przy tém nie stało się nadzwyczajnego. My ciągniem — objaśniał w krótkich słowach — dzień już drugi puszczą na pomoc uwięzionemu Łowczycowi. Po drodze naszlim na Mościpana Grozę z towarzyszami. Ci wyłuszczywszy sprawę powiedli nas puszczą ku Sinemu jarowi; silny dym nas zalatujący dał znać o koczowisku łotrów i takeśmy się przedzierając zeszli niespodzianie, a waćpanowie jakeście się tu znaleźli?

Szlachcic opowiedział zwięźle całe zajście, nie mogąc jeszcze ciągle wyjść z podziwu i kończył radośnie:

— Przejrzeliśmy na wylot całe obozowisko, odkryliśmy Łowczyca, znamy stanowiska. Przy ognisku nad samą przepaścią — mówił, wskazując ręką — znajdują się główne siły wroga, lecz takowe luźne, nieprzygotowane. Otoczyć należy całą tę knieję, jeśli gniazdo szerszeni w całości wybrać mamy. Chcecie się Mości panowie spuścić na moją głowę?

Kiedy wszyscy zgodzili się na to przedstawienie, Wisłouch, dumny ze zaszczytu, wydawał rozkazy.

— Przedewszystkiem — mówił — zalecam ostrożność, spokój. Niechaj wróg pozna dopiero wtedy, że się znajduje w matni, gdy mu będziemy siedzieli na karku. Panowie szlachta od Ratyhiniec poprowadzą cicho, bez szelestu pachołków we wielkim kole aż do stoku gór, które tu naprzeciwko widzicie, ustawiwszy się obok siebie aż do naszéj linii, zaszedłszy, nikogo z uciekających nie przepuszczając!

Polecenie wykonywano natychmiast; wielka gromada ludzi odłamała się od hufca, posuwając się w kierunku wskazanym bez szmeru prawie.

— Zaś tu — mówił do pozostałych — aż do przepaści staną mężowie najbitniejsi i ducha najodważniejszego, tutaj bowiem, koło Łowczyca, niebezpieczeństwo największe i przyjść może do boju zaciętego!

Mężowie rozstawiali się jak przy obławie na dzikiego zwierza pod wodzą Wisłoucha i Grozy, stanowiska naznaczających, pierwszy z nich zaopatrzywszy się w oręż, swój utracił był przy rozbrojeniu w jarze, nie bez trudności. Zabielak bowiem, jako najstarszy i najsłabszy z rycerzy, wskazany zdaniem ogólnem na oddanie swéj krzywéj szabli tureckiéj w zdolniejsze ręce dzielnego męża, czując się obrażonym, opierał się długą chwilę, zanim żądaniu zadość uczynił.

Zbliżano się ku obozowisku, wybranem przezornie na wpół nagiem wzgórzu, wciskającem się wysuniętem kolanem w przepaść, zabezpieczającą stanowisko zbójców z dwu stron. Od południa zaś i zachodu opryszki osłonieni dziko zarosłą, niedostępną prawie knieją, żadnych środków ostrożności nie poczynili. Czujne ucho i bystre oko herszta zastąpiło poniekąd straże i warty. Uchem złowił tenże przedwcześnie szelest i łomot podejrzany od pagórków przez wiatr przyniesiony; wzrok jego sokoli dostrzegł w dali coś niezwyczajnego. Zerwał się bowiem niespokojnie ze siedzenia wydobył krucicę z poza pasa; w powietrzu rozległ się zarazem świst przeraźliwy.

Na to hasło zaroiło się koło ogniska; czarne postacie wynurzały się powstając, niby z czeluści piekielnych, snuły się na około wodza.

Tenże wskazał ręką ku górom, sam dążył szybko tamdotąd; zatrzymał się jednak koło dęba, gdzie spali jeszcze płaszczami przykryci więźniowie jego i zakładnicy. Przekonawszy się atoli, jednem uderze-

niem nogi, że płaszcze nikogo nie okrywały, oszukany zaklął, wrząc od gniewu i wywarł całą wściekłość swoją na posterunku, chodzącym koło próżnego legowiska. Nieszczęśliwemu przyłożył broń odwiedzioną do ucha.

— Zdychaj psie niewierny! — krzyknął zajadle.

Padł strzał, ofiara potoczyła się z głuchym jękiem na ziemię.

Ratyhiniecka szlachta usłyszawszy huk broni, odpowiedziała strzałami; opryszki ustawili się w linii obronnéj.

Zawrzała walka na samopały.

Tymczasem Wisłouch, Groza, Zaklika i reszta panów braci na drugiéj stronie odszukali bez trudności Łowczyca.

Jeniec bowiem domyśliwszy się, że ratunek mu przychodził, zrywał się ze swego ukrycia, nawoływał, szalał z rado.

Rozrywano na nim z gorączkowym pospiechem więzy, rozkuwano łańcuchy.

Pracy mozolnéj nie ukończono jeszcze, kiedy Goszczyc z kilkunastu wybranymi ze swych ludzi, spostrzegłszy niebezpieczeństwo po drugiéj stronie, zerwał się jak wicher i pędził rozwścieklony, dysząc ze zemsty i szaleństwa.

Większa część panów braci wyszła na spotkanie opryszków.

Groza wpadł na oręż rozbestwionego zbójcy i w krótkim czasie ubezwładniony przez ranę głęboką wzdłuż prawego ramienia sobie zadaną, ustępował miejsca Wisłouchowi.

Gruby szlachcic trzymał się krzepko, mężnie odpierał wściekłe natarcia opryszka. Szkoda tylko, że nieobeznany z krzywą szablą, chybiał razy, nieumiejętnie, choć gorąco, wymierzał cięcia.

Walka chyliła się na niekorzyść szlachcica, jak zauważył najbliższy Wydżga, który, poraziwszy swego przeciwnika, znajdował się w téj chwili bezczynnym. Umyślił też, by dopomódz towarzyszowi do zwycięstwa, zadać zbójowi z tyłu w łeb cios śmiertelny i broń już wznosił do góry, kiedy Łowczyc, rozkuty wreszcie z kajdan, schwyciwszy w dłoń pierwszą lepszą szablę napotkaną, krzyknął gromko, na front się wydzierając:

— Na ustęp, mościpanowie, na ustęp! Łotrzyk do mnie należy, odstąpcie mi go, proszę!

Wydżga ściągnął miecz nad głową zbója zawisły, Wisłouch się cofnął, w szranki wstępował Łowczyc, dorodny, wspaniały, z obliczem anioła, lecz anioła zemsty.

Zbójca struchlał ze zgrozy, słysząc głos straszny dla siebie, niby trąba w dzień sądu ostatecznego; przerażone oczy utkwił w przeciwnika, który spadał na niego niespodziewanie, niby piorun z nieba.

Zwarły się miecze. Rozpacz, wściekłość uzbroiły ramię opryszka w nadludzką siłę; rzucał on się, nacierał zajadle, zgrzytając zębami, nie inaczéj, jak dziki zwierz śmiertelnie raniony, by rozszarpać śmiałego łowca.

Wysiłki jego błahe, jednak niedołężne się okazały przeciw szermierzowi takiemu, jak był Łowczyc. Prowadził on szablę lekko, swobodnie, bez wysiłków; odpierał straszne ciosy przeciwnika, niby igrając. Upatrzywszy potem stósownéj chwili wyrzucił oręż, wspiął się na palce, spuścił go niby młot na głowę zbrodniarza. Cięcie tak było straszne, że przeciwnik z czaszką strzaskaną runął na ziemię.

— Giń poczwaro, jaszczurko jadowita! — zawołał zwycięzca, wpychając jeszcze broń pod żebra łotrowi; tenże skonał bez jęku na miejscu.

Ze śmiercią wodza skończył się opór strwożonych opryszków; w krótkim czasie dokonano zwycięztwa bez trudności.

Obstąpili potem Łowczyca hurmem panowie bracia, witano go, niby z drugiego świata; Wisłouch, ściskając przyjaciela, płakał i śmiał się na przemiany z wielkiego szczęścia i radości.

* * *

Imcipan mecenas Firlej Firlik mógł się uważać słusznie za najszczęśliwszego człowieka na świecie. Wszystkie jego zamiary spełniały się wedle życzenia, bez zawodu; droga do wielkości otwierała się przed nim, uśmiechała mu się przyszłość błyszcząca potęgą, znaczeniem, bogactwem. Spełniały się najgorętsze nawet życzenia jego serca: Urocza panna Irena miała zostać wkrótce jego żoną! Starościna oddawała według umowy rączkę swej wychowanicy mecenasowi bez korowodów, chętnie nawet, wygrawszy w trybunale proces przeciw Łowczycowi.

Mecenas świetnego dokonał zwycięztwa: poraził, pobił na głowę stronę przeciwną. Odebrał Łowczycowi nietylko majątek, ale i cześć, dobre imię. Na mocy dowodów Firlika uznano oskarżonego samozwańcem, oszustem, podszywającym się pod nazwisko starosty Mołodeckiego. Obrońca strony przeciwnej nie zdołał najmniejszego nawet dowodu złożyć na piśmie, wykazującego, jako Łowczyc, prawym był synem starosty. Firlik nie na próżno przebywał po kilkakrotnie w Suszy!

Jedna tylko chmurka ćmiła jasne niebo szczęścia prawnika. Panna Irena nie zdawała się, niestety, wcale być zachwyconą zaszczytem, jaki ją miał spotkać. Nie odważyła się ona wprawdzie przeciwstawić swéj woli rozkazowi srogiéj opiekunki, przeznaczającéj ją stanowczo za małżonkę Firlikowi, przeczuwając bezskuteczność oporu, pan mecenas zauważył jednak łatwo, ku swéj niewymownéj zgryzocie, że niechęć, wstręt jawny panny ku jego osobie z dniem

prawie każdym wzrastały, podczas gdy przeciwnie jego samego namiętność pożerała.

W ciągłéj obawie, by jakiś nieprzewidziany wypadek nie zamącił mu błogiéj nadziei i losów jego z gładkiéj kolei, jaką się toczyły, nie wyrzucił, pan mecenas naglił starościnę o przyspieszenie ślubu. Czyniono więc pospiesznie przygotowania do uroczystości, a Xiądz w klasztorze Bazylianów po dwakroć wygłosił już z ambony zapowiedzie narzeczonych, kiedy wkrótce potem zatrważająca wieść doszła uszu mecenasa, że nie tylko odkryto miejsce uwięzienia Łowczyca, ale nadto, że przyjaciele i sąsiedzi tegoż, zwołani, podjęli wyprawę celem oswobodzenia jeńca.

Firlik strwożony, po krótkiéj naradzie ze starościną, wysłał natychmiast Goszczyca w pogoń za zuchwałymi, jak twierdził, szaraczkami, obiecując opryszkowi wielką nagrodę, jeśli udaremni zabiegi szlachty i przeprowadzi szczęśliwie uwięzionego do Suszy, wedle życzenia starościny.

Zarazem niecierpliwy i niedowierzający jeszcze ciągle swemu szczęściu prawnik dokazał tyle przez swe wpływy, że władza duchowna zgodziła się dla naglącéj konieczności na zawarcie ślubów małżeńskich między narzeczonemi przed trzecią zapowiedzią. Firlik biegał niby w gorączce, by uprzątnąć wszelkie przeszkody i wyrównać drogę do swego raju ziemskiego wiodącą. Jakoż na trzeci dzień, zażywszy trudu nie mało, dokonał zadania w zupełności. Wieczorem naznaczono godzinę ślubu; uroczystość odbyć się miała cicho, bez rozgłosu.

Kiedy jednak narzeczeni we wspaniałych kolasach zajechali przed kościół, znaleźli rzęsisto oświeconą świątynię, zapchaną ciżbą ciekawych widzów. Mężczyzni z zajęciem ścigali wzrokiem uroczą oblubienicę. Szmer uwielbienia, niby ciche mruczenie strumyka dał się słyszeć po obu stronach rozstępującego się przed oblubieńcami tłumu. Niejeden męż-

czyzna mimo woli chylił głowę, oddając hołd téj cudownie pięknéj, jaśniejącéj urokiem niewinności dziewicy, nie mającéj jednak postawy szczęśliwéj narzeczonéj. Przeciwnie, jéj pyszne oko zamglone wyrażało smutek rzewny, cierpienie i płacz duszy.

Świeże jéj kraśne liczko przyćmiewał niby cień wielkiéj boleści, zwątpienia, czy rozpaczy, jak obłok osłania wspaniały blask słońca. Jakiż to szron groził zwarzeniem temu wonnemu kwiatkowi? Jakaż troska tłoczyła anielską duszę téj nadziemskiéj istoty do szczęścia i radości przeznaczonéj? Kiedy do ołtarza się zbliżano i huczny organ zabrzmiał, wspaniała melodya zamiast rozradować, łzy wywołała z brylantowych oczu pięknéj narzeczonéj, a gdy kapłan rozpoczynający obrządek, pytał o wolną i nieprzymuszaną wolę, klęcząca zamiast odpowiedzi, wybuchnęła głośnem łkaniem. Trzeba było całéj powagi rozsierdzionéj starościny, która powstawszy z ławy i podszedłszy ku ołtarzowi, groźnem spojrzeniem z ócz zagniewanych, rozrzewnioną ukoiła, aby obrządek mógł się bez przeszkody odbywać daléj. Kapłan włożył już obrączki ślubne na palce oblubieńcom, zabierał się do odbierania przysięgi, ręce przepasawszy stułą. Ta chwila straszną być musiała dla niebogiéj, bo wysunąwszy nagle rękę z pod stuły, wstała i zawołała zrozpaczonym głosem, ale stanowczo:

— Nie, nigdy! raczéj śmierć.

Pan młody na te słowa wykrzywił boleśnie usta, jakby przez żmiję ukąszony; starościna struchlała z wielkiego podziwu nad zuchwałością swéj potulnéj zwykle wychowanki; ciżba ludu w kościele zaczęła téż sarkać, objawiać głośne swe niezadowolenie, a współczucie dla biednéj ofiary. Przy drzwiach kościoła powstał nadto zgiełk jakiś nadzwyczajny, posadzka marmurowa odbrzmiewała ciężkiemi kroki mężów spieszących ku nawie świątyni, szelest oręża dobijał się głucho o grube mury. Tłum ludu ścigający

oczyma ciekawie to niezwyczajne zjawisko w domu Bożym ucichł, oczekując czegoś niezwyczajnego. Tym doniośniej rozległo się po kościele gromkie wołanie:

— Powstrzymajcie się na Boga! Księże nie kończ ceremonii! Nie ma ślubu, impedimentum!

— Impedimentum, impedimentum! — powtarzała żarliwie mała drużyna rycerzy, podchodząca na miejsce obrzędu, a pierwszy mówca, człowiek nie młody, z twarzą zwarzoną przedwcześnie zmarszczkami, wzniósłszy rękę do góry, wołał coraz głośniej, jakby w obawie, by go nie usłuchano.

— Ojcze, nie wiąż téj pary dozgonnemi śluby, odstąp od ołtarza. Nie pozwalam na ślub, veto! ja ojciec panny młodéj!

Zamięszanie powstało w kościele nie do opisania, ścisk; głośne narzekania i tłumione krzyki dały się słyszeć między ciżbą ludu, tłoczącą się naprzód.

Ksiądz przerwał obrządek, zdumionem okiem opatrywał zbliżających się mężów zbrojnych.

Piękna oblubienica obejrzała się po za siebie. Spostrzegła prócz szlachcica głośno protestującego, niby ojca, lecz całkiem nieznajomego sobie, między zbrojnymi jednego, który żywo ją obchodził, gdyż oczy jéj rozpromieniły się blaskiem płomyka nagle wybuchającego, zbladłe liczko okrasił kraśny rumieniec.

Pan młody przerażony, wołał z oburzeniem:

— Protestuję przeciw napadowi!... Cóż za zuchwalstwo? Dom Boży sprofanowany! Za drzwi, precz z intruzami!...

Lecz stracił śmiałość i przytomność umysłu, gdy wzrok jego padł na Łowczyca. Patrzał na tegoż niby na widmo z drugiego świata, oczy słupem mu stanęły, słowo skonało na ustach z wielkiej zgrozy. W trwodze śmiertelnéj, na wpół obłąkany, jął potem wołać, cofając się, nie swoim głosem:

— Precz z oczu moich! Do lochu z nim! Hej Łazarew, czyś ty zmysły stracił? Gdzie Goszczyc, rabiata?... O, zdrajcy, kara was nie minie! Ha, ha, wydziedziczony! — zaśmiał się dziko. — Co? testamentem mi grozisz? Nie ma go, nigdy nie egzystował, jam go nie usunął! Do trybunału, do trybunału!... Hej akta, dowody!

I począł szukać, macać kole siebie, to znów trwożnym, obłąkanym wzrokiem wodzić po obecnych, nikogo nie poznawając. Ksiądz skinął od ołtarza; świadkowie przy obrzędzie ujęli swego przyjaciela majaczącego pod ramiona, wyprowadzili gwałtem opierającego się z kościoła.

Panna Gertruda podeszła ku pannie młodej, szepnęła jej coś na ucho; obie panny uchodziły spiesznie. Światło w kościele gaszono, ciżba ludu się rozpływała; w tłumie zgubiła się starościna i zniknęła odtąd bez śladu; przez długi czas nic o niej nie słyszano.

Kapłan cofnął się do zakrystyi, dokąd wezwał rycerzy, którzy przez swe niespodziewane wkroczenie zamącili spokój w domu Bożym i obrządek przerwali.

Tegoż samego wieczora parę godzin później w mieszkaniu marszałka komnaty paradne oświetlone zostawały do późnej nocy, niby w dzień uroczystości lub zjazdu. Jakoż w rzeczy samej marszałek podejmował u siebie sutą ucztą, na prędce sporządzoną, drogich sercu gości. Spostrzegamy tam najznakomitszych rycerzy z wyprawy, jak Łowczyca, kniazia, Wisłoucha, Wydżgę, Białozora, Zabielaka i Zaklikę, w zgodzie zupełnej zostających.

Z żeńskiego towarzystwa znajdowała się prócz ochmistrzyni, Imcipanny Giertrudy, młoda oblubienica, panna Irena w białej ślubnej sukni. Ta ostatnia nie wróciła wcale, na nalegania przyjaciółki, do własnego mieszkania, lecz zabrała się z ochmistrzynią z kościoła wprost do marszałka.

Po wieczerzy, towarzystwo przeszło z jadalni do dalszych komnat żywą rozmową zajęte, otaczając starego pana.

Łowczyc pilnował panny Ireny. Młodsi zajęli miejsca zdala od gwaru, w zbrojowni, przytykającej do jadalni; a mieli tyle do powiedzenia sobie bez świadków. Ich oblicza, szczęściem opromienione, oczy jaśniejące zachwytem, zdradzały ich dusze.

Wisłoucha trzymała niejako w oblężeniu panna Giertruda, racząc go w jadalni hojnie starem winem, sama w puhar kosztowny trunek lejąc. Zasłyszała ona o grubym szlachcicu same pochwały tylko; sławiono jego męztwo, roztropność, wytrwałość. On to, mówiono, przyczynił się głównie do wyswobodzenia Łowczyca, on duszą był wyprawy! Nie dziw, że panna patrzyła na podchmielonego szlachcica niby na rycerza.

Imcipan Baltazar też pijąc, jak susał, spoglądał coraz czulej na nadobną gosposię.

— Imcipanna cześnikówna — mówił uśmiechając się lubo — schlebiasz mi jak arab swemu wielbłądowi, skoro odkrył na puszczy źródło! Napojony jestem obficiéj niż Giejzy przez Rebekę dalipan, tak ukontentowany dawnom już nie był. Czuję naturę moją całą jakoby ulepszoną, raźniejszą domłodzoną Gdybym tak nie był związany ślubem...

— Nie przypominajże mi Waćpan tego niecnego! spisku, proszę! — przerwała z dąsem panna — skoro chcesz pozostawać ze mną, w przyjacielskości. Raduj twą duszę raczéj widokiem Łowczyca! Bezżeniec on pono, jak ty, a przypatrz się jeno, jak gorliwie umizga się do panny, płomień objął go całego!

Wisłouch posłał wzrok przez podwoje na oścież otwarte i widząc młodą parę, mówił wstrząsając głową: — Zginiony, Dalipan! zapóźno go ratować! Ha, Volenti non fit injuria t. j. kto kole ognia chadza, łatwo się poparzy! Jeno, że do płomyka każdy się ciśnie!...

Hm, radby i człek rozweselić duszę światłością, poigrać z ogniem, lecz niebezpieczno. Ród niewieści zdradziecki od Ewy już poczynając!

— Cóż też Waćpan wygadujesz! — zawołała oburzona niby panna — jak śmiesz miotać kalumije w obec mnie na zacniejszą i powabniejszą połowę rodzaju ludzkiego?

— Przebacz Waćpanna, nie chciałem cię obrazić, wszelako experjencya mnie zniewala do wypowiedzenia opinii prawdziwéj, bo kiedy już Łowczyc nawet, ów mąż ze stali, nieprzejednany, zdało się, wróg Hymenu, przez strzały Kupidynowe śmiertelnie ranion w exspiracyi niejako swego ducha kawalerskiego pozostawa z powodu białogłowy, jakże tu nie winić rodu niewieściego o podstęp i zdradę!

Panna rozśmiała się wesoło, a Wisłouch prawił daléj.

— Tak dobrze waćpannie się śmiać, ale mnie na płacz się zbiera! Kaja się dusza moja z racyi nieprzewidzianéj i zgoła niepojętéj zmiany w naturze ludzkiéj. Łowczyca skusił powabny szatanek, a Imcipanu Baltazarowi grozi także. Panie ratuj! wielkie niebezpieczeństwo. Trwożę ja sobą i obawiam się..... ej, czemuż nie wysłowić, figlarnego oczka Waćpanny!

Panna Giertruda aż klasnęła w dłonie z wielkiéj ochoty i gromiła śmiejąc się wesoło szlachcica.

— Waćpan, taki rycerz! zbojoweś się nie uląkł, przez puszcze przedzierał, śmierci nieraz w oczy zaglądał i teraz drzysz przed słabą niewiastą!

Wisłouch nie zdążył już odpowiedzieć, gdyż przez otwarte podwoje z komnaty wchodził do jadalni marszałek z wszystkiemi gośćmi, hurmem za tymże się tłoczącemi, wołając z uniesieniem — Mości Wisłouchu, zuch z Waćpana! Skorom posłyszał teraz wszelkie circumstancye wyprawy onéj niebezpiecznéj podziwienie mnie schwyciło i nie mogę inaczéj, jeno czołem przed Waćpanem uderzyć. Vivat Wisłouch!

Kniąź lał wino z gąsiorka, przed grubym szlachcicem na stole stojącego w kielichy przez pannę Giertrudę przysunięte, szlachta wypiła duszkiem. Następowały inne zdrowia na cześć mniéj zasłużonych bohaterów wyprawy; wynajdywano wreszcie najrozmaitsze „okazye“, w któréj to sztuce wycelował Imcipan Baltazar i pito zawzięcie aż do późnéj nocy. Szlachta się rozbrdysała, sam stary pan wziął na kieł, zagrzewając własnym przykładem i podniecając do picia swych gości, szlachtę o wiecznie suchych gardłach.

Przy ogólnej ochocie i niezwykłem nastrojeniu umysłów wypito podobno zdrowie dwu par, jakoby narzeczonych, tylko, że na drugi dzień nikt nie przypominał sobie tego wypadku.

Nazajutrz po wielkiej wesołości nastąpiło, jak to zwykle się dzieje, niesmak, smutek, jakoby wyrzuty sumienia. A najprzód gospodarz domu, pan marszałek, czując się chorym, pozostał w łóżku; goście też jego, przypomniawszy sobie swe kłopoty domowe i troski codzienne, wkrótce się porozjeżdżali. Został tylko na miejscu Łowczyc, Zabielak i Wisłouch; dwaj pierwsi dla uporządkowania swych spraw, ostatni dla pilnowania Łowczyca przed nową przygodą, jak to sam oświadczył

Łowczyc znajdował się w przykrem bardzo położeniu. Odartego z majątku, wyrok trybunalski pozbawił go nawet imienia, podczas gdy właśnie teraz czuł potrzebę stanowiska jakiegoś, przedewszystkiem zaś własnego gniazda. Chodził też dni parę ze swemi myślami jak struty, nie umiejąc sobie sam poradzić.

Marszałek nie był do rady, zajęty swemi dolegliwościami, kniaź popadł znów w swą dawną sztywność i nieprzystępność, Imcipan Baltazar, pilnujący panny Gertrudy, a głównie gąsiorków, nigdy prawie nie miał trzeźwéj głowy. Szczęściem, niepewność położenia nadspodziewanie sama przez się wkrótce się wyjaśniła. Pod adresem marszałka bowiem przyszło

pismo z klasztoru panien Karmelitanek od przełożonéj. Takowe zawierało oświadczenie z upoważnienia starościny Mołodeckiéj, z domu Żegocianki, następującéj treści:

„Starościna Mołodecka zgryzotami sumienia powodowana, pragnąc wynagrodzić krzywdę wyrządzoną synowi starosty, męża swego, z pierwszéj żony, tak zwanemu Ordyńcowi z przydomkiem Łowczyc, przyznaje, że takowy jest jedynym prawnym spadkobiercą obu majątków Suszy i Przygórza. Sama zrzeka się wszelkiéj pretensyi i tytułu posesyi rzeczonych włości, a przyznanych jéj przez trybunał, w błąd wprowadzony. Ku zrektyfikowaniu omyłki znajduje się testament pisany, przez nieboszczyka sporządzony, w ręku mecenasa Imcipana Firlika“.

Wesołą nowinę przyjął Łowczyc z uniesieniem radości.

Do Firlika wybrał on się natychmiast z Wisłouchem i Zabielakiem, w towarzystwie pisarza i pachołków z grodu za pozwoleniem sędziego. Znaleziono prawnika w gorączce, leżał bez przytomności, chory na zapalenie mózgu.

Ta okoliczność nie powstrzymała jednak Łowczyca niecierpliwego od podjęcia poszukiwań w obec świadków w biurze mecenasa za dokumentem pożądanym. Po mozolnem, długo trwającem przetrząśnięciu wszelkich aktów, szaf i skrytek odkryto wreszcie kosztowny papier.

Odtąd losy Łowczyca szybko potoczyły się naprzód zwyczajną koleją życia.

Na Zielone Świątki tegoż roku marszałek wyprawiał w swym dworze na Ormiańskiem przedmieściu dwa wesoła, swego syna chrzestnego starościca Mołodeckiego, alias Ordyńca z imcipanną Ireną Zabielak i imcipana Wisłoucha z imcipanną Gertrudą Gosławicką. Młodzi państwo Mołodeccy zamieszkali po ślubie w Suszy.

Pani starościna Eudoxia Mołodecka odpokutowała swe grzechy młodości w klasztorze jako siostra Bronisława.

Pan mecenas Firlik powstał wprawdzie z ciężkiej choroby, lecz do końca życia cierpiał na lekkie pomięszanie zmysłów. Co dzień rano można go było widzieć z aktami pod pachą wybierającego się ze swego mieszkania do grodu. Że go tamdotąd jednakże nie wpuszczono, wracał na rynek, lub na ulicę, zatrzymywał się przed pierwszym lepszym straganem, wyciągał akta i wygłaszał świetną obronę, niby przed kratkami w sprawie już dawno osądzonej. W toku mowy zapalał się, umawiał z przeciwną stroną, gromił takową i pobiwszy ostatecznie na łeb na szyję, zadowolony wracał do domu. Widowisko to, codziennie powtarzane, tak się stało w mieście powszedniem, że w końcu uliczników nawet nie zajmowało.

Imcipanu Wisłouchowi wkrótce po ślubie zwisły rzeczywiście uszy, jak twierdzili, śmiejąc się, sąsiedzi i przyjaciele. Pani Wisłouchowa, walna gospodyni, zaraz wprowadziła w ład całe zaniedbane gospodarstwo męża i temuż przytarła rogów.

Imcipanu Baltazarowi nie wolno było próżnować, warcholić się, ani „bachanalii“ z przyjaciółmi wyprawiać. W domu też chodził małżonek przed Jejmością na paluszkach, za to tem więcéj pozwalał sobie u dobrych przyjaciół, mianowicie zaś w Suszy i Przygórzu.

Państwo Mołodeccy bowiem, szczęśliwi i zakochani w sobie, zostali zniewoleni pewien czas roku zamieszkać także w Przygórzu; stało się to zaraz w pierwszym roku po ślubie.

Pewnego pięknego dnia na początku jesieni Łowczyc z żoną na wystawkę przez ciepło słoneczne wywabiony, spostrzegł poczet jeźdźców gościńcem ku dworowi się zbliżający. Wyszedłszy naprzeciw, ujrzał oblicza ukochanych przyjaciół, jak Wisłoucha, Za-

kliki, Wydżgi i czwartego pana brata z Ratyhinieckiego zaścianka.

Szlachta przybywała z prośbą w imieniu całéj okolicy, by starościc pomny na dawne stosunki i przyjaźń, zjechał ze żoną na łowy do Przygórza.

Ucieszony temi dowodami miłości i przyjaźni młodzieniec, przyrzekł chętnie życzenie spełnić, choć widział niejakie trudności we wykonaniu, mianowicie z braku pomieszczenia dla Jejmości, służby, nie mniéj jak i licznych odwiedzin.

Termin oznaczono na św. Jadwigę i Łowczyc urządziwszy się jak najskromniéj, wyruszył z domu z żoną i jednym tylko sługą do Przygórza.

Wieczorem wjeżdżano na dziedziniec.

Przybywających witano głośnemi wystrzałami z moździeży; tłumy zgromadzone poddanych z włości wzniosły huczny, trzykrotny okrzyk na cześć młodego państwa.

Przed rzęsisto oświetlonym dworem — Łowczyc ze zdumieniem, nie dowierzając własnym oczom patrzał na nowy dwór, wybudowany na miejscu starego — ustawili się rzędami panowie bracia, witając wysiadających okrzykami radości i mowami.

Zabielak wyniósł na podstawie chleb i sól i ofiarował te dary dziedzicom według starego zwyczaju; na ostatku wysunął się na przodek Groza, wyleczony z rany ze swoim hufcem leśnych i gajowych, odświętnie przybranych w zielone kubraki z żółtemi wypustkami. Groza powitał swego pana krótkim rymem:

Łowcu sławny, knieje Cię witają,
Puszcze pokłony Ci zasełają!
Jeleń zdziwion wolno sobie hasa,
Rogacz dziatki po majdanak pasa.
Wilczysko wylazło z matni śmiele
Skacze, bzika, tańczy nie o wiele.

Odyniec się hardo wrył w polankę,
Gawiedź leśna gra sobie w chapankę!
Królu łowców powstań z nieczynności,
Poskrom motłoch i jego sprosności!

Dziedzic do wesołości tym wierszem pobudzony, uściskał Grozę, następnie wszystkich panów braci z rozrzewnieniem. Ich to bowiem kosztem i pracą stanął dwór nowy wraz z całem urządzeniem, piwnica nawet dobrze została zaopatrzona!

Bawiono się wesoło tygodni kilka. Panowie bracia bowiem przywieźli na zaproszenie pięknéj, młodziutkiéj pani domu swe żony i córki, wyszukano gdzieś muzykę i teraz dopiero zaczęła się wesołość na dobre wśród pląsów i okrzyków.

Po zabawie wybrano się na kilka dni na łowy, poczem znów wracano do hucznéj zabawy. W ten sposób przepędzono w Przygorzu kilka tygodni; szlachta tak się rozkochała w obu młodzieńcach, że ich nie chciała od siebie puścić. Dopiero gdy mróz dobrze ścinał, a nowo pobudowany dworek wilgotny i zimny się okazał, Łowczyc ze względu na zdrowie żony, wyprosił sobie u panów braci powrót do domu, pod warunkiem atoli, że corocznie na jesień zjedzie wraz z żoną do Przygórza.

KONIEC.